

Biblioteka Sejmiku Śląskiego

17227 I





63

WOKOŁO TEATRU

7



LUCYNA KOTARBIŃSKA

WOKOŁO TEATRU

MOJE WSPOMNIENIA



WARSZAWA—1930

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

17227

17227

Księga Katolicka. 1. III. 32.

cena 15 zł.

DATA IT 2000



x-47743
17227 I

*Pamięci Męża mego
Józefa Kotarbińskiego
któremu zawdzięczam szczęście życia*

SŁOWO WSTĘPNE.

Wspomnienia mieliśmy pisać razem, bo to było naszym wspólnym życzeniem, a mojem marzeniem, żeby na jednej karcie książki były imiona obojga.

Ale, mając zawsze planów na sto lat naprzód, nie obliczaliśmy czasu.

I oto jedno z nas odeszło.

W książce, zatytułowanej: „W służbie Sztuki i Poezji”, która wyszła w marcu 1929 r. (nakładem firmy Hoesicka w Warszawie), Mąż mój dał obraz tego, co się zrobiło dla widowni Teatru Krakowskiego za Jego dyrekcji, spisując na jej kartach repertuar i dając świadectwo nawałnicy pracy, jaka towarzyszyła wcieleniu go na scenę.

Ja robię notatki z tych przeżyć, które mieliśmy za sceną, a które, towarzysząc naszej Wielkiej Poezji z przeszłości, naszym genialnym i znakomitym Autorom teraźniejszości, może słusznie, że nie zaginą.

• Poczuję się też do obowiązku podziękowania Szan. P. P. Stanisławowi Miłaszewskiemu, Wacławowi Grubińskiemu i Ferdynandowi Goetlowi, którzy mnie w rozmowie zachęcili i dodali otuchy do pisania. A drogim moim przyjaciółom, P. P. Miło-

szowi Kotarbińskiemu, Janowi Lorentowiczowi i Józefowi Jankowskiemu, za cenne wskazania, które im chłoneły czas, jakiego nikt z nas, ludzi pracy, nie ma za dużo do rozdania.

Niech mi wybaczą, że moja dobra wola nie wystarczyła na to, aby należycie wykonać niejedną cenną Ich radę, ale — zrobiłam, na co mnie było stać.

L. K.

NASZ DOM W WARSZAWIE.

(1884 — 1893).

Kiedy Józef Kotarbiński obdarzył mnie zaufaniem i powiedział, że chce życie swe złożyć w moje ręce, przystałam na to z ochotą i — dumą.

Był piękny, radosny, życie kochał. Miał imię literata i artysty. Byliśmy oboje po niemal jednakich losu dotknięciach — raczej ostrzych cięciach. Ja miałam humor, pogodę, synka maleńkiego z pierwszego małżeństwa i siebie. Więcej nic.

Prawda! miałam dwa listy zastawne, po 100 rb. każdy, za uciulane pieniądze z lekcyj rysunku i malowania na porcelanie, z czego się utrzymywałam.

Znaliśmy z opinji nawzajem nasze rodziny. Raz nawet widziałam tego młodego człowieka, jak miałam lat czternaście w domu powinowatych naszych, pp. Leonostwa Sygietyńskich, ale, że on mnie wtedy nie raczył zauważyć, co dla osoby, w moim wówczas wieku, równało się obrazie, więc go za to nie lubiłam. Potem już, w lat dziesięć, spotkaliśmy się na maskaradzie.

Aleksander Świętochowski, który bardzo lubił Józefa, i moja siostra Józefa Kleczeńska, która także

cenila jego umysł i charakter, bali się o jego los, bo, według nich, sentyment umieścił na jakichś niepewnych, zmiennych falach. Wprawdzie twierdzili, że już był w fazie rekonwalescencji po ciężkiej chorobie sercowej, lecz, aby go ustrzedz od recydywy, jako przyjaciele, umyślili dawkę silnego antydotum i w tym celu upatrzyli sobie „najweselszą wdowę w Europie”, jak mnie nazywali. Zresztą, miał to być jednorazowy zastrzyk leczniczy, bo Świętochowski mnie nie lubił.

Mimo silnego oporu z mej strony, jako że wszelkiej maski nie znosiłam i maskarada, wogóle, mnie nigdy nie nęciła, pamiętam, że o 12-ej w nocy pp. Świętochowsky zajechali po mnie karetą. A na salach redutowych Świętochowski i siostra moja wzięli mnie pod ręce i postawili przed Kotarbińskim, stojącym pod filarem.

— Nie będziemy mówili o żadnym wczoraj. Będziemy mówili o jutrze, były pierwsze słowa, jakie do niego powiedziałam. Rozmowa trwała do 5-ej rano. Byłam pod maską, więc mu się bardzo podobałam.

A potem siostry, niemłode panny, z któremi mieszkalam, zaprosiły go na 19 marca. Przyszedł, po głosie odrazu poznał „maskę” i już, w kilka miesięcy, przyniósł mi, jako narzeczoney, swą podobiznę, z datą 1884 r., na której czytałam:

Tej, przez którą odżyłem...

Na życia trud, co czeka nas,
Na radość czy męczarnie,

Hej! Dłonie w dłoń pójdziemy wraz
I nie zginiemy marnie.

Hej! Komu lśni z pogodnych lic
Wesela promień boski,
Na ciężki znój nie zważa nic
I tworzy trud mistrzowski.

J. Kotarbiński.

Drobne, dziś zbladłe literki, z którymi nie rozsta-
wałam się nigdy, zobowiązywały. Więc trzeba bę-
dzie robić życie tak, żebyśmy nie zginęli marnie.

Nie baliśmy się też życia.

— Ślub weźmiemy nie prędzej, jak za dwa lata —
powiedział mi kiedyś narzeczony — bo mam długi.

— Długi pan ma? To weźmiemy ślub jutro i od
jutra zaczniemy je razem spłacać.

Tak się też stało.

W pracowitem życiu ludzi, którzy musieli zara-
biać na chleb powszedni, nie było czasu na długie
konkury.

W październiku dnia 14, 1884 r. w małym kościół-
ku na Koszykach, przysięgliśmy sobie, aż do śmierci,
być razem. Dom siostry mojej Maryli, żony litera-
ta, Filipa Sulimierskiego, redaktora „Wędrowca”,
inicjatora „Słownika Geograficznego”, zgromadził
najbliższą rodzinę, wśród której byli i drodzy mi Ro-
dzice mego Męża, i, w serdecznym nastroju zacnego
grona, przeszły nam pierwsze chwile naszego życia.

Dwa lata nie bywaliśmy nigdzie, nie sprawiali nic,
nie ruszyli się poza Warszawę. Pracowaliśmy za-
wzięcie oboje.

— Żona moja ma pasję spłacania długów. — Błogosławioną — dodawałam sobie w myśli. Długi lichwiarskie, zaciągnięte prze Józefa na katastrofy życiowe, jak choroby, kuracje, pogrzeby, — spłaciło się w przeciągu niespełna dwu lat.

I, zaraz w roku wolnym od zobowiązań postronnych, wyjechaliśmy do Zakopanego.

Cóż to była za radość!

Pamiętam, jak w Krakowie, w hotelu „pod Różą“, gdzie odtąd zawsze stawaliśmy po ostatnie dni, Józef rzucił się na sofę, a wymachując nogami w górę wołał: „Żaden woźny teatralny mnie nie znajdzie, żaden chłopiec z drukarni mnie nie dogoni, co za rozkosz!“.

W Zakopanem pp. Julianostwo Krzyccy, on, zdolny adwokat i prawy człowiek, ona od Regimentarza Stępowskiego wiodąca swój ród, pp. Józefostwo Szadkowscy, on, także akwokat, młody, piękny, z jeszcze piękniejszą żoną, która czarowała i urodą, i kapryсами, jakie tylko mieć wolno pięknej kobiecie, Sajdeman, śpiewak, pp. Rembieliński, Abczyński, Kempner, adwokaci, już wtedy znakomici malarze, Pochwałski, Jacek Malczewski, zakochany w swej przyszłej żonie,—wszystko to wycieczkowicze, z którymi, poraz pierwszy i ostatni, wybrał się Józef w góry. Serce się odezwało i na tem skończyło się jego taternictwo. Ja nie bywałam na wycieczkach, ale spacerować po dolinach, to były istne kawalkady, otaczające wózek z małenstwem, które karmiłam, pełno na nich było rozmachu żywiołowego, śpiewów, dowcipów i żartów niefrasobliwych.

Tam także poznaliśmy Tadeusza Pawlikowskiego, przyszedłszy męża ukochanej siostry Józefa, Idalji, będącej pod naszą opieką w Zakopanem, wiosnianym urokiem czarującej wówczas młodzieży, licznie koło niej zgromadzoną.

Mieszkanie w Warszawie, ze względu na owe „długi”, zamówiłam sobie u mego narzeczonego na najwyższym, jakie było podówczas w Warszawie, piętrze. Było też na 4-tym. Małe, ale miłe, z dobrym rozkładem i słońcem. W dzień imienin mego męża, bywało w niem po 100 osób. Przyjęcia na rozciągniętych, jak się dało najdłużej, stołach w dwu większych pokojach, trwały od 12-ej w południe do rana następnego dnia. Szatnia na schodach, której goście pilnowali na zmianę. Schody były ładne, jako że dom Scheiblerów na Nowym Świecie Nr. 7, więc krzywda się im nie działa. Mały antałek piwa, opleciony bluszczem, stojący pod oknem na koziołkach, miał także, na zmiany, swego podczaszego.

Któż w tem małym mieszkanku nie bywał z naszej artystycznej i literackiej braci? Czyżby oczy nie spoczywały na tych skromnych bambusowych mebelkach?

Prus (Aleksander Głowacki), przez wszystkich kochany, z żoną czasem, sam często, bo z „naczalstwem”, jak mówił, zawsze trzeba ostrożnie, żeby czem nie urazić. Marjanostwo Gawalewiczowie, on jeden z tych towarzysko wyrobionych ludzi, którzy ze wszystkiemi i o wszystkiem mówić umieli, uśmiechnięty, pogodny, życzliwy ludziom, ona piękna, słodka i — nad miarę kochająca. — Julianostwo Święciccy,

których gościnny dom, ożywiony werwą pana, około którego, jak około słońca, obracał się cały świat, — Klementyna Boguska, osoba wysokich cnót nietylko towarzyskich, inteligentna, dowcipna, artystka duszą, — pp. Kazimierzostwo Kaszewscy, małżeństwo, gdzie dystynkcja pani, a uczoność pana, wielkiego przyjaciela Józefa, tworzyły spokojną i stateczną atmosferę ludzi—„dobrze urodzonych”,—Maszyńscy Julianostwo—dom, w którym poważnej artystycznej atmosferze pana Juliana towarzyszył zawsze srebrzysty śmiech młodej małżonki, — Maszyńscy Piotrostwo, śliczne małżeństwo, z gromadką przybywających rok po roku dzieci, — on, piękny jak Antinous, z dyrektorską batutą w ręku na estradzie, z którą rozwijał lub składał ramiona, niby skrzydła do lotu, czarował wszystkich dokoła swem umiłowaniem pieśni, — Władysław Bogusławski, krytyk wielce poważny, ale nie gniewny, gdy mu kto tę powagę naruszał, żona zacna, darząca mnie szczególną życzliwością, także zapamiętane rozkochana w mężu i panu, — Wojciech Gerson, znakomity artysta i przeznacny człowiek, a wielce przezemnie miłowany mój profesor,—Józefostwo Ryszkiewiczowie, młoda, zdrowa para: on, pełen artystycznej brawury, ona ciekawości życia. Całe szeregi literatów i literatek. A więc: już wówczas znamienita pisarka, Eliza Orzeszkowa, o znajomości z którą zdam kiedyś sprawę, jeżeli wystarczy życia, zaszczycała nietylko Męża mego ale i mnie swą przyjaźnią, więc wspomnień nabierało się dużo koło tej świetlanej postaci, — p. Wilhelmina Kościółkowska, przyjeżdżająca z Grodna, —

Walerja Marrené-Morzkowska, gorąca patriotka, córka jej Antonina, — Józefa Sawicka, (Ostoja), Boguska Helena (Hajota), Eugenia Żmijewska, Zofja Mellerowa, — otoczona sympatją ogólną, dziennikarka Bronisława Neufeldówna, z bardzo ładną siostrą Melanją, pp. Adolf Dygasiński, Antoni Sygietyński, Jan Gadomski, Stanisław Kozłowski, młody laureat, Wincenty Kosiakiewicz, Ignacy Matuszewski, Michał Wołowski, Józef Szyszło, Aleksander Mańkowski z Kresów, wszyscy ludzie zdolni, kulturalni, miłujący sztukę, — Djonizy Henkiel, szanowany przez wszystkich literatów sędzia ich poczyznań, kierujący się zawsze niewyczerpaną miłością dla twórczości rodzimej, który rzadko gdzie bywał, toteż chlubić się można było, że bywał czasem u nas, — dr Ludwik Wolberg, wielki nasz przyjaciel, — pp. Stanisław i Marja z Ciszkieviczów Rodkiewiczowie, on, mimo wszelkiego uznania dla hasel postępu, typ zatwardziałego szlachcica, ona żywa, dzielna pracownica, towarzysko wyrobiona, z pogodą, pełną uśmiechów i dołków na miłej twarzyczce, — pp. Natansonowie Kazimierzostwo, bardzo nam życzliwi, i pp. Franciszek i Hortensja Lewentalowie, od których także doznawaliśmy dowodów wielkiej przyjaźni, — pp. Aleksander i Jadwiga Krausharowie, dom niesłychanie gościnny, w którego pięknej atmosferze zawsze przemiłe spędzało się chwile. Sławna p. Lucyna Ćwierciakiewiczowa, która się wnosić kazała, w dzień imienin Józefa, bo wejść na IV piętro serce nie pozwalało, pp. Władysław Smoleński czasem, Antoni Mieszkowski, młody dziennikarz, często, Ko-

nar Alfred, już drukujący poczytne a doskonałą obserwacją światka mieszczańskiego okraszone powieści, Kempner Gabriel, młody adwokat, niebywale przywiązany do mego Męża, — Szuch Franciszek, adwokat, przyjaciel do dni bieżących, Leopold Méyet, — przyjaciel literackiej braci, Józef Jerzy Boguski, współkamrat z kawalerskich czasów, z którym rozmowy należały do największych przyjemności mego Męża, pełnego zachwyty dla jego świetnego umysłu. Rogoziński Stefan, jadący do Afryki, do Kamerunu, którego hasło „per aspera ad astra“, było jakby jego personifikacją. Był chrzestnym ojcem naszej dzieciny. Kochaliśmy się szczerze. Jankowski Józef, młodziutki i piękny poeta, Jankowski Edmund, kolega ze Szkoły Głównej, Dr. Heryng, Stanisław Tomkowicz z Krakowa, Żeleński Władysław i syn jego Tadeusz z Krakowa, pastor Julian Machlejd, z którym znajomość zaczęły lekcje dykcji, jakie brał u Józefa, potrzebne mu do zawodu kaznodziei, Stanisław Leszczyński, adwokat, nie bywał u nas często, ale każdą rozmowę z nim się pamiętało, tak był inteligentny i uspołeczniony. Lutomski Bolesław, gorący zawsze patriota i bardzo z nami wówczas zżyty człowiek. Dr. Nusbaum Henryk, dobry przyjaciel Orzeszkowej, a więc to nas bardzo zbliżało. Artyści malarze, Wolski Stanisław, Podkowiński Władysław, Owidzki Jan, Wyczółkowski Leon, Piątkowski Henryk, Szwojnicki Roman, Woydyga Jan, rzeźbiarz.

Koleżanki i koledzy Męża: Marcello-Palińska, Czaki, Trapszówna Tekla, Barszczewska, Noiret, Ra-

packi, Leszczyński i żona jego, pani Honora, Ładnowski, Tatarkiewicz, Szymanowski, Wolski, Pajewski, Buchner, Mucharski, koledzy z „Kolców”, które Józef jakiś czas redagował. I rodzina, Kotarbińscy Miłoszostwo, Boczkowska Marja z córkami, Jadwigą i Marją, Kotarbińskie: Teosia i Idalka, siostry moje, Julja i Józefa Kleszczeńskie, dwie małe siostrzyczki, Zosia i Stasia, brat Stefan, Sulimierscy Filipowie, Ludwikostwo Lebeltowie z Częstochowy, z synkami Heniem, Bronkiem i Czesławkiem, Egerowa Helena z małą córką Fortunką, ks. Bieńkowski, brat cioteczny mojej Matki, Leśkiewiczowa Stefanja z Konina, siostra moja cioteczna, brat mego pierwszego Męża, Lewandowski Edward, i Rodzice drodzy, na obiadkach w niedzielę. Słowem, dom, do którego prowadzące ścieżki — nie zarastały.

Kobiety wszystkie młode, niektóre piękne, jak: Kotarbińska Miłoszowa, Gawalewiczowa, Szadkowska. Śliczne, jak: Maszyńska Juljanowa, Ryszkiewiczowa, Natansonowa, Egerowa. Wszystkie inteligentne, wesołe, dowcipne, jak Teosia Kotarbińska, Maszyńska Piotrowa, której humor był niezrównany, wszystkie do życia uśmiechnięte.

Cóż dziwnego, że w różnej ilości, ale tego zespołu zebranej gromadce, przy skromnej kolacyjce, schodziły wieczory, które często witał świt. I że, w maju, zrywało się od stołu i szło na słowiki do Łazienek. Była wiosna życia.

— Ładnie urządzeni? — pytał raz Gawalewicza ktoś. kto podziwiał odwagę Józefa, że mając tyle

danych do wyboru żony — „ożenił się jednak z osobą ani ładną, ani posażną”.

— Ładnie. A gdzie czego brak, to ona staje i rozmawia.

Brak tam było istotnie wielu, wielu rzeczy. Nie brakowało nigdy, u obojga, życiowej werwy, która zapełniła wszelkie braki, mam wrażenie — po brzegi. Zadania życia pojmowaliśmy poważnie, ale wesołość musiała opromieniać jego ścieżki. Z miejsca też postanowiliśmy żyć z sobą dobrze i pogodnie.

Myśl o żadnym rozwodzie nie mogła przyjść do głowy. Zastrzegłam to sobie zawczasu, mówiąc narzeczonemu:—Dużo dobrego, bo tak chcę, ale pewno i, mimo chęci, dużo złego czeka pana ode mnie. Na jedno niech pan nie liczy nigdy — na *rozwód*. A potem, niezgodne małżeństwo, już wtedy widocznie szwankujące na opinii, wydawało nam się rzeczą tak banalną i nieestetyczną, pomijając nawet wszelkie etyczne względy, że iść tym śladem nie chcieliśmy. I tak przeżyliśmy cudownie lat 44.

Nie idzie wcale za tem, żeby nie bywało między nami burz!

Jeszcze jakie! Czasem kończyło się na głuchych pomrukach, niby oddalonych zapowiedziach nawałnicy. Ale często mijały się błyskawice z piorunami, które, na szczęście, żadnego z nas nie zabijały. Ja nie byłam ani trochę histeryczką. A mój Mąż był dobroci niezrównanej, więc moje wybuchy gwałtownego temperamentu cichły szybko. Zawziętość nie leżała w naszych naturach. Nie lubiliśmy długich gniewów, nie cierpieliśmy zmartwień, dochodziło do

porozumienia dość łatwo, zwłaszcza, że humor był moim wielkim sprzymierzeńcem. Do końca dni nawet, często budząc się rano mówiłam:—Wiesz, Józeczku, taką mam ochotę śmiać się, tylko nie mam z czego...

Z całą też najgłębszą wdzięcznością serca muszę stwierdzić, że wielka dobroć mego męża, że jego szerokie na świat patrzenie, że natura jego, obrana doszczętnie z małości, że jego sprawiedliwość w sądach o ludziach, nawet o takich, od których doznał krzywd osobistych, tak mi imponowały, że dusza moja bywała przed nim rozklęknięta.

Plotki i obmowy nie istniały w naszym domu. Józef umiał tworzyć życie górne. Prowadził mnie zawsze myślą wzwyż.

Wspinałam się, co prawda, na palce, chcąc dosięgnąć jego umysłu. Ale jeśli nie umysłem, to instynktem wyczuwałam w nim to, co pielęgnować należało i, wedle sił, doglądałam ziaren, Bożą ręką w jego duszy złożonych, bacząc, żeby się nie marnowały z mej winy, z moich kaprysów czy chimery, w które, niestety, obfitowały moje zasoby duchowe.

Miałam jedną cnotę! Umiałam przepraszać, nie przyrzekając, co prawda, nigdy poprawy.

Tak tworzyło się nasze wspólne istnienie.

Macierzyństwo, ta najwyższa godność kobiety na ziemi, dająca jej największe rozkosze, ale i najcięższe bóle, jakie serce zmieścić może, sprawiło, że dwie trumienki małe były właśnie tym bólem, którego czas zaciera zewnętrzne oznaki, ale nad którym dusza jęczy wiekuiście.

Pamiętam, jak dzieckiem będąc, klęczałam za

matką i powtarzałam przy ofiarowaniu pacierza, głośno przez nią mówionego, prośbę do Boga: o przyjaźń ludzką. Została wysłuchana.

Dobrzy przyjaciele nie tylko w chwilach wesela byli z nami. Umieeli płakać z nami i nasze łzy uśmie-
rzać. Nie zapomnę nigdy tych licznych wieczorów, które nam, poza kochaną naszą rodziną, ofiarowy-
wał młody artysta malarz, Jan Owidzki, aby swą
rozmową odganiać rozpacz, jakiej mieliśmy pełne
serca.

Jego dowcip i humor czyniły go tak pożądanym
towarzysko, że mógł być codzień, gdzie wesoło.
Bywał u nas, z naszym smutkiem, żeby go rozpra-
szać. To się pamięta do końca dni.

*

Rodzice moi, których pamięć wciąż otaczam, da-
wno umarli. W domu rodziców męża odnalazłam na
nowo własnych. Matka, Teofila z Hermanowskich,
jeden z najpiękniejszych typów kobiecych, jakie zna-
łam, była też najrozumnniejszą teściową. Rzadko, ale
jeśli się zdarzyło, że jakiś spór zasadniczy wycho-
dził przed forum macierzyńskiego sądu, nigdy Jó-
zef nie miał racji — zawsze ja.

— Lucynka jest twoim najlepszym przyjacielem.
Ma rację, ufaj jej.

Można sobie wyobrazić, jak mnie to wbijało w am-
bicję, jak obowiązywało i jak przywiązywało do tej
drogiej Matki.

Toteż kochałyśmy się szczerze. Myśli nie mia-
łyśmy przed sobą skrytych, oprócz tych, które ma-

pewno miałyśmy skryte... Ale nawet te ujawnione, nie wszystkie, przyznaję, znajdowały jej uznanie, kiedy byliśmy sam na sam. Niektóre widocznie napełniały lękiem o szczęście syna umiłowanego. Bo w głowie mi się wówczas paliło,—równe prawa, praca zarobkowa, samodzielność, wszystko to budziło się i nie mieściło w dotychczasowych o życiu kobiety pojęciach. Ludzie, otaczający mnie, świat literacki i artystyczny, chłonał i podniecał moją wyobraźnię.

Ale kiedy zaczęłam przed tą drogą, dobrą i śliczną a siwiuteńką Matką, roztaczać różne myśli, które kłębiły się w młodej głowie, kiedy zaczęłam wygłaszać moje brawurowe poglądy, rozkładać talję, w której do tego musiał się czasem wplątać jakiś as kierowy czy walet pikowy, nie daj Boże, bo ten oznaczał zawsze bruneta, a kiedy jeszcze na przywitanie rzucałam Matce pod nogi połowę kwiatów, których zawsze dostawałam moc, to już staruszczenka tylko wzdychała i mówiła: „Boże, żebyś ty się już jaknajprędzej zestarzała i żeby tych kwiatów nie było”. A ja na pociechę zapewniałam:

— Matko droga, sto lat będę miała i będę dostawała kwiaty! — co się do dziś, dzięki Bogu sprawdza.

Mimo to, pisząc do mnie do Krakowa, a więc już po dziewięciu latach naszego pożycia, czytałam kochane a niezapomniane jej słowa, które, w tej chwili, leżą przede mną na pożółkłej kartce: „Moja droga i tak dla mnie dobra córko”.

Ojciec, jeden z ludzi dawnego autoramentu, człowiek światły, Marymontczyk, wymagający pełnienia

obowiązków od innych, najwięcej od siebie, prawy, szlachetny i głęboko wierzący, nazywał mnie: „Zawierucha”. Życie stwierdzało, że słusznie, ale mnie kochał i darzył ufnością w różnych rodzinnych sprawach.

Pisze do mnie list już do Krakowa i adresuje: „Moja najukochańsza synowa, lecz nie „Zawierucha”, przez bardzo pewnego posłańca”, przesyłając mi go — przez Józefa. Znał już nasze niezbyt miłe stosunki teatralne, więc mówi w liście: „W interesie waszym tylko cierpliwość, spokój i ufność w Boga zwycięży. Wątpię bardzo, żeby mogło być nadal dobrze — jeden tylko bigos odgrzewany jest coraz lepszy, harmonja zaś, choćby raz zerwana, nigdy nie wraca do równowagi. Sprawę waszą Bogu polecam i modłę się za Was”....

„Moja Lucynko — znów pisał, mając na myśli pewną poważnioną a bliską mu parę, — wpływaj na nią zwłaszcza, aby była głucha i ślepa, aby choć przyzwoitość między niemi zapanowała. Ona, niech los swój w ręce Boga złoży. Radź, niech nie wierzy, co ludzie mówią i co napewno przesadzają, niech weźmie za przykład panią NN, Józef ją zna, która, w parę tygodni po ślubie, zastała męża w garderobie, w zażyłym stosunku z panną służącą. Kiedy zaczęła mu robić scenę z płaczem, powiedział jej: „Moja Julciu, jeżeli ci o takie bagatele chodzi, to między nami nigdy nie będzie zgody”, i żyli potem do samej śmierci pogodnie i harmonijnie”.

Ojciec, wogóle, nie był skłonny do wynurzeń, toteż

ceńłam ten dowód zaufania, z którym, w toku życia, jeszcze się nieraz spotkałam.

Dom Miłoszostwa Kotarbińskich był mi drogi. On, jeden z najbardziej zajmujących i najszlachetniejszych ludzi, jakich znałam. Ona piękna, dobra, utalentowana i miłująca nad życie Męża i dzieci. W siostrze Józefa, Teofili, miałam przyjaciółkę, był to śliczny i prawy charakter. A mimo zewnętrznej wesołości, tyle się w tej biednej duszy nagromadziło melancholji, że przyspieszyła ona niezawodnie i fizyczne niedomogi, wskutek których przedwcześnie a ciężko było żegnać ją na wieki.

Od zacnego a przyjaznego nam p. Bolesława Lutomskiego, po Jej odejściu od nas, dostałam list z Karlsbadu, w którym pisze: „Znałem ją mało, lecz ceniłem bardzo. Otwartością, prawością, ale i smutkiem pociągała ku sobie. Miała wysokie poczucie obywatelskie i przelewała je w życie.

W rozmowie była nie tylko inteligentna i równa, ale jej dobre i czyste uczucia, oraz głęboka znajomość ludzi i spraw, czyniły tę rozmowę miłą, treściwą i rzewną. Niech jej pamięć zostanie między nami, dusza zaś należy z pewnością do Boga i nieśmiertelności”.

*

Wszystko, i wesołe i smutne, składało się na to, że kielkująca myśl wyjazdu do Krakowa, co Józefowi zaproponował p. Tadeusz Pawlikowski, jako narzeczony Idalki, mający wszelkie szanse objęcia nowe-

go Teatru Krakowskiego, nie nęciła mnie. Miałam tu dom, nad wszystko kochany, uśmiech żywych i łzy nad mogiłami umarłych. Przyjaciół, którzy mnie lubili z mojami wadami i niedostatkami. Miałam pracę. Rodzinę moją i naszą kochaną, w której mi było ciepło i nad wyraz dobrze. Miałam służącą — przyjaciółkę, co też należało do ułatwienia domowego życia. A potem te różne „asy”, ci „waleci”, co jednak składało się na urozmaicenie towarzyskie, także coś znaczyło. Tam trzeba będzie wszystko odnowa zaczynać. Józef był w Warszawie lubiany i szanowany, i jako literat i jako artysta, w pełni powodzenia i oklasków.

Ale stosunki na scenie warszawskiej były coraz przykrzejsze. Zdarzyła się np. raz taka historia: Prezes Palicyn powiada do Józefa, podczas konferencji repertuarowej:

— Chcę sprowadzić dwoje artystów znamienitych ze sceny petersburskiej. Zajmie się pan obsadzeniem sztuk przez naszych aktorów, którzy z nimi będą grali.

— Żle, myśli Józef, i próbuje wybiegu.

— Czy to nie będzie, panie prezesie, zachwianiem opinii o naszych aktorach, wśród których mamy także niepospolitych artystów, i o Teatrze Rozmaitości, który ma dotąd doskonałą opinię.

— To nam nic nie zaszkodzi. Artyści z Petersburga przyjechać muszą.

— Tak, panie prezesie, ale nasi artyści nie posiadają w tym stopniu języka rosyjskiego, aby nim władać mogli na scenie, a są i tacy z pod pruskiego

i austriackiego zaboru, którzy go zupełnie nie znają.

— Tak ja was uczył' stanul — podniosłym głosem, uderzając pięścią w stół, zawołał rozsierdzony generał, prowadząc dalszą rozmowę po rosyjsku.

Ale kiedy w odpowiedzi usłyszał Józefa język rosyjski, roześmiał się i powiedział:

— Mów pan po polsku.

Artyści z Petersburga — nie przyjechali. Prezes nie uczył po rosyjsku. Jednak to, wszystko razem, nie było miłą zapowiedzią dalszych stosunków.

Repertuar coraz się bardziej zamykać poczynął, zwłaszcza po wyjeździe Heleny Modrzejowskiej i opuszczeniu sceny przez Marję Derynżankę, w ramach mieszczańskiej komedji i farsy. O wielkiej poezji nie było co myśleć, pod kierownictwem sceny polskiej przez generałów i pułkowników rosyjskich. Nęciło Józefa szersze pole działania w jego zawodzie. Ja miałam lat 34, Józef 44, życie przed nami, więc zapytana przez męża:—Czy pojedziesz?—Pojadę—odpowiedziałam — i dziewięć lat przeżytego razem życia zostawialiśmy za sobą.

Jechaliśmy we troje, bo i młodego brata naszego, Eustachego, angażował Pawlikowski do administracji. Tadeusz był już naszym szwagrem, ożeniony z Idalką Kotarbińską. Rozmowy z Józefem o Szekspirze i Ibsenie, Björnsonie, Hauptmanie, literaturze skandynawskiej i francuskiej, ulubionych przez Pawlikowskiego, o teatrze i aktorach wogóle, w szczególności o najbliższych ewentualnych planach, trwały bez końca.

Mówił nam wiele pięknych frazesów. Na fotografiach były prośby „o dostęp do najśodszych serc“, którego mu nikt nie odmawiał. Przyszedł dzień wyjazdu, byliśmy wszyscy żegnani łzami rodziców a cukierkami i kwiatami przyjaciół. Wyjeżdżaliśmy z Warszawy w połowie 1893 r. Oczywiście, ja, na granicy, chcąc przewieźć cukierki bez cła, zapomniałam o kufrach. Nie poszłam do rewizji, bo zajęta byłam ocaleniem tuzinów pudełek ze słodyczami, i w Krakowie dopiero spostrzegłam, że kufrów niema. Robi się awantura. Józef się złości, ja się bronię, choć wiem, że sprawa zła. Przegrywam. Milknę. Ale zamęt, którego, zresztą, często w życiu bywałam przyczyną, trwa. Klucze są u mnie. Zaczyna się wymiana depesz. Bezskuteczna. Dopiero wdanie się któregoś z matadorów celnych, dzięki stosunkom pp. Mieczów Pawlikowskich, rozjaśnia horyzont. Ubawiła się tem jedynie p. Pawlikowska Matka, świadek tych tarapałów, bo do ich domu byliśmy zaproszeni i gościnnie przyjmowani, zanim znaleźliśmy własne mieszkanie.

Kufry przychodzą, a w nich szaty na otwarcie Teatru Krakowskiego.

W imię Boże, zaczynamy nowy etap życia.

NASZ DOM W KRAKOWIE

1893 — 1899.

Mieszkanko ładne, na trzecim piętrze. Obszerne, z pięknym balkonem na ogrody Jezuickie i otwarty horyzont, hen daleki, aż ku granicy Królestwa.

Ileż razy łzawiły się oczy Sewera Maciejowskiego, a zasępiało oblicze Asnyka, kiedy do tej granicy, z naszego balkonu, kierowali spojrzenia. Nie wolno im było od powstania 63 r. jej przekroczyć.

Więc mieszkanko było ładne. Ale, choć wiozłam z Warszawy liczne paki, nie wiozłam mebli, bo ich właściwie tam nie było, przynajmniej wartych przewozu. Zabrałam tylko pokój sypialny, pościel, porcelanę, rondle, dywany i książki.

Mieszkać jednak jakoś trzeba. Co tu robić? Na tak zwane „urządzenie się” niema narazie zasobów. A potem, co to za dom, który się urządza gotową pomocą tapicera. Trzeba się rozejrzeć, namyśleć, poczekać. Więc po rozum do głowy. I, na razie, z opróżnionych pak różnej wielkości, zapasowych materaców i dywanów, których mieliśmy dość duży zasób, tak wystroiłam parę pokoi, dodając dużo roślin i kwiatów, że, kto wszedł, to mówił: „Jak tu u was ładnie”.

Dla mnie było ślicznie, najpierw dlatego, że zawsze mi się mój dom lepiej podobał od wszystkich innych, a potem dlatego, że istotnie było u nas tak, jak u nikogo.

Tylko wiewiórka, ulubienica Józefa, żyjąca na wolności, mimo wielkiej klatki, gryzła niemiłosiernie perskie kilimy, co także pewnie u nikogo nie mogło być w tym stopniu tolerowane i przyjmowane z takim zachwytem, jak było przez mego męża. A jeź, mój znowu faworyt, wypędzany raz wraz z krzykiem, rozdzierającym uszy, przez kucharkę, pod której spódnicę się zakradał, robił moc nieporządku rozrzucaniem papierów, ściąganych z półki bibliotecznej. Szelest ten przypominał mu widocznie szum zwiędłych liści w lesie. Żył złudzeniami i padł ich ofiarą. Bo, zwabiony znów zapachem terpentyny w zaprawie do podłóg, wsunął kiedyś w puszkę łeppek i... zginał.

*

Gości zawsze lubiałam prawie tak, jak spacerować i wycieczki zamiejskie, więc zaczął się u nas z miejsca ten miły dla mnie szum towarzyski, który jednak, w tym samym stopniu, nie zachwycał mego męża. Zawsze miał pracę umysłową, dla której cisza i spokój są niezbędnymi warunkami. Tymczasem... tego ze mną nie miał. Ale wybacał mi, bo życie było pogodne. Stosunek z szanownym domem pp. Mieczów Pawlikowskich „na Kleparzu” poza to, że był serdeczny, od razu niejako klasyfikował tych przyby-

szów — aktorów, z którymi, dlatego właśnie, mieszczkańskie towarzystwo nie wiedziało, co począć, jak się względem nich zachować, i z którym też nigdy nie przyszło do bliskich sojuszków.

Z Sewerami Maciejowskimi i Asnykiem, którzy Józefa już znali i jako artystę i literata, szybko znajomość zamieniła się na przyjaźń, jak dalej się okazuje, dozgonną.

Józef z zapałem zabrał się do pracy. „Złota Czaszka”, pod jego reżyserją, z Solskim i Tarasiewiczem, zrobiła wielkie wrażenie. Józef mówił parabolę. Jego postawa, uroda, głos, jak dzwon, to coś, ten jakiś majestat, jaki wnosi ze sobą aktor-artysta na scenę, zdobyły publiczność, która hucznymi oklaskami dała temu wyraz. Początek był piękny.

A dyrektor?

O Ryczywole—zamilczeć wolę. Umarł. Niech mu ziemia będzie lekka. Choć ta, po której stapał mój mąż w pracy przy nim, była ciężka. Stosunek ułożył się tak, że był pan dyrektor, i płatny pracownik: Józef Kotarbiński. Dopóki była ta praca — to jeszcze pół biedy, ale najgorsze to, że po roku — był niemal zupełnie od niej usunięty. Dlaczego, co i jak, pomijam. Nie piszę o Pawlikowskim — piszę o Kotarbińskim.

Jaki był ten Józef Kotarbiński?

Chłopiec młody, szesnastoletni, dziecko prawie, przez matkę przygotowany, w swoim czasie, do drugiej klasy, na samodzielną drogę wyruszając do Warszawy, dostał od ojca, pracującego na wsi, 5 rb., i to był cały kapitał zakładowy na interes, któremu na

imię: życie. Więc korepetycje, dobrze i mniej dobrze płatne. Wypłacane i niezupełnie wypłacane. A potem, już w Szkole Głównej, korepetycje z obiadami i męką przymusu przy paradnym stole ludzi bogatych, którzy tem warunkowali nieźle płatne godziny zajęć. Potem, rozkosz oswobodzenia się z krępujących obowiązków i samodzielne obiady, po 30 gr. na „Dziekance“, o których opowiadał mi z zachwytem.

A zawsze umiłowanie nauki i poezji, której w nim nigdy nie zgłuszyło życie. Potem, miłość dla sceny. Kocha ją, nie tylko wtedy, kiedy jako młodzieńczy „Zbigniew“, niezrównany „Uriel“, doskonały „Esseks“, „Hamlet“, „Faust“, zbierał miody swego zawodu, nie wtedy, kiedy ta scena jemu samemu uśmiechy niesie. Ale kocha ją i wtedy, kiedy stąpa na niej po cierniach. Kocha wtedy, kiedy na jej deskach pojawia się nowy talent aktorski, a on patrzy na niego bez zawści. A może najbardziej wtedy, kiedy żywe słowo zwiastuje narodziny nowego dzielnego pracownika dla sceny polskiej.

Kocha twórczość. Każdy jej nowy przybłysk — to nowy dorobek w skarbnicy naszej kultury. Rozwój jej śledzi. Z młodzieńczym zapałem, do końca dni, niby jastrząb na gołębia, rzuca się na nową, powierzoną mu przez autora do czytania sztukę. I zaczytując wieczorem, nie rozstaje się z nią, póki nie skończy ostatniej litery, choćby do rana.

Naogół, Józef był człowiekiem samotnym. Otoczone sympatją dokoła — przyjaciela nie miał.

Ja zawsze mu robiłam o to wymówki. Bo, żebyś

miał przyjaciela — mówiłam, bywałby codzień, kochałby się we mnie napewno. Broniłby mnie zawsze, kiedy nie miałabym racji. Cierpiał nade mną wtedy, kiedy byłabym najmniej współczucia godna, to znaczy, jakbym miała o coś pretensje do ciebie. Załatwiałby mi miljon drobnych spraw, co bardzo przydatne. A tak co? Nikt się we mnie nie kocha. Nikt nade mną nie cierpi. Nikt moich kaprysów nie uważa za ewangelję i nikt mi nic nie załatwia. Żart na stronę, było bez tego przyjaciela dobrze. Bo, jedyną osobą, przed którą otworzyła się czasem ta dusza cicha i samotna, wymknęło się z niej jakieś poufne słowo, to byłam właśnie ja, z dumą mówię, jedyna ja. To jest jednak przemile uczucie.

Zamykało się wtedy szczelnie drzwi od sypialnego pokoju, choć zwykle bywały otwarte, a nikogo prócz nas dwojga w domu nie było, i przyciszonym głosem odbierałam zwierzenia:

— Wiesz, zawiodłem się na tym człowieku, bo... I tu wyłuszczał sprawę, mając zawsze słuszność.

Naogół, nigdy prawie nikogo w ryczałt nie potępiał. Wnikał w duszy tajniki i tłumaczył, uwzględniał ludzkie ułomności. Patrzył na sprawy ludzi i świata nakazami myśli filozoficznej. A kategoryczny imperatyw jego duszy nastrojony był zawsze pogodnie i dobrotliwie względem każdego żywego istnienia na ziemi. Ratował od śmierci muchę, nie zabijał człowieka.

Oślawione roztargnienie Józefa nie przeszkadzało do doskonałych często spostrzeżeń, których nie robili inni. Widział bardzo często więcej, aniżeli się ko-

mukolwiek zdawało. I widział trafnie. Miał swój świat w sobie, snać dobrze mu w nim było, bo nie tracił nigdy pogody ducha. Ale miewał też swoje tęsknoty i zadumy. Widocznie, w jednym z takich momentów, zakreślił w „Sonetach nad głębiami” Asnyka, które stawiał na jednym ze szczytów naszej poezji, wraz z „Prometeuszem” Konopnickiej i „Na wzgórzu śmierci” Kasprowicza, między innymi i to, że:

„Wszystko, co świeci w ludzkich cacek kramie,
Co przypadkowe, ułomne i liche,
Co nosi zachceń osobistych znamię,
Choć się przystraja w odrębności pychę,
Wraz z swą skorupą w prochy się rozłamie,
Na dno przepaści opadając ciche”.

Towarzystwa swego nie narzuca nikomu, i niczyjego nie szuka. Znalazłszy się w niem, ujmuje prostotą, humorem, pogodą, werwą. W dysputach wzbudza szacunek i wiarę przekonaniem i wielostronnością wiadomości, oraz żywym zawsze interesem do wszystkiego, co wiedza niesie umysłom. Pyta i słucha uważnie. Wymaga posłuchu od innych, kiedy mówi.

Lubi kobiety, szczególnie lubi panny. Gdziekolwiek jest na balu czy w salonie prywatnym, jest, jak w gołębniku. Otacza go młodość, z którą zawsze ma niewyczerpane tematy do omówienia. Dla ludzi naogół ma życzliwość. Chętny do pomocy im w każdym wypadku. Nie odmawia nigdy próśb o występy na cele publiczne. Jeździ po całym kraju z koncertami.

Szafuje swym talentem, zwłaszcza tam, gdzie chodzi o zasiłki dla uczącej się młodzieży. Czyni to zawsze bezinteresownie. Wstęgi z napisami: Toruń, Wilno, Poznań, Berlin, Kijów, Cieszyn, Mińsk, nie wyliczając dziesiątków i dziesiątków miast prowincjonalnych, we wszystkich trzech byłych zaborach, świadczą o prawdzie moich słów a jego czynach.

W roku 1896 i 97 bywa w Cieszynie, na zaproszenia „akademików polskich na Śląsku”. Odbiera podziękowania za to, że „w niejednym sercu, dotąd obojętnem, obudził ochotę i zamiłowanie do czytania dzieł poetów i pisarzy polskich, co w naszych stosunkach najważniejsze”... jak mówi czcigodny pastor Michejda, nieustrudzony siewca polskości na Śląsku.

Jedzie do Jabłonkowa na Śląsku i Skoczowa, gdzie naprzemian z „mistrzem kunsztu kuglarskiego”, wzbudza, jak mi opowiadał, a rzadko coś o sobie mówił, popularnym repertuarem, niebywały entuzjazm. Cieszy się z audytorjum, składającego się z ludu. Nie ma ani fanaberji, ani kaprysów. Toteż listy dziękczynne są pełne uwielbienia i podziwu dla jego bezmiernej prostoty i tej hojności, nie żałującej sił i nie szczędzącej pracy.

Dzieje mu się też krzywda, nigdy i niczem niepowetowana, że w pełni sił nie może ze swej pracy zawodowej przez długich lat cztery z okładem czerpać radości i rozwijać talentu na scenie krakowskiej. Ale nie może go to unicestwić, bo na to Kotarbiński ma za dużo zasobów duchowych. Umie piołunowe czary odsuwać z grecką pogodą i spokojem. Nie sto-

sunkami pośredniemi, nie czyjaś protekcją czy łaskawością zdobywał Józef Kotarbiński swe stanowisko w Krakowie. Zdobywał je temi wartościami, które ludzi zniewalają i zawsze do ludzi przemówią, w Warszawie czy w Krakowie, w każdym zakątku świata, bodaj na antypodach.

Skromny często do przesady, nie narzuca nigdy nikomu swego zdania. Umie jednak stanowczo postawić swe credo, gdy tego zachodzi potrzeba.

Szedł przez życie sam i luzem, ale zawsze z myślą o gromadzie i górnice.

Ze spokojem i równowagą, jaką daje poczucie spełnionych obowiązków, z pogodą ducha i wiarą, że żadna praca, biorąca źródło w czystym poczęciu, nie ginie marnie.

Toteż Józef Kotarbiński rzetelnie pracował i rósł.

*

Stosunki nasze układały się żywo. Koło znajomych powiększało się szybko.

Pojedynczy ludzie, przedstawiani nam na balach, rautach, na które bywaliśmy zapraszani, składali nam wizyty, które się prawie zawsze utrwały, domy rodzinne gościnnie otwierały nam swe podwoje.

Muszę tu nawiasem dodać, że, po uciszeniu pierwszej tęsknoty po Warszawie i oprzytomnieniu z nowych wrażeń w Krakowie, powiedziałam sobie, że trzeba się wziąć do jakiejś roboty. Martwić się — to operować w próżni. Zresztą do utrzymania domu trzeba pracy dwojga, w Warszawie zarabiałam, dla czego nie miałabym zarabiać i tutaj. Tem więcej,

że Józef przyjął mniejsze warunki, aniżeli te, jakie miał dotąd, a trybu życia nie chcieliśmy zmieniać.

Nie mogę powiedzieć, żebym umiała rysować, ale rysunek czułam. Byłam pięć lat uczennicą ukochanego mistrza, Wojciecha Gersona, któremu zawdzięczałam wiele szczęścia w życiu. On mnie nauczył patrzeć, widzieć i szukać piękna w naturze i to nie koniecznie nad Atlantykiem lub na Himalajach, ale na miedzy, w szczerem polu, na byle ścieżce, wszędzie dokoła, byle patrzeć i czuć. Toteż jedną z najbardziej bezpośrednich rozkoszy dawała mi przez całe życie natura i bratanie się z nią w pieszych wycieczkach, a jedną z największych przyjemności — zachwyt dla linii.

Więc coś z tem zrobić trzeba, jakoś to wyzyskać. Pojechałam tedy do Berlina. I tam w pracowni p. Käthe Ney, nauczyłam się różnych sztuczek technicznych, a więc: wypalania na drzewie, wytłaczania na skórze, malowania na gazie i materjach. A po sześciu tygodniach rzetelnej pracy, nieraz do późna w nocy, na najwyższym pięterku Friedrichshofu, spotkała mnie propozycja zostania w szkole, jako pracownica i kierowniczką, z płacą stu marek tygodniowo i połowicznym utrzymaniem, co napełniło dumą moją polskość — ale, wróciłam do Krakowa.

Wróciłam i... popełniłam, jak sobie dziś z tego sprawę zdaję, największy grzech mego żywota: założyłam „Szkolę sztuki stosowanej”.

W pięć lat potem ukarał mnie też srodze za to p. Jerzy Warchałowski, będący jednym z twórców „Towarzystwa polskiej sztuki stosowanej w Krakowie”

wraz z p. Edwardem Trojanowskim: nie poprosił mnie nawet na pierwsze ogólne zebranie, prosząc tyle, tyle osób. I słusznie uczynił, bo przecież on właśnie, on jeden nie mógł mi darować i wybaczyć tego przewinienia, co zresztą nie ujęło mi sympatji ani szacunku dla jego wytrwałej pracy, ale musiało mnie to wtedy pod siódme żebro ugodzić, skoro po latach przeszło 30-tu jeszcze to pamiętam. Nigdy nie powiedziałam mu tego, spotykając się z nim zawsze tam, gdzie była wystawa rodzimej sztuki stosowanej i tego, co się z nią wiąże, aż do ostatniego ślicznego „Wesela na Kurpiach“, tak świetnie nam podanego pod reżyserją p. Skarżyńskiego, w Warszawie.

W mojej szkole, rysunku uczył p. Barabasz, profesor gimnazjalny. Ja, pilnowałam technicznej strony wykonania robót. Uczennic, z miejsca, miałam dużo. Największy pokój w mieszkaniu obrócony był na pracownię.

Miałam trzy komplety, jak przystało na stosunki krakowskie. A więc: uczennice tak zwane „z miasta“, kurs dla nauczycielek ludowych i kurs dla panien z arystokracji.

Od rana do nocy byłam zajęta. Lekcje trwały od 9 do 3-ej. Obiad, a potem wykonywanie zamówień, którym nadążyć nie mogłam.

Oczywiście, właśnie z powodu tej szkoły, poznałam dużo ludzi z różnych sfer. Zamówienia otrzymywałam na teki, z drzewa wypalane lub ze skóry wytłaczane, na stoliki półki, szkatułki i t. p. Właśnie z powodu tej pracy, zaglądały do nas panie z arystokracji, interesujące się moją robotą. Poznałam

panią Stanisławową hr. Tarnowską, bo państwo Tarnowscy z zasady bywali tam, gdzie się coś robiło z jakąś myślą ogólniejszą. I pani Tarnowska z pannami, córką swą Elżbietą, później hr. Esterhazową, Szembekówną, później hr. Mycielską, Mężyńską, później hr. Żółtowską, przychodziła parę razy w tygodniu na lekcje. Zamówiła też u mnie szafę rozmiarów gdańskiej, zdobną kwiatami, jak idą od wiosny do jesieni. Była ta szafa na jaworowem drzewie wypalana, zabarwiona akwarelą i pociągnięta lekko politurą, co tonowało barwy i tworzyło całość harmonijną. P. Andrzejowa hr. Potocka poleciła mi zrobić mnóstwo drobiazgów, tek, pudełek do papierów, pudełeczek do marek, do gościnnych pokoi na biurka w Krzeszowicach. Wszystko barwne z jaworowego lub gruszkowego drzewa, wypalane i malowane. Na niektórych przedmiotach stosowałam mełwy, które w Krzeszowicach, pięknej rezydencji hr. Potockich, szkicowałam. P. Ludwik Michałowski, esteta i znawca sztuki, dał mi zamówienie na oprawę ze skóry do książek, w której zapisywali swe imiona bywający w jego domu goście niedzielni, gdzie bywał i mój mąż (panie zapraszał osobno). W wyborze ornamentu nie szczędzili mi nigdy rady swej artyści malarze: Piotr Stachiewicz, Włodzimierz Tetmajer, Leon Wyczółkowski, w którego pracowni uczyłam się modelowania w glinie.

A po zamówieniach takich tuzów już weszłam w modę. Po dwu latach pracy zrobiłam wystawę prac moich uczenic. Pełno ludzi było na niej od rana do zmierzchu.

A kiedy jednocześnie któryś zakład naukowy żeński, przy zamknięciu roku szkolnego, urządził pokaz prac uczenic i poszłam je obejrzeć, usłyszałam, niechający, obok siebie, rozmowę mnie dotyczącą:

— Moja pani, a była też pani na tej Radziwiłłowskiej, niech pani idzie, były tam nasze, mówią, że ona bardzo grzeczna i nawet się nie pudruje. Ona też to, moja pani, podobno szlachcianka i zrobiła ofiarę, że poszła za aktora.

Z najmilszym uśmiechem, na jaki się zdobyć mogłam, sprostowałam omyłkę, zapewniając, że wyszłam z własnej i nieprzymuszonej woli za aktora, i to szlachcica, i że bardzo proszę obie panie na wystawę. Sympatja nawiązana nie zawiodła. Nazajutrz, obie panie oprowadzałam po wystawie i pokazywałam każdy zakamarek naszego domu, co niezmiernie mile było przyjmowane, bo pewno to było spełnienie ich najskrytszych chęci, a ja myślałam: niech użyją—tem więcej, że nietylko nigdzie nie zauważyły śladu pudru, ale nawet nie zobaczyły luster, których zawsze unikałam, żeby mi nie odbierały odwagi do życia. Te, które są, do dziś zawsze stoją twarzą do światła. Rysuje się w nich moja sylwetka, jaką, wierna tradycji, staram się jako tako utrzymać; twarzy, która nigdy nie była źródłem mej radości, nie widzę, włosów nie farbuję, zmarszczek nie liczę, żyję w równowadze.

Dzięki zaś feljetonowi: „Z królestwa Nitki“, do czego temat dała mi Łódź, gdzie byłam z mężem na jego gościnnych występach, a za który dostałam pierwszą nagrodę na konkursie „Czasu“, i drugiego

z opisem przedstawienia pasyjnego, jakie oglądaliśmy z zachwytem w Horzycach, mieliśmy zaszczyt przyjąć w naszym domu czcigodną matronę p. Adamową hr. Potocką. Przyszła na trzecie piętro, a wszedłszy, powiedziała, zawsze najśodsze dla mnie słowa pochwały dla domu:

— Jak tu u was ładnie, jak na jakimś obrazie.

Od tej zwłaszcza wizyty przestałam być w oczach miasta „numerem“.

Natomiast, ku memu zdziwieniu, zaczęłam być „filantropką“, „osobą pracującą dla idei“, „osobą poświęcającą się“, wszyskiem, byle nie osobą, która pracuje i *zarabia*. Zarobkowej pracy, zwłaszcza osoby z inteligencji, jeszcze się wówczas wstydzili w Krakowie. A miałam bardzo zdolne uczennice i nie uczennice, które, malując bardzo ładnie, czasem piękne rzeczy, na wachlarzach, parawanach, szaszetach, prosiły mnie, żebym je sprzedawała „za swoje“, bo im tego robić „nie wypada“.

Ja szłam z otwartą przyłbicą. I tylko dlatego byłam z mężem zapraszana i do pp. Stanisławostwa hr. Tarnowskich na Szlak, którzy u nas byli oboje, i przez pp. Andrzejostwa hr. Potockich „Pod Barany“. Pani Róża hr. Raczyńska, jedna z najrozumniejszych kobiet, jakie znaliśmy, zechciała łaskawie nas odwiedzić kilkakrotnie, może i dla tego także, że ojciec nasz przez pół wieku opiekował się ich hrabiowskimi majątkami, ale nam majątku nie zostawił.

Rada była, jeśli spotkała którą z artystek na terenie naszego domu, nie mając do tego innej sposobności. Spełniając jej życzenie, zaprosiłam kiedyś jedno-

cześnie z nią na południową herbatkę pp. Gabriellę Zapolską i Jadwigę Mrozowską, obie bardzo zajmujące indywidualności.

A jeżeli wymieniam tu czołowej arystokracji nazwiska, pisząc o naszym domu w Krakowie, to przecież nie dla popisu, bo to były chwilowe stosunki, nie poparte żadną zażyłością. Wymieniam je dlatego, że moc domów w Krakowie, marząc całe życie o takich zaproszeniach, nie otrzymała ich nigdy, a potem i dlatego, że zdobywając je bez szczególnego na nie polowania, wywołaliśmy animozje — niczem nie zasłużone, które chciały się dać we znaki i mogły komuś — ale nie nam, którzy zbywaliśmy takie rzeczy łagodnie.

— Bo dlaczego, moja pani, ich zapraszają?

— Skąd im, moja pani, pod Barany?

Zaniepokojonych przyczynami zaproszenia uspokoiłby niezawodnie list, jaki otrzymałam, na przykład, od p. Andrzejowej hr. Potockiej, gdyby go znali. Treść jego była następująca: „Łaskawa pani! Dziękuję bardzo za ładniutkie rzeczy do gościnnych pokoi i proszę o przysłanie mi rachunku za nie. Czy szafeczek dziecinnych pani nie malowała? Jeżeli tak, to gdziebym je zobaczyć mogła?

Najuprzejmniejsze załączam ukłony

K. Potocka.”

Dokument, który stwierdza jasno i ładnie postawiony stosunek. Pani Potocka dawała mi zarobek, ja byłam rada, że pracę mogłam spieniężyć. A że przy

tem mnie zaprosiła do swego domu, to już był czysty dorobek — ale moralny.

Nas cieszyło i robiło nam wielką przyjemność, żeśmy tam bywali.

Wchodząc, uważałam wprawdzie, że antenaty ze starych portretów jakimś podejrzliwym wzrokiem obrzucają mój krótki, nieforemny nos, ale cóż? „Zmieniają się czasy i na te komnaty nadszedł dopust Boży” — pewno sobie myśla.

Więc z pogodą patrzymy na śliczne apartamenty, stare meble, piękne obrazy, zastawy stołu i srebra. Cudne często kobiety — damy, — te hodowle specjalne, które bywają, doprawdy, jak najpiękniejsze cieplarniane kwiaty. Piękne biżuterje przedziwnej roboty, jakiejby się Benvenuto Cellini pewno nie powstydział, a może nawet jego własnej roboty, krzyż srebrny, oksydowany latami, rubinami sadzony, na pierśsiach jednej z matron. Koronki, jak w muzealnych gablotach Brugges. A przytem, często bardzo brzydkie i nawet nieświeże suknie, co nie przeszkadzało naszyjnikowi z pereł albo szmaragdów błyszczeć i zachwycać cudnemi barwami. Wracaliśmy na nasze trzecie pięterko zadowoleni, bo zawsze znalazło się, na tych salonach, parę osób bliżej znajomych, coś nowego się zobaczyło, i żadna pycha z tego powodu nas się nie miała.

Nie mieliśmy w tem żadnego interesu i nic na tem nie budowaliśmy.

Po onej wystawie i przychylnych sprawozdaniach w pismach, Wydział Krajowy obdarzył mnie 800 ko-

ronami subwencji, o co nie prosiłam, a co mnie uszczęśliwiło. Spotkało mnie to niezawodnie, na mocy opinii o mojej pracy, danej do wydziału Krajowego przez delegata Namiestnictwa, p. T. Laskowskiego, kulturalnego, miłego i bardzo dobrego człowieka.

Zaraz też kostjum z płaszczem na drogę, czarną jedwabną sukienkę do ręcznej walizki i w świat. Jednego lata zwiedziłam muzea i wystawy sztuki stosowanej w Berlinie, Lipsku, Monachjum, Wrocławiu, Norymberdze, Brukseli, osiadając na sześć tygodni w Paryżu, skąd pisałam do męża: „Wszystko, co widziałam, zwłaszcza w Niemczech, zdawało mi się, że mogą zrobić i w Polsce, może nawet z większym smakiem, byle chcieli. Ale jak poszłam na wystawę „Szkoly dekoracyjnej” na Champs Elysés, to, wyszedłszy, tak byłam przybita, że choć się rzucić do Sekwany. Istne cuda”.

W Paryżu mieszkała moja siostra, Helena Egerowa, także dla specjalnej nauki. Dostawała pokój od p. dr. Dłuskiej, przy jej gabinecie przyjąć (Cabinet de Consultations) na ulicy Chataudin, i dla mnie, za uprzejmem zezwoleniem dobrej dla nas zawsze właścicielki, znalazł się tam kącik.

Niebawem, po występach gościnnych i z groszem na nich zarobionym, przyjechał mój mąż, i zaczęło się z nim razem pracowite życie, zwiedzania muzeów i skarbów, nagromadzonych w tej cudnej stolicy świata, w której pełnym haustem piliśmy rozkosze starej kultury.

I tak, zanim Józef został dyrektorem teatru, już

mieliśmy w Krakowie to stanowisko moralne, które mogło tworzyć doskonałe życie.

Niestety! „Lepiej kamienistą rolę orać, niż panicza polubić”, mówiła mi kiedyś śliczna młodyca, z którą zetknęłam się gdzieś het, na stepach Pobereża. Sądzę, że najgłębszą przyczyną nienormalnych stosunków teatralnych Józefa było właśnie to, że on był pracownik, traktujący życie, jako sprawę piękną, ale ważną, poważną i twardą, a los go sprzęgnął — z paniczem.

Świadomi przykrych często chwil, przeżywanych przez nas wówczas w Krakowie, — „czemu nie wyjeżdżacie?”, pytali rodzice.

A dokąd?

Będąc w Berlinie na nauce, dostałam zlecenie od męża, aby pójść do lecznicy odwiedzić pułkownika Karandiejewa, który był dyrektorem teatru w Warszawie i leczył się w jednym z sanatorjów berlińskich. Ponieważ już wtedy w Krakowie stosunki nie zapowiadały nic dobrego i nadal, miałam zasięgnąć języka w kwestji ewentualnych starań o powrót do Warszawy.

Bardzo wdzięczny za odwiedziny, żadnej nadziei nie robił mi chory, wychudzony, pożółkły, szkaradny pułkownik moskiewski

— Mąż pani ma moje osobiste sympatje i szacunek, ale on grał w „Kościuszcze” i innych patryjotycznych sztukach. Nie może być mowy o powrocie. C'est absolument impossible. Nie winował, parol, szto nie winował.

Minał rok. Szedł drugi. Warunki bytu w Krakowie układały się nam twardo, często boleśnie. Bywały chwile zda się, nie od zniesienia. Mury, choć piękne — jeszcze chłodne, stosunki z ludźmi jeszcze powierzchowne. Ale pamiętam taką chwilę.

Był maj. Niedziela po południu. Okna otwarte szeroko. Z balkonu u dołu rozścielała się zieleń jezuickiego ogrodu, po którym snuły się parami czarne sylwetki księży. Byłam w domu sama. Ciszy nie mąciło nic. Usiadłam przy biurku do pisania listów, przede mną wieża Marjacka stała w słońcu, zaróżowiona jak panienka. Nieco w bok — Wawel i metalowa tarcza zegara na zamkowej wieżycy, w której paliły się promienie słońca czerwienią, niby tętno wiecznie bijącego, młodego, żywego serca w starych murach...

W tej ciszy, z falą świeżych aromatów majowej przyrody, bujnie już rozkwitłej na Plantach, wpłynęły przez okno, z wysokiej ukoronowanej Marjacekiej wieżycy, dźwięki prastarego Hejnału.

Szła na mą duszę wielka jakaś rzewność.

Serce zabiło prędko a cichutko. Potem, zda się, zmiękło na chwilę w słodkim upojeniu.

Weszła doń miłość.

Już kochałam Kraków. Ojczyzna mi się rozszerzyła.

I zaraz lżej było żyć. Byle miłości dużo, to największe bóle się uśmierza, najcięższe troski zmniejszą. Już i mury zaczęły się rozgrzewać i do ludzi lgnąć się poczęło. Józef ratował się występami gościnne-

mi. Bywał w Łodzi, w Częstochowie, jeździł na koncerty. Pisał. W chwilach ciężkich podtrzymywała go moja wiara niezachwiana, że to się zmienić musi, że to minie. Humor wracał i.... osiadaliśmy coraz mocniej w siodle.

Z WYBORU SERCA.

Jakie mieliśmy stosunki?

Tylko takie, które płynęły z wzajemnej sympatii i wyboru serca, bez żadnych innych ubocznych względów. Nie było „muszę”, było tylko „chcę”. Przyjmowaliśmy w poniedziałki od 5-tej po południu. Koło 9-tej jedno towarzystwo się rozchodziło. O 10-ej na wieczorną herbatę przychodzili stale: pp. prof. Józef Rostafiński, Piotr Stachiewicz, — nierozłączni przyjaciele, i prof. Jerzy hr. Mycielski. Czasem Michał Tarasiewicz, czasem Adam Asnyk, czasem Włodzimierz Tetmajer, na zmianę.

Domy, z którymi łączyły nas serdeczne stosunki, to nie był jakiś żywioł napływowy, to byli zasiedzieli na gniazdach obywatele, ludzie, rodzinnymi węzłami wrośnięci głęboko w grunt krakowski.

Łączyły nas z nimi nie stanowiska materialne, tytuły, ustosunkowanie. Nie. Łączyła atmosfera intelektualna, wspólne upodobania, często miłowania. Głębsze cele istnienia, życia z ideałem.

*

Pp. Piotrostwo Stachiewiczowie, którzy, bywając w Warszawie, odwiedzali nas, serdecznie powitali

także w Krakowie. Gromadzili miłe koło znajomych, a przyjęcia u nich miały zawsze cechy uczt artystycznych. U nich też poznaliśmy wiele osób, z którymi później nawiązały się stosunki stałej znajomości, nawet przyjaźni.

Na tle ładnie urządzonego własnego domu, z tarasem wewnętrznym, oplecionym wonnem caprifolium, z szeregami paproci pod oknami w ogródku, z mnóstwem narcyzów, konwalij i róż, było dużo muzyki, śpiewu, kwiatów, wesołości, płynącej czyto, jak górskie potoki. Zda się, myśl każda widniała, jak każdy kamyk na dnie strumienia. A tu i owdzie — kotlinka — nie wiedzieć jak głęboka. To były właśnie uroki atmosfery. Pani domu piękna, z nieopisanym wdziękiem anielskości, dzieci ładne. Pan Piotr, słynny z gościnności, wybornego humoru i fantazji kawalerskiej. Często też na jego śliczny ogródek i taras wonny opadały różowe blaski wschodzącego słońca, zastając biesiadników wczorajszego wieczora w pełnym komplecie. Wtedy rodzi się pobudka: na kopiec! Towarzystwo jedzie, aby w rannych oparach, rozpraszanych słońca promieniami, podziwiać cudnie rysujące się mnogie wieżycy krakowskich kościołów i szerokie horyzonty, na których majaczej już faliste górskie podnóża.

Gospodarz umiał nas i siebie bawić, ale umiał pracować, jak mało kto. Toteż wczesne ranki na zabawie czasem tylko schodziły. Zawsze witały go w pracowni, gdzie oddawał cześć legendom o Matce Bożej i powiadał tęsknoty duszy-artysty.

Pp. Józefostwo Rostafińscy — inni. Dom uczonego. Żona także piękna, dobroci niebywałej. Chcąc męża tylko chceniem. Dzieci śliczne, po rodzicach, wypieszczone a karne, wybornie prowadzone przez matkę. Ciocia Hela Tomaszewska, siostra pani, choć samodzielna pracownica i sekretarka — dusza Kursów Baranieckiego, snująca się niby dobry duch po domu, w którym arbitralny głos pana profesora dominował nad wszystkim i wszystko rozstrzygał, ale głos kochany, więc bez protestu przez wszystkich też przyjmowany. Ja, czasem, śmielszej natury, oponować się odważałam.

— Tak być nie może, — mówił pan profesor. — bo...

— Bo właśnie pan profesor nie ma racji — prze-
rywałam — i tak być musi...

Następowała wtedy chwila ogólnej konsternacji, ale krótka, i szło wszystko dalej systematycznie, cicho. Poza tem, mieszkanie zawsze ładne, pełne obrazów i... książek, książek, książek bez liku.

Józef Rostafiński, przyrodnik, jeden z najświetniejszych umysłów, członek honorowy wszystkich niemal akademij europejskich, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego ani wagi naukowej, ani wielkich zasług na tem polu ocenić należycie pewno nie umiałam (Józef zato rozkoszował się jego rozumem i rozmową), chętnie przebywał z nami. Miałam wrażenie, że odpoczywa od pracy ścisłej przy naszych niepodległościowych rozmowach o sztuce, teatrze, malarstwie, literaturze, w których Asnyk trzymał prym. Po niedługim czasie znajomości i prześlicznych,

odbywanych w okolicach Krakowa, długich pieszych spacerach, zacieśniły się węzły naszej przyjaźni „aż do śmierci”. Organizowałam na jego prośbę zabawę kwiatową w parku Jordana, w której tylko kwiaty, cięte, wiązańki i rośliny, były kupowane, wygrywane, licytowane, i tylko same kwiaty. Zabawa dała doskonałe rezultaty, dzięki pięknym paniom w kioskach, które urodą walczyły z pięknością róż i zasiłały fundusze na pomoce naukowe kursów im. Baranieckiego, prowadzonych długie lata przez prof. Rościńskiego, o których wiedziały i do których się garnęły kobiety z całej Polski. Z tej daty mam jego piękną książkę p. t. „Świat i ludzie Algieru”. Leży przede mną i czytam ręką autora skreślone na niej słowa: „P. L. K. na pamiątkę zabawy, która 5 czerwca 1898 r., według Jej pomysłu, tak pięknie, po raz pierwszy, zakwitła w Krakowie”.

Całych lat dwadzieścia w Krakowie, a potem, choć los rozdzielił nas z tą drogą rodziną, nie przestaliśmy żyć razem. Korespondencja była ciągła, stała, nigdy z własnej woli nie przerywana. Czasem spory o politykę nie niebezpieczne, bo na odległość, zawsze najszczerza sympatja i zobopólne zainteresowanie o wszystko, o wszystkich.

Tymczasem dzieci rosną. One białe „koty”, bo miękkie, jak angory, owijały mi swe śliczne białe łapki koło szyi, zamieniają się w cudne kwiaty. Już są panny, Halusia i Justyneczka, które przysyłają mi karty z Krakowa. Jaś, ten mały Jaś — uczeń, już młodziemiec. Już się żeni. Już jestem „babcią z lewej ręki”, takie wynaleźliśmy sobie powinowac-

two moje z ich dziećmi. Wojna, Panny idą do szpitala czuwać nad polskim żołnierzem. Są ich pociechą i ukojeniem. Korespondencja się przerywa. Niepokoje wzajemne rosną.

Jesteśmy wolni!

Ja, zawsze bez zastrzeżeń szczęśliwa i radosna. Męty opadną. Błędy się naprawi. Grzechy zdrowa siła zmoże. Genjusz narodu da wszystkiemu radę i zwycięży. Tylko nie narzekajmy, nie martwmy się, a pracujmy.

— Jesteś zawsze z Różowińskich Bielidłowska! — pisze mi profesor.

— Jestem, ale to jest moja wewnętrzna prawda.

Wojna się ucisza, panny wychodzą za mąż. Jest p. Włodzimierzowa Choynowska i p. Zbigniewowa Służewska.

„W Krakowie — pisze mi Rostafiński, z dn. 21.I 1923 r. — w czwartek, odbył się cichuteńko w moim mieszkaniu mój 50-letni jubileusz. Towarzystwo polskich przyrodników im. Kopernika we Lwowie ofiarowało mi tom, z 38-miu pracami botaników polskich, z moim portretem, z piękną dedykacją, w pysznej oprawie. Od Akademii przemawiał Kazimierz Morawski. Potem w 10 osób zasiedliśmy do doskonałego śniadania ze starem winem. Nie było w przemówieniach żadnej przesady. Każde zawierało kilka zdań. Z moją odpowiedzią zajęło to kwadrans. Przy kawie wyszła żona i Justyna, Jaś nie był, bo tylko co wrócił z Anglii, i obowiązki dziekana Szkoły Głównej Rolniczej

w Warszawie nie dały mu wyjechać. Halusia w Warszawie, karmi Jolantę. Was było mi brak. Zasłużyć sobie na taki tom, to dobrze robi”.

*

1.II. 1924 r. pisze: „Cieszę się, że Józef świetnie przemówił, bo to przecież jedna z naszych chwał ze Szkoły Głównej. Tylko podziwiam, że ma tyle wigoru do mierzenia pięt. Czyżbym mógł być jeszcze zaproszony na ojca chrzestnego? Piszcie!”

A potem: „Obyśmy mogli patrzeć spokojniej w przyszłość kraju”.

A potem kiedyś: „Serce słabnie, tętno ledwie się rusza. Nie wolno mi chodzić po piętach, więc z ofiarowanej mi przez Was gościny korzystać nie mogę, bo samoloty jeszcze nie przyjeżdżają pod balkon. Cieszymy się, że Józef już dobrze, że operacja się udała, że możecie być spokojni, o czym pisze nam Jaś”.

Kraków 23.III.1924. „Poranek imienin, co za niespodzianka! Na srebrnej tacy wnosi mi moja domowa Hebe moc miłych darów, ale ponad wszystkim widzę bukiet fiołków. Zawsze symbol wiosny, ten posłaniec wiernej przyjaźni. Nic mnie bardziej nie wzruszyło w tym dniu. Dziękuję Ci, droga przyjaciółko, dziękuję”. J. R.

W liście z 27.X. 928. pisze: „Skąd się bierze u Ciebie ta niespożyta energia, czyś jeździła do Paryża na kurację odmładzania?”



Potem przychodzi choroba serca wzmożona: „Ja ledwo się trzymam, marnie jest ze mną. Patrzę zdaleka na to, co się dzieje, i dziwię się, czemu nie zawiązuje się Liga uczciwych ludzi. Osobiście nie mam powodu do narzekań. Otacza mnie szacunek ludzki, jestem profesorem honorowym, co jest wyjątkiem z wyjątków. Mam dobrą żonę, bardzo kochające nas dzieci. Jednak jestem syt lat... pragnąłbym tylko jednego: widzieć się z prawdziwymi przyjaciółmi przed śmiercią i umierać pogodnie, bez tych okropnych gromnic, litanij za umarłych etc. Skoro się zbliży godzina, niech słyszę jaką słodką melodię Haydna lub Beethovena, to jedno, co nas godnie prowadzi w zaświaty. Na Twojej przyjaźni nie zawiodłem się”.

Na szczęście, Bóg ocalił serce jego od najsroźszej boleści. Bo na trzy dni przed Jego odejściem ze świata, Justyneczka córuchna umiłowana, piękna, utalentowana, kochająca i przez męża młodego kochana, umiera na tyfus. Ale on już o tem nie wie.

— Czy mam jechać pożegnać ojca, — pytam syna, który, od łoża umierającego, wpadł na dzień do Warszawy.

— Już nie. Już listów mu nie czytamy. Już zupełna apatja.

Byłam na złożeniu go do grobu.

Z rodziną, żoną, dziećmi i wnukami łączą mnie węzły serdeczne.

A od Jana Rostafińskiego, prof. Szkoły Głównej Rolniczej, odbieram nie tylko dowody przyjaźni na miejscu, ale skoro wyjedzie, a jeździ dużo, listy i karty

z lądu, morza i powietrza. Z Angory, Smyrny, Efezu, Finlandji, Holandji, które mi są bardzo drogie.

*

Pp. Tadeus zostwa Browiczów domu gościnnie nam otwarte progi, gdzie uczoność profesora Wszechnicy Jagiellońskiej zdobyła żona ładna, gościnna, muzykalna i dobra, niezatarte zostawił w pamięci naszej wspomnienia. Bo im więcej mieliśmy przykrości, im więcej koło nas krążyło plotek, wśród których, jak się później okaże, bywaliśmy niby w matni, z której wydobyć się trzeba było nawet heroicznym czynem, tem częściej zaglądała do nas kochana pani Rektorowa i tem serdeczniej zapraszała nas do siebie. Dobra kobieta zawsze do ostatka kochała muzykę, śpiewała, już jako staruszka, panią Butterfly i pisywała do nas rozpaczliwe listy z powodu: „bandytyzmu, złodziejstwa, niesprawiedliwych sądów, łapownictwa w kraju“, otrzymując ode mnie zawsze odpowiedzi, pełne wiary w przyszłość, byleśmy tylko „chcieli chcieć“, czego mi zawsze w swych listach zazdrościł pan Rektor. „W czym źródło tego optymizmu pani? Podziwiam, ale naśladować nie potrafię. Za pamięć o nas, za życzenia spokojnego wieczoru życia po półwiekowej pracy serdeczne dzięki. Uroczysty adres Uniwersytetu Jagiellońskiego, pismo nader życzliwe wydziału lekarskiego Uniwersytetu lwowskiego, obdarzenie mnie doktoratem honorowym przez Uniwersytet Warszawski, rozjaśniły nieco mój wieczór życia.

!

Zazdrościć Wam wielce, kochani i szanowni Józefostwo, waszego optymistycznego usposobienia, ja, niestety, go nie posiadam. Chaos w świecie niemal wszędzie, wskazujący na przemianę społeczną gruntowną, chaos w nas, w naszym państwie, który wszczął były regent z ramienia niemieckiego, Lubomirski, oddając władzę w niepowołane po temu ręce, a który sami usilnie podtrzymujemy... zachmurza wzrok i czyni życie przykrem. Nie umiemy nawet stworzyć rządu. Hasło „Jakoś to będzie” lekkomyślnie trwa i nasuwa zagadnienie „jakże to będzie?”. Oto roztoczyłem mój pesymizm, ale on nie przygasi waszego optymizmu”.

W roku 1927, w styczniu, już tylko pośmiertne wspomnienie o odejściu ze świata Żony Rektora odbieramy, na którym czytam: „Żyła pośród nas zawsze miła, zawsze równa, zawsze dobra i wyrozumiała, miłująca i ofiarna”.

„Pamiętaj, Panie, o tej, która była tak wierna Tobie, tak oddana i czuła dla swoich, a tak przychylna i życzliwa dla wszystkich” (św. Augustyn).

Jeszcze w r. 1928 odwiedziliśmy w Krakowie oboje drogiego rektora, już osamotnionego.

Dziś została córka w żałobie, obojga zacnych ludzi nie miałam, będąc w tym roku, w Krakowie, także już sama...

*

Dom pani Güntherowej, czcigodnej matrony, której dobre, pogodne i przemiłe córki, Jadwiga i Wanda, mile nas zachęcały do stałych stosunków, a któ-

re umieliśmy cenić, był nam drogi, bo była tam atmosfera starego szlacheckiego gniazda. Nic na pokaz, nic dla mody, dla blagi — wszystko dla ideałów, dla których ginęli synowie i szła fortuna. Sędziwa pani Güntherowa dąrzyła mnie swą szczerą sympatją, co mnie naprawdę napełniało dumą. To też, kiedy wyjeżdżałam z mężem z Krakowa po 12 latach, do niej poszłam prosić o błogosławieństwo na ten znowu nowy i dosyć ciężko rysujący się etap życia, bo już mieliśmy dwanaście lat więcej. Wyjeżdżaliśmy materialnie zrujnowani. Długi kilkuset tysięcy były do spłacenia, nie za moje toalety albo Józefa używanie. Długi za teatr, który zostawialiśmy bogato zaprowidowany i w spiżarniach dekoracyjno-meblowo-kostjumowych, i w dorobkach stałego, istniejącego do dziś, po latach dwudziestu trzech, repertuaru.

Więc, choć odważni i zawsze gotowi brać się z życiem za bary, byliśmy stropieni. Józef za resztki jakiejś pensji z przed pół roku był w Karlsbadzie, ja, likwidując dom, żegnałam przyjaciół. Nigdy nie zapomnę, jak ta droga, szlachetna, siwiuteńka głowa pochyliła się nade mną i jak drobna ręka narysowała mi krzyżyk na czole. On nam dopomógł. On był sprawcą, że przez lat 23 od czasu wyjazdu było nam zawsze dobrze. Że nigdy nie było braku ani pracy, ani grosza, że, zamykając na noc drzwi od sypialni, powtarzałam co dzień: „Dziękuję Ci, Panie Boże, za dziś i proszę o jutro nie gorsze”. Byłam też raz specjalnie po to w Dołędze u jej dzieci, aby przy ich rodzinnym grobie gorącą modlitwą zadokumen-

tować moją wdzięczność, którą łączę zawsze ze wspomnieniem czcigodnej pani Güntherowej.

*

Na wieś wymykałam się czasem do Dołęgi, gdzie pani domu, p. Ludwika Wolska, z domu Güntherówna, siostra jej, pani Nidecka, córki: Marja i Jadwiga, syn Adam, później piękny ułan, darzyli nas sympatją, już tak widocznie z babki i matki na wnuczki przechodzącą, bo niczem nie zasłużoną.

Dwór modrzewiowy z gankiem ocienionym — na przeciw domu kapliczka, przed którą kiedyś powstańcy słuchali na kolanach mszy świętej i odbierali błogosławieństwo, idąc na boje za Ojczyznę. Park w łąkach ginący, Krzyż przydrożny, o staję cmentarz z grobem rodzinnym, a w domu, mimo to, że same wdowy i sieroty, jakaś piękna cisza ducha i pogoda, płynąca z godzenia się z Wolą Bożą.

Nic też dziwnego, że ciągnął mnie ten dwór, te kobiety, te pola, te stawy, łąki i mokradła. Bliżej Boga — dobrze się poczuć. A tu się tak właśnie czuło. Na dwa święta Wielkanocne jeździłam tam i wносиłam moc humoru i śmiechu, za co już do pierwszego śniadania wjeżdżał do mego pokoju olbrzymi placek z serem, mój ulubieniec. Kawka w łóżku z kożuchami, wszystkie panie dokoła, bo zjeżdżały z Krakowa pp. Marja Maciejowska, Winia i Wanda Güntherówny, i gadanie, gadanie, aż dopóki nie zajęchały konie do kościoła.

A potem dziesięć kobiet obsiadło stół i zaśmiewały

się ze mnie, że dostanę niezawodnie skrętu szyi, wypatrując ciągle przez okno, czy nareszcie się jaki mężczyzna nie zjawi. Dobrą tam miałam opinię, niema co. Ale nie obrażała mnie ona, jako że zawierała dużo słuszności.

*

Dom pp. Sęwerów Maciejowskich uroczy. W tych trzech skromnych pokojach, na Batorego 7, gromadziło się wszystko, co było umysłem, duszą, sercem Krakowa. Stosunki wiejskie łączyły się z miejskimi. Życie kipiło. Każda sprawa, pojawiająca się na horyzoncie kraju, świata, nauki, sztuki, była tu tematem naszych rozmów.

Sewer Maciejowski, literat, powieściopisarz, pełen talentu, to indywidualność. Niby demokrata, a szlachcic w każdym calu. Powstaniec z 63 roku. Konspirator. Spiskowiec. Zawsze ma najwięcej do powiedzenia po cichu. Zawsze wtedy, kiedy od licznie zebranego towarzystwa uprowadza kogoś w bok. Wówczas mówi głosem stłumionym, nie kończy zdań, wzrokiem je dopełnia, gestem akcentuje, spojrzeniem pyta, czy jest zrozumiany. Przytem żartowniś, pogodny, wesoły, dowcipny, czasem cięty.

Bawi się ludzką komedią, dla której ma pobłażanie, ludzkie kłamstwo go nie dziwi, zna prawdę. Humor znakomity. Często udaje naiwnego, a doskonale zawsze wie, co w trawie piszczy.

Nie wie natomiast często, co czytał, a czego nie czytał, choć to za niego wie doskonale pani Marja, żona, która czyta wszystko.

Kiedys jest mowa o jakiejs noweli Sienkiewicza,

drukowanej niedawno w Tygodniku Ilustrowanym. Chwali ją Malczewski, chwali Asnyk, ktoś jeszcze...

Sewer chodzi po pokoju z rękoma w kieszeniach, nasłuchując, podchodzi do żony i pyta:

— Marja, czy ja ją czytałem?

Zajęta rozmową z Jackiem Malczewskim, nie odpowiada natychmiast.

— Marja, czy ja ją czytałem? — jeszcze bez odpowiedzi.

— Marja, powiedzże, czy ja ją czytałem?

— Ależ czytałeś, czytałeś.

— A czy mi się podobała? — podobała ci się.

— Czytałem. Bardzo piękna! — i dalej odbywa swój spacer po pokoju.

Pani Marja, Güntherówna z domu, zajęta jest wszystkim, czem zajęty bywa jej mąż. Poza tem interesuje się każdą kwestją czy zagadnieniem, równie społecznem, jak naukowem czy artystycznym, szczęśliwa, uśmiechnięta i dumna z męża, roztaczała atmosferę niezwykle ciepłą, serdeczną i szlachetną, z tą prostotą, jaką daje stara kultura, umiejająca łączyć najlepsze pierwiastki towarzyskie z odrzuceniem wszelkiej pozy, przymusu czy udawania.

Tu nikt nie mógł udawać. Tu była jakaś piękna harmonja, jakieś przymierze prawdziwości z każdą odmianą momentów życia. Każdy się tu czuł doskonale, i ciągnęli też ludzie koło piątej po południu sznurkiem, gromadząc się przy ich stole w ich polskim domu.

Sewer był pierwszym gościem. Ranki całe pisał, o 3-ciej po południu wychodził na Planty, spoty-

kał ludzi, zbierał mnóstwo wiadomości z bieżącej kroniki, — przed 5-tą wracał i, jak z rogu obfitości, sypały się prawdziwe i mniej prawdziwe, przepuszczone przez filtr żartownisia i pisarza, wiadomości, z których najczęściej było śmiechu bez miary.

Asnyk był codziennym gościem, co dodawało uroku zebraniom.

W lecie, w Dołędze, bywaliśmy czasem razem z Józefem, wtedy bywała zabawa wyśmienita, choć niedługa, bo mąż mój lubił wieś na krótko, a każda na wsi, przedłużająca się ponad dzień, dwa bytność, wprost go męczyła. Czuł się skrępowany, liczył dnie, potem godziny, nareszcie minuty do wyjazdu. Wypływało to u niego niezawodnie z przerostu delikatności, później, mieszkając już w Warszawie, lubił czasem korzystać z gościnności pp. Sewerostwa Plewińskich, w ich ślicznej Boguszówce, w strefie nadwiślańskiej położonej, niedaleko Puław. A bez zastrzeżeń, z rozkoszą spędzał parę nawet tygodni w gościnnym domu pięknego majątku Skłóty na Kujawach, pp. Mieczysławostwa Fijałkowskich. Z panem domu łączył go teatr. Był chrzestnym ojcem, wprowadzie nie dorodnej maleńkiej Magdy-Dzidzi, ale wcześniej urodzonych doskonałych komedyj Fijałkowskiego, więc na temat teatru — nigdy niewyczerpane rozmowy. A pani Celina — poetka, matka jej p. bar. J. Dangłowa, i matka pana, p. H. Fijałkowska, wszystkie bardzo wykształcone, wykwentne duchowo i niebywale dobre kobiety, przyczyniały się do tworzenia atmosfery, przepojonej miłością poezji i sztuki, która zawsze ma życia upojne pierwiastki i szare zamienia w barwne.

Ale ja, jakoś mniej wrażliwa, nie czułam, abym komu robiła różnicę, i pojawiałam się w Dołędze częściej. Sewer wtedy roztaczał swe talenty psich figlów, w czym celował. Przedewszystkiem, pasjami lubił narobić zamętu, niewinnego, ale zamętu.

A więc jesteśmy równocześnie z nim w Dołędze. Ktoś z panów przyjeżdża przed ganek.

Prezentacja. A kiedy na mnie przychodzi kolej:
— Pan XX, kawaler, pani K. — młoda wdowa.

Już zgadłam, co się święci, bo za plecami gościa Sewer kładzie palec na ustach i błaga wzrokiem o milczenie.

Oczywiście, prędko wchodzę w rolę. Sąsiad zaczyna się mną trochę interesować, zwłaszcza, że Sewer czuwa i dolewa oliwy na to paliwo. Coś od czasu do czasu wrzuca w ucho podstarzałego kawalera.

Już następują zaprosiny całego towarzystwa do jakiejś Woli... już się planuje „szumiące i mrożone”, kawaler wąsy podkręca, a kamizelkę obciaga na wydatnym brzuszku, kiedy palę: Jak mój mąż przyjedzie... Blomba pęka. Szlachcic się obraża, prosi o konie przed kolacją, wyjeżdża, a Sewer w siódmym niebie, choć mi wymyśla od idjotek za to, że wcześniej przerwała zabawę.

Albo taka historia. Kucharz ma dom na wsi, żonę i dzieci. Do dworu przychodzi gotować. W kuchni ma posługaczkę brzydką i trochę ułomną, odwieczną Magdę, jaka pokutuje, mniej więcej, w każdej dworskiej kuchni.

Sewer się kiedyś kręci, uśmiecha pod wąsem, coś

planuje najwidoczniej, ale nie wiemy jeszcze, co. Wychodzi, dokąd?

— Idę się przejść, — mówi od niechcenia.

Idzie na wieś, wprost do kucharzowej.

— Pochwalony...

— Na wieki...

— Jakże tam w gospodarce, w obejściu? Wszystko dobrze? A co to kucharzowa nigdy teraz do dworu nie zajrzy. Trzeba. Trzeba. Bo to chłop, jak chłop. Magda na niego coś łypie okiem, to może być źle. Stara, brzydka, gdzie jej do kucharzowej, ale djabeł nie śpi.—Na babę jakby kto płomień rzucił,—opowiadał nam później. Zawrzała, zakipiała. Sewer wraca, idzie wprost do kuchni.

— Magda, miej ty się na baczności, bo kucharzowa coś tam warczy, a Józwowa, ta, co była u kompania, ciągle jej dogaduje, że na kucharza dybiesz.

Jak kilka bab tak poinformował, to wieczór piekła nikt nie był w stanie zażegnać. Huczało w kuchni. A on, jak triumfator, chodził dokoła stołu z rękoma w kieszeniach i zaśmiewał się. Potem, w jakiś czas, dawał podwieczorek, stawiał piwo, spraszał wszystkich poważnionych i godził.

Wszystko było bardzo pięknie, dopóki nie chodziło o własną skórę.

W mieście była między nami wielka zażyłość, ale jednocześnie pewna powściągliwość, swoboda i humor z domieszką niby etykiety.

Wieś, przestrzeń, spacer, zachody słońca, wschody księżyca, wspólne zachwyty, wszystko to ludzi zbliża a stosunki wzajemne upraszcza.



Sewer się zbliżył i daje tego dowód.

Bo, po wyjeździe z Dołęgi, otrzymuję od niego kartę, którą mi oddaje listonosz z jakąś dziwną miną. Jakże nie miała być „dziwna”, skoro na niej wypisane: „JWP. Dyrektorka szkoły wypalania znaków na sercach męskich”...

A następna: „JWP. L. K. Artystka, a miła baba, aż strach”. I na tej samej kopercie: „błyskawicznie pilno, piramidalnie pilno, piorunowo pilno, jeżowo pilno”. Wszystko podkreślone, opatrzone wykrzyknikami, słowem, dla listonosza zabawa, co się zowie.

Gdyby to był koniec! Ale im większe z mojej strony protesty, tem werwa wzrasta coraz gwałtowniej.

Wpadł kiedyś do Krakowa ze wsi na parę dni. A tak się złożyło, że, przychodząc po południu na filiżankę herbaty, raz i drugi zastawał Wyspiańskiego, bo właśnie robiliśmy meble na scenę, o których jeszcze wspomnę. Wraca na wieś i przy pierwszym podwieczorku, zapowiadając ważną wiadomość oznajmia:

— Wiecie, Lucyna i Staś... — resztę dodaje figlar-nem mruganiem, gestem, jak on zwykle. Wślad zatem rysuje na kartce otwartej dwa serca strzałą przebite z literami L. S. Wypisuje drukowanemi literami: „Na co nam rozmowa?” i wysyła pocztą.

Tego już było za dużo. Taka mnie złość ogarnęła, że piszę gromy, złośliwości. Także odrzucam etykietę. Wymyślam od idiotycznych pomysłów, głupich żartów — i co otrzymuję w odpowiedzi?

Drugą kartę. A na niej tylko : „Cóż Staś? Sewer”.

Wtedy piszę ze skargą do pani Marji, która nie

tylko nie bierze mojej strony, ale jest obrażona na mnie, że mogę być z tego niezadowolona, i pisze mi: „Sewer niema szczęścia do pań z Warszawy, które niewiadomo o co się obrażają”. A od Sewera list, w którym się usprawiedliwia, że dopiero teraz mnie przeprasza za „dwa serca złączone strzałą”, skoro mnie to dotknęło, ale że o tem nie wiedział, bo Marja utrzymuje, że pewno cię to właśnie zirykowało dla tego, że Staś wyjechał, ale on wróci. A na kopercie z marką adres: „JWP. Józefowa Kot. Dyr. Teatru miejskiego Krak. z godłem: Kraków narodowej sztuce — urzędownie.

A prywatnie: Nasza kochana Lucynka, bez serc przebitych (dwóch jedną strzałą), Radziwiłłowska, 15”. Potem już tylko: „JWP. L. K. Hamletowa, księżna duńska” — i jakiś czas cisza.

Aż dowiaduję się, że do księdza wikarego w parafii Dołęgi, który, oczywiście, we dworze bywał często — wypisał: „Ksiądz taki a taki, wielbiciel Marji, ale nie Matki Boskiej, tylko Sewerowej Maciejowskiej”... Księdza translokowano momentalnie. Słowem, nic świętego... A Maciejowska się śmieje.

Na tle tego humoru — istniały jednak poważne obawy o zdrowie Sewera.

Już coś czyhało na to szczęście, na tę pogodę, na tę harmonję, jakiej był pełen dom pp. Sewerów Maciejowskich.

Sewer napisał sztukę, z powodu której były naturalnie i plotki, małe komeraże i lekka chmurka na niebie naszych stosunków. Ale, że dobra wola była

także, więc sztuka miała być grana w sezonie powakacyjnym, i chmury pierzchły.

Pamiętam chwilę, kiedyśmy wyjeżdżali oboje z Dołęgi, Sewer nas podwoził. Wysiadł na którymś zakręcie, a stojąc na stopniu mówił: „Z moją sztuką śpiesz się, panie Józefie, bo serce bije, nie wytrzyma bestja długo, czuję, że nie wytrzyma”.

Sztukę widział na scenie, ale serce nie wytrzymało długo, odszedł nagle, Marji nie pytał, czy odejść może. Żostawił żonę w rozpacz, żał w rodzinie i wśród przyjaciół, którzy go kochali.

Z drogą panią Marją i jej siostrami łączą nas najmiłsze i drogie mi stosunki po dziś.

*

Dom pp. Władysławostwa Żeleńskich—to przybytek, to już prawie świątynia sztuki, tak tu poważnie, chwilami uroczyście.

Z p. Władysławem Żeleńskim łączyła nas dawna znajomość, bywał u nas w Warszawie na 4-tem pięterku. Lubił bardzo Józefa. O muzyce były niewyczerpane rozmowy. Zawsze opowiadał, co nowego pisze, co w programie na przyszłość. Raz, przyprowadził nam syna, Tadeusza, studenta Wszechnicy Jagiellońskiej. Rozmowa przy obiedzie była wprost olśniewająca. Czego ten młody student już wtedy, nie czytał? A chociaż do gadatliwości nie zdradzał ochoty, jednak w tej czwórce, w której ja tylko słuchałam, bo, oczywiście, nie mogłam się z nimi mierzyć w lotnem przepatrywaniu literatury, prowadził pierw-

sze skrzypce. Po ich wyjściu, mówiliśmy z żalem i goryczą, porównując kulturę umysłu tego chłopca, szkoloną w Uniwersytecie Jagiellońskim, w bibliotece krakowskiej, przez uczonych profesorów, z rówieśnikami Uniwersytetu Warszawskiego, dla których przystęp do źródeł wiedzy był zamknięty, a profesorowie-rosjanie — nie promieniowali światłem wiedzy na młodzieńcze umysły.

Któż nie znał p. Władysława Żeleńskiego? Pogodny, wesoły, ufny, życzliwości dla ludzi pełen, wsławiony nie tylko piękną pieśnią i szlachetnymi tony, ale i śliczną legendą, płynącą z jego wrodzonych przymiotów, która snuła się koło jego osoby, czyniąc go jednym z najsympatyczniejszych typów w Krakowie.

Pani Wanda, spokojna, poważna, z trochę melancholji w pięknych czarnych oczach, bardzo wyrobiona towarzysko, inteligentna, prowadziła salon wytworny, zgromadzając w nim miłośników muzyki i jej mistrza.

Zaszczyt mi przynosiła sympatja tej czcigodnej kobiety, która, zajęta domem, zawsze znalazła czas poza nim dla drugich, zwłaszcza na opiekę nad nauczycielkami, czyniąc zabiegi i kierując wysiłki dla zapewnienia im spokojnej starości.

Lubiła mnie, bywała u nas i zawsze zapraszała tak serdecznie, że dom pp. Żeleńskich był tym rzadkim dla mnie domem, do którego czułam, że mogłabym wejść zawsze, i że zawsze spotkałoby mnie tam miłe przywitanie gospodyni. Teoretycznie było mi to poczucie przyjemnem. Bo faktycznie, całe życie trzymałam się tej zasady, że często można bywać tylko we

własnym domu, a u przyjaciół rzadko. Niech tęsknią i wyczekują.

Synów u pp. Żeleńskich było trzech. Zawsze najlepiej lubiłam studenta, który mnie z miejsca zachwycał w Warszawie. Ale że od młodu snąć już miał zacięcie do ostrości języka późniejszego Boy'a, więc tak określał sympatię swej matki dla mnie:

— Moja matka dlatego tak lubi panią Kotarbińską, że mówi z nią godzinami o Żmichowskiej, a ona godzinami słucha i kiwa głową, i tak kiwają obie, a kiedy się zaczęły cytaty: „Dziewczynki moje, o, lube kwiatki”... albo „Tylko się nigdy nie przyda na nic, próżnego serca pycha bez granic”, wtedy już wprost moja matka jest wniebowzięta.

Tak czy owak, „Tadzio” podkpiwał leciuchno, a mnie tam było dobrze, zwłaszcza że sentyment pana Władysława do Józefa był także bardzo szczery, więc niejedną miłą chwilę zawdzięczamy temu domowi.

Którejś niedzieli siedzimy u siebie, wchodzi pan Żeleński i z polecenia żony oznajmia, że przychodzi, aby nas zabrać, bo żona czeka z herbatą.

Oczywiście, natychmiast jesteśmy gotowi.

Na Plantach rozmowa, naturalnie, o ostatniej kompozycji Mistrza.

— Wie pan, panie Józefie, wstawiłem między te liryzmy tempo mazura: tarara tam, tam, tam! — podaje rękę Józefowi i puszczają się obaj, podśpiewując, w rytmiczny tan po szerokiej alei.

Nie czekam na zaproszenie do tańca, ani na hołup-

ce. Daję szczupaka w pierwszą boczną ulicę — i tyle mnie widzieli.

W dwu terminach weszliśmy do pani Wandy, która ze zwykłym pobłażliwym uśmiechem wysłuchiwała mojej opowieści o zamaszystym mazurze na Plantach.

*

— Dlatego jestem pani przyjacielem, że pani lubi moją żonę i że ona panią lubi. — To mi powiedział pan Włodzimierz Tetmajer, po pewnym okresie czasu znajomości, która trwała całych lat dwanaście w Krakowie, a, wzmocniona prawdziwą przyjaźnią, została do ostatnich dni jego życia, choć nas rozdzieliły losy.

— Nigdy nie lubiłem spódnic. Zawsze ciągnęły mnie kieckie. Sztuczność życia spódnic była dla mnie nie do zniesienia. Moja Hanka dała mi szczęście, jakiego chciałem i jakiego szukałem.

Toteż w bronowickiej chacie, potem w dworku, była ta nieokreślona, mimo małych okienek, wielka jasność, jaką daje słońce, w duszach naszych świecące. Była dostojność swobodna. Gdy trzeba—powaga. A gdy się zdarzyło—z kielichem w rękę „Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami”, śpiewany z istic szlachecką fantazją pana Włodzimierza, a potem pistolet ze ściany i strzał w belkę na wiwat jeden, drugi, aż do następnej kolejki.

Włodzimierz Tetmajer miał wszystkie zalety swojej rasy. Szlachetny, prawy, sprawiedliwy. Rycerski. Kochał Polskę, kochał wieś polską i polski lud. Był

artystą i żołnierzem. Koń i szabla, poezja romantyczna. Brawura szlachecka. Fantazja, humor. Prostota i nieopisana dystynkcja. Impulsywność także duża. Kieliszek w dobrej kompanji, niefrasobliwość „byłe polska wieś spokojna“, ale i swobodna, bo, broń Boże, nic z obojętności albo bierności. Obchodziło go wszystko, co dotyczyło spraw naszych. Daleki od małostek, ufny w przyszłość narodu, siedł z ludem, bo weń wierzył.

Dał w pysk parobczakowi, od czegoż szlachcic.

— Bo psiakrew taka narowna, niczem stara szkap, — mówił, ochłonawszy, ale dla żony miał zawsze dobre słowo i najgłębszy szacunek, bo też nigdy żadna chmura nie osiadła na tem czole z jej powodu.

Ta dostojna gospodyni, dobra żona i matka, pełna spokoju i godności, umiała dać szczęście panu Włodzimierzowi.

On w pracowni, w sprawie publicznej, ona w gospodarce — na roli.

— Czy nasza kobieta na wsi oddawna nie rozstrzygnęła sprawy równouprawnienia kobiet? — mówił mi kiedyś Tetmajer. — Czyż nie wprowadziła, przy równej pracy, jej najmańdrzejszego podziału? Niech pani przypatrzy się Hance. Wszystko to dookoła — jej głowa, jej ręce, jej staranie.

Chała była zawsze wybielona, firaneczki białe z kokardkami. Chleb wyborny. Gość nigdy nie robił różnicy, w polu robota dojrzana, wszystko w porę.

— Gość w dom, Bóg w dom. Ale kiedyś siedzimy w niedzielę po południu koło stołu — opowiada mi pan Włodzimierz — a tu w jednym oknie głowa,

w drugim głowa, co u licha! Wychodzę witać — nieznajomi. Okazuje się, że to warszawiacy, ciekawi, jak też wygląda ta para: „Tetmajer z chłopką”. Kazałem psy spuścić.

— Zeszłej niedzieli znów patrzę, kto idzie? Pan X. X. z P. Z. Z., cóż on sobie myśli? Tu do nas przychodzić z kochanką! Weszli, ale niebawem wyszli, bom Hance nie pozwolił ich gościć.

Dzieci gromadka. Sześć córek, dwu synaczków.

— Panie Włodzimierzu, żona taka bledziutka — trzeba jej dać wypocząć.

— Cóż! kiedy wieczory zimą takie długie na wsi, — usprawiedliwiał się napomniany.

— Panie Włodzimierzu, znów? przecież to styczeń.

— A tak, bo ranki w maju na wsi cudowne.

Nie było rady.

Osobiście, byłam z panią Włodzimierzową tak blisko, jak z żadną z pań z „miasta”. Bywali u nas oboje nieraz na dłuższe chwile. Chodziłam pieszo do Bronowic, oddalonych o 7 km. od Krakowa, bom tam znajdowała nie tylko wypocznienie, ale i prawdziwą życzliwość i stąd płynącą przyjemność.

Męża mego stosunki z panem Włodzimierzem były serdeczne. Piękny, rasowy, z tym cudnie narysowanym profilem i klasyczną małą głową, śliczną ręką, ze swadą w rozmowie, z elegancją w salonie, z wyróżniającą dystynkcją wśród najwytworniejszej sali balowej.

Nikł tylko wtedy, kiedy jechał z żoną do kościoła. Bo ona, niby królowa, w rzęsistej „kiecce”, w haftowanym gorsecie, w bieli szlerek i piersi, założonej

koralami, w czepcu z wstęgami i chustą, związaną kunsztownie, niby z wieńcem kwiatów, koło ślicznej twarzy hożej, rumianej, z oczami zawsze o powściągliwym wyrazie i ustami czerwieńszemi od koralu — była naprawdę wspaniała. Tak, że szczupły, zgrabny, ale nikły był przy niej mąż, który dopiero, jak zeskoczył z bryczki, podał rękę żonie i szedł koło niej, prosty jak świeca, ratował renomę swej urody. Nieraz jeszcze we wspomnieniach moich wrócę do tej postaci, z którą życie szczęśliwie zbliżyć nam się dało.

Dodam tylko, że kiedy po 10 latach przyjechałam po raz pierwszy do Krakowa, zmienił się bardzo obraz mojego widzenia. Przeszła przez świat wojna. Szłam tą drogą, którą nieraz chadzałam, szłam wzruszona. Bom kiedyś, idąc nią, była niewolnicą. Teraz szłam — myśleć mi nie wystarczało, głośno sobie mówiłam: — Jestem wolną córką wolnej ojczyzny! — i szczęście głos mi tamowało, i milkłam tą ciszą, której jeden Bóg słucha i słyszy.

W bronowickim dworku cisza. Okna, do których zaglądały róże i lilje, otwarte.

— Niech będzie pochwalony! — mówię, przestępując próg domostwa.

— Na wieki wieków! — odpowiada mi głos i dziarski kadet staje przede mną. To Tadzio, którego pamiętam w majteczkach z koszulą.

— To pani! A rodzice właśnie wczoraj panią wspominali.

— Gdzie są?

— W kościele.

— Prowadźcie mnie do nich, dzieci kochane! —

I wnet najmłodsza dziewczynka wiąże chusteczkę na płowej główce i idziemy sadem, gdzie pod gruszą jedna z córek, Klimcia, którą zostawiłam maleńką, karmi różowe niemowlę, a koło niej kręci się jasna główka starszej dziewczynki. Mąż w mieście w szpitalu wojskowym, a ona tu, z dziećmi. Jedna część stodoły przerobiona na mieszkanie dla państwa doktorostwa i dwie pracownie ojca i córki, Jadwigi, zdolnej malarki.

Spadzistą dróżką spuszcza się do murawą wyszcielonego wąwozu i malowniczą ścieżką wchodzimy znów pod górę.

Stąd, jak na dłoni, widać kościół i cmentarz. Z kościoła już ciągną ludzie sznurkiem. Nabożeństwo skończone.

Przy grobie syna widzę oboje Tetmajerów. Płyną łyzy żalu, którym już nie obeschnąć do końca dni.

— Tu mamy Kazia — mówi Tetmajer, ze łkaniem witając mnie.

Poległ w obronie Lwowa. Odebrałam przed tą bytnością list od Isi-malarki, która mi pisze: „Pogrzeb mego brata odbył się u nas 3.X. 920. Przeżyło się wszystko od początku na nowo. Ale ulga dla nas wielka, że go mamy u siebie.

Siostra moja, Hanka, wprost cudownym sposobem odnalazła jego zwłoki, mimo że na grobie nie było znaku. Powiada, że miała dziwne uczucie, takie jakby ją coś prowadziło—szła i odnalazła... Bitwa, w której zginął, była tak straszna, jak nam mówili oficerowie, że najmężniejsi tracili ducha — a ci, którzy zginęli, to byli bohaterowie — nie ludzie”.

Na granitowej podstawie leży czako ułańskie. Pod niem płyta w bronzie, a na niej ułan na koniu. Dzieło Raszki. Pod plakieta napis:

I z Archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy wszyscy na święty bój
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój.

Na bocznych ścianach piosenka Józefa Tetmajera, por. I pułku ułanów z 1831 r.

1. Jak wspaniała nasza postać,
Kiedy w słońcu błyszczy stall
Koń na miejscu nie chce dostać —
Leć, mój koniu, lećmy wdall
Bo taki los wypadł nam,
Że dzisiaj tu, a jutro tam.
2. Jak nie mamy żyć wesoło,
Gdy nie wiemy, gdzie nasz grób.
Lada kula świeśnie w czoło
I na ziemię runie trup.
Bo taki los wypadł nam,
Że dzisiaj tu, a jutro tam.

Na ścianie przeciwległej plakiety wypis imion Przerwy-Tetmajerów we wspaniałym szeregu:

1. *Jerzy*
Rotm. Gwardji Król.
17...—1750.
2. *Józef*
Porucz. I pułku ułanów
1800—1832.



Jan Kazimierz
ppor. 8 pułku ułanów
im. Ks. Józefa Poniatowskiego.

3. *Karol*
Major wojsk polskich
1809.
4. *Adolf*
p. Chor. 3 pułk. Ułanów
B.
1830—1831.
5. *Antoni*
Żołnierz Legji Nadwiślańskiej
1830—1832.
zamordowany w Gdowie 1846.
6. *Juljan*
Żołnierz oddziału Czachowskiego —
1863.
7. *Stanisław*
por. Armji Gen. Bema i powstaniec 1863 r.
8. *Jan Kazimierz*
ppor. 8 pułku Ułanów im. Ks. Józefa Poniatowskiego,
poległy 28 lipca 1920 r.
pod Stanisławczykiem.

Zaiste, ród piękny i zasłużony, cudne dziedzictwo
dostają dzieci i wnuki.

*

Po powrocie z cmentarza zasiadamy do obiadu.
Stół nakryty białym haftowanym obrusem. Ręce pani
domu i panien go tkały i zdobiły.

Kilkanaście osób obsiada stół do koła, bo i pan
doktór już z miasta przyjechał, i wszystkie dziew-
czynki są obecne.

— Wnuki już się snują koło nas — mówi pan Wło-
dzimierz. — A tu jeszcze człowiek myśli, że młody.

Schodzi nam parę godzin na serdecznej pogawędce. A kiedy zajeżdża bryczka, która ma mnie odwiedzić do Krakowa, z żalem opuszczam te drogie mi progi. We wrotach niemal mija mnie na bułankach dwu dziarskich ułanów. To narzeczeni młodych córek państwa Tetmajerów. Szczęść im Boże!

*

Jeden z ostatnich listów Włodzimierza Tetmajera, pisanych do Józefa był z życzeniami: „Drogi panie Józefie, serdeczne życzenia w dniu imienin przesyłamy oboje z żoną, jako dowód zawsze wiernej i trwałej przyjaźni, której ani czas, ani przestrzeń osłabić nie mogą.

Dla pani Lucyny rączek ucałowanie i pozdrowienia serdeczne.

Być bardzo może, że jeszcze tej wiosny w Warszawie będę, to pogadamy którego wieczora na Marszałkowskiej i uściśniemy sobie dłonie.

Pamiętajcie o nas, drodzy państwo, i przyjmijcie serdeczne pozdrowienia.

Włodzimierz Tetmajer”.

List wśród drogich chowam pamiątek.

Na wiosnę już nie przyjechał, bo oto znów pisała mi Isia, już wówczas pani Naïmska: „Parę sekund zimnego potu i padł bez życia (w styczniu 1924 r.). Pochowany jest, według swego życzenia, obok Kazia, za którym tak tęsknił i z którym Bóg go złączył”.

Na kamiennej płycie widne jedno więcej, dobrze zasłużone Ojczyźnie imię: Włodzimierza Tetmajera.

*

Robił nam czasem przyjemność i zaszczyt p. prof. Marjan Zdziechowski, odwiedzając nasz dom, a od pani Zdziechowskiej w ciężkich chwilach doznałam dowodów jej wielkiej dobroci.

Bardzo miłe stosunki łączyły nas z domem pp. T. Prylińskich. „Myśl Dietla, artyzm T. Prylińskiego, (1847—1895), i genjusz Matejki, stworzyły zawiązek nowożytnego Krakowa”, pisze Józef Rostafiński w „Architekturze Krakowa”, i w 1920 r.—w książeczce, doskonale a zwięźle obejmującej najcenniejsze zabytki miasta. Rozmiłowany w swej sztuce architekt-artysta, odnawia Sukiennice i imię swe nazawsze wiąże z pamięcią pokoleń. Ona, przemiła towarzysko, inteligentna, nadewszystko dobra, wcześniej zostaje osierocona. Zamyka się też, mimo światowego usposobienia, w domu, chowając dwu synów i Bogu zwierając swe udręki.

Pp. dr. Kohnowie, o których już wspominałam, bo oboje dawali nam zawsze dowody niekłamanej życzliwości, zwłaszcza przy staraniu się o teatr. Mieli jedną śliczną córkę, Marynę, której zapał do nauki na uniwersytecie zwyciężył zapał do pięknego i dzielnego człowieka, Feliksa Kopery, dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie. Tworzą poważny dom i już nie o swoje egzaminy, a o matury synów drży dziś pani Feliksowa. W ślicznem własnem domostwie,

w którym mnie równie gościnnie przyjmuje córka, jak ongi jej szanowni rodzice przyjmowali nas oboje u siebie.

Poza stosunkami w teatrze łączyły nas stosunki towarzyskie z p. Janem Mikuckim, wówczas dyrektorem administracyjnym, i jego żoną, p. Leokadją, dobrą, zacną kobietą. Dziś już także córka ich dorosła, a syn zajmuje stanowisko w naszej dyplomacji zagranicą.

Dom dobrej i serdecznej pani Celiny Dargunowej z córeczką, Marylą, wówczas małą, pełen cennych antyków, wśród których jasna głowa gospodyni, z bogactwem cudnych popielatych włosów, odbijała młodością i wdziękiem, na tle starych, płowych makat. Odwiedzała nas w Warszawie. Ostatnio, roku 28, i w Krakowie nie omijała naszego stolika w Grand-Hôtelu, gdzie, bawiąc trzy tygodnie, o 10 wieczór dawaliśmy codzień rendez-vous naszym znajomym.

Dom pp. Pareńskich, doktora, przezacnego człowieka, i żony jego, p. Elizy, światowej, inteligentnej i zajmującej kobiety, grającej dużą rolę w mieszczańskim świecie, odznaczał się gościnnością, z której nieraz korzystaliśmy i my. Ale mimo, że widywałyśmy się dość często, bo niemal co poniedziałek łaskawie nas odwiedzała pani doktorowa, nie przyszło między nami do bliższej zażyłości.

Kazimierzostwo Czapelscy, spokrewnieni z mężem moim przez żonę Wandę, życzliwie do nas się odnosili. Mały wówczas Stach, bardzo przeze mnie kochany, pracuje obecnie w poznańskiej operze z pożytkiem dla niej.

Ze Lwowa, przyjeżdżali do nas pp. Wincentostwo Bałabanowie, a z idealną śliczną Marylą, z którą poznaliśmy się w drodze, jadąc na wystawę czeską do Pragi, łączą mnie do dziś przyjazne uczucia. Wiele lat później, z córką jej, Alą, spotkałam się w szpitalu wojskowym we Lwowie, gdzie jeździłam, jako delegatka „Polskiego Białego Krzyża”, w sprawie zaproszenia rekonwalescentów wojennych do dworów polskich, które im ofiarowały swą gościnność.

— Nie ma na to czasu — odpowiedzieli. — Jak tylko będzie można wziąć karabin, na koń sięść, wracamy na front.

Ala Bałabanówna była tam już, jako doświadczona siostra-starsza, choć taka młodziutka.

Narzeczony jej, p. Tomasz Pace, syn Anglika i Polki, z którym poznała się w Londynie, chodząc tam na wykłady do szkoły dziennikarskiej, zginął w pierwszym boju wielkiej wojny, walcząc w szeregach armji cudzoziemskiej we Francji. Ala poszła natychmiast na plac boju u nas, i niosła pomoc rannym podczas najcięższych zmagañ z ukraińcami, aż do końca trwania tej wielkiej zawieruchy światowej.

W Zakopanem, mieliśmy bardzo drogi nam dom pp. dr. Kazimierzostwa Dłuskich. Często znajdowałam u nich gościnę w ślicznym ich małym domku, przy wielkiem sanatorjum dla piersiowo chorych, które zbudowali ku pożytkowi ludzkiej niedoli i podniesieniu Zakopanego. Czasem na otrzymaną depeszę od p. Bronisławy: — „Szron na lasach”, wyjeżdżałam tej samej niemal godziny, aby nie stracić nic z widoku odurzająco cudnego. A z córką ich, 12-letnią Helą,

robiłyśmy najmiłsze parodniowe wycieczki, bo była to nadzwyczajna istota o ślicznej duszy i umyśle, zapowiadającym niepospolitą kobietę. Niestety, odeszła zbyt wcześnie od świata i życia, w którym tyle chciała zrobić i tyle dobrego zrobić mogła.

Redaktor „Gazety Narodowej”, prezes Tow. Literatów i Dziennikarzy we Lwowie, Aleksander Vogel, przyjeżdżał do nas. Była to jedna z trwałych przyjaźni. Odbywaliśmy, w kilka osób, śliczną podróż do Włoch, z szeregiem niezapomnianych wrażeń, które nas mile odtąd wiązały.

Z Warszawy odwiedzali nas co roku: Pastor Julian Machlejd, prowadzący godzinami z Asnykiem, nigdy nie wyczerpane, filozoficzne rozprawy.

Przywiązany nad wszelki wyraz do Józefa, Gabrjel Kempner, adwokat, który, z zagranicznych wypraw, na kilka dni, także co roku, zjeżdżał do nas.

Liczny zastęp ludzi młodych, ale już na stanowiskach, z których każdy okazywał wielkie zainteresowanie naszą pracą i służył teatrowi, czem mógł. Dr. Leon Kryński, młody docent uniwersytetu i kierownik kliniki chirurgicznej, bardzo przez nas kochany, rozmiłowany w swym dziale medycyny, który mnie zawsze interesował niezmiernie, zwłaszcza kiedy się tak szczęśliwie złożyło, że przedstawiciel tego działu był wyjątkowo inteligentny, zajmujący i piękny człowiek. Bywał u nas w każdą niedzielę na obiedzie.

Wywdzięczając się też za sympatię, ofiarował kiedyś co mógł najlepszego:

Dwa razy operował nogę Józefa w Krakowie, na

szczęście, z powodzeniem. Strach był, mimo zaufania, niemały. Noga u aktora — to nie żarty. Dobry chirurg — chirurgiem, a pacierz — pacierzem. Więc mówię:

— W dniu, w którym doktor pozwoli ci wstać, Józeczku, pójde pieszko do Kalwarji.

Doktor pozwolił, któregoś lipca, wstać mężowi — poszłam do Kalwarji. Wprawdzie tylko pięć mil, ale cóż za droga! Szłam na Polankę pp. Hallerów, stryjostwa generała Józefa Hallera. Widok stamtąd na Kraków wspaniały. Potem na Izdebnik, wówczas posiadłość arcyksięcia Stefana z Żywca. Wieś ogromna, ciągnąca się długo. Zamożna, znać to po wozach i uprzęży koni spotykanych. Gorzelnia, dystylarnia — zarobki dla miejscowej ludności duże. Lasy chłodzące, a upał obezwładniający. Wyszłam z domu o 3-ciej rano. Południa dobrych parę godzin musiałyśmy przesiedzieć w karczmie przydrożnej, na której progu, zobaczywszy nas, jakiś młodzieniec z radością klaszcząc w ręce, wołał na całe gardło:

— Facetki, jak Pana Boga kocham, facetki! — i przykucając walił się po kolanach z uciechy. — Pani Jędrusiowa, nie mówiłem, że coś z tego snu będzie, — dalibóg — wyśniło się, jak Pana Boga kocham! wyśniło...

Przygodna moja towarzyszka, służąca sąsiadów, bo moje domownice musiały zostać „przy panu”, przybrała pełną godności postać, chcąc widocznie, z miejsca, odebrać młodzieńcowi nadzieję wyśnionego snu. W dalszej drodze złapała nas, w szczerem

polu, sroga burza i, zmoczone do nitki, stanęłyśmy dopiero o 6-ej po południu pod furta klasztorną.

Nocleg w miasteczku, niby w arce Noego.

W pokoiku, na którego podłodze rzucono nam garść słomy, wszystkiego po parze: i kurcząt i gąsiątek i królików i myszy i wszelakiego insektu, niegodnego wspomnienia. A szukanie miski do mycia narobiło rwetesu niebywałego, nawoływań, bieganiny po całym domu Marysi, która z izby wpadała do korytarza, z korytarza do kuchni, z kuchni leciała do spiżarni, ze spiżarni z powrotem do gościnnej stancji, pod bufetem ginęła, a wszystko na próżno. Miski nie było.

Jak ofiara, to ofiara. Znak Krzyża Ś-tego i spać na słomę.

*

Pp. Lutosławscy nie omijali naszego domu. O nim trzeba by pisać cały osobny rozdział, i może to jeszcze kiedyś zrobić. Kochana pani Sophia, z którą serdeczna łączyła mnie sympatja, bo to i czysta dusza, i piękny dzielny charakter, zachwycała nas żarliwością miłości dla Polski, chowając słodkie dziewczynki swe w kulcie dla niej. A najmłodsza, śliczna hiszpaneczka w typie, staczała walki z żydziakami na plantach „w obronie Chrystusa”, jak nam z rumieńcami na buzi i iskrami w oczach opowiadała, wracając z boną ze spaceru.

Bywali w poniedziałki: pp. Ludwik Michałowski, miłośnik sztuk, Rongier, lektor Wszechnicy Jagiellońskiej, Feliks Jasiński, pan na wielkich artystycz-

nych zbiorach. Początkowo dość często Leon Wy-
czółkowski, który się później zagubił. Stanisławski
Jan z żoną, inteligentną miłą kobietą, redaktor „Cza-
su”, Rudolf Starzewski, Konrad Rakowski, krytyk tea-
tralny, prof. Baudoin de Courtenay, prof. Szajnocha,
Jerzy Żuławski,—komedjopisarz z żoną, Jan Bełci-
kowski, Smosarski, młodzieńcy wówczas literaci.

Aktorzy, wogóle, trudni do stosunków towarzy-
skich, nie mając na nie czasu. Ale bywali u nas:
W. Walewski, Andrzej Mielewski, Michał Tarasie-
wicz, Maksymiljan Węgrzyn, Aleksander Zelwero-
wicz, który przedstawił nam swą żonę, istotę o bardzo
dystygowanej duszy, i Marjan Jednowski z Eusta-
chym Kotarbińskim na obiadach w niedzielę. Przycho-
dziły w poniedziałki panie: Wanda Siemaszkowa,
Władysława Ordonówna, Stanisława Wysocka, Ja-
dwiga Mrozowska, Helena Sulima. Czasem, na ze-
braniu koleżeńskim u nas do 30 osób obsiadało stół.
Zawsze bez wina, i zawsze mimo to humory dosko-
nałe. Nie perliły się szampany, ale przepełnione były
zebrania życiem, dowcipem i niefrasobliwą pogodą
w koleżeńskim kółku.

*

Wszyscy wymienieni drodzy nasi przyjaciele, życzy-
liwi i znajomi — byli to ludzie, od których doznawało
się tylko dobrego. Gotowi do rady, pomocy, przysługi.
Toteż, jeżeli były przykrości, spływały. Życie było
piękne, pełne pracy i miłych potem chwil odpocz-
nienia.

Za wszystko Panu Bogu chwała, ludziom wdzięczność do ostatniej godziny życia.

W programie moim leżało, aby nasz dom, w Krakowie, był niejako przystanią dla warszawian, z którymi zawsze oboje czuliśmy się związani, więc nawet ci, którzy nie bywali w Warszawie, odwiedzali nas w Krakowie, podczas zjazdów; zwłaszcza na uroczystości narodowe — to już mieliśmy ludzi całe zastępy.

Zabawny incydent zdarzył się właśnie z tego powodu przy uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Przyjechał na nią, między innymi, z Moskwy, prof. tamtejszego uniwersytetu, Roman Brandt. Dla osób z Warszawy u nas punkt zborny. Wpada rano jeden z nauczycieli szkół warszawskich, ugodowiec, i prosi nas, żebyśmy i tego Brandta przyjęli. Pierwszy to raz spotyka nas taka propozycja. Więc się wahamy.

— Przyjechał z Moskwy oddać hołd naszemu poecie. Zna polski język, jest jak najżyczliwiej dla naszego narodu usposobiony, — objaśnia nas jego protektor.

— Niech pani Moskala nie wpuszcza, — mówi mi obecny przy tej rozmowie, nieubłagany na tym punkcie, co zresztą z nim podzielałam, redaktor Beaupré.

— Ale cóż z nim zrobimy? Jest z nami razem. O 5-ej wszyscy będziemy u państwa. Jakże mu powiemy, żeby sobie poszedł i dokąd? — nalega ugodowiec.

Józef decyduje:

— Niech przyjdzie — trudno!

Mały, z długimi włosami, niepozorny moskalina, łagodnie uśmiechnięty — jest. A skoro już jest, to mu „włos z głowy spaść nie może”. Wieczorem wspólna biesiada w Saskim hotelu.

Więc, na wszelki wypadek, otaczamy go opieką. Dr. Kryński sadza go przy sobie, zaczynają się przemówienia. W którejś kolei wstaje nasz pupil i pali po polsku mowę, którą kończy wspomnieniem: „Najmiłościwszego, panującego nam, naszego ojca i cara, darzącego nas wszystkich łaskami” i życzeniem, „aby jak najszybciej ścichł świst knutów, a zapanowało braterstwo między dwoma narodami”.

Robi się rumor odsuwanych krzeseł, szum i tupot kroków 40-tu ludzi, którzy opuszczają salę gremjalnie.

To Sokoli krakowscy manifestacyjnie wychodzą. Moskał nic nie zrozumiał, ani sensu czy bezsensu tego, co powiedział, ani groźnego poszumu, jaki powiedzeniem swem wywołał.

Ale dr. Kryński z p. Rakowskim korytarzami hotelowymi uprowadzili biednego Brandta inną drogą, dla uniknięcia spotkania z Sokołami, którzy próżno nań czekali u właściwego wyjścia, chcąc go doku mentnie przekonać o antibraterskich swych uczuciach. Uniknęło się zasłużonej awantury, kłócej jednak powagę chwili.

Potem jeszcze przyszedł nas pożegnać i zdążył opiewać sławę Murawiewa, chlubiąc się postawionym mu w Wilnie pomnikiem.

— U nas Murawiew ma imię „wieszatiela” — informuję go.

— Nu, tak, ale on tylko szlachtę wieszał...

— Panie Brandt, jest pan w domu szlacheckim, — powiedziałam, — a gdyby w tym domu było trzyletnie dziecko, to jużby wiedziało, że u nas Murawiew jest synonimem łotra.

Ale co z takim gadać. Nic nie pomogło. Zdziwił się nieco, a w parę tygodni przysłał nam swoją fotografię i fotografię Agni, córeczki jedynaczki, sieroty, bo oboje ich opuściła matka, uciekając z oficerem „w Kawkaz”. Rozbrajający był swą naiwnością. Oryginał mowy, którą mi wręczył, oddałam p. Leopoldowi Méyetowi, a p. Beauprè nic mnie nie żałował — i słusznie.

*

Jubileusz 500-letni istnienia Wszechnicy Jagiellońskiej był wspaniały. Byliśmy rano w mieszkaniu p. Jerzego hr. Mycielskiego, skąd widok cały na Rynek. A kiedy z Marjackiego kościoła, wśród dzwonów, w blaskach słonecznych promieni, wyszedł pochód, a pod baldachimem, kapiącym od złota, kroczył w purpurze i gronostajach, w birecie i berłem rektorskim w ręku, Stanisław hr. Tarnowski, to była istotnie taka powagi pełna chwila, że wzruszenie tamowało oddech. Pro-rektor szedł z królewskim majestatem. A za nim delegacje nie tylko wszystkich uniwersytetów europejskich i zamorskich, ale olśniewały przepychem szaty chińskie o słonecznych blaskach, japońskie kimona, mieniające się złotem i szafirem.

A za gośćmi wszyscy nasi rektorowie, profesorowie, uczeni, dygnitarze miejscy, funkcjonariusze państwowi. A potem biel i czerwień sukman chłopskich — i rogate czapki, i pawie pióra, i młodź włościańska, którą rektor powitał uchYLENIEM biretu.

Jeszcze na Rynku Krakowskim snuł się pochód długim korowodem, kiedy pierwsze jego szeregi potężnym, pełnym powagi głosem witał Zygmunt, dzwon Wawelski. Święto uroczyste kończyło przedstawienie w teatrze, o którym można powiedzieć: „Wiele hałasu o nic“, bo wziął je w ręce „Komitet“. Oczywiście, pracy, zamętu, niepokoju narobił moc, a całość — nie zupełnie świetnie wypadła.

Ale za to — po teatrze przyjęcie u pp. Stanisławostwa hr. Tarnowskich, na Szlaku, wielkopańskie i piękne w całości, jak marzenie.

W holu — sto świec przegląda się w pancerzach, stojących w stal i żelazo okrytych rycerzy, błyszczą tęcze w starych kryształach świeczników. Dostojni gospodarze witają gości u progu domostwa. Ogród oświetlony lampionami. Z pod starych lip dochodzą dźwięki orkiestry. Na tarasach cudne damy w pięknych strojach i klejnotach, na piętrze skoczne tony i mazur posuwisty a huczny oberek.

To młode towarzystwo najpiękniejszych pańien i najlepszych tancerzy popisuje się narodowymi tańcami przed — cudzoziemcami. Całość, jak w bajce.

I myśmy tam byli, miód i wino pili...

Ale dość kanwy, teraz trzeba dać dokumenty: czy i jakie potrafiło się na niej wyszywać ściegi.

SPEŁNIENIE MARZEŃ.

Konkurs na wzięcie w dzierżawę Teatru Krakowskiego rozpisany.

Józef stanął jako kandydat, czemu nie sprzeciwiała się opinia ani najbliższych przyjaciół, ani dalszych znajomych, ale co, oczywiście, było ryzykowne.

Po sześciu latach męczarni w stosunkach teatralnych, po ostatnich zwłaszcza, prawie bezczynnych na scenie — Józef rwał się, palił do roboty.

O dostaniu teatru śnił.

— Jeśli dostaniesz teatr, pójde pieszko do Częstochowy, podziękować Matce Boskiej za spełnienie twych marzeń.

Tymczasem czekała Józefa inna pielgrzymka, konieczna i słuszną. Musiał Ojcom miasta przedstawić się, nakreślić, mniej więcej, plan swych zamierzeń i polecić się ich względom.

Przyznać należy, że, chodząc tak od pana Radcy do pana Radcy, przyjmowany był uprzejmie prawie wszędzie, a nawet spotykał się z niekłamana życzliwością. Dla sprawiedliwości dodać należy, że kilka życzliwych kobiet wzięło się dobrowolnie i bardzo łaskawie także do agitacji za Józefem, i że mam prawdziwą wdzięczność' szczególnie dla pań: Redaktorów

wej Michałowej Chylińskiej, której mąż w „Czasie” popierał kandydaturę Józefa, mimo silnego, z innej strony, kontradziania w tym kierunku; doktorowej Kohnowej, w której mężu miał Józef prawdziwie życzliwego, a był to człowiek szanowany wśród kolegów Radców miejskich, i Faustynowej Jakubowskiej, od której ja znów doznawałam dowodów sympatji, a mąż jej, znany i ceniony adwokat, zasiadał w Komisji teatralnej. Rozgrupowanie było bez zarzutu i działanie, jak się okazało — skuteczne.

Oczywiście, nie wymieniam tu najbliższej z nami żyjących kobiet, o których już pisałam, a z których każda w swem kółku urabiała koło nas życzliwą atmosferę.

Pozostawało już tylko czekanie. Czerwiec, cudny miesiąc, pełen narcyzów, róż i jaśminów, roku 1899, miał rozstrzygnąć dalsze nasze losy.

Co się u nas działo w dniu głosowania — nie opisać.

Nie spaliśmy od świtu. Nie pili, nie jedli. Nie siadali. Serca biły. Twarze pały. Dom był pełen życzliwych, których nam nie brakowało. Każdy z nich niecierpliwił się, chodząc od okna do okna... i wyczekując wieści...

— Nareszcie!

Jakiś „fiakier” skręca w ulicę Pańską wprost naszych okien, ktoś z niego wyskakuje. To pan Jan Mikucki. Dorożkarska szkapą nie dość prędko go niosła... pędzi więc pieszo, wpada zdyszany i oznajmia on pierwszy: „Prawie jednogłośnie wybrany — Józef Kotarbiński”.

Nazajutrz zaczynam się zbierać do drogi.

— Jakto, to ty, Lucuchno, naprawdę chcesz iść pieszo? Możebyś jednak pojechała koleją. Taki szmat drogi, same kobiety, zmachacie się, nie dojdziecie, drogi nie znacie.

— Widzisz, Józeczku, żeby sprawa była z ludźmi, to możeby się dała jakoś obejść, coś sobie z nią poradzić. Ale z Panem Bogiem niema żartów. Lepiej nie zaczynać — słowo się rzekło. We środę idę.

Ranek był chmurny. Mimo to, na umówionem miejscu Plantów, wprost pomnika Rejtana, zeszyliśmy się punkt o szóstej rano. Trzy panie i trzy służące. Czcigodna, nie żyjąca dziś, pani Strażyńska, jej córka, pani Wanda Seroczyńska, i ja. Nasze domownice — Marysia, Andzia i Zosia.

Jednakowo objuczone, z przytroczonemi do pasków niewielkimi węzełkami, maszerowałyśmy prosto na Bronowice.

Ociekając wodą od letniego gęstego kapuśniaczku, weszłyśmy w progi domostwa państwa Włodzimierzostwa Tetmajerów na pierwszy postój.

Gorąca herbatka, nieco powierzchownego osuszenia się — i dalej na Ojców do Skały na nocleg.

Droga kamienista, brzegiem potoku, koło Ojcowa twarda. Nogi dobrze ją czuły. Tak, że doszedłszy do miasteczka, nadrabiając już miną, jako nie było wolno wśród drogi ani narzekać na zmęczenie, ani ujawniać żadnej dolegliwości, skrzętnie zaczęłyśmy szukać miejsca na noc, co okazywało się zupełnie niemożliwe. W Skale nigdzie przenocować nas sześciu — nie mogli. Należało wracać do Ojcowa, który już był

poza nami. Miny zrzedły. Odpoczynek oddalał się. Ale, rada w radę, wytłumaczyliśmy sobie, że na-przód tylko, wobec „pieszego ślubowania“, nie wolno jechać, ale cofać się można bez grzechu.

Więc dopadamy pierwszego pustego wozu i rzuca-my się weń, jak worki z kartoflami, prawie bezwładne. Dowozi nas do hotelu w Ojcowie. Chwalić Boga.

Pod tym „Łokietkiem“ nie pijemy ani herbaty, ani mleka, ani żadnej rzeczy, która jego jest, — zimne kompresy na pałające nogi i... spać.

Trzy mile najuciąźliwsze, bo pierwsze, za nami. Przed nami — co Bóg da. To ulewa, to upał. To ścieżka w cieniu, to moczarki, wzmożone po deszczu. To plebanja czasem z gościnną, a czasem mniej gościnną gospodynią, zwłaszcza kiedy ksiądz proboszcz nieobecny. To chata i mleko za — „Bóg zapłać“. To zamek z majdanami i strażnicami w Pilicy. To w jadłodajni najprzedniejszy, wybrany przez gospodarza, kieliszeczek — z muchą na dnie, przylepioną tam od wieka. Ale w drodze ktoby tam na nią zważał. Znak Krzyża na piersi, wódka dla rozgrzania po ulewie — w gardle, a mucha na dnie. Jak była, tak została. Idziemy dalej.

Niebo się uśmiechnęło. Z cudnych ruin Olkusza, zda się, że w ciszy południa dochodzą ukryte prastare szmery skrzydlatej husarji, która przez łuki bram wkraczała, po odparciu wroga, w dziedzińce obronnego zamczyska — na wypocznienie. A w za-jeździe słoma pod nami chrzęści od spacerów robactwa, a pijawki wyglądają nad naszymi głowami ze słoja, w umizgach dość kokieteryjnych.

Toteż rankiem — nie w zajeździe, lecz w życie zmieniamy bieliznę. W pierwszej napotkanej strudze zdjętą pierzemy i suszymy na patykach, przerzuconą przez ramię.

Humory wyśmienite. Już 8 mil za nami. Już trzynaście, siedemnaście, już tylko wiorsty przed nami.

Aż naraz, dnia czwartego, w sobotę, kiedy po deszczach mgły i opary zasłaniały niziny, ze wzgóрка ujrzałyśmy, jak zjawę, niby fatamorganę, odciętą, zda się, od ziemi, a kreślącą się na niebie — wieżycę Jasnogórskiej Świątyni.

Wzruszenie nas ogarnęło. Służące płakały. Ugięły się kolana i po chwili skupienia, po rozmokłej gliniastej drodze, z pieśnią nabożną, ledwie dźwigając ciężkie, oblepione nogi, idziemy jednak prędko, coraz prędzej, pod samą górę klasztoru.

Już dochodzą nas dźwięki muzyki.

Poważne akordy kołyszają do snu Matkę Bożą. Wchodzimy do kaplicy. Naród leży krzyżem. Ja toruję drogę. A kiedy, wybierając ścieżkę, jedną nogą przepływam przez leżącego włościanina, w tej samej chwili ten się dźwiga... W przerażeniu chwytam go za kark i szepczę: „Leż, dopóki nie przejdę, przyjacielu”.

Tak to zaprezentowałam się przed obliczem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wypadek ten narazie nas rozśmieszył, ale nie zmniejszył żarliwości naszych dusz.

Wtulone w zakątek kaplicy, myślą odeszłyśmy od ziemi, zrobiło się pusto koło nas. Otoczyła nas cisza. Wychodziłyśmy ostatnie z tego miejsca ucieczki dla cierpiących, przybytku łaski dla ukojonych, zostawia-

jąc w ciemnościach jedną czerwoną lampkę, wieczyście rzucającą krwawe światło na setki serc srebrzystych, składanych z radosną podzięką za wysłuchane modły, lub z jękiem, ranami, bólem i prośbą o zlitowanie.

*

Do podjęcia pracy w teatrze na samodzielnem stanowisku — mieliśmy zdrowie, siły, zapał, fantazję, wiarę w pomoc Bożą i ludzką niezachwianą, humor i pogodę niewyczerpaną, płynącą z radości życia. Józef miał niezrównaną miłość dla sztuki, twórczości polskiej i teatru.

Ale... na zaczęcie imprezy teatralnej nie mieliśmy ani grosza. Mieliśmy natomiast przyrzeczenie kapitału przez zamożnego i doświadczonego człowieka, który, pożyczając nam pewien fundusz zakładowy, wchodził do interesu, jako wspólnik, znając warunki pracy i przedsiębiorstwa doskonale.

— Była umowa spisana?

— Nie. A po co?

Czyż nie wystarcza, między uczciwymi ludźmi, ustne przyrzeczenie?

Spaliśmy spokojnie.

Ale w przededniu zaczęcia faktycznej roboty, wróciwszy z miasta, mówię do męża:

— Wiesz, spotkałam Iksa. Coś było jednak dziwnie, bo tak wyglądało, jakby mnie nie chciał widzieć. Nie ukłonił mi się. Może mi się zdawało.

A właśnie ten Iks, znakomity aktor, miał nazajutrz

o 10-tej rano przyjść pierwszy do podpisania kontraktu i wziąć pierwszą zaliczkę na ferje letnie.

— Napewno ci się zdawało.

— Zdawało mi się, naturalnie, że mi się zdawało.

Obiadek zjadamy pogodnie. Józef idzie na drzemkę. Ja, czując jeszcze trochę tylko co przebytych 18 mil pieszo — odpoczywam.

Dzwonek. Pan ten i ten. Prosić...

Wstaję. Witam kapitalistę, ze świecącą szpilką w krawacie i błyszczącym pierścionkiem na bardzo brzydkim palcu.

— Niech pan siada — proszę.

— Ja właśnie przyszedłem państwu powiedzieć, że cofam mój kapitał.

Piorun, gdyby upadł w tej chwili koło mnie, napewno mniejsze zrobiłby na mnie wrażenie.

Jednocześnie przypomina mi się chwila, kiedy, idąc borem, lasem, towarzysza moja, p. Wanda S., spytała mnie, czy mamy swoje pieniądze na teatr. A kiedy jej powiedziałam, czyje mamy, odpowiedziała:

— Szkoda, przecież znalazłyby się może inne, niepotrzebnie się wiążecie z panem tym i tym.

Więc palę:

— Jednak mieli rację ci, którzy nas ostrzegali, żeby się z panem nie wiązać.

— Jak pani może mi taką rzecz powiedzieć — ofuknął mnie urażony jegomość.

— Ja panu jeszcze coś powiem, czego pan musi nie tylko wysłuchać, ale co pan musi natychmiast wykonać: Za drzwi!

Wyszedł.

I teraz co?

A kiedy biedny Józef, obudzony z drzemki, dowiedział się, dlaczego jestem blada, najpierw poczerwieniał, a potem... potem oboje przeżyliśmy niezapomnianą noc, bez zmrużenia oka.

Bo jak tu nawet komukolwiek przyznać się, że, biorąc na barki taki ciężar, jak prowadzenie teatru, nie przygotowaliśmy się do tego ani groszem zapasu. A starań w tym kierunku nie oszańcowaliśmy jakąś umową na piśmie, gwarantującą jej moc.

Lekkoduchy, nie zasługujący nietylko na współczucie, ale wprost śmieszni ludzie. A przecież jedno ma czterdzieści kilka lat, drugie trzydzieści kilka, i żadne nie ma tyle zdrowego rozsądku, żeby zrozumieć, że ten „świat ułudy” stać jednak musi na rzeczywistych fundamentach kapitału. To sobie uprzytamniamy i rozpacz nas ogarnia coraz większa.

Mąż mój umiał zajadle pracować, ale nigdy nie liczył, ile mu ta praca daje. Stosunki swoje zawsze, w każdym teatrze, tak formułował: „Ile możecie, tyle mi dacie” — dawali mu też zawsze mniej, aniżeli był wart. Targów nie znał. A że ja miałam zasadę: ile będzie, tyle wystarczyć musi — i wystarczało, więc stosunek nasz do pieniądza był niesłychanie uprzejmy, ale dość obojętny.

Nie wyrzucaliśmy grosza, jak kapitaliści, ani za drzwi, ani za okno, ale w całym naszym życiu nie odgrywał on *nigdy* pierwszych skrzypiec. Jednak to zetknięcie bliskie, które nie miało być ostatniem, z brakiem pieniędzy, było przebudzeniem z idylli naszych pojęć w tym kierunku. Toteż pełnym przerażenia

wzrokiem patrzył mój mąż na mnie, szukając w mej praktyczniejszej życiowo naturze — ratunku.

O 8-ej rano wyszłam z domu, kierując kroki do p. Wandy S., mojej towarzyszki z pobożnej wyprawy.

Trzy razy podnosiła się i opadała mi ręka wyciągnięta do dzwonka. Serce truchlało. Żegnałam się. Mówiłam „Zdrowaś Marjo” bez końca, automatycznie. Nareszcie stało się — zadzwoniłam.

Służąca mnie zameldowała.

— Co pani jest? Taka pani zmieniona.

— Enen wczoraj odmówił pieniędzy na teatr, a dziś na 10-tą oznaczone podpisywanie pierwszych kontraktów.

Wyszła.

Słyszałam otwieranie szufladki.

Wróciła.

— Tu jest książeczka do powiatowej Kasy Oszczędności, na okaziciela. Jest 5.000 guldenów. Na razie nie mam w domu więcej.

Ani słowa nie wymówiłam. Gardło miałam ściśnięte.

Książeczkę chwyciłam. I, żaden aeroplan nie byłby mi dorównał w biegu do domu z oznajmieniem tej wieści Józefowi. A potem z domu do Kasy, aby podnieść 3.000, które, narazie, zupełnie nas ratowały i były jedynym z tego źródła podniesionym groszem, zwróconym zresztą bardzo szybko, z zaczęciem sezonu. W drodze powrotnej z Kasy, spotkałam jeszcze panią dr. Dłuską, bardzo nam życzliwą kobietę, która, dowiedziawszy się o naszych kłopotach, powiedziała:

— Mam na nasz interes (stawiali sanatorium dla piersiowo chorych w Zakopanem) złożone listy zastawne na pokrycie akcji udziałowców. Nie mogę ich ani sprzedać, ani zastawić dla pani. Ale może je pani zanieść do kasy ogniotrwałej w Teatrze, niech sobie tam leżą. To może dobrze zrobić.

Listy wzięłam. Zaniiosłam. W kasie złożyłam.

O 10-ej rano Józef przyjmował pierwszego pana Iksa, znakomitego artystę, i wydawał mu kwit do kasy na żądaną zaliczkę. Paka listów zastawnych efektownie prezentowała przy otwieraniu kasy — naszą zamożność. Zrobiły swoje.

Wieczorem już wszyscy, interesujący się teatrem, a takich było dużo, *wiedzieli*, *wiedzieli napewno*, że mamy pieniądze, i to grube.

— Liścików własnych nie chciało się ryzykować. Niby to niema pieniędzy, stąd pozorne szukanie wspólnika, tere-fere (wtedy jeszcze nie mówili „hocki-klocki”), znamy się na tem.

Tak się zakończyło pierwsze spotkanie spełnionych marzeń z rzeczywistością.

DLACZEGO „MY”?

Dopóki pisałam o domu w Warszawie czy w Krakowie, było zupełnie naturalne, że używałam formy: „nasz dom i my”. Z chwilą, kiedy zaczynam pisać o teatrze, prowadzonym przez mego męża, może wywołać zdziwienie, że mówić będę znów: *my*. Winnam się wytłumaczyć, dlaczego, pisząc moje wspomnienia, używam zawsze liczby mnogiej. Przecież nikt nie myślał o mnie, głosując za Kotarbińskim i oddając mu do prowadzenia Teatr Miejski Krakowski. Ale, Kotarbiński myślał o mnie, starając się o objęcie Teatru Krakowskiego. Dlaczego?

Dlatego, że znał, aż nadto dobrze znał, wszystkie moje ujemne strony, ale znał także moją pracowitość i obowiązkowość, wiedział o moich pewnych praktycznych zdolnościach. Był w wielu razach człowiekiem z innego świata. Ale się orjentował, że potrzebna mu pomoc kogoś, ktoby w równej mierze tak po niebie, jak po ziemi, gotów z nim iść. Kogoś, ktoby myśl jego wyczuł należycie i czuwał nad nią, gdy ją zacznie w czyn przyoblekać, kogoś, ktoby był mu życzliwy bez zastrzeżeń, w kogoby wierzył i komuby ufał, że zawsze będzie z nim szedł solidarnie.

I... obrał sobie mnie.

Zresztą, wszystko u nas, od początku naszego świata, robiło się zawsze *razem*.

Więc rzucam szkołę, którą bardzo lubiłam, bo, mimo wyrzutów sumienia, była mi słodka, jak to bywa z każdym grzechem, zapisuję się do Towarzystwa Służby Technicznej w Teatrze, którą organizuję i wykonuję pracę znów *razem*.

Ustrój teatru, od strony stanowisk i czynności zawodowych, administracyjnych i technicznych, był u nas następujący.

Dyrektor — odpowiedzialny za wszystko.

Sekretarz — prawie równoważna osobistość, bo wykonywa zarządzenia dyrektora, oczywiście, bez moralnej za nie odpowiedzialności. Administracja, a więc kierownik biura — buchalter i kasjer.

Wszystkie te zajęcia — popołudniowe. Kasjer, sprzedający bilety, szanowany przez nas p. Berwald, w kasie teatralnej — cały dzień. A dalej: dekorator, malarze, maszyniści, których jest kilkunastu, elektrotechnicy, inspicjent, rekwizytor, tapicer, chłopcy do pomocy, krawiec z pracownią krawiecką. Fryzjer, garderobiane — za sceną i garderobiane w szatniach, woźni wewnętrzni i nazewnałrz, słowem — sztab olbrzymi, jest o czem myśleć. Oczywiście, to wszystko jest tylko tłem dla jedynych prawdziwych władców na terenie teatru: artystów.

Pracy jest dużo i, kto chce ją spełniać sumiennie, nie zna wypoczynku, stojąc na stanowisku kierowniczem. Józef Kotarbiński nie był dyrektorem od parady. Najzupełniej świadom swych celów, wiedział, czego chce, i konsekwentnie dążył do wykonania programu z nieubłaganą stanowczością.

Repertuar prowadził samodzielnie, bez niczyich ani rad, ani podszeptów. Zresztą, niktby tego tak jak on poprowadzić nie potrafił, bo nikt w teatrze, a nawet mało kto poza nim, znał i śledził tak literaturę dramatyczną, jak robił to on. Czytał wszystko, co było sprowadzane, nadsyłane, wydane i niewydane. Omawiał z autorami, często godzinami, dane mu do czytania sztuki. Tłumaczenia poprawiał. Wszystkie arcydzieła, jakie wystawiał, oprócz „Dziadów”, sam inscenizował. A nawet w inscenizacji „Dziadów”, dyskusje z Wyspiańskim, dotyczące ogólnej inscenizacji, zajmowały liczne wieczory i popołudnia. Na próbach bywał. Do Wiednia i Berlina jeździł na ważniejsze premjery. Olbrzymią prowadził korespondencję z autorami. Z dekoratorem omawiał wszystkie większe wystawy dzieł stylowych i arcydzieł literatury naszej i obcej.

Obsady sztuk robił z autorami, o ile byli obecni, z reżyserami zawsze, bo wierzył w dodatnie strony pracy zbiorowej. Dlatego to każde wystawienie wielkich dzieł poprzedzały u nas zebrania nie tylko zawodców, znawców, ale i miłośników teatru, co dawało wyborne rezultaty.

Czy, mając to wszystko w programie, mógł jeszcze zajmować się tysiącem drobiazgów, związanych z fachową pracą przy teatrze? Pomoc miał w każdym kierunku: p. Hipolit Wójcicki, to była w swoim rodzaju znakomitość, jako sekretarz. Dyrektorowie się zmieniali, on trwał. Zawsze na tem samym miejscu, z tym samym spokojem i uśmiechem, z którym umiał jednak, gdy było trzeba, dać odprawę natrętowi. Zawsze gotów do dobrej rady, dyktowanej życzliwością

i doświadczeniem. Zawsze pełen taktu i zdrowego sądu o wszystkich i wszystkim, co dotyczyło teatru i spraw z nim związanych. Ale też obarczony obowiązkami bardzo licznymi i rad, jak mu ktoś w robocie dopomógł.

Dekorator, krawcy, fryzjerzy, rekwizytorzy, to wszystko wykonawcy strony technicznej, które omawiano z dyrektorem artystycznym i z administratorem, bo wydatki musiały się zmieścić w budżecie. Ale dopiero reżyser to wszystko koordynował, a artyści tchnieniem twórczych talentów ożywiali i wprowadzali na scenę.

Co ja tam robiłam?

Najpierw, bacznie się wszystkiemu przypatrywałam. Widziałam to, co widzieć należało, pytałam, słuchałam i, w imię Boże — zostałam najliteralniej: chłopcem do posług, bo uważałam, że tego stanowiska brak i że, zajmując je, mogę najbardziej wszystkim być użyteczna, jeśli, oczywiście, okażę się zdolnym chłopcem.

Spełniałam polecenia męża, administracji, reżyserów, sekretarzy, krawca, tapicera, z gotowością do usług, dla dobra całości.

Z początku chwiejnie, nieśmiało. Bo, aż do chwili objęcia teatru przez mego męża, za kulisami byłam zaledwie parę razy. Ale tu już były zgola inne warunki. Józef Kotarbiński stanął na czele placówki, na którą, w pewnych zwłaszcza chwilach, cała Polska zwracała oczy. Pracy miał, w niektórych kierunkach, nad siły. Wiedziałam, że materialne zobowiązania są duże. Podpis mój był na kilku większych wekslach.

Zanim się rozejrzałam w warunkach obcego mi całością a skomplikowanego już interesu, spostrzegłam, że łatwo było wyjść z niego z życiem, ale — bez honoru, gdyby na wszystko nie miało się baczego spojrzenia.

Do reasumowania w ciszy syntezy ducha Wyspiańskiego byłam mężowi niepotrzebna. Pomagałam — jeśli nie przeszkadzałam.

Ale, do wydawania na świat dzieł, przez mego męża kwalifikowanych na scenę, do czego trzeba setek technicznych drobiazgów, do załatwiania różnych spraw nazewnątrz teatru, mogłam być i użyteczną, i potrzebną.

Sześć lat byłam niemal cały dzień w teatrze, bo bywałam tam nieraz z chwilą, w której się życie zaczynało, do chwili, w której wszystko milkło, cichło, gwar ustawał, światło gasło. Dyżurny strażak z latarką wracał z widowni za kulisy, po obejściu wszystkich kątów, i drzwi żelazne ciężko się za nim zapadały. Mała lampka bezpieczeństwa, gdzieś u stropu sceny, sennie mrugała, stróż, głośno ziewając, pobrzękiwał pękiem kluczy... Wtedy, my z mężem wychodziliśmy — ostatni.

Pilnowałam gospodarczego ładu. Widziałam każdą w kącie pajęczynę i muchę w niej złapaną. Tropiłam mole i myszy. Pilnowałam dwu zer, żeby były czyste i przewietrzone. Z szybkością błyskawicy biegałam po 4-piętrowym gmachu od poddaszy, mieszczących szatnie i pracownie krawców, do suterenu, gdzie były różne składy i oranżerja. Pod sceną bywałam nieraz obejrzeć, czy, dajmy na to, na łożu Ariela nie powiędły

papierowe róże i czy nie trzeba ich zastąpić świeżemi. Pilnowałam naszej pracy skrzętnie i sumiennie. Biegałam, jak sztafeta, do magistratu i do banków, do prezydenta, radców miejskich i lichwiarzy. Z pod ziemi wydobywałam często pieniądze, kiedy ich było brak do zapłacenia gaży. W razie pilnej potrzeby podpisywałam weksle, rewersy i obliczałam procenty, co mi przychodziło z trudem, bo nie umiem tabliczki mnożenia, ratowało mnie jedynie dość szybkie dodawanie. Widziałam czasem coś, czego musiałam udać, że nie widzę, bo to najspokojniej załatwiałoby sprawę nie do załatwienia.

Kiedys mówiłam mężowi:

— Musiałabym chyba wyjść za niego, chcąc go dopilnować. Chcesz? bo to jedyny sposób na kontrolę.

Na szczęście, mąż mój nie chciał tego, a ja pracowałam dalej zawzięcie i gorąco, utrzymując niezachwianą równowagę i humor.

O mężczyźnie, któryby to robił, z równym zapalem i wytrwałością mówionoby: „dzielny pracownik, nieoceniony robotnik“. O mnie mówiono często: „we wszystko się miesza“ i jeszcze: „poco się ona miesza?“

Słyszałam to, ale czułam się potrzebną mężowi.

To jedno rozstrzygało mój kąt widzenia.

Z reżyserami zawiązał się miły, koleżeński stosunek. Po jednym, drugim, pomyślnie załatwionem ich zleceniu, nabrali do mnie zaufania, że mogą na mnie liczyć, tem więcej, że ani trochę nie chodziło mi o jakiegokolwiek ujawnianie nazewnałtr osobistych w tym kierunku wartości. Z początku bez końca pytałam o wszystko, a kiedy się zorjentowałam, w czym, kiedy

i gdzie mogę komuś naprawdę ulżyć w pracy — poszło wszystko gładko.

Kłątwa, ciężąca do dziś na Teatrze Krakowskim, dawania premier co tydzień, takie tworzyła tempo w naszym życiu, że z oddalenia, mierząc ten rozmach, nieprawdopodobnem mi się często wydaje, że mogliśmy temu podołać wszyscy. Żeśmy podołali. I że mieliśmy czas, mimo to, i na życie towarzyskie, i na pójście na niezbędne bale czy rauty, i że mieliśmy przytem nieodstępny dobry humor i pogodę.

A jednak tak było, choć często nie było się z czego cieszyć.

Póki sztuka szła, dobrze. Ale niech nie poszła... A pensje płacić trzeba. Od czegoż wiara w pomoc Bożą i dobroć ludzką.

Nieocenione zasługi oddawały mi moje dobre i życzliwe znajome: p. Wanda Seroczyńska, p. Hala Prylińska i p. dr. Bronisława Dłuska. Jak w dym, szłam do nich. Pierwsze, miały swoją oznaczoną rentę na wydatki miesięczne, więc ani dużym, ani długim kredytem nie mogły mi służyć. A p. dr. Dłuska miała większe sumy w ręku przy budowie „Sanatorium dla chorych piersiowych w Zakopanem“, dlatego często na krótkie terminy mogła nam nieść pomoc bez żadnego dla siebie uszczerbku, wierząc, że terminu spłaty dotrzymamy.

Więc tych kilkaset złotych, których brakowało nie-raz do wypłaty gaży w terminie, znalazłam zawsze u jednej z nich. A potem, z każdego przedstawienia po 1-ym, czy po 15-ym, małemi ratami, zaciągnięte zob-

wiązanie się zwracało po to, aby, gdy znów zabraknie, powtórzyć tę samą manipulację.

Był to istny taniec Ś-go Wita z temi pieniędzmi. Czegoż jednak nie pokryje radość z odniesionego sukcesu na scenie.

Jeśli sztuka poszła, jeśli krytyka pochwaliła, a publiczność przyszła, ta dobra, kochana, inteligentna publiczność krakowska — o wszystkim się zapomniało i rozkładało skrzydła do nowego lotu dla dostarczenia jej ułudy.

Nominalnie należałam do służby technicznej, przez pierwsze trzy lata pracowałam zadarmo, potem administracja wyznaczyła mi 25 koron miesięcznej pensji, której, mówiąc nawiasem, przez ostatnie miesiące nie pobierałam, bo już nie było brać z czego.

Ale do tego czasu czego to się jeszcze nie narobiło? Bo miałam awans na pomocnika reżyserów.

Mąż mój dawał mi zawsze wśród tygodnia do przeczytania sztukę, która miała iść na tydzień przyszły. W niedzielę mieliśmy nieco wytchnienia. W poniedziałek zajęta byłam przed południem wyłącznie domem, po południu, od 5-ej do której Bóg dał, przyjmowałam gości. We wtorek szłam zawsze na spacer, najczęściej do pięknego, starego kościoła w Mogile, o kilka kilometrów oddalonego od miasta, sama, bo wtedy tylko można się było obrachować ze sobą, nagadać i poradzić z Panem Bogiem. We wtorek załatwiałam nigdy niewyczerpane interesy w magistracie — od środy już bywałam na próbach. Z reżyserem, prowadzącym sztukę, spędzaliśmy parę godzin na omawianiu mebli, niezbędnych akcesoryj i rekwi-

zytów do przedstawienia. Nieocenione usługi w tym zakresie oddawał nam pan Bąkowski, miłośnik sceny. Był jakimś urzędnikiem, ale miał ogromne zdolności rysunkowe i zręczność techniczną w wykonaniu niebywałą. Jakże on nam komponował świeczniki, lichtarze, szkatuły, zegary, wazy i t. p. przedmioty, które często w sztuce „grały” i na które musiała być zwrócona szczególna uwaga. Tak świetnie imitował według wzorów, w muzeach zaczerpniętych, stare okazy dzieł sztuki dekoracyjnej, że satysfakcja była ustawiać je potem na scenie. A te wszelkie drobiazgi miałam pod swoją opieką. Gromadził je p. Pion, rekwizytor zacny i cichy pracownik, w małym na to przeznaczonym pokoiku, i już o tych dopełnieniach wystawy reżyserowie nie myśleli, zdając to chętnie na mnie, z czego byłam bardzo zadowolona, bo rozmówienie w urządzaniu sceny rosło we mnie z dnia na dzień. Lubiłam to i pełniłam gorliwie podjęte obowiązki. P. Spitziar, dekorator poważny i solidny, z mężem tylko wyłącznie prowadził narady, o ile chodziło o wielkie wystawy, ze mną o pokoje, kolory tapet, ton malowideł i t. p.

Maszyński wszyscy byli chętni i życzliwi. Praca wewnątrz teatru ułożyła się i rozwijała w najlepszych koleżeńskich stosunkach.

„KORDJAN“.

25 listopad 1899 r.

— Kto to przyjdzie? Na raz sztuka. To my, panie dyrektorze, na to nie mamy pieniędzy. Leży gotowy grosz, jak migdał: „Kontroler wagonów sypialnych“ — a dyrektor nic, tylko „Kordjan“ i „Kordjan“. Do „Kontrolera“ nic nie trzeba. Wszystko się wysztukuje z tego, co jest, bez grosza prawie. A niech no się zacznie z tym „Kordjanem“! Będzie taniec, tylko nie wiadomo, skąd na to brać flotę.

Tak mówi administracja, czyli głos rozsądku, który jednocześnie jest opiekunem kapitału pożyczonego nam na lichwiarski procent od takiego podmiejskiego posesora, co to chodzi w czamarze i konfederatce, a na uroczystości w kontuszu i pasie litym, tylko że go nie zastawia, a nas łatwo może w różne zastawy wpakować lichwą, jaką od nas pobiera.

— A co mówi Wójcio? — pyta mój mąż.

— Na trzy razy, dyrektorze i... pas. w

Tak zwany Wójcio, p. Hipolit Wójcicki, sekretarz, którego cechy skreśliłam już w poprzednim rozdziale, w przewidywaniach powodzenia sztuki nie mylił się nigdy, był wyrocznią.

— Co robić! co robić! Jak ty myślisz, — pyta mnie mąż w domu.

— Twardo stać przy swoim. „Kordjana” dawać. Musi pójść.

I mogę bez zająknięcia w tej chwili mówić *my*, bo ja jedna, wbrew całej wewnętrznej opinii, byłam z Józefem, w sprawie wystawienia „Kordjana”.

Co było ruszać ramion! Co ironizowania! Co łamanie rąk i darcia szat! Co za ponure horoskopy! Ile najczarniejszych przewidywań klęski materialnej!

Zdawało się, że teatr zawali się, runie, bo dyrektor uparł się przy swoim i nie daje „Kontrolera”, a „Kordjana”.

Ale klamka zapadła. Role napisane. Rozdane.

Oczywiście, narady z dekoratorem, reżyserem, rekwizytorem, stolarzem, tapicerem, krawcem — bez końca.

Pierwszy raz, jak teatr istnieje, zaproszony jest do współpracy artysta - malarz, Włodzimierz Tetmajer. Odrazu daje różne doskonałe wskazówki. Czuwa nad kostjumami, mundurami. Największym i najtrudniejszym do rozwiązania szkopułem był plac Zamkowy i na nim szeregi wojska polskiego. „Tysiące żołnierzy, bagnatów tysiące”...

Prosto i pięknie rozwiązał artysta tę sprawę.

Dwa pierwsze szeregi przez całą szerokość sceny — statyści. Następne malowane. A że żołnierz Konstantego, wyprostowany jak struna, nie ruszył powieką bez rozkazu, rozkazów nie było, więc złudzenie nie zawiodło.

Na próbach gwałt, rwetes, gorączka, nieuchronna w tem tempie, jakie wywołuje zawsze pośpieszna robota na scenie krakowskiej. Praca trwa dniami

i nocami. Solski reżyseruje. Nie chodzi: fruwa, zda się, w powietrzu, jak tylko on to potrafił, jak wiatr, jak błyskawica. Szybki, zwinny, energiczny, w pracy niezrównany i niedościgły.

25 listopada 1899 r. premjera. Spitziar, dopiero na godzinę przed przedstawieniem, skończył malować żołnierzy. Stawiają. Fermy, to znaczy podstawy, za wysokie.

— Piłować! — niby grom, pada rozkaz reżysera i ratuje sytuację. Inaczej, ostatnie plany byłyby na wysokości drugiego piętra domów, bocznych ścian sceny. Garderobiane latają po korytarzach, jak oparzone. Wpadają i wypadają, jak pioruny, z garderób. Z widzów dochodzi szmer rozmów.

Wtem... dzwonek. Cisza. Kurtyna w górę. Już zaczęte.

„Zabił się młody... zrazu jakoś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu,
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone.
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę,
Jak kwiat liśćiami w niebo otwartemi
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia.
Myśl Boga z tworów wycytuję ziemi
I głazy pytam o iskrę płomienia.

Płyną strofy, jedno od drugich piękniejsze. Pieszczą, czarują, biorą słuchacza w posiadanie. Aktor staje się „myśli narzędziem, zegarem”... „całem sercem wsącza się” w rolę. Już niema Tarasiewicza, jest — Kordjan i jest publiczność wsłuchana z zapartym, zda

się, oddechem w to, co mówi ten młodzieniec-romantyk, pełen dziecięcego bólu, korny przed Panem, a pyszny przed ludźmi.

Akt się skończył.

Kurtyna zapadła. A na widowni niby w ulu. Ożywienie niebywałe. Rozmowy prawie głośnie. Józef w garderobie „robi” według portretu twarz Mikołaja I, jest bajecznie do jego portretu podobny. Jak sztafeta, biegnę do niego z dobrą nowiną, a jednocześnie pilnuję, aby „wazon, rżnięte z lamy, pełne były kwiatów”, „kobierce” rozkładane tam, gdzie należy. Wszystko w skupieniu, bo tu już wszyscy zawsze milkną.

Tapicer czasem zaklnie stłumionym szeptem i drapieżny wzrok utkwí w głupawym chłopcu-pomocniku — pozatem cisza. Kurtyna znów idzie wgórę.

Inspicjent w kulisie, z egzemplarzem w rękę, ołówkiem, niby batutą wskazuje czas wyjścia na scenę artystom kolejno, komu należy.

Kurtyna zapada. Oklaskom niema końca.

A mnie? mnie się tak strasznie zachciewa jeść, bo nic w ustach nie miałam od rana, że siły mnie opadają. I czuję, że jeśli nie wypiję kieliszka koniaku i nie zjem bułki z szynką — nie dociągnę do końca. Zmiana, w której nie mam nic do roboty, bo stawiają i śrubują podstawy Mont-Blanc, więc przeczekuję falę ludzi, wracających z foyer do teatru i, kiedy opustoszały korytarze, biegnę do bufetu, oczywiście, w fartuchu, z głową, zawiązaną w chusteczkę, w obronie przed kurzem. I kiedy już wracam, zającując upragnioną bułkę, na schodach spotykam pp.: Jerzego

hr. Mycielskiego, Stanisława hr. Tarnowskiego, Alfreda Szczepańskiego. Przedstawiają mi p. Dąbskiego i wynurzają moc powinszowań, pochwał, zachwytów, pod adresem mego męża.

Hr. Tarnowski mówi: „Niech pani podziękuje mężowi za szereg podniosłych i artystycznych wrażeń”. Hr. Mycielski prosi o wprowadzenie go za żelazne drzwi: „Chcę powinszować mężowi pani i Tarasiewiczowi”. Więc sezam się otwiera, choć rzadko kto dośępuje tego dowodu zaufania.

Kordjan — ze szczytu lodowca — czuje, że:

....o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.

Plac Zamkowy, o wiele lepiej skomponowany, niż to widziałam, w ulepszonem niby wydaniu, w lat dzieścię potem na scenie krakowskiej. Mielewski ma małą rolę, Nieznajomego, ale rzeźbi strofę — jest niezapomniany.

My weźmiemy win puhary,
By je w szklanny sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię
W piersi bije i załamię —!
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promień,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić.

Entuzjazm rósł z każdym zapadnięciem zasłony.

Spisek koronacyjny w lochach św. Jana, kulminacyjne i popisowe sceny Tarasiewicza:

Idźmy tam! i wypalmy ogniami na murze
 Wyrok zemsty, zniszczenia, wyrok Baltazara,
 Carowi niedopita z rąk wypadnie czara —
 A potem — Kraj nasz wolny! Potem jasność dniowa!
 Polska się granicami ku morzom rozstrzela,
 I po burzliwej nocy oddycha i żyje!
 Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą,
 A potem długą ciemność niewoli przemierzą,
 Siadą — i z wielkiem łkaniem zapłaczą, jak dzieci.
 I słyhać będzie płacz ogromny Zmartwychwstania.

A potem królewski zamek i „Strach” i „Imaginacja”, i widma, i djabły...

Było ślicznie, wedle możliwości. Ale oboje czuliśmy, że, gdyby było można wydać choćby jeszcze z tysiąc guldenów, to, idąc za wątkiem myśli poety, artysta-malarz i artysta-dekorator mogliby dopiero puścić wodze fantazji i stworzyć cuda.

Nie było można.

Kurtyna odsłania Saski Plac, stoi szeregiem żołnierz polski. Car Mikołaj I (Kotarbiński) i Wielki Książę Konstanty (Roman).

Tarnowski, pełen wzruszenia, zasłania oczy. W teatrze taka cisza, jakby oddechy zaparł ten obraz. Rozgrywa się piekielna scena. Między Kordjanem, jak z lodu, i wybuchającym wściekłością, huraganem nienawiści, Wielkim Księciem. Publiczność, po tym akcie, porwała się literalnie z miejsc. Wszystko to widzę przez dziurkę kurtyny i zaraz w garderobie Józczkowi melduję.

Scena więzienna:

Niech słowo Ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w to słowo wsiąknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery,
Nie będę z nimi!

O, zmarli Polacy!
Ja idę do Was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono,
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny,
Tak wam płacono.

Rozbrzmiewają słowa niby najcudniejsza muzyka,
wydobyta z ofiarnego ducha w godzinie przedśmier-
tnej — i spowiedź, z Przybyłowiczem, znakomitym
aktorem, który w postać księdza wlał całą miłość
Chrystusową:

Teraz, mój synu, przed wieczności drogą,
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

Nic.

I nikogo na ziemi?

Nikogo.

Nie byliż ludzie przyjaciółmi twemi?

Nikt.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!

Tak, bo człowiekowi pisane jest być samotnym. Ale
przepisane jest: nie być osamotnionym. Inaczej — jest
grzech.

W Zamku królewskim, Car Mikołaj I, piękny, jak
z bajki, z cudnemi oczyma i słynnem spojrzeniem, któ-
rem magnetyzował, monologuje:

Cóż to, na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w kącie pajak sidła zastawuje musze.



Pył — pył — ten pył mnie bawi, świadczy gmach odludny.
To gwałt na grobie wroga, Polska już ostygła,
Umarła i na wieki...

A potem tylko już plac Marsowy. Tłum i przed
plutonem żołnierzy — Kordjan w białej koszuli. Krzyk
wiernego sługi.

Przedstawienie skończono.

*

O takim moralnym triumfie dla Józefa nie marzy-
łam, nie marzyliśmy oboje.

Drugie przedstawienie pełne, trzecie dobre, czwarte
doskonałe.

I pozatem, że kasa pełna, jest coś więcej, co nas
nad kasę cieszy.

Więc nieprawda, że „zmałyły pieśni pośród nas
i pierś zmałyła człowiecza”, mówi mi Józef w ciszy
domu, po przedstawieniu. Ta publiczność nie była
bierna. Te oklaski dyktowało odczucie wielkiego, poe-
tyckiego tchnienia.

A kiedy mi na czwartym przedstawieniu, siedząc
w naszej łozy, Kazimierz Tetmajer powiedział, jakby
do siebie: „Warto pisać”, a jeszcze dodał: „Pod wra-
żeniem tego przedstawienia napisałem prelekcję i ja-
dę z nią do Lwowa”, to sobie przypomniała, co kie-
dyś w dyskusji mówił któryś dyrektor: „Teatr nie jest
żadną instytucją społeczną”. Ale teatr jest i powinien
być czynnikiem, przyczyniającym się do rozwinięcia
uczuc podniosłych, estetycznych i artystycznych, cze-
muby nawet nie społecznych? Może być czynnikiem

uspołeczniającym. Bawić, budzić śmiech, smażyć satyrę, ale i poruszać w duszy głębsze pokłady, szlachetnie zapładniać wyobraźnię — i nic to nie ujmie jego godności.

Tetmajer pisze o „Kordjanie”, przeżywa z nim cierpienia, bóle i kto wie, czy w tych bólach nie zrodzi się nowe jakieś piękne dzieło.

Tymczasem ze Lwowa, pod datą 10.XII.99, pisze do mnie:... „Wogóle tu w mieście nie chcą wiedzieć o Słowackim, a w większej części redakcje nie chcą wiedzieć o mnie. Kraków — to Ateny wobec Lwowa”. Trudno! Czas pokazał, że, nie oceniając dostatecznie czarów poezji słowa, — umieją uderzyć w poetyczną „czynów stal” i w potrzebie obrony wielkich ideałów wykazać najwyższe dostojeństwo ducha, dając ofiarę życia w obronie Ojczyzny.

Nie podniecała też, co prawda, lwowska krytyka górnych zamięłowań publiczności, bo Kazimierz Skrzyński, recenzent „Słowa polskiego”, o sztukach francuskich pisywał olbrzymie feljetony, a o „Kordjanie” dał krótką wzmiankę, chociaż na przedstawienie umyślnie ze Lwowa przyjechał.

Augier, Sardou, Lemaître, Donnay, znakomici pisarze — niezaprzeczenie, ale i Słowacki też dla nas coś wart. Z tem trudno mu się było pogodzić. Wszystkie pisma krakowskie dały dobre recenzje.

W „Przeglądzie Polskim” świetnie pisał o Józefie St. hr. Tarnowski.

Artyści odnieśli prawdziwy triumf.

Administracja uwierzyła w dyrektora.

Publiczność, zapelnieniem teatru, złożyła niezaprze-

czony i niezbity żadnym argumentem dowód swej artystycznej wiary.

*

Osiemnastego grudnia 1899 r. ukazała się notatka w lwowskich pismach, podana telegraficznie w pismach krakowskich o tem, że:

„Rada miejska z prezydentem Małachowskim na czele przedstawiła się w niedzielę namiestnikowi, potem Marszałkowi. Hr. St. Badeni omawiał z radcami bieżące sprawy, a gdy zeszła rozmowa na kwestję teatru miejskiego, rzekł marszałek: „Mam nadzieję i życzę panom załatwienia sprawy prowadzenia teatru w ten sposób, aby w przyszłości na scenie lwowskiej można było grać w przepelnionej sali „Kordjana“, a nie „Piękną Helenę“. Wtedy nie będzie między nami żadnych nieporozumień i trudności, a Wydział krajowy otoczy swą życzliwością, opieką i pieczołowitością narodową i artystyczną instytucję“.

Kazimierz Skrzyński pisał nam: „Musiałem nagle wyjechać, więc nie mogłem już z panią omówić spraw teatralnych, ani powtórzyć ciekawych uwag z powodu wystawienia „Kordjana“. W Krakowie słyszałem zdania z ust bardzo kulturalnych ludzi (tu wymienia istotnie niezaprzeczenie ludzi o umysłach zgół nieprzeciętnych), że teatr nie jest kursem literatury dla dorastającej młodzieży. Ja zawsze to twierdziłem. Wobec tego, zdanie przeciwne Jerzego Mycielskiego — niewiele zaważy w sferach miarodajnych i t. d.“. Miał na myśli sprawozdanie komisji teatralnej do

Wydziału krajowego, której prof. Mycielski był jednym z członków.

I, dopiero wtedy, kiedy depesze rozniosły słowa marszałka Badeniego, znów pisze Skrzyński: „Kochana Pani... winszuję państwu, że przedstawienie „Kordjana” stało się w ustach najwyższego zwierzchnika kraju programem artystycznym dla przyszłego teatru lwowskiego. Niemały to zaszczyt dla Krakowa”.

A kiedy po kilku tygodniach dano „Kordjana” we Lwowie, Kazimierz Skrzyński pisał do „Czasu” krakowskiego już nie wzmiankę, a *feljeton*, długi feljeton, w którym pisze: „Odrazu powiem, że przedstawienie krakowskie o całe niebo było wyższe od tutejszego i to odtworzeniem głównej roli oraz reżyserją i całym pietyzmem, z jakim przystąpiono w Krakowie do wielkiego zadania”.

*

A że „różnie się plecie na tym Bożym świecie”, więc niemal prosto od odtwarzania „Kordjana”, bo 14.XII. 1899 r., Włodzimierz Tetmajer, zaproszony, jedzie na salony Wielkiej Księżnej Oldenburskiej do Petersburga, potem przedstawiony jest Carowi, który mu podaje rękę i mówi z nim o sztuce polskiej.

I, nie zabił go wzrokiem, a w rękę nie miał sztyletu.

*

Po latach szesnastu.

W „Kurjerze Polskim” z dn. 29 stycznia 1916 r.

L. Ch. (Leon Chrzanowski) pisze feljeton, w którym daje sprawozdanie z przedstawienia „Kordjana” w Teatrze Polskim w Warszawie, i stwierdza, że „przyjęcie sztuki ze strony publiczności było niezwykle gorące i przychylne”.

A więc: „Kordjan” w Warszawie po latach 16-tu od czasu pierwszego przedstawienia, to znaczy — od r. 1899, był gorąco przyjmowany, a do dziś, to znaczy — przez lat 29, jest stale w repertuarze krakowskim.

Coby na to powiedziało grono „bardzo kulturalne”, które ten repertuar właśnie nazywało „Kurszem literatury dla młodzieży”? Przeżył wszystkich.

Znałam ich świetne umysły. Uczni. Esteci. Znawcy sztuki wszech europejskiej. Ludzie wykwintni obyczajowo.

Czy dostatecznie mocno wiedzieli, że pod piątem zębem coś bije i że to „Polska właśnie”?

Natomiast pamiętam także, jak nazajutrz po przedstawieniu „Kordjana” w Krakowie spotkałam na ulicy rektora Browicza, który mi mówił:

— Wybieram się podziękować mężowi pani za wspaniałą ucztę, jaką nam dał wczoraj. Zajęty moją zawodową pracą, nie miałem Słowackiego w ręku — od lat studenckich. Zanim będę sam u pana Józefa, niech mu pani powtórzy wyrazy wdzięczności, że oderwał mnie od nerek, woreczków żółciowych i t. d. i że mnie choć na chwilę przeniósł w świat czarów.

— Byle siać.

DOKOŁA TEATRU.

W teatrze, dziś, zastaję Administrację kwaśną, aktorów przyciszonych, wielce zakłopotanego p. Wójcickiego. Jak sekretarz zamartwiony, to już źle.

Co się dzieje?

— Cyrk Barnuma podobno zjeżdża na Zielone Świątki. Popołudniówki — przepadną,—mówi grobowym głosem „Wójcio“.

— Nic nie przepadnie. Jeżeli Barnum przyjedzie na Błonia — to rozlepicie afisze, że ja debiutuję w Teatrze Miejskim i... wezmę go.

Afiszów nie było. Ale humor wrócił, a z nim i werwa.

Barnum przyjechał. Jednocześnie, wśród cudnego słońca, tyle luda zjechało do Krakowa na dni świąteczne, że nie dwa, a trzy były przedstawienia dziennie i wszystkie pełne, choć ja nie debiutowałam, na moje szczęście.

*

Ktoś nam powiedział, że w teatrze na górnych piętrach jest Szczepanik, człowiek z wielką już sławą, jako wynalazca jedwabnych tkanin, dotąd nieznaney techniki.

Bywał u nas. Już śliczną robiłam z nim wycieczkę pieszą na Schneeberg. Miało być jakieś nadzwyczajne zjawisko na niebie. Więc z nim i p. Ludwikiem Szczepańskim zjechaliśmy się w Wiedniu i pojechaliśmy kolejką do stóp góry—na której, tonąc po pas w śniegu, przesiedzieliśmy całą noc, nie widząc siebie nawet wzajem, nietylko jakiegoś zjawiska. Meteorolog się pomylił, a myśmy się mimo to zabawili choćby nadzwyczajnością sytuacji. Więc jest w teatrze — czemuż nie u nas w łoży?

Józef poszedł go odnaleźć. Sprowadził. Był w przejeździe od pociągu do pociągu. Nie ubrany. Więc się nie meldował. Prosiliśmy go do nas na herbatę. Zebrało się zaraz towarzystwo: p. Mycielski, uszczęśliwiony, że poznał w łoży naszej Szczepanika, Tarasiewicz, Kamiński, Kaziowie Czapelscy, nasi krewni, St. Karpiński, nasz przyjaciel. Szczepanik opowiadał nam, a był to rok 1900, o wagonach jednotorowych, które zainteresowała się Belgja, i o maszynie latającej, którą jeszcze w tem stuleciu myśli wprowadzić w ruch. Maszyna latająca ma być z początku na jedną osobę, później zamieniona zostanie na latające pociągi, w których koszyki dla pasażerów będą wisiały jedno pod drugimi.

— Więc niebieską strefę pan zaludni?

— A ptactwo przerazi — dodał Kamiński.

Józef nietylko ze zwykłym sobie zainteresowaniem zadawał Szczepanikowi niezliczone pytania i był nim niezmiernie zajęty, ale był także zachwycony jego prostotą i skromnością.

Czy nie jest jednak u nas coś, co stwierdza słowa

Wyspiańskiego, że „raz wraz wstaje wielka postać, że ino jej skrzydeł dostać, i raz wraz przepada, gaśnie, jakby czas jej przepaść właśnie”.

Czemu tak jest?

Szczepanik zgąsł i przepadł, chociaż niezawodnie miał genialne błyski w oczach.

*

— Proszę powiedzieć, że z Warszawy,—słyszemy wdzięczny głos w przedpokoju.

Wchodzi: ładna, nadewszystko szykowna, młoda kobieta, uśmiechnięta, pewna siebie. Przynosi listy, polecenia... chce być na scenie.

— Przedewszystkiem, muszę się panu dyrektorowi przedstawić. Jestem panną—i to autentyczna.

Nie wiem, jak się tam dalsza rozmowa rozwijała, bom jej nie słyszała.

Panna — została w teatrze. Niezmiernie zainteresowany, a nie wiedzieć, czy bezinteresownie, okazał się jeden ze świetnych naszych pisarzy „autentyczną panną”, niestety, bez zdolności dramatycznych. To też niedługo opuściła teatr, idąc za radą mego męża, aby zapewne inne zdolności rozwijać na arenie życia, bezpośrednio.

*

Stowarzyszenie „Braterstwa” w Krakowie uprasza Sz. Pana o wypożyczenie czaszki i piszczeli.

Za wydział — Berger.

Widocznie te akcesorja były niezbędne do jakiegoś amatorskiego przedstawienia.

Nb. Charakterystyczna jest pieczętka, na której związane dwie ręce, trzymające młot i napis: „Stowarzyszenie Robotników, Brüderlichkeit, w Krakowie”.

Czaszkę i piszczcele dostali.

*

A potem „prośba do kochanego pana dyrektora, żeby „Kopciuszek” był grany po niższej cenie, bo mamusia nam przyrzekła, że, jak będzie popularne, to pójdziemy do teatru. Jest dużo dzieci, któreby chciały widzieć „Kopciuszka”, a nie mają dużo pieniędzy. Całuję rączki panu dyrektorowi i Pani dyrektorowej

Wandzia
uczennica II-ej klasy”.

*

Z Żywca, Zamku, przychodzi koperta z arcyksiążką koroną. Dnia 21 grudnia 1903 r.—list brzmi:

„Szanowny Panie! W odpowiedzi na depeszę WPa-na z dnia wczorajszego, mam zaszczyt donieść, iż Jego Cesarska Wysokość, polecił mi złożyć Mu podziękowanie za przygotowanie miejsc na koncerta Paderewskiego. Co do dania foteli, Jego Cesarska Wysokość życzy sobie osobiście się z Wielmożnym Panem porozumieć w dzień koncertu. Miejsce takie potrzebne jest Arcyksięciu po to, żeby móc zbliżka widzieć rę-

ce artyści w czasie gry. Jeśli łoża p. Delegata jest obok sceny, może być, iż miejsca te wcale nie będą potrzebne. Łączę wyrazy głębokiego szacunku i pozostaję z wysokim poważaniem

Karol Zaleski

Sekr. osob. Jego C. K. Wysokości
Arcyksięcia Karola Stefana".

Arcyksięcia nie widziałem. Co gorsza, Paderewskiego nie słyszałam.

Dlaczego?

Bo w wigilję koncertu otrzymałam liścik p. Heleny Paderewskiej, która pisze: „Dzięki z serca całego za kwiaty i życzenia. I my wam życzymy wszelkiego dobra i szczęść Boże we wszystkim”. Dalej instrukcje, co do postawienia fortepianu tak, aby jednak koncertant nie był zbyt skrępowany i „zmieszany” z publicznością, bo i na scenie były ustawione rzędy krzeseł. A potem: „Raz jeszcze dziękuję za pamięć”, i prośbą o czuwanie nad jej mężem, „który jest zupełnie chory”. Wynikło to stąd, że za kulisami z korytarza prowadziły drzwi żelazne na widownię. Otwierane, powodowały przeciągi, co, przy rozgrzaniu i nerwowem podnieceniu, słuszne wywołało obawy, aby nie zaszkodziły mistrzowi. Obiecałam pani Paderewskiej, że drzwi będą pilnie strzeżone. Strzegłam ich sama. Nikt ich nie przestąpił, ale mnie dochodziły tylko z oddali, jakby senne marzenia, cudne tony, wydobywane ręką artysty-poety. Jak zwykle, wszystkie trzy koncerty przeznaczył wielki ofiarnik na cele dobro-

czynne. A więc i na fundusz emerytalny dla artystów wpłynęła jakaś większa kwota.

Państwo Paderewscy podejmowani byli przez gościnne domy arystokracji, mając zawsze więcej zaproszeń, aniżeli możliwości ich przyjęcia.

*

P. dr. Radwan Koszuticz z Belgradu, z upoważnienia dyrektora, teatru, p. Nieżycza, zwraca się do Józefa z następującą propozycją: Dyrektor Serb. Król. Teatru Narodowego w Belgradzie, p. Nieżycz, życzy sobie wejść w bliższe stosunki z Dyrekcjami Teatrów Słowiańskich w Krakowie, Pradze i Petersburgu. I „mając już zapewniony przyjazd ks. Sambatowa (Jużyn) z Rosji“, zapytuje, czyby nie mógł liczyć na przyjazd którego z dobrych artystów teatru Krakowskiego na występy po polsku w sztuce polskiej. Jak się ta sprawa zakończyła, nie pamiętam. Pamiętam tylko b. inteligentnego gościa, p. Koszuticza, który studjował polonistykę na uniwersytecie Jagiellońskim i częstym bywał gościem na naszych poniedziałkach, gdzie moja młodsza siostra, Zosia Kleczeńska, pomagała mi w robieniu honorów domu, co, zwłaszcza przez młodzież, było bardzo mile przyjmowane. Była ładna i miała wiele kobiecego wdzięku. Tragicznie zakończyła życie, które jej nie pieściło.

*

W Paryżu, w domu siostry mojej, Heleny Egerowej, poznaliśmy p. Fr. Thiebault-Sisson, krytyka

artystycznego poważnej gazety „Tems”. Wysoce wykształcony, okazał nam dużo uprzejmości na miejscu. Później wymieniał z nami listy, które tytułował do mnie po polsku: „Droga i Dobra Pani”.

W parę lat, jadąc na Wystawę Sztuki do Petersburga, zatrzymał się w Krakowie. Na obiad zaprosiłam tylko panów, mówiących biegle po francusku, o co u nas nie trudno, a więc byli: prof. Jan Stanisławski, prof. Rostański, prof. Szajnocha, red. A. Beauprè, Godziemba-Wysocki i prof. J. Mycielski, który, na moje życzenie, specjalnie zainteresował się naszym gościem i wprowadził go do domów arystokracji, o co mi bardzo chodziło. Chciałam, aby, będąc w naszym artystycznym kółku na trzecim pięterku, był także w pałacach naszych polskich panów. W listach, już nie wyuczony, ale samorzutnie podpisywał się „drogi Franio”, a z Paryża przysłał nam piękną reprodukcję Venus, która przypomina mi często bardzo miłego gościa z Radziwiłłowskiej. Już w wolnej Polsce był na odsłonięciu pomnika Chopina, ale o tem dowiedzieliśmy się dopiero ze sprawozdania niefortunnego wywiadu, który ogłaszał „Tems” paryski.

*

W notatce z marca czytam: „Odbieramy bilet z zaproszeniem: Adamowa Potocka i Andrzejowie Potoccy uprzejmie proszą na herbatę PP. Józefów Kotarbińskich we wtorki dn. 9, 16, 23 i 30 marca, o godzinie 9-ej wieczór”. Oczywiście, byliśmy raz, bo czas na wizyty mieliśmy mało.

A potem w tej samej formie przypomnienie o święconem „Pod Baranami, w niedzielę wielkanocną o godzinie 1-iej”.

Na święconem byliśmy. A co tam paniusie mówiły — nie pamiętam, bo rzadko bywałam „w mieście” na „kawuńciach”, choć i te, czasem, bywały zajmujące.

*

A potem, przechowane wraz z kokardą przemile dla mnie zaproszenie: „W niedzielę dnia 28 maja 1900 r. odbędzie się *poświęcenie sztandaru* Zjednoczonych Cechów Bronzowników, Kotlarzy i Mosiężników w Krakowie, którego dokona J. E. książę biskup krakowski.

Aby uroczystość ta odbyła się ze stosowną wspólnością, mamy zaszczyt zaprosić WPanią dyrektora, Józefową Kotarbińską, jako Chrzestną Matkę, do wzięcia udziału przez osobiste wbicie pamiątkowego gwoźdźdza, który ośmielamy się załączyć.

Kraków, 16 maja 1900 r.

Marcin Jara, Franciszek Koparzyński,
Jan Gregorczyk”.

Dalej program uroczystości.

W kościele Archiprezbiterjalnym Najśw. Marii Panny w Krakowie, o ósmej rano, na Mszy, celebrowanej przez J. E. ks. Biskupa, byłam, za powodzenie Cechów się modliłam, gwoźdź wbiłam. Obole złożyłam. O godz. 11-iej w sali „sławetnego Cechu

Rzeźników na Kotłowym", trącałam się kieliszeczkami z Mistrzami Cechów i zajaśniałam smaczne śniadanko z wędlinami, jak poematy.

*

Z Wiednia otrzymuję 27.3.1901:

„Wielmożna Pani. Mam dla Szczepanika wykonać kompozycję, na której ma być umieszczona dziewczka krakowska (wiejska). Niezbędnym do wykonania tej figury jest mi strój prawdziwej krakowianki. Udaję się tedy do WPani o łaskawe pożyczenie mi go.

Wielce Pani Dyrektorowej za łaskawe ziszczenie mej prośby wdzięczny będę, a strój w tej chwili po zrobieniu studjów z niego odeślę z podziękowaniem.

Henryk Rauchinger”.

Strój przesłany. Prośba ziszczona. Dzieła artysty nie widziałam.

*

Liścik do Administracji z zawiadomieniem o dwóch sprawach finansowych, które „natychmiast” załatwić należy. Powiedzieć to łatwo — ale jak wykonać.

Idę Plantami do teatru, na werendzie cukierni siedzi kilku znajomych młodych literatów. Myśl mam tylko tem zajętą: skąd ja dostanę pieniędzy.

Ta placówka stracona, myślę, więc nie mam nawet ochoty usiąść przy stoliku, do którego mnie zapraszają. Ale towarzyszkność zwycięża. Siadam.

— Pani dziś coś bez humorku...

— Jak mam być z humorkiem, kiedy muszę mieć do jutra 2.000 koron, a nie wiem, skąd je wziąć.

— Ja pani pomogę,—słyszę, ale własnym uszom nie wierzę.—Sam nie mam, ale mam kogoś, kto na krótki termin da pani tę sumę,—mówi p. Kazimierz Ehrenberg, najbliższy nasz sąsiad z kamienicy na Radziwiłłowskiej.

— Z Bogaś się począł, człowieku!

Po południu pisze na bilecie: „Szanowna Pani. Mam wyjechać do Lwowa, nie znalazłem chwili czasu, żeby wiadomą sprawę załatwić osobiście.

Pieniądze ma Sz. Pani przynieść dziś popołudniu adwokat mój, pan Ławrowski, i omówić warunki spłaty. Łączę najserdeczniejsze wyrazy

Kaz. Ehrenberg”.

Pieniądze pan adwokat przyniósł. Warunki jak najłatwiejsze dał. Wdzięczność dla pana Ehrenberga została nazawsze, dowód w przechowanych do dziś kartkach. I jeszcze coś zostało: wiara, że Pan Bóg czuwa nad sierotami, a ludzie dobrzy zawsze pomogą w potrzebie.

„SEN SREBRNY SALOMEI”.

24 Marca 1900 r.

Jeszcze nie przebrzmiały wysokie akordy, wzięte na strunach dusz ludzkich przez „Kordjana”, kiedy zaczęły się próby z „Sybiru” Maskoffa (Gabryjeli Zapolskiej), która, ze względu na scenę warszawską, ukrywała się pod pseudonimem. Potem „Stare Miasto” Dominika (Darowskiego), artyści, literata i inspicjenta sceny krakowskiej, „Motyla miłość” Bogusławskiej, „Zięć dla parady” Blizińskiego, „Czyja wina” Henryka Sienkiewicza, „Błędne Gwiazdy” Lewickiego, aż dociągnęło się do „Snu srebrnego Salomei” Słowackiego, który już bez oporu Administracji zyskał aprobatę kasy, zachęconej sukcesem „Kordjana”.

Józef triumfował.

Artyści, znów wysoce podnieceni, pracują w najwyższym skupieniu, z poszanowaniem dla poetyckiego dzieła.

W notatkach moich z dnia 20.III 1900 roku czytamy: „Próby ze Snu postępują. Jestem szalenie niepokojna. Jeszcze nic nie wiem, jak to będzie. Naza jutrz już notuję: Tarasiewicza figury jeszcze nie widzę. Siennicką widzę złą. Mielewskiego, Sobiesława doskonałych. Józef, zdaje się, będzie prawdziwy Regimentarz”.



Kto w Boga wierzy, jak zwykle zresztą, zajęty premjerą. P. Mycielski zrozpaczony, pisze listy codzień z Wiednia, dopytuje się, co i jak, bo sam być nie może.

P. Emanuel Świeykowski dał mi „La Croix” z artykułem o modach współczesnych. Dał także fotografię z pomnika Mniszchówniej z Dukli, bardzo charakterystyczną. Bardzo dużo pomógł w wyszukiwaniu współczesnych portretów. P. Jerzy hr. Mycielski pisze z Wiednia, żeby nie zaniedbywać źródeł, nagromadzonych w muzeum Czartoryskich. Idziemy tam we czworo, pp. Świeykowski, Wł. Tetmajer, Józef i ja. Wszyscy notują szczegóły, aby je dać następnie krawcom. Był po raz pierwszy na scenie stosowany strój Regimentarza, który Józef sobie upodobał, jaki znaleźli w portretach i starych sztychach. P. Epsteinowa pozwala skopjować starą polską makatę, małe arcydzieło w swoim rodzaju, a potrzebne na 4 metry wymiaru.

Próby już wyrównały braki, i przedstawienie szło pysznie. Entuzjazm w teatrze wielki. Doskonała publiczność krakowska przyjmuje sztukę gorąco. Józef dostał wieniec od artystów. To było pięknie pomyślane.

W poniedziałek wieczorem zbierają się stali goście: pp. Mycielski, Rostafiński, Stachiewicz, Tarasiewicz, Miciński, Tomkowicz, rozmowa o „Śnie”, z popogardą dla snu, kończy się o 3-ej nad ranem. Wszyscy chwalą grę artystów, chwalą Regimentarza. Jestem zazwyczaj więcej wymagająca od męża, niż od kogokolwiek z artystów, ale według mnie, żaden pol-

ski aktor nie stworzyłby, i nie stworzył, takiego Regimentarza, jakiego dał Józef.

Było w nim wszystko, co w polsk'm panu, szlachcicu, rycerzu i człowieku być powinno.

Na czwartem przedstawieniu „Snu” dał Józef Mielewskiemu wieniec ze wstęgami o ruskich barwach i napisem: „Znakomitemu Semence”. Mielewski był rusin. Rusin-patrjota. Zawzięty, zamknięty. Ale szlachetny i dla mnie bardzo sympatyczny. To był ktoś. Rola ta wybornie leżała w jego psychice. To też kiedy w obrazie VI-ym, jako przewodcy buntu, pyta go jeden z chłopów:

„A szczo bude z tą szlachtą?”

— „Rizat”—odpowiada Semenکو, i do dziś słyszę dźwięk tego wyrazu. tyle w nim było nienawiści, zemsty i nieodwołalnej stanowczości.

Artyście trzeba pochwał, jak kwiatom słońca, Mielewski, po świetnych recenzjach po tym wieńcu od dyrektora, inaczej wchodzi. Ma humor za kulisami, werwę i życie na scenie. Jest zwycięzcą na tem polu bitwy, którą wygrał. Wybornie się czuje i gra coraz lepiej.

Natomiast Tarasiewicz, który, w tej roli, zwłaszcza na pierwszych przedstawieniach, trochę się nie czuł dobrze, co się jednak potem wyrównało, smutnie wodził oczkami po panienkach, kiedy mu pani domu, bo było to w prywatnym salonie pani P., robiła uwagi co do Sawy. Śnać, że go bolały. Z uwagami, dawanymi artyście, trzeba być szalenie ostrożnym. Może ich czasem nie wybaczyć.

A tymczasem, po każdym przedstawieniu, przycho-

dzą do nas na herbatę: pp. Mycielski, Tarasiewicz, i zawsze rozmowa o teatrze, kończy się, ba! żeby to kończyła się kiedy. Trwa do 3-ej po to, żeby na-
zajutrz był ciąg dalszy, znów do rana.

Kiedy się sypiało? Dziś już nie zdaję sobie z tego sprawy.

Stanisław hr. Tarnowski napisał odczyt o „Śnie srebrnym Salomei”. Przed zużytkowaniem go na estradzie czy w druku, dał go Jerzemu Mycielskiemu, aby go nam przeczytał. Zaprosiliśmy grających główne role aktorów. Przyszedł tylko Popławski. Tarasiewicz nie mógł. Reżyser nie chciał. Po Siennicką chodził Józef specjalnie i ledwo udało się ją ściągnąć. Słowem, nie wzbudziło to interesu, choć odczyt był piękny.

Tadeusz Miciński „oczarowany, upojony” przedstawieniem, przyniósł Józefowi wiersz:

Czcigodnemu Regimentarzowi ostatnich wojsk Rzeczypospolitej, w Theatrum Krakowskiem obozujących.

R Y M Y.

Otwórzcie wrota dla Tragedyi,
Która na czarnym zjedzie rumaku
Wziąć nasze dusze i bez intermedyi
Znieść nad Styks, Acheron, lub też Bakul
— Któż jej się oprze? żaden lord ni lady...
Jest świat fantazyi, gdzie Meduzy głowa
Sama od dziwu zmienia się w urwisko —
Tam Laodamia swego męża chowa,
Tam Balladynie od krwi stąpać ślisko —
I tam Beatrix kolumna grobowa.

Łacię słuszną Regimenciarową.
^{ostatnich mych Rezyppospolitych}
w Theatrum Krakowskie oborniję
Rymy. 19/IV 900.

Osmóte wrota dla Tragedy,
klona na chrany zjedzie w usabie
wzięć wasz durre - i her i'nterwidy
wasz nad Sykko, Schron lub ser Baku
- Ktoż jej nie opas? iaden Lord ni lady...

Jest i'wiat fantazy, gdzie Medury g'owa
sama ad Drima zuzenia dziu uowisko-
tam Laodamia swyż ugr'a choma,
tam Balladym ad Krowi szypai szlika-
i tam Beatrix Kolumba grohoma

O, jakże g'uchy uroch objęto more
w swyż Łojumyryg' Felina, gdzie lewio.
tam
z uowmyj. okrogów i'cieli swyż Toż!
Duch nasz z'g'fianu wozelawini obrotu,
a przed nagr. nami - Póg - i szatan.

Wiersz Tadeusza Micińskiego.

March 20th 1907

Ordinary Income

Graduate

Myosurus sordidus nobilis:
 stamens 20 oblongum minus
 magis luteo nigris, non natis.
 stamens magis: lobis post granis
 pollicibus de lobis magis post
 antheram: 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10.

There are several things
things in my nature which
are very strong. I feel
myself very old and I feel

personnel: model: practice
the infrastructure.

It is very desirable

Chapman

A. M. J. Antwerp, N. J.

List Adolfa Nowaczyńskiego.

O, jakże głuchy mrok objęło morze
 W swych tajemniczych głębiach, gdzie Lewiatan
 Z martwych okrętów ściele swoje łoże!
 Duch nasz z głębiami wszelakiemi zbratan,
 A przeto rządzi nami Bóg i — szatan.

Sydon — Carthago, Avignon — Gomora —
 Babylon — Paryż — oto są wieżycy
 Grzechów i piętna, lub raczej jeziora,
 Gdzie dusze w ognjach kąpią się grzesznice —
 Zdaleka widzisz blask — lecz spojrzj w lice!

Umarłych dzwon i rozpacz i przekleństwo —
 I szal — i cynizm — i tęsknota —
 Nowych Tantalów tu męczeństwo,

Nowych Cezarów brama złota,
 Przez którą wjeżdża pieśń, nie tknąwszy błota.

Już słyhać podków jej tententy —
 Już orszak błyszczy jej rycerzy —
 Już dolatują nas lamentsy
 Płaczków, bo w trumnie ciało leży —
 (Taki to grzechów naszych koniec święty!).

Więc być, czy nie być? odgrywać Hioba
 I z Bogiem srogim targać się o losy —
 Czy też skamienie w grozie, jak Nioba,
 Czy pokutować jak pokutnik bosy?
 Milczmy — milczenie jest grobów ozdoba.

*

Znałam Micińskiego, jako młodziutkiego chłopca.
 Gorący patrijota. Entuzjasta i oryginał. Umiał sie-
 dzieć godzinę, dwie w towarzystwie i nie powiedzieć

ani słowa. Raz, po tak długim milczeniu przy pp. Asnyku, Mycielskim, Sewerze, Rostafińskim, Wysockim, wstał, stanął przede mną i pyta:

— Czy panią rzeźbił jaki artysta?

— Nie.

— To szkoda! — pocałował mnie w rękę, ukłonił się towarzystwu i wyszedł.

Innym razem mówiliśmy u Sewerów o pani W., która jest duża, niezgrabna, o pospolitej twarzy i piersiach, leżących na kolanach. Miciński milczy, słucha, a potem:

— To właśnie taka matka — ziemia! — I wychodzi.

Gdyby się mniej kochało matkę-ziemię, możnaby ją sobie napewno tem porównaniem — obrzydzić.

W 1902 r. daje nam jeszcze swe poezje, „W mroku gwiazd“ z dedykacją: „państwu Józefostwu Kotarbińskim tę niepoprawnie ciemną książkę w przyjaźni i poważaniu składa T. M.“.

A potem z Berlina pisze kiedyś kartkę:

„Dwojgu Grekom, umiejącym zachować „bange Wahl zwischen Sinnenglück und Seelenfrieden“ — życzenia najlepszego roku — śle. T. Miciński“.

Jeszcze czytamy „Do Źródeł Duszy Polskiej“. Jeszcze zachęca nas do zwiedzenia cudownego Kaukazu, o którym mówi malowniczo i pięknie, a w którego kwietnych łąkach chował się z koniem, albo cofał się ze ścieżki górskiej, na której dwu ludzi nie mogło się minąć bez utraty życia. On pierwszy opowiadał nam o niektórych pięknych sektach w Rosji, wśród których przebywał miesiącami, dodając, że

ciągnie go to życie pełne ciszy, pierwotnego chrześcijańskiego ducha i unicestwienia siebie.

Jeszcze dużo i długo mówili z Józefem o wystawieniu „Nocy Rabinowej”, co jednak okazało się niemożliwym.

Potem już tylko głucho niepokojące wieści o nim.

Skądś z Rosji, niepewne a trwożne.

Nakoniec wiadomość nieszczęsna. Czerni bolszewicka, do której przemawiał, którą chciał nawracać, zamordowała go.

Nie było mu dane widzieć, jak cały naród odrzucił „milczenie grobów” i wielkim głosem zawołał: „być”!

Jak z trumny ciało powstało, aby żyć.

Szkoda, że nie widział *pierwszych* wojsk Rzeczypospolitej w „Theatrum” całej Polski obozujących. Żal.

ATMOSFERA WŚRÓD PRACY

Atmosfera, jaka otoczyła teatr pod dyрекcją Józefa Kotarbińskiego w Krakowie, istotnie miała swój indywidualny charakter.

Wielkie umiłowanie teatru przez dyrektora rozłożyło, najniezawodniej, to tchnienie, które udzielić się musiało każdemu, kto się znalazł w jego rejonach.

Bez przesady powiedzieć można, że wystawianie nowych wielkich dzieł dramatycznych bywało zawsze otoczone zainteresowaniem się całego niemal miasta, bo — wszystkich jego sfer.

Daje się „Don Carlosa” Schillera. P. Stanisławowa hr. Tarnowska ze Szlaku, gdzie pełno cennych zbiorów, gdzie w oddzielnej skrytce spoczywał, niby relikwja narodowa, rękopism „Pana Tadeusza”, nie szczędzi swej pomocy dla ozdoby przedstawienia i powierza mi rodzinne kardynalskie łańcuchy, pierścienie, krzyż, które zdobią pyszną postać kardynała, stworzoną przez znakomitego artystę, Kazimierza Kamińskiego.

Innym razem do „Kochanowskiego” Gabryeli Zapolskiej meble rzeźbione drewniane z XVII wieku przyjeżdżają ze Szlaku na scenę, gdzie w wielkim

pałacowym holu, wróciwszy na swoje miejsca, do zbrojnych rycerzy w stalowych misiurach, do starych makat i kandelabrow z woskowemi świecami, pewno naopowiadać się nie mogą swych wrażeń, z innego poczerpniętych świata.

Po wystawieniu „Złotej Czaszki”, p. Antoniowa hr. Potocka z Olszy, pięknej siedziby pod Krakowem, gdzie rozpięty w jednym z pokojów namiot Sobieskiego, z zabranego taboru od Turków pod Wiedniem, pisze: „Pysnie się udało pierwsze przedstawienie „Złotej Czaszki”, jesteśmy oczarowani, a po przyjeździe z Kieleckiego, dokąd jedziemy na parę tygodni, z wielką radością zobaczymy znów „Złotą Czaszkę”.

W czasie tego pięknego przedstawienia powtarzało się często w sercu: Szczęść Boże pracy państwa.

Proszę przyjąć od nas obojga wyrazy prawdziwego poważania. 31.VIII.1899. Olsza”.

Pani H. Starzyńska, przełożona świetnej pensji w Krakowie, osoba bardzo wykształcona, pisze: „Sz. Pani. Zaszłam rano, by powiedzieć, co odnalazłam o kostiumie Salusi, ale nikogo nie zastałam. Otóż ona o sobie mówi: (zmiana II), „Tu ja — *w atlasie*, przy róży u boku, ja panna w modzie ze *złożonym wachlarzykiem*”, wyraźnie więc jest to strój francuski, i to samo mówi Stanisław hr. Tarnawski, pisząc o „Śnie Srebrnym Salomei” w opracowaniu krytycznem, i Małeckci—o stroju francuskim i owych francuskich obrazach. Pewno już to Sz. Państwo bezemnie odkryli, ale ponieważ mówiliśmy o tem, więc chciałam przesłać to potwierdzenie mego zdania, i t. d.”.

Ani „Pałac Sztuki“, ani „Muzeum Narodowe“, nie odmawiały nigdy obrazów, jeśli ich obecność na scenie łączyła się bezpośrednio z potrzebą wywoływania odpowiedniego nastroju.

Najpiękniejsze makaty i dywany wypożyczała nam zasobna firma Rajala dla ozdoby sceny. A Steiff, stary wspaniały żyd w chałacie, z długą siwą brodą i rytualną w czarne pasy koszulą, znawca sztuki i właściciel bogatego składu starych pięknych mebli, nie było rzeczy, którejby nam nie dał dla teatru. Ten sam Steiff, który, o ile mu się ktoś nie podobał, nie sprzedał mu nic ze swych magazynów, za najgrubsze pieniądze. A dwa kandelabry, dotąd wiszące u nas na ścianie, które dostałam od niego „na pamiątkę“, świadczą o względach dla nas tego wspomniałego typu poważnego żyda, znawcy i miłośnika piękna.

Już dziś nawet nie pamiętam nazw wszystkich firm, ale pamiętam, że, kiedyśmy wystawiali jakąś francuską sztukę, w której był pokaz wyprawy i podarków bogatej panny młodej, to stoły, ustawione w amfiladzie trzech salonów, wypełnione były bielizną Bayera, srebrami Czaplickiego, futrami, kryształami, bronzami, i nie ginęło nic, choć były setki drobiazgów, bo personel techniczny był uczciwy. Szanowaliśmy się wzajem i wzajem sobie ufali. My o nich, oni dbali o teatr i o nas rzetelnie.

P. Fregowa, kiedyś doskonała artystka sceny krakowskiej, Kałużyńska, zawsze teatr darzyła swemi względami i nadsyłała cięte kwiaty, o ile było ich trzeba. Ogród botaniczny nie odmawiał wypożycza-

nia roślin do dekorowania sceny. Firmy Hawelki, Turlinśkiego, Pollera dawały po przystępnych cenach przysmaki, o ile aktorzy jedli je na scenie.

A ten najbliższy sąsiad, piękny Kościół Ś-go Krzyża?

Czcigodny Zarząd Duchowny, bezpośredniego sąsiada okazywał nam zawsze dużo względów.

Wprawdzie dbaliśmy o nie.

Zdobiliśmy piękne ołtarze, do procesji na placu przed teatrem i kościołem, kiedy przyszła pora.

Grób Chrystusa ubierali z całą starannością nasi dekoratorzy. Zdarzyło się raz, po odegraniu „Fausta Goethego”, że grota piekielna, ze sceny, stanowiła tło grobu Pańskiego, bo rozmiarami najlepiej się nadawała do danego celu. A narcyzy, irysy i konwalje, zdobiące scenę przy odegraniu „Motylej Miłości” Bogusławskiej, klęczały w pokorze przed złożonem w grobie Ciałem Ukrzyżowanego.

Nasza elektryczność, przeprowadzona ad hoc — na dni uroczyste, pomagała do efektów świetlnych Kościołowi.

Natomiast świeczniki kościelne, ławki i krucyfiksy, o ile nam były potrzebne, sprowadzało się z Kościoła. I tak, żyliśmy w zgodzie, rozpoczynając każdy sezon nabożeństwem, odprawianem na intencję powodzenia w pracy. A nasze Towarzystwo obsługi scenicznej, do której należałam, wspólnymi z nami siłami złożyło piękny baldachim z białego jedwabiu i złota, jednemu z najstarszych Kościołów, którego gotycki strop, wsparty o jeden filar, świadczył o wieku Staruszka, tak bardzo przez nas cenionego.

Artyści malarze: Włodzimierz Tetmajer, Leon Wy-
czółkowski, Piotr Stachiewicz, Jan Stanisławski,
Wojciech Kossak — nie odmówili nigdy swych rad
i pomocy przy wystawianiu sztuk wielkiego repertu-
aru.

Dawało się „Złotą Czaszkę” — jest Włodzimierz
Tetmajer. Objaśnia, musztruje, radzi, nareszcie przy-
nosi piękną akwarelę: „Tak wyobrażam sobie cichą
piekarnię”, mówi i podpisuje: „Rzewna kołęda
w przyćmionej piekarni płakała w rymy ubrana naj-
lichsze”.

Akwarela, kochana i szanowana, w Warszawie,
ofiarowana wielkiemu miłośnikowi sztuki, p. Domi-
nikowi Wittke-Jeżewskiemu, z rąk, zawsze hojne-
go ofiarodawcy, przeszła na ścianę Muzeum Naro-
dowego.

A profesorowie, a uczeni?

Mało to rumoru narobiło się poszukiwaniem formy
latarki przy wystawianiu „Djogenesa w beczce”, Ja-
rosława Vrchlickiego?

Od p. Dr. Potkańskiego do p. prof. Kazimierza Mo-
rawskiego. Od niego do p. St. hr. Tarnowskiego.
Nikt nie wiedział „na pewno”, jaka była.

Warszawiak przeciętny, za naszych młodych lat,
wiedział zawsze *wszystko*. W Krakowie było ina-
czej. Dopiero tam nauczyłam się doniosłej i poważ-
nej wartości słowa, nie wiem, którego tu się nikt nie
wstydził, a z całą prostotą mówił:

— Ja siedzę w XVIII wieku, ale niech pani idzie
do tego i tego... on to pewno wie.

W końcu mąż mój poszedł do Biblioteki Jagiel-

łońskiej i tam na starych sztychach, szukając z Dyrektorem Karolem Estreicherem, odkryli, że latarka była kubek w kubek taka sama, jakiej do dziś używa każdy foryś w stajni, tylko zamiast szkła, miała pęcherz, co znać było z rozproszonych blasków światła.

A ileż razy Józef niepokoił p. Dr. Karola Potkańskiego, który nigdy nie odmówił cennych wskazań, jeśli chodziło o sztuki historyczne i szczegóły z zamierzchłej epoki, obalając często utarte legendy. w imię hołdu dla prawdy historycznej.

A p. Dr. Emanuel Świeykowski, esteta, rozmiłowany w sztuce wieku XVIII, współpracownik Komisji historii sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie, autor dzieła „Miniatury Muzeum Narodowego”, które z miłą dedykacją „w dowód najgłębszego poważania i szacunku” ofiarował mi, czyż nie był zawsze gotów do rzetelnych usług dla teatru?

Ileż to razy, kiedy chodziło o urządzenie stylowego pokoju, jedne meble się wynosiło, bo w tej właśnie sztuce, według jego wskazań, inne należało postawić. A firanki, a obrazy i miniatury. To się je zdzierało — to zawieszało — według rozkazu. W tej chwili mam w rękę rysunek orderu Orła Białego — na niebieskim papierze, z taką notatką: „Łaskawa Pani, kolor papieru, na którym piszę, jest właśnie kolorem wstęgi Białego Orła”. A wślad za tem listy:

„Szanowna Pani. Poślana państwu gwiazda Orła Białego, skopjowana przeze mnie w Muzeum Czartoryskich. Pomimo grubego jej wykonania, jest ona zu-

pełnie wiernem naśladowaniem gwiazdy, ustanowionej przez Augusta II, i efekt wieczorem robi wybor-ny".

Tu, w obszernym liście następują najdrobniejsze szczegóły wykonania, zawieszenia na piersi orderu Orła Białego, i nadmienienie, że „o ile Sz. Pani zechce się ze mną widzieć, proszę o oznaczenie dnia i godziny, kiedy mam się stawić". A list nie był jedyny i wskazanie nie pierwsze i nie ostatnie.

*

Kiedy wystawił Teatr Krakowski „Bajkę", poemat w jednej odsłonie Andrzeja Niemojewskiego, a „Śmierć" w niej grała końcowe sceny, Piotr Stachiewicz przysłał notatkę: „Materjały do etnografji krajowej" 1.9.X.31.32. „Czasami Pan Bóg pozwala niektórym ludziom ujrzeć śmierć. — Przed kilku laty, zdarzyło się w Kijach (wieś), że gdy koło cmentarza miejscowy chłop wieczorem pał bydło, naraż coś na cmentarzu zaszeleściło. Chłop zdziwiony spojrział na cmentarz, aż tu z furtki cmentarnej wychodzi pani bardzo wysoka, *ubrana biał*o, spódnica jej w chodzie, jakby wykrochmalona" i t. d.

*

|| — Warszawiankę należy wznowić, ale wystawić ją tak starannie, jak na to zasługuje to małe arcydzieło — mówił Józef Kotarbiński.

| Dłatego postanowił prosić Wojciecha Kossaka, znawcy i rozmiłowanego w historii żołnierza polskie-

go, znakomitego artystę, o pomoc. Mnie powierzył wykonanie swego pragnienia, i oto otrzymuję list, który jest trwałym dokumentem poszanowania, z jakim wszyscy odnosili się do wielkich poetyckich dzieł, jak nie żalowali swych trudów ni czasu dla teatru, rozumiejącego swe zadanie w pełnieniu służby dla sztuki i poezji.

„Łaskawa Pani.

Upoważniony wczoraj do dania wskazówek, ile razy nasze mundury na scenie krakowskiej ukazać się mają, pospieszam przedewszystkiem do „Warszawianki”.

Żołnierz polski (piechur) z 1831 r. miał zawsze mundur granatowy z żółtem.

Były to tradycyjne kolory piechoty polskiej. Za Stanisława Augusta, pułk Królowej Jadwigi, za epopei Napoleońskiej, legja nadwiślańska, — zawsze te same. *Nigdy* zaś amarant z granatowem w piechocie.

Pan X., którego w tej roli widziałem, jest drobny i za marny do niej.

Królestwo Kongresowe dostarczało, swej małej armji, najprzedniejszego rekruta czy w linii, czy gwardji chłopcy byli jak dęby. Siwa broda jest nonsensem. Przecież to żołnierz ze szkoły W. Ks. Konstantego, starzy szli w inwalidy, a i tym nie wolno było bród nosić. Pod Grochowem piechota nasza była w płaszczach. 4-ty pułk piechoty miał na ramieniu numer dywizji (2) a na kaszkiecie pod orłem numer pułku, 4-ty. Jeżeli zaś ma to być grenadier

Żymirskiego, to musi mieć na kaszkiecie bardzo wysoko „plumet” czarny na 40 centymetrów.

Spodnie zimowe granatowe z żółtą wypustką (letnie były białe).

Oficerowie polscy zarzucili w kompanji kapelusze stosowane i fraki. W sztabie Wodza Naczelnego trzeba pokazać jak najwięcej panów w tym rodzaju (tu sylwetki naszkicowane) a niech Pan Bóg broni, aby się nadal miały w sztabie Wodza Naczelnego znajdować takie figury, jak widziałem na własne oczy (tu znów ręka Mistrza naszkicowała pyszną sylwetkę, jakiej nie trzeba). Adjutanci Chłopickiego mieli na lewem ramieniu amarantowe kokardy ze srebrną frędzelką.

Surduty granatowe z amarantowemi kołnierzami i wypustkami, lub zielone ciemne z czarnym aksamitem. (Tu znów narysowane, czapka z oznaką: c. granatowe, b. amarantowe, (dokoła) łańcuszek srebrny, a furażka jeneralska i oficerska (znów szkic surduta i opis). Surdut podczas rewolucji odpinano pod kołnierzem, dla odróżnienia się zdaleka od oficerów rosyjskich i pokazywano krawat.

Włosy à la Titus, wąsów mało, szczególnie u starszych rangą.

Spodnie oficerskie szaraczkowe z wypustką taką, jak na surducie u żołnierzy, na wzór wiarusów napoleońskich, wąsy w ten sposób (szkic).

Niech łaskawa pani powie kostjumerowi teatralnemu, że każdej chwili ma wstęp do mnie, i szczęśliwym był bym, gdybym doprowadził do tego, aby nasze mundury, na naszej scenie, były kiedyś z tym

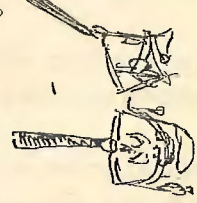
nonnenen. Inwieit to rotene
zucht W. H. Hordant'sch
a inselidly a, tyne wie wotno
fot mone.

Got Grahndene piz elote, naca
w pterareh. 4 1/2 puzle
na 7 ranciwine nuncor
a na 1/2 ranciwine puz
puzle 4 1/4 Jach rai
na to lye

goruchden Zymorochko
to musi mize na Kardine
bando wozole, plunet.
crany na 40 chuchow

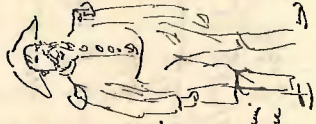
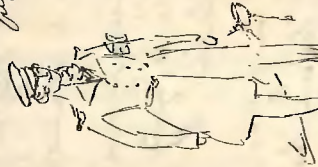


Spodnie z mow
goruchden a zolt
soppehty
(kshie lity kote)



Uchemie polary zannete w kamay
Kapelene stowene, faki. Wschale
Wlora Marclungo incha potacei jak
waj mizej panow artyum wdroje,

jak mizej Pan Poy krai
aly wj udel mizej
w stali Wlora Marclungo
zawpawac talce
Lperry jak mizej
na wstane ary.



Asjstoria Eltoping
wzeli na Gwene wczem
amantowa Kofany z
wchodz fydelle.
Turkety granatow
amantowami Kofanem
i wczem. Bie wczem
czem z mow
a mow

List Wojciecha Kossaka.

pietyzmem i ścisłością oddane, jak to ma miejsce we Francji i w Niemczech.

Wojciech Kossak".

Przepiękna akwarela z napisem „Do Warszawianki Czwartak", którą jednocześnie z tym cennym dla nas listem, dostałam od Mistrza Kossaka, świadczy o tej wielkopańskiej hojności artystów, z jaką odnosili się do Teatru Krakowskiego za Dyrekcji Józefa Kotarbińskiego.

Przy wznowieniu „Warszawianki" teatr, idąc za świetnymi wskazaniem wielkiego artysty-malarza, dał w doskonałej obsadzie, z nową dekoracją salonu, poważne i piękne przedstawienie.

Artyści, wśród których byli: Wanda Siemaszkowa, Marja Przybyłko, Knake-Zawadzki i wszyscy inni, grali znakomicie, ale Ludwik Solwski stworzył w niej roli „Czwartaka" arcydzieło gry mimicznej i pełnej takiego tragizmu postaci, że, choć autor nie dał ani słowa do wypowiedzenia artyście, zejściu jego ze sceny towarzyszyły łzy i łkania widowni.

*

Oczywiście, że ten system pracy nie mógł inaczej, jak najdodatniej wpływać także na nasze wewnętrzne stosunki.

Toteż w teatrze była koleżeńska atmosfera bardzo miła. Wówczas to właśnie zorganizowała się, wewnątrz teatru, czytelnia dla artystów i całego personelu, a dyrekcja otrzymała pismo tej treści:

„Szanowna Dyrekcjo. Za łaskawe i uprzejme użyczenie jednej ubikacji z oświetleniem elektrycznym w gmachu teatru, dla pomieszczenia naszej czytelnicy, imieniem Wydziału składamy Szan. Dyrekcji najserdeczniejsze podziękowanie.

Przewodniczący: Adolf Walewski.

Sekretarz: Michał Przybyłowicz”.

Mnie się dostały z owej doby dwa drukowane dokumenty: jeden, członka założyciela, a potem drugi jako członka wspierającego, z pieczętą „Czytelnia Teatru Miejskiego w Krakowie”, co mi wielką sprawiło radość.

*

Nadzwyczaj mile przyjęta była inowacja, jaką wprowadziliśmy, rozsyłając przyjaciółom i protektorom sceny następujące zaproszenia:

„Józefostwo Kotarbińscy mają zaszczyt prosić W. Pana o łaskawe przybycie w dniu 23 grudnia 1900 roku, o godzinie 12 w południe, na „opłatek” do Teatru Miejskiego”.

Na scenie bez żadnych dekoracyj urządził się bufet, ponieważ prosiliśmy tylko panów, więc, oczywiście, i pań-koleżanek nie było. Gospodarzami, oprócz nas, byli wszyscy zaproszeni artyści.

Opłatek dzielił z nami cały personel techniczny.

Nieco w głębi sceny stała ślicznie wystrojona duże choina, a kołędy intonowane przez dyrektora, przy akordach małej fisharmonji, rozbrzmiewały zgodnym chórem kilkudziesięciu męskich głosów.

*

Fundusz emerytalny był otoczony przez nas serdeczną pieczą. Przy każdej sposobności chwycił się jakiś grosz, by go powiększyć.

Toteż przyjazd Heleny Modrzejewskiej, tej największej artystki spośród wielkich, wyzyskaliśmy rozesłaniem listów tej treści:

„J. Wielmożna Pani!

Niech nam będzie wolno polecić opiece J. W. Pani *przedstawienie na dochód funduszu emerytalnego Artystów Sceny Krakowskiej*, które ma się odbyć w dniu 5 lutego 1903 r. o godz. 7-ej wieczorem w Teatrze Miejskim. Przedstawienie to będzie połączone z *loteryą fantową*. Mamy nadzieję, że J. W. Pani nie odmówi swej cennej pomocy dla przedstawienia tak ważnego dla Sceny Krakowskiej, której pracownicy nie tylko nie mają zapewnionej spokojnej starości, ale nawet skromnej pomocy, mogącej ulżyć ich doli, gdy stargają siły w trudach dla sztuki Polskiej.

W Zbieraniu fantów ośmielamy się liczyć na łaskawą ofiarność J. W. Pani.

Miło nam przy tej sposobności wyrazić słowa prawdziwego szacunku, z jakim zostajemy.

Helena Modrzejowska.

Bronisława Wolska.

Józefowa Kotarbińska”.

Wprawdzie, istną kampanję stoczyć musieliśmy z jednym ze znakomitych artystów, który się nie dał przekonać, że emerytura jest błogosławieństwem, a na wszystkie argumenty odpowiadał z uporem:

— A co mi tam emerytura, co mi starość, co mi

przyszłe pokolenia. W to wierzę, co mam w rękę, na żadną emeryturę nie dam grosza. Nie wiedział jednak, że, po zbyt wczesnym jego zgonie, żona i dzieci właśnie błogosławić będą tę instytucję.

Na scenie teatru zrobiłam posiedzenie Komitetu, do którego były zaproszone panie z arystokracji i z „miałsta“, bo tak się w Krakowie mówiło. Wszystkie łaskawie się stawiały wraz z artystkami i artystami.

Kulisy je bawiły. Oglądały garderoby, zakamarki różne, wiecznie skryte dla publiczności i, obiecując poparcie, dotrzymały słowa.

Teatr był przepełniony. W łóżach najpiękniejsze kobiety. Po przedstawieniu, na foyer teatru, zapowiedziany raut. Ubrane zielenią i korytarze i schody, ustrojone kwiatami foyer teatralne, przy stolikach artystki z biletami na fanty, których moc, i to przesłicznymi, nadesłały nam nasze protektorki.

Panowie we frakach i panie w pięknych strojach i klejnotach. Bufet lekki, ale ładnie urządzony.

Kiedy rzuciłam na to wszystko okiem, byłam szczęśliwa, bo przewidywałam rezultat, który nie zawiodł. Jakież 5.000 koron czystego dochodu na fundusz emerytalny. Warto było się potrudzić.

Piękne fanty były wszystkie rozegrane. Duże zainteresowanie budził też osobny stoliczek, na którym był tylko jeden fant: Wachlarz, a na nim autografy: Nakreślony ręką autora tekst muzyczny z opery, zatytułowany „Bronka“ ze słowami: „Cicho na fali tylko zdaleka dzwoneczki słyszeć zdaleka“. Podpisany: Władysław Żeleński, Kraków dnia 4 lutego 1903 roku.

J. J. Paderewski — Styczeń 1903, Kraków.

*

Praca może uszlachetnia, ale nie upiększa,
rzekł Czarkowski,

Nie patrz na nich ach jacyż brzydcy.

(„Uczuciowość”, powieść w druku).

Antoni Godziemba Wysocki.

*

Strój przywdziewa tylko — błąga,

Prawda chodzi zawsze naga.

Konstanty Krumłowski.

*

Niech żyje sztuka!

1903 r.

Helena Modrzejewska.

*

Praca nad sobą daje znajomość rzeczy, wiarę
w swe siły, wzrost talentu, lecz tylko czary szczere-
go natchnienia zwyciężają, budząc zachwyt i po-
dziw...

Miłość do sztuki wytwarza w nas te cuda i czarom
naszym daje moc..

Sewer Maciejowski.

*

Szczęśliwi ci, którzy umiłowali sztukę; jeszcze
szczęśliwsi, których sztuka umiłowała.

25.2.1901.

Adam Bełcikowski.

Konikom się polnym chwali, że myślą co będzie dalej

24.2.1901.

Michał Bałucki.

*

W walce o fundusz Wasz emerytalny
 Każdy Wam życzy dziś wiktory walnej.

Lucjan Rydel.

Ze wszystkich spektaklów najoryginalniejszym
 są gody weselne. Główni aktorzy grają dramat
 lub tragedję, a publiczność zachowuje się, jak na
 farsie.

K. M. Górski.

*

Zda mi się, że Bóg w jasnym niebie —
 i tak mi się marzy polska okolica,
 i na sercu mi kładzie wielką dłoń tęschnica.

Kazimierza Tetmajera.

Wpisał Włodz. T. za autora, a z boku (podpis)
 K. Tetmajer.
 4.II.1903 r.

*

Inny jest kwiat, co kwitnie pod ciepłym oddechem
 słońca, a inny w cieniu pod murem, pod niebem zaś
 północy, wcale nie kwitną kwiaty.
 „Psyche”.

Zofja Wójcicka.

W Krakowie, dnia 24 1901 r.

*

Wachlarz najlepsza sekretu zasłona,
 Gdy rozmawiają w sali, on i ona.
 22.2.1901 r. Estreicher Karol.

*

Chcecie zebrać na fundusz koron sto tysięcy?
 Złóżcie swoje, męczeńskie — a uczynią więcej.
 M. Szukiewicz.

*

Stanisław Wyspiański 1901. Kraków 25 lutego.

*

Wachlarz ten trzy razy był puszczonej w loteryę. Ktoś go wygrał i ofiarował p. Władysławie Ordonównie, ta dała go znów, jako fant. Przeszedł z wygranej do p. Heleny Sulimy, nareszcie obdarzona nim w trzecim ciągnięciu p. Sylwia Jutkiewiczówna, ofiarowała go mnie, bo już amatorów na bilety nie było. Goście się rozchodzili.

Ja, oddałam go w Warszawie do rąk p. Antoniego Bednarczyka. Ten znany chciwiec za darmo go napewno nikomu nie odda. Do umiłowanego „Schronienia Artystów Scen Polskich” w Skolimowie, dzieła jego miłości i starań, coś tam z tego powodu przybędzie.

*

„Naprzód” przypomniał sobie sprawę emerytury, którą, zresztą, p. Ignacy Daszyński niejednokrotnie poruszał na Naradach Miejskich i był stałym jej orędownikiem. Widocznie w nagrodę za trudy, przez nas poniesione, rozstawionemi czcionkami, na swych szpaltach pytał: „Co się też dzieje z funduszem emerytalnym wogóle” podając treścią artykułu w wątplenie czystość rąk, które się go dotyczą. I cóż? Trzebaby chyba iść do sądów koronnych.

Ale czuwa zacny Ojciec Miasta i przysyła nam dokument, ogłoszony w komunikatach urzędowych:

„Oświadczam, że należyłość, przypadająca od pana Kotarbińskiego funduszowi emerytalnemu artystów teatru, w zupełności zaspokojoną została”.

Dnia 8 marca 1903 r.

J. Fridlejn.

Na pieczęci: Prezydent stoł. Królewskiego miasta Krakowa.

Z Warszawy, wśród tego wszystkiego, odbieramy listy częste i serdeczne od Władysława Bogusławskiego, które nas zawsze krzepią. Pisze: „Szanowny i kochany Panie Józefie. Dziękuję za dobre słowa i cieszyć się zawsze będę, jeżeli się wam na co przydam. Dziękuję też za kartę z „Dziadami”, bardzo ładna i będzie dla mnie miłą pamiątką. W naszej budzie odmět coraz większy i coraz wyraźniejszy ze strony „Ludwika Odnowiciela” (mówi o ś. p. Ludwiku Śliwińskim, który wówczas objął kierownictwo Teatru Rozmaitości), system rządzenia rządcami, za pomocą „siły kosmicznej”. Jeżeli pan skarży się na jedną „spódnicę”, to cóż my powinniśmy powiedzieć o kilku naraz *spódnicach*. Cóż robić! Jestem wprawdzie stary, ale spodziewam się i to jeszcze przeczekać. Tymczasem ściskam serdecznie dłoń Wa-
szą, kochany Panie Józefie. Pani śliczne ukłony.

Wł. Bogusławski.

P. S. Na „Wyzwolenie” nie zamierzam przyjechać — poczekam aż Wyspiański stanie się Krasin-

skim. Z wyjątków, jakie czytałem w „Ogniwie“, nie zapowiada się to w „Wyzwoleniu“.

*

A Aleksander Vogel, redaktor „Gaz. Narodowej“ i prezes Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy we Lwowie, a bardzo nam życzliwy człowiek, przysyła list z Davos 5.4.1903.

„Wielce łaskawa Pani, gdybym tu miał papier taki bardzo wyzłocony, z malowanymi aniołkami, kwiatami i t. d., to pisałbym na nim, winszując Kochanym Państwu z całego serca, żeście mężnie i taktownie przetrwali burzę zawiści ludzkiej, która ponad Wami, pod Wami i obok Was, kilka miesięcy huczała, a nadto i to najważniejsze, żeście odnieśli tak wspaniały sukces, jakim jest onegdajszy feljeton „Czasu“. Być może, że zdanie Dr. G. jest głośniejsze, niewątpliwie jednak w kwestji artystycznej Stanisława hr. Tarnowskiego bardziej decydujące. I tego tryumfu szczerze Wam winszuję“.

„Czas“ dał w feljetonie obszerny artykuł St. hr. Tarnowskiego, p. t. „W sprawie Teatru“, w którym życzliwy dla teatru Rektor, między innemi, pisze.— „W Teatrze Krakowskim o rzeczy znakomite z literatury polskiej, troskliwość była większa podobno, niż za którejkolwiek dawniejszej dyrekcji“. A potem, omawiając wszelkie pro i contra mówi: „Spróbujmy się przejechać po miastach tak małych, jak Kraków, w Niemczech, we Francji, we Włoszech, i przekonać się, czy tam teatry nie stoją nierównie niżej od Kra-

kowskiego. Pokazałoby się, że Kraków ma teatr dziwnie dobry na swoje warunki". A zestawiając warunki Lwowa, który jest piękny, ma większą subwencję, ma bogatego dyrektora, a mimo to, konkluduje hr. Tarnowski, opierając się na zdaniu ludzi bliżej, aniżeli on, teatru lwowskiego stojących, „nietylko tam nie jest lepiej, jest raczej gorzej, niż tu". Bardzo przychylny artykuł kończy: W ostatecznym rezultacie der langen Rede kurzer Sinn jest ten, że pod względem literackim jak i teatralnym w dyrekcji p. Kotarbińskiego jest dużo więcej do uznania i do pochwalenia, jak do zganienia, i że nie wiedzieć, która z dyrekcji dzisiejszych teatrów polskich jest od niej lepsza".

Oczywiście, zawsze milej, jeżeli ktoś za pracę chwali, aniżeli gdy napada. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić,—mówiła kucharka smażąc karasia na patelni. I z nami tak było, bo już nawet dokładnie nie pamiętam, skąd wynikło współczucie naszego przyjaciela i obrona czcigodnego Rektora.

Wiem tylko, żeśmy sobie powiedzieli za Wyspiańskim: „Spłyniem, po nas przyjdą inni", tymczasem zaś trzeba robić dalej, co się da i jak się da najlepiej, doznając tyle dokoła sympatji i życzliwości dobrych ludzi.

MILE CHWILE PRZEŻYTE W TEATRZE

pierwsza:

P.wnego dnia trzech maszynistów przychodzi do nas, do domu, prosząc nas o objęcie protektoratu nad zabawą, z której dochód przeznaczony na „Szkołę polską w Białej Imienia Asnyka”.

Oczywiście, chętnie przystajemy zadość uczynić życzeniu, ale nie zdajemy sobie sprawy z tego, co to ma być. Tymczasem okazuje się, że to maszyniści, tapicerzy, bileterzy, cała służba teatralna urządza wieczorek na cześć Józefa Kotarbińskiego.

O oznaczonej godzinie, po przedstawieniu teatralnem, rozumie się, wchodzimy na salę. Jeden z maszynistów, Józef Kowalik, podaje mi rękę i prowadzi do miejsca, gdzie zastajemy formalny tron. Pod baldachimem na wzniesieniu stały dwa krzeselka, a za niemi, na ścianie, wisiała jakaś draperja. Kiedyśmy stanęli na miejscu przeznaczenia, draperję ową zdjęto, i ukazał się pod nią obraz Ś-go Józefa, pędzla artysty Kotowicza, jak się dowiedziałam, ujęty w szeroką zdobną ramę z tabliczką i napisem ofiarodawców.

Z serdeczną przemową wręczono Józefowi jego patrona, życząc, żeby się nim i pracą jego opiekował.

Józef był blady, miał łzy w oczach i był tak wzruszony, że literalnie nie mógł mówić. Język mu się plątał, ścisnął ofiarodawcom ręce. Ale, na szczęście, muzyka zagrała, „poloneza czas zacząć”... Po ciężkich przejściach moralnych od kilku lat już nie tańczyłam. Tym razem zrobiłam wyjątek. Tańcowałam zawzięcie, ze wszystkimi kolejno, kto mnie tylko prosił. Józef obtańcowywał kilka obecnych pań.

Na odpoczynek, Mielewski, Jeremi i Kwiatkowska zagrali jakąś komedijkę. Senowski śpiewał, Jejde deklamował, słowem zupełnie miły i ślicznie wykonany program. Wszyscy podobali mi się o wiele więcej, aniżeli artyści w komedji francuskiej, operze paryskiej i na koncertach w Wiedniu. Dalej, wodzirej zapowiada: „Te damy tańczą, które dostają znaczki”... Znaczków znoszą mi gromady, więc tańczę znów bez wychnienia. „A która z pań ma ich najwięcej, dostaje odznaczenie”. Mam, oczywiście, najwięcej, bo tak zgóry było postanowione, i dostaję na poduszcze puzderko z srebrną bransoletką. Rozbeczałam się, bo przemowa do tego opiewała:

„Wszystko u nas teraz religijnie. Państwo żyją zgodnie. Pani dyrektorowa pracuje razem z nami, aż nam nieraz żal, chcieliśmy, żeby pani dyrektorowa miała od nas pamiątkę”.

Czyż to nie cudowne? A był to już drugi rok naszego koleżeństwa w pracy dokoła teatru. Oboje z Józefem ścisaliśmy się od czasu do czasu za ręce. Byłam dumna i szczęśliwa. Właśnie dlatego, że to robiła służba, że to ci maluczcy, ci maszyniści, ci pracownicy, z którymi łączyło nas codzienne i bez-

pośrednie zetknięcie, było to istotnie coś, co się chyba nigdy nie zdarzyło w teatrze.

Z artystów, oprócz wykonawców koncertu, byli: Tarasiewicz, Solski na chwilę, Popławski, Zawierski, Jednowski, zawsze wierny przyjaciel, Segeny, Sokolicz, Federowiczówna i Eustachy Kotarbiński.

Brasoletkę nosiłam całe życie. Zakryła mi ją teraz czarna krepa żałoby, po tym niezmordowanym pracowniku, który mnie odszedł a dzięki któremu, wzbogacała się skala uczuć w mej duszy — takimi oto, jak te, przeżyciami.

Obraz Ś-go Józefa wisiał zawsze u wezglowia jego łóżka. W tej chwili, złożony w ręce szanownego kolegi, Antoniego Bednarczyka, znajdzie miejsce w kapliczce, przy Schronieniu Artystów scen polskich, która, na chwałę Bożą i pociechę dusz pobożnych, ma stanąć niebawem w Skolimowie.

*

Maszyniści i pracownicy, wśród służby technicznej teatru, mieli też swą odrębną fizjognomię.

Byli dwaj maszyniści Józef i Jan Kowalik. Młodzi, ładni, pierwsi do wypitki i do wybitki — gdy trzeba. A i w pracy — przodownicy. Jeden umarł. Drugi żyje i jak zauważyłam, nie rezygnuje z urody, bo na ostatnim benefisie p. Konstancji Bednarzewskiej, na którym byliśmy oboje, będąc wówczas w Krakowie, wręczając kwiaty od kolegów, na scenie Benefisantce, tak wyszwarcował wąsy, że wychodziły na pierwszy plan przed wszystkimi, niczem dekoracje kocha-

nego p. Drabika, z którym, mimo osobistej sympatii i wielkiego uznania dla jego niepospolitego talentu, tyle zmartwień i dysput miał zawsze mój mąż. A mimo to dobry p. Wincenty Drabik zawsze go kochał i kocha.

Dobosz Andrzej, Śledź Władysław, Grabarz Józef do dziś pracują.

Krzyżyk Antoni, jedyny do odnoszenia listów, jeśli na ich pośpiesznem wręczeniu nie zależało, ale uczciwy i lubiany przez nas wszystkich. Kowalski Antoni, dobry człeczyna, i Polewka, były kościelny, nie zaniedbujący praktyk religijnych, wiernie służył teatrowi. Najczęściej, o ile nie statystował, bo wszyscy statystowaniem dorabiali, biorąc feu od występu, Polewka siedział na górnych balkonach. Kilka razy zastałem go tam podczas aktu z książką do nabożeństwa. Nie przeszkadzało to, że kolegom pożyczal na procenty drobne sumki i zwiększał tym sposobem swe zasoby. Jak kto może, tak orze. Jak umie, tak Pana Boga chwali.

A przytem przejęty bywał zawsze szczerze swą rolą w tłumie i wybijał się na tem tle, często aż nadto.

Pamiętam go raz w „Monnie Wannie”.

Każdy reżyser, czy ten, kto od reżysera miał zleconą mustrę tłumów, gardło zdzierał, włosy rwał, sam się musiał zgrywać, chcąc je nauczyć odnośnych ruchów — rozpaczy czy radości, żdziwienia lub zachwytu — jak wypadało, i najczęściej, na próbie generalnej, kończyło się tem, że wrzeszczał:

— Psiakrew, czy wam nie pokazywałem sto razy,

jak macie i co macie robić, a to stoją, jak słupy telegraficzne, patrzą niewiedzieć gdzie, jeden z drugim.

Otóż Polewcia mały, pękaty, z ogromnemi rękami, jeszcze większą głową — uważnie słucha, jak Mielewski w rozpacz woła: „ludzie, czy nie widzicie, ile cierpię, ludzie, czy nie dzieje mi się krzywda?”. Stoję w kulisie i widzę, jak nasz Polewcia rozkłada wielkie łapy, niby śmigły młyńskie, podnosi w górę ramiona i z emfazą mówi: „Jo, panu nie zaprzecom”...

A wałek Józef, pocziwy mój Ursus. Gdzie się ruszyłam, to był przy mnie. Olbrzymie chłopisko, ciężki, z twardą ręką, którą ile razy mi podał, kiedy schodziła z drabiny, czy jakiegoś wyższego podjum, wśród roboty, to mało mi palców nie pogruchotał, tak „lekuchno” trzymał. Zbliżyła nas — oranżeryjka mała. Oboje kochaliśmy kwiaty i rośliny, więc uprosiliśmy u administracji mały pokój w suterence, ale widny, tam założyliśmy pielęgnowanie tych roślin, które były niezbędnie potrzebne, prawie ciągle, a które, nie dogładane, marły na suchoty.

— Widzi pani dyrektorowa, jak to odżyło, jak to rośnie, bo to czuje, że pani dyrektorowa to kocha. W przeszłym roku, to schło, żółkło, ani utrzymać, a teraz puszcza i śmieje się.

To nas zbliżyło i do końca miałam tak wiernego towarzysza, że opieka jego nademną wzruszała mnie. Cierpiał na oczy i wkońcu już nie wiele widział, ale służył zawsze wiernie.

A Śladowski Jan, tapicer, cóż to był za pracownik! Zdolny, chętny, szybki. Szło się z nim do składów i magazynów ze szkicem pomysłu wystawy, omówio-

nej z reżyserem, i tam dopiero odbywała się orgia najzuchwalszych kombinacyj.

Wyrazy „nie można“, „niema“, albo „nie da się“, nie istniały między nami. Wszystko, co było trzeba, było można. Wszystko, czego nie było, wydobywało się z pod ziemi. Wszystko się zawsze „dało“, co było niezbędne do sztuki.

Ale cóż, kiedy ten doskonały robotnik — pił. A jak się upił, to musiał kogoś zranić. A jak zranił, to miał sprawę. A ze sprawy wynikała kara i koza. A cóż przez ten czas robi teatr?... Więc tyle zawsze mogłam uzyskać, że, idąc do odnośnej władzy, wypraszałam odsiedzenie kary na wakacje. I kiedy wszyscy szli, lub jechali na urlopy, mój biedny Śladowski szedł do kozy. Umarł też wcześniej, niż się należało, ten doskonały pracownik.

Był tam jeden chłopiec: Jędrus. Spokojny. Inteligentny i lubiany. Niewiele co o nim wówczas wiedziałam. Aż teraz, w Warszawie, przed wejściem za kulisy Teatru Polskiego, wita mnie ktoś.

— Pani dyrektorowa mnie nie poznaje, ja byłem przy Śladowskim za państwa dyrekcji.

I dopiero przypomniałam sobie — Jędrusia, dziś Andrzeja Szturcę. Żołnierz Pierwszej Brygady. Wyszedł z Krakowa z kadrową kompanją i już szedł na Kielce, Laski, Krzywopłoty, a potem na Wołyń, a potem niewola. Ze stopniem chorążego wyszedł z wojska i piersią, zdobną w krzyż *Virtuti Militari* i trzy krzyże zasługi. Żona mu umarła i zostawiła dwie córeczki.

— Co się z niemi dzieje?

— Są pod dobrą opieką pani generałowej Zielińskiej. Uczą się. A ojciec pracuje, jako tapicer w Polskim Teatrze, i chwali sobie dyrektora Szyfmana. Takie to u nas były chłopaki, aż miło wspomnieć i duma patrzeć na nich.

Było jeszcze paru ludzi zacnych, a wszyscy chętni, widzieli, że sami pracujemy ciężko, że nie szczędzimy grosza na dodatkowe roboty, że, jeżeli w noc trwają próby, to się za to nagradza, że, jeśli jemy, i ich częstujemy, co na generalnych próbach, ciągnących się późno w noc, często się zdarzało. Słowem, żadnej z tego źródła trudności, wszystko w ładzie, choć w niepokoju, jak przy teatrze.

Raz tylko pan Ignacy Daszyński, dziś wielce szanowny nasz Marszałek, gorący wówczas trybun ludowy, zmierzył się ze mną i — przegrał. Ni stąd, ni zowąd podbuntowani maszyniści po jakimś wiecu, na którym mówił — a mówił pięknie, to wiadomo — zastrejkowali. Ale, nieogłędnie dla swej sprawy. Bo właśnie, tego wieczoru, szła sztuka w jednej dekoracji. Ustawiłam dekorację, urządziłam scenę, z pomocą brata naszego, kasjera, Eustachego Kotarbińskiego, i nie brakło niczego. Gdyby były trzy zmiany, jużbym temu nie podołała. Nazajutrz stali wszyscy maszyniści pod teatrem. Idąc, nie skinęłam im głową.

— A my właśnie chcemy państwa przeprosić za wczorajsze, — mówi „delegat”, idący wślad za mną.

Zgoda nastąpiła natychmiast i nigdy się to już więcej nie powtórzyło.

druga:

Dnia 6 maja 1900 r. daliśmy przedstawienie na dochód personelu technicznego i służby teatralnej, a 7 maja, to jest nazajutrz po przedstawieniu, zaprosiliśmy wszystkich na kolację do sali Johnów. Paru nie przyszło, nadsyłając listy, ujawniające komeraże osobiste. Artystów nie zapraszaliśmy specjalnie, mówiąc, że, gdy który chce przyjść, to bez ceremonji niech będzie łaskaw, a zrobi nam tem przyjemność. Przyszli: Zawierski, Jednowski zawsze niezawodny, Tarasiewicz, Popławski, Solski, Wójcio i Eustachy Kotarbiński.

Wszyscy prawie maszyniści byli, brakowało Jaśka Kowalika, o to się bałam, czy przyjdzie, bo były tam pewne antagonizmy, które chciałam załagodzić przy tej sposobności, więc osobiście i usilnie prosiłam go, żeby był. Okazało się, że poszedł się wyelegantować i przyszedł. Byłam ogromnie rada. Wódką i przekąskami częstował Józef wszystkich. Franciszek, stróż teatralny, zacne człeczysko, ale skromny sługa boży, był formalnie ogłupiały. Nie wiedział, co się z nim dzieje, bo to i sala piękna, w jakiej nigdy nie był, i nakrycie stołu, jakiego nie widział, i jeszcze dyrektor do niego przepijał. A potem, przy tym samym stole posadził. „Nic, tylko musi koniec świata“, powtarzał, ale pił i jadł, zdejmując jednak palcami każdy kawałek z widelca, zanim go doniósł, na tym niebezpiecznym narzędziu, do ust.

Dalej artyści przegradzali maszynistów, był także

kuzyn nasz, Kazimierz Czapelski, bardzo życzliwy nam człowiek.

Rozmowa była lepsza i więcej zajmująca, niżeli w niejednym salonie. Mówiło się o sztukach, o publiczności, o graniu. Kowalik Józef, którego bardzo lubiłam, zdecydowanie uczciwy człowiek, dzielny pracownik, opowiadał o różnych dyrekcjach. Miał lat 34, od małego chłopaka kręcił się po teatrze, przypomniał mi, że, jak przyjeżdżałam z mężem na występy do Krakowa, to on codzień przynosił mi kwiaty i dostawał dobre napiwki. Ale co było nadzwyczajne w tem wszystkim, to język, jakim mówili. Był nietylko poprawny, ale często ładny. Sprawiało to niezawodnie osłuchanie się ze sceną. Nastrój był swobodny. Nikt nie popełnił żadnej niewłaściwości. A mój pocziwy Wałek-Ursus zrobił uwagę, że taki kufel, z jakiego piję piwo razem z nimi, za ciężki dla mojej ręki.

— A czy to pan nie wie, że często cięższe rzeczy dźwigamy razem na scenie.

— Toteż nieraz aż żał małej ręki — odpowiedział, a po chwili kelner podał mi, z jego polecenia, piwo w cienkiem szkle.

Józef miał serdeczną mowę. Zaczął od tego żartobliwie, że zwykle ludzi na tych względem siebie stanowiskach, na jakich tu jesteśmy, łączy kapitał — i praca. Tu zachodzi ten wypadek, że łączy nas wszystkich tylko praca, bo kapitału — nie mamy.

A dziękując zebrany, że przyszli, dziękował także, za ich sumienne spełnianie obowiązków, czem przyczyniają się do rozwoju tego, w imię czego pra-

ucujemy wszyscy, to jest rozwoju sztuki polskiej i mowy ojczystej.

Odpowiedział maszynista Błaż Jan:

— Wielmożny Panie Dyrektorze! Racz przyjąć kilka słów szczerych i otwartych, które ci składają współpracownicy personelu techniczno-robotniczego.

Urządzony na cześć tego personelu wieczorek przez osobę pana Dyrektora jest nam wielce cennym, a najcenniejszem jest dla nas to, że byliśmy zaproszeni każdy osobiście przez pana Dyrektora, bez pośredniczenia osób trzecich.

Dlatego ceniąc i szanując osobę pana Dyrektora, przyszliśmy tu prawie w komplecie, i nikt nie może zarzucić, abyśmy to zrobili z jakiegokolwiek przymusu, z największą przyjemnością chcemy, spędzić ten nadspodziewany wieczór, tak dla nas miły.

Tu następuje kilka ogólnikowych poglądów na ujemne stosunki pracodawców i pracujących, zakończone otuchą, że kiedyś oświata ogólna poziom podniesie i wyróna je niezawodnie. A kończąc, mówca raz jeszcze dziękuje i wznosi okrzyk: niech żyją państwo Dyrektorstwo Kotarbińscy, wiwat, niech nam żyją!

Ci ludzie może piją i upijają się. Kaleczą, biją, może zabijają. Ale jakże umieją płacić sercem i wdzięcznością temu, kto im da możność podnieść ducha i uwierzy w ich wartość moralną.

W parę dni potem Teofil Gill, afiszier, dotąd piastujący to stanowisko w Teatrze Krakowskim, daje nam numer „Podgórzanina” i mówi:

— My umyślnie do „Podgórzanina” zanieśli, bo on zawsze głupstwa pisze na dyрекcję, a nam nie śmie odmówić i musi wydrukować.

— Cóż zanieśli?

Zanieśli podziękowanie, serdeczne, pełne najwyższej wdzięczności, za benefis, za zajęcie się nim i za wieczór razem spędzony. Dziękowali wszystkim i prezydentowi, i nam, i artystom, i kapelmistrzowi Hockowi za muzykę, i drukarni „Czasu” za bezpłatne afisze, i publiczności.

...„a dopełniwszy tego obowiązku, pozwalam sobie w imieniu kolegów na zaznaczenie stosunku, jaki zachodzi między nami a przełożonemi. W-ni Dyrektorstwo otaczają nas na każdym kroku dowodami zaufania, postępują z nami nie jak ze służbą płatną, ale jak z ludźmi, których los postawił wprawdzie na niskim stopniu społecznym, ale nie odmówił im poczucia godności osobistej. To samo odnosi się do stosunku naszego z p. sekretarzem i pp. artystami.

Jesteśmy ludzie prości i mamy ręce stwardniałe od pracy, serca nasze jednak umieją czuć i choć nas burze życia rozniosą po świecie, zawsze z wdzięcznością będziemy wspominać tych ludzi, pod których kierunkiem, daj Boże, żebyśmy jeszcze długo pracowali. Emil Gill”.

Może przytoczenie tego druczku wygląda trochę na przysłowie: „próżna chwala u drzwi stała” — ale czyż niema się czem pochwalić? Czyż mogę

pominać fakt, który słodził niejedną gorzką chwilę pracy zawodowej.

Czy mogę nie dać świadectwa o szlachetności całej grupy ludzi, dzielących z nami trudy, niebywale wyczerpującej pracy, którą pełnili ochotnie i uczciwie do ostatnich chwil. Ile razy byliśmy w Krakowie, z gromadką tych maszynistów, którzy jeszcze nas pamiętają, wznawialiśmy wspomnienia minionej na zawsze, ale nigdy nie zapomnianej przeszłości.

TEATR KRAKOWSKI W CIESZYNIE.

20 stycznia 1901 r.

Otwarcie „Domu Polskiego” otoczone było w Cieszynie niesłychaną powagą i wielkiem staraniem, by wszystko wypadło uroczyście;

Na pastora Michejdę patrzyłam, jak na człowieka naprawdę na obraz i podobieństwo Boga stworzonego. Tworzy — bo kocha. Zapala — bo płonie. Gromadzi ludzi do koła, bo im ufa.

Wielka miłość i wielka wiara, to dwa czynniki, które tam, na tym Śląsku, ratowały polskość i byt narodowy.

Frazesów od nich się nie słyszało. Salonowej kultury nie mieli. Mieli prostotę, szczerłość i moc ducha. Dlatego trwali.

Mury Domu polskiego wzniesli zbiorowym wysiłkiem rozumnych i czujnych obywateli.

— Jest „Dom niemiecki”, musi stać „Dom polski”. Dom, w którym ześrodkują się stowarzyszenia, zbiorą jednostki, w którym będzie zawsze książka polska, pismo polskie, tchnienie polskie.

Grosz do grosza zbierała garstka myślących dobrze ludzi, aby za te pieniądze stanął piękny dwupiętrowy gmach, mieszczący i scenę i salę dużą, i czytelnię, i bibliotekę, a którego otwarcie i po-

święcenie miało miejsce 20 stycznia 1901 roku. Medal wybity na upamiętnienie tego dnia głosi hasło: „W jedności siła”.

Kilka tygodni poprzedziła tę datę u nas wizyta pastora Michejdy. Umyślnie przyjechał, aby Józefa prosić o współudział w uroczystości.

Rada w radę, jakby najlepiej przysłużyć się Cieszynowi.

— Spróbuję — mówi Józef — obmyśleć coś, co by naprawdę mogło się przyczynić nie tylko do urozmaicenia wieczoru koncertowego, ale co by dokumentowało szczere zainteresowanie się waszą działalnością i rozbrzmiało głośniejszym echem naszej z wami solidarności. Dziś wieczorem może ksiądz pastor zechce przyjść do naszej loży na przedstawienie, a potem u nas omówimy sprawę. Pastorowi aż oczy się roześmiały, bo czuł, że trafił tu na dobry grunt.

A mąż mój w teatrze, z sekretarzem, administracją, reżyserem, jał układać śmiały plan, zbiorowego przedstawienia, z udziałem części trupy — w Cieszyźnie.

I... uradzili, już w porozumieniu nawet z niektórymi artystami, zagranie „Ślubów panieńskich” Fredry, co się dało łączyć w obsadzie z „Czerwoną Togą” Brioux’go. Aby tym sposobem, bez szkody dla Krakowa, bo to było zastrzeżone osobnym paragrafem kontraktu, można było wyjechać do Cieszyna.

Radość czcigodnego ks. pastora Michejdy była niewypowiedziana.

W „Ślubach” mąż mój roli nie miał. Miał mówić „Bitwę racławicką” ale to jeszcze nie to, coby trzeba na tak uroczystą chwilę. Więc uprosiło się Kazimierza Tetmajera o napisanie specjalnego wiersza, którymby artysta polski polskiego poety słowy przemówił do zebranych. Chodziło o to nie z próżnych pobudek, ale z przeświadczenia, że tak się należało. Jeszcze zostało i uproszenie Tetmajera, aby razem z nami pojechał, uświetnić uroczystość swą obecnością.

Do odważnych świat należy.

Na tydzień przed terminem wyjazdu dostaję list: „Droga Pani! Muszę bardzo pana Józefa kochać, skoro 63 wiersze, wstawszy, napisałem. Jakie tam są, to są, ale zawsze powiedzieć się dadzą. Tylko trzeba przepisać, a ja przejrzę, żeby nie było błędów. K. T.”

A potem, przy pierwszym w teatrze spotkaniu w naszej loży, której nazywał się sam „stałym ornamentem”, a co było dla nas wielką chlubą, obiecał, że pojedzie, więc wszystko złożyło się jak najlepiej.

Jechaliśmy szczęśliwi nad wyraz, że teatr krakowski, pod dyрекcją Józefa Kotarbińskiego, będzie w tym dniu na Śląsku.

Po nabożeństwie, Monsignor Świeży i pastor Michejda stanęli w przepelnionej sali i oddawali w ręce ludu ten dokument wysiłku, ożywionego duchem polskim, broniącym się przed „naporem germanizmu”, którego widomym znakiem był właśnie ten „Dom polski”. Przedstawienie wieczorne, na którym poraz pierwszy podniosła się kurtyna sceny Domu

polkiego w Cieszynie, zaczynał Józef Kotarbiński
mocnymi strofami Kazimierza Tetmajera:

Biały się rumak wspięty ciska
Nad płoty z mieczów i ścierniska,
Aż krew mu z rannych boków broczy —
Lecz patrz — o, dziwo! Krew, co pryska,
Każda krwi kropla się zamienia
W pióro, jak ptakom u ramienia,
I rumak skrzydła wnel roztoczy

A wówczas niczem płot i wały!
Rumak się wzniesie i, zuchwały,
Jak orzeł ponad miecze wzleci!
U stóp mu będą góry stały!
A wdole się przerazi morze,
Że to się anioł jakiś może
Ponad górami srebrny świeci...

— — — — —
Bracia! Rumakiem wyście onym,
Od ran krwawiących pierś czerwonym,
Co się na miecze, na ścierni ciska!
Lecz pniście skokiem się szalonym,
Bo każda kropla krwi się zmienia
W pióro, jak ptakom u ramienia,
Każda, co z waszych ran wytryska!

I będzie, że was orłopióre
Ramiona w zenit wzniosą, wgórze,
Nad hól, nad rany i cierpienie!
Że widząc waszych skrzydeł chmurę
Morza pomyśla, że z zaświata
Skądś huf radosnych duchów wzłata,
Że to jest duchów objawienie!...

Że to jest cud i dopust Boga,
 Gdzie jęk był, rozpacz, ból i trwoga,
 Widzieć wesele, szczęście, chwałę — —
 I zapytają: Gdzie wam droga?
 A odpowiecie: Tak, jak dawniej,
 Tak, jak przodkowie nasi sławni,
 Idziem za ludy walczyć całe!

A więc „są” piękne i wzniosłe.

*

Przepisując wiersz z manuskryptu widzę na marginesie ręką Tetmajera skreślony żarcik: „Tu się kończy i proszę od końca w górę nie czytać”.

Wynikło to stąd, że właśnie przed paru dniami, kiedy był u nas, mieliśmy w ręku nowy tomik jednego z poetów wykwintnego świata, bardzo reklamowany, i, robiąc próbę czytania wiersza od góry do dołu i przeciwnie od dołu w górę, nie uważaliśmy, żeby jego treść na tem cierpiała.

Ale wracajmy do Cieszyna, gdzie już ku ogólnemu zadowoleniu publiczności odbywa się przedstawienie „Ślubów panieńskich” z udziałem pp.: Wolskiej, Ordonówny, Morskiej-Popławskiej, Sobiesława, Mielewskiego, Wójcickiego, oczywiście suflera i... inspicjenta na ten wieczór, młodego wówczas, żywego chłopca Miarczyńskiego, który koniecznie napraszał się o ten wyjazd.

Oklaskom nie było końca. Podziękowań bez miary.

*

Przy stole biesiadnym przemawiali: ks. pastor Michejda, p. Antoni Beaupré, szczerzy patrijota, redak-

tor wówczas „Głosu Narodu” w Krakowie, i Józef Kotarbiński. Kulminacyjnym jednak punktem nie tylko uwagi, ale i wzruszeń, był moment, który: sięgnął do trzewi i zatargał”.

Wstał robotnik ze Śląska pruskiego, wójt którejś gminy. Wysoki, szczupły, o ślicznej, pełnej wyrazu silnej woli, fizjognomji, z blizną na czole i oczyma, jakie się tylko u górników spotyka, przywykłych do badania ciemności.

Zaczął mówić: „Widziałem tu trzy twierdze, Piastowską na Starym Zamku, szkołę polską i nowy „Dom polski”. Czy macie pojęcie, co my tam przeżywamy, czy wiecie o ucisku, jaki czujemy na każdym kroku od Niemców. Czy rozumiecie, że musimy wiarę i tę mowę naszą chować skrycie. Jak to wszystko, co się tu dzieje, będę opowiadał, kiedy wrócę do tego naszego... tu mu głos zadrżał, załamał się, — do tego, prosto mówiąc, więzienia... i głośno załkał. Płakali z nim wszyscy. Wszyscy bez wyjątku. Ogromne rozrzewnienie poszło po całej sali. Ścisłano go. Dodawano w serdecznych słowach otuchy. Tacy, jak on, ludzie chowali dzieci, które podczas agitacji plebiscytu widziałam niezawodnie na Górnym Śląsku, w zażartej walce z Heimatstreuerami, a które później w powstaniu krew i życie dawali za wydarcie wrogowi — naszej polskiej ziemi.

*

I dopiero w wagonie w powrotnej drodze — artyści przyznali się, że prawie nikt, prócz jednego Miar-

czyńskiego, którego gnała młodość, nie jechał z entuzjazmem. Wykolejała ich ta wycieczka z codziennego trybu życia. Był to w każdym razie duży wysiłek i zmęczenie. Ale, teraz, z entuzjazmem dziękowali Józefowi, że za jego sprawą przeżywali tak podniosłe i niezapomniane chwile.

*

Zaledwie odetchnęłam po drodze, trzeba było zbierać się na balik, jaki urządzał sobie personel techniczny teatralny, prosząc na protektorów zabawy mnie i Lucjana Rydla.

Prowadziliśmy poloneza i zaśmiewali się oboje z tej szczególnie dobranej pary, jako że był to czas najostrzejszej wojny krytyka z teatrem. Ale to właśnie — życie. Człowiek chce tak — a ono inaczej zarządzi.

„ZAWISZA CZARNY”.

29 stycznia 1901 r.

Od Kazimierza Tetmajera, którego względami i życzliwością cieszyliśmy się oboje, i który zawsze był dla nas niesłychanie uprzejmie usposobiony, może czując, jak wysoko cenimy jego niepospolitą twórczość, odbieram, bez daty, ale w końcu roku 1900, małeńki bilet wizytowy tej treści: „Szanowna i Łaskawa, Kochana Pani! Zacząłem przed kilku dniami, a mam nadzieję w tym tygodniu skończyć, spektaklową, lub prawie spektaklową, fantazję dramatyczną wierszem, p. t. „Zawisza Czarny”. Czy, jeśli pan Józef ją weźmie, mogę prosić o ofiarowanie mi miejsca w styczniu, gdyż umyślniebym został dlatego w Krakowie”.

A drugi bilecik już opiewa: „Posyłam tedy ostatecznie „Zawiszę”, gdyby się dało 26.I, toby było cudnie, gdyż, o ile sędzę, nie będą mógł teraz wyjechać dla dekoracyj i t. p., a bardzo mi trzeba być prędko w Warszawie”. Data 1.I, 1901.

A 2.I.1901, już było u nas głośne czytanie sztuki: „Zawisza Czarny” Kazimierza Tetmajera. Zaproszeni byli tylko ci, których sobie życzył mieć Tetmajer. A więc: Kazimierz Ehrenberg, z którym go łączyła dawna przyjaźń, Włodzimierz Tetmajer, Tadeusz Że-

leński, który nie przyszedł. Ja prosiłam o pozwolenie zaproszenia reżyserów, był więc Kamiński i Walewski. Wszyscy przyszli o 7-ej. Czytanie zaczęło się o 8-ej. Po spektaklu nadeszli: Kazimierz Czapelski, Piotr Stachiewicz, Jerzy Mycielski. Przy kolacji, o 10-ej, już kipiała dysputa. Byliśmy pod radosnem wrażeniem, że się coś rodzi, że coś przybywa do skarbnicy, naszych dorobków duchowych. Język „Zawiszy” cudny. Rozkołysały nas w pierwszym akcie kwiaty, pola, niebo, ziemia. Od wszystkiego idzie jasność i płyną świeże tchnienia. Liryka przepiękna. W drugiej i trzeciej odsłonie rozwija się akcja. Są mocne sceny, które muszą ować słuchaczem. Scena zmienia się w świat fantazji w akcie czwartym. Występują tu głosy natury, które mówią zawsze pięknie do tych, co ich słuchać chcą i umieją. Fala życia po ludziach przejdzie. Burze namiętności zaszaleją i zcichną. A natura w swym majestacie niewzruszona, potężna i spokojna, zostanie wieczyste.

Po skończeniu dysputa. Kamiński uważa, że „ten ostatni akt niepotrzebny” — może on i niepotrzebny, ale piękny. Walewski radzi jeszcze wprowadzenie Dwiny na scenę. Na 4 b. m. umawiamy następną radę. Zapraszam. L. Rydla, który nie przyszedł, urażony, że nie był na pierwszym czytaniu, K. Górskiego. Tetmajer porobił już niektóre poprawki. O ile zdąży się z malowaniem dekoracyj, na 26-go naznaczono premierę, według życzenia autora. Autor i zebrani decydują, że Józef ma grać Zawiszę. Włodzimierz Tetmajer daje nam wzory do kostjumów, których oryginały przechowałam.

Wogóle zauważyłam, że jeżeli sztuka ma mieć powodzenie, powinna się długo wynosić, aby szczęśliwie przyszła na świat. Muszą ją w sobie ogrzać artyści, musi przemyśleć reżyser, musi mieć wizję całości dekorator, i publiczność musi jej oczekiwać. W Krakowie nigdy na to nie było czasu. Co stwierdza nawet Rydel w „Czasie”.

Józef grał pięknie Zawiszę. Powodzenie sztuki było duże. Wprawdzie raz tylko był teatr wyprzedany, ale sztuka, kilkakrotnie powtarzana, wypełniała widownię dobrą publicznością, odczuwającą poetyckie wartości dzieła. Miałaby niezawodnie więcej przedstawień, gdyby była dłużej noszona i obnaszana.

Było trochę i przykrych chwil. W sam dzień przedstawienia, wśród największej harmonji i pogody w naszych przyjaznych stosunkach, dostałam rano list od Tetmajera, w którym zadzwieczało kilka niemiłych tonów. Oczywiście, nieporozumienie. Co robić? Józefowi nie można nic mówić, bo ma dużą rolę, musi mieć spokój, którego i tak już niema żaden artysta przed premierą. Na próbie nieuniknione jest spotkanie z Tetmajerem... Co robić? Dziesiąta. Ostatnia próba, tak zwana „przegadanka”. Wchodzę na scenę. Tetmajer nie chce mnie widzieć, ale za to ja go widzę, podchodzę i witam się z nim najspokojniej, bo niema innego wyjścia. Wieczorem dostaje wieniec od dyrektora.

Nazajutrz już, znów rano, dostaję od niego bilet: „Szanowna, droga Pani! Gdzie się zwrócę, mówią mi o panu Józefie. Ślicznie grał i świetnie wyglądał. Dziękuję”. Józefowi przysyła kwiaty. Mija parę tygodni. Jest Kosiakiewicz, Wyspiański i Tetmajer

w naszej łoży. Idziemy razem na kolację. Wśród rozmowy, Tetmajer mówi, już nie wiem à propos czego: „Czasem zapach trzystu róż nie sprawi takiej rokoszy, ile bólu zada jeden cierni”.

— Prawda, panie Kazimierzu, — powiedziałam, kładąc rękę na jego rękę. — Pocałował mnie bardzo serdecznie. Byłam jeszcze więcej z niego zadowolona, dla niego samego, niż dla siebie.

Nigdy już więcej nie było o tem słowa między nami. Umieliśmy, on i ja, zwalczyć w sobie złość — to jest miłe zwycięstwo.

A za to, na uczcie, dla niego przez dyrektora teatru wydawanej, na którą zaproszeni byli wszyscy artyści, biorący udział w przedstawieniu, i panowie recenzenci, a więc i Lucjan Rydel, obaj poeci wyprawili nam jakowyś turniej poetycki. Mówili cudnie. A Tetmajer powiedział toast, jakiego anim się spodziewała, anim go była godna.

Dziękując Józefowi za rolę, za tę miłość, jaką umiał otoczyć każdą oryginalną sztukę, za starania koło jej najlepszego wystawienia, powiedział: „Mówiąc o panu Józefie, nie mogę nie mówić o jego żonie, tak te pojęcia wiążą się ze sobą i łączą w jedną całość. On jest tęgim, krzepkim dębem, który stoi twardo, świadom swej mocy. Ona jest tą koroną dębu, tym liściem zielonym, który oplata i zdobi jego czoło. I, jak na dębu koronę padają pierwsze słońca promienie i pierwsze burzy ciosy, jak na niej słychać ptasząt świergotanie i wichru szumy, tak i przez duszę pani Lucyny przechodzą wrażenia, uderzają nieraz ciosy, od których ona dąb chroni. Na jej ręce, nie taję, na

jej ręce pierwszej złożyłem mego „Zawiszę”, bom miał jakiś zabobon, że to będzie tak dobrze” i t. d. i t. d.

Byłam bardzo dumna i uszczęśliwiona, i dopiero po tem wszystkiem — opowiedziałam Józefowi całą historję, z której brały początek te śliczne madrygały.

— A tyś mi nic nie mówiła...

Był bardzo kontent.

*

Andrzej Niemojewski pisze 2.II.901 r. z Warszawy: „Szanowny Panie Józefie! W tej chwili przeczytałem depeszę w „Kurjerze Warszawskim” o premierze „Zawiszy” i szczęśliwy jestem, że i pan i Tetmajer osiągnęliście sukces zupełny, którego byłem pewny. Dziękuję za zaproszenie, ale o przybyciu nie mogło być mowy, gdyż musiałbym robić podanie do Petersburga, a na to czasu nie starczyło.



CO PRZYNOSIŁA POCZTA

Można było się zmęczyć tempem naszego życia, nie można było nigdy skarżyć się na jego monotonię. Każda poczta — to kalejdoskop najróżnorodniejszych kwestyj. Daliśmy sobie wzajem pozwolenie otwierania wszystkich listów, bo mogło któregoś z nas nie być w domu, a ważna jakaś sprawa, dotycząca teatru, ucierpiałaby na zwłoce. Więc np. taka poczta dostaje się do rąk moich:

„Cech szewców stoł. król. miasta Krakowa. Do Szan. Dyrekcji Teatru w Krakowie. Wyczytawszy wiadomość o uroczystym przedstawieniu, odbyć się mającemu w dniu 28.VI ku uczczeniu dziesięciolecia istnienia naszej Sztuki Narodowej, gdzie to mieszczaństwo rzemieślnicze krakowskie dopiero cel i życzenie narodu święciło obok Orła Białego Polskiego i na gołym placu Wszechmocnego prosiło: Dał Bóg najwyższy, że życzenia te się spełniły, przeto poczuwamy sobie za obowiązek, aby dziesięciolecie uczczono, a że nie wypada tu przybyć z insygnjami i sztandarami, lecz przynajmniej reprezentanci Instytucyj Cechów Krakowskichby się stawili i w pamięci dziesięciolecia istnienia Narodowej Sztuki zaznaczyli, przeto upraszam Szan. Dyrekcję o łaskawe zaślanie wstępu.

Z uwzględnieniem, gdyż trudno, aby na 30 cechów krakowskich, liczących przeszło 2.000 członków, za-
dośćuczyniono, lecz może możebnem jest, aby star-
szym cechu, podstarszym i części członków wydziału
wstępu udzielono. Przeto udaję się z zapytaniem
i upraszam o łaskawą odpowiedź. Szufa Andrzej,
Starszy Cechu".

Pieczęć z napisem: Cracoviensium Signum Inforum
i godłem w środku.

*

A inny liścik. „Szanowna Pani. Będąc parokrotnie
w ostatnim czasie w teatrze, zauważyłam, że bardzo
wiele miejsc bywa niezajętych. Czyby nie mogło
z nich skorzystać kilka młodych studentek, które na
kupienie biletów nie mają pieniędzy, a bez uszczerb-
ku dla teatru mogłyby cieszyć się kulturalną roz-
rywką. Przepraszając i t. d."

Adres i nazwisko słuchaczki filozofji.

Naturalnie, że odpowiedź była przychylna i syste-
matycznie prośba wykonywana.

*

„Szanowny Panie Dyrektorze!

Wybaczy mi Pan Dyrektor mej śmiałości i natar-
czywości, że się udaję z tak błahą prośbą, ale dla
mnie ona jest wiele warta.

Oto prosiłbym Szanownego Pana Dyrektora o wia-
domość, czy nie wstąpiła panna pewna z Krzeszowic,
w tym albo w tamtym roku, do Teatru Krakowskie-

go i czy nie mógłbym prosić o jej imię i nazwisko gdyż mam pewien interes, znam ją, ale nie wiem, jak się nazywa. Pan Dyrektor będzie tak łaskaw przychylić się do mej prośby i zawiadomić mnie o tem.

Kreślę się z należnym szacunkiem, najniższy sługa — baron Michał N. Adres: Kulparków".

Nic dziwnego — mój mąż świetnie umiał się porozumiewać z warjatami. Nie robię tu żadnych aluzyj, ale wiem, że i temu biedakowi odpisywał.

*

Na przedstawieniu „Fausta” z Kamińskim, W. Siemaszkową i J. Kotarbińskim w głównych rolach był redaktor Maliszewski z Warszawy, zaproszony do naszej loży. Przedstawienie „Fausta”, dane z najwyższą starannością mego męża, było niezawodnie jednym z najpoważniejszych dorobków artystycznych sceny krakowskiej.

Z dobrą też nowiną przyszedł p. red. Antoni Beau-pré: — Był u nas wczoraj w redakcji Marszałek Badeni i mówił: „Zdumiony jestem, że „Faust” tak dany i zdumiony — że teatr pełny”.

A było to 5-te z kolei przedstawienie w tłumaczeniu Ludwika Jenikego. Z owej chwili mam takie notatki: „Na afiszu, przeznaczonym dla tłumacza, napisałam kilka słów, pełnych szacunku dla czcigodnego starca; podpisali się obecni w loży: Kazimierz Teimajer, Piotr Stachiewicz. Poszłam za kulisy po podpisy: J. Kotarbińskiego, Kaz. Kamińskiego i Wandy Siemaszkowej”, Afisz p. Maliszewski wręczył,

wedle przeznaczenia, i oto miły list od Ludwika Jenikego przynosi poczta.

„Łaskawa Pani Dobrodziejko!

Przez Red. Maliszewskiego otrzymałem afisz „Fausta” z nader miłemi dla mnie słowami Łaskawej Pani. Serdeczne dzięki za nie; tem serdeczniejsze, że kreśliła je ręka niewiasty, umiejącej odczuć piękno prawdziwe, choćby w szacie tylko skromnego przekładu. Innym na afiszu podpisanym osobom racz Pani również oświadczyć moją wdzięczność”.

Jak małą rzeczą można bliżniemu przysporzyć chwil zadowolenia! Toteż żadnej oszczędności własnej w tym kierunku nie trzeba wprowadzać, ale trzeba pokolei, co się da i komu się da, zawsze zrobić dobrze.

Ze Lwowa zaproszenie:

Marszałek Krajowy i Krystyna Potocka mają zaszczyt prosić Jaśnie Wielmożnych Państwa Józefów Kotarbińskich na wieczór dn. 14 lutego 1903 r., o godzinie 9-ej, w gmachu sejmowym.

Naturalnie, że byliśmy, bo to już było potrzebne dla teatru i jego spraw.

*

A na odmianę wymyślanie:

„Wielmożny Panie! Powodzenie, jakim się cieszy „Kopciuszek”, chyba przekonywa dostatecznie, że Wyspiański, Ibsen, Rydel i t. p. autorzy grubo się sprzykrzyli. „Bolesław Śmiały”, „Wesele” i inne brednie są dobre dla ludzi umyślowo chorych, zdro-

wi zaś potrzebują sztuk wesołych: prosimy o lekki repertuar, powodzenie zapewnione".

*

„Szanowna Pani! Czynię krok, który mnie b. wiele kosztuje, ale widzę syna mego w takiej rozpacz, że mimo przykrości udaję się do Sz. Pani, prosząc Ją o pożyczenie nam 4-ch reńskich. Gaża dopiero 8-go, a Janeczek woła jeść. Pani Szanowna, ile ja przechodzę i cierpię! Jak syn dostanie gażę — sama odniosę z podziękowaniem. Łącząc wyrazy szacunku...”

*

„Łaskawa Pani Dyrektorowo! Proszę przyjąć wyrazy szczerzej podzięk, za tak łaskawe, tak serdeczne zaopiekowanie się moimi paniami, które na skutek nieporozumienia zostały na dzisiejszem przedstawieniu bez miejsca. Prawdziwie byłem wzruszony tym dowodem życzliwości Sz. Pani i z całego serca za nią zasylam podziękowanie. Łącząc wyrazy głębokiego szacunku, z jakim pozostaje Sz. Państwa sługa powolny W. Feldman”.

Rzecz się tak miała: żona i siostra p. Feldmana, literata i redaktora „Krytyki”, przyszły do teatru. Zastały miejsca redakcyjne zajęte przez kogoś innego. Nie wiedziały, co z sobą zrobić, a że teatr był pełen, widząc ich zmieszanie — zaprosiłam je do naszej loży.

*

A teraz nowe curiosum:

„Do Świetnej Dyrekcji Teatru Miejskiego w Krakowie! Od 2-ch lat pracuję nad pewną zajmującą sztuką dla grania jej w teatrze i kosztuje mnie dużo mocołu i pracy, połączonej ze zdrowiem i kosztami. Na koniec jesieni skończę i będę chciał tę sztukę odegrać sam w teatrze letnim. Wpierw atoli muszę opatentować, później spieniężyć. Upraszam zatem o łaskawe udzielenie jakich dramatycznych podręczników do opracowania mej sztuki na dobre, oraz na każdą niedzielę wstęp wolny do teatru, co najmniej na dwie osoby. Z przypatrzenia się będę mógł także polepszyć moją sztukę i proszę mi odpowiedzieć w tej sprawie...” — i t. d.

Szukałam adresu, czy to czasem znów nie z Kulparkowa. Nieszkodliwy narazie grafoman, który później będzie pisał wymyślanie w listach, a w ostrzejszej fazie, na otwartych kartach pocztowych — imperytynencje.

*

Od Stasia i Janinki prośba o przedstawienie dla dzieci w najbliższą niedzielę.

*

Przejezdny przyjaciel o nieczytelnem nazwisku ostrzega mnie, że mój mąż ma romans z tą a tą artystką. Uśmieliśmy się wszyscy troje.

❖

„Polskie Tow. Gimn. „Sokół” z Buczacza dziękuje za wypożyczenie bezinteresowne strojów do dramatu „Matka Polka”, a Zarząd przesyła serdecznej wdzięczności wyrazy. Czołem! Prezes Fr. Zygm. Sekretarz Mazur”.

*

„Wielmożny Panie Dyrektorze!

Równocześnie przesyłam rękopis mojej żony p. t. „Konkurs”, komedja w 4-ch aktach. W ręce Pańskie oddaję losy tej komedji i... moje.

Koszty reklamy poniosę, zrobię wszystko, co każecie, byle komedja poszła. Zlituj się nade mną, W. Panie Dyrektorze, i rób Pan, co możesz, aby sztuka nie upadła. Bo winą nie będzie arcydzieło mojej żony, ale moja nieumiejętność w puszczaniu jej w świat.

Wyczekuję z niecierpliwością skazańca odpowiedzi i kreślę wyrazy szacunku”.

*

A potem jeszcze list od redaktora do dyrektora ze skargą i prośbą o skarcenie bardzo solidnego artysty, który jakoby „brutalnie się zachował” wobec bardzo niesolidnego reportera.

Odpowiedź dyrektora do redaktora w obronie artysty, i uwaga, że „nie mam obowiązku, ani nawet prawa mieszać się w spory prywatne artystów, o ile one nie szkodzą zawodowej ich pracy, lub nie naruszają spokoju w gmachu teatralnym”.

*

A jeszcze śliczna idylla, zaczynająca się od słów: „Było to w roku 1871—1872 w cukierni mieszczącej się przy ul. Marszałkowskiej. W sali bilardowej schodzili się na grę dwaj panowie. Jeden brunet, student Uniwersytetu z czarnymi oczami, najsympatyczniejszej powierzchowności, z głosem metalicznym, niemal słodkim, drugi blondyn, pańskiej powierzchowności, z rzymskim nosem, tworzyli harmonijny zespół dwóch pięknych mężczyzn. Toteż nic dziwnego, że młody chłopiec usługujący (praktykant cukierniczy) zachwycił się szczególnie jednym z tych panów, jego głosem, postawą... i mundurem uniwersyteckim, i z przyjemnością spełniał małe rozkazy, podawał kawę, przypatrywał się grze i pięknemu zachowaniu, i łza mu się w oczach kręciła, bo i on chciał się uczyć i umieć takie piękne rzeczy, o jakich ci panowie mówili.

Ale ten chłopiec-sierota nie mógł tego zdobyć i nie mógł uniwersyteckiego munduru nosić.

Minęły dziesiątki lat.

Pana blondyna spotykałem. Zawsze z książkami, z zeszytami pod pachą, ale jakiś opuszczony, smutny, podobno — literat. Ale ten drugi, wiem dobrze, kto to był. To pan Józef Kotarbiński, dzisiejszy dyrektor Teatru Krakowskiego, ten sam, który w teatrze warszawskim był niezrównanym „Urjelem”. Szkoda nam go. Łaskawy Panie, wybacz, że посыłam Tobie, dyrektorowi teatru, Tobie, Mistrzu pióra, dawny „chłopiec cukierniczy”, te słowa drogich wspomnień, przyjm wyrazy szacunku i uwielbienia.

Jan Szczutowski,

5.XI.902.

Długa 11, cukiernia w W-wie.

List z Neapolu: „Kochanemu P. Józefowi przesyłam zoddali na dzień imienin najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności. Pani, do której przed paru dniami pisałem i wszystkim poniedziałkowym five-o'clockistom załączam pozdrowienia z prawdziwą przyjaźnią. Adam Asnyk”.

Napoli, 16.3.902. Corso, Vittorio Emanuele 142.

O Asnyku piszę mało, bo mam zamiar, o ile życia starczy, poświęcić naszym najbliższym przyjaciółom jeszcze osobne, obszerniejsze wspomnienia.

*

Niemirowicz - Danczenko, dziennikarz i literat rosyjski, z którym jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności poznaliśmy się w Karlsbadzie, przysyła numer „Gazety Petersburskiej” z taką wzmianką w rubryce „Kopilka”: „Do Petersburga ma przyjechać w zimie jedna z najlepszych polskich trup, mianowicie krakowska, na czele której stoi były artysta sceny warszawskiej, p. J. Kotarbiński, stryjeczny brat znanego naszego malarza”.

Autor wzmianki zapewnia, że p. K. zna doskonale rosyjską literaturę, rosyjski język i że jest znawcą spraw, dotyczących teatru i t. d.

A kończy wzmianką o teatrach warszawskich, w których obecnie publiczność zachwyca się operetką amerykańską: „Piękność z Nowego Jorku”. Teatr przepełniony codziennie. Oklaskom i zachwytom niema końca.

A przecież to dopiero nieliczne i drobne próbki

korrespondencji, że tak powiem — przygodnej, i tej mam setki w zapasie.

Bywała jeszcze cała korespondencja męża, olbrzymia, z autorami. Bywała stała z przyjaciółmi, bo ze wszystkimi, z którymi żyliśmy w Warszawie, korespondowałam. Była wymiana listów z rodziną, słowem — były i są kufry i kuferki, szkatuły i szkatułki, szuflady i szufladki, a w każdej czyjejs przyjaźni, czyjegoś serca dowody, uszanowane i sercu drogie, skoro ich się strzeże. Wszystkie, choćby i te mniej miłe, na które rzucam zasłonę, — to świadkowie chwil minionych, mimo wszystko, szczęśliwego życia, więc do końca dni wiecznie żywe, i nie ma się odwagi zgładzić ich własną ręką ze świata.

Wielmożny Panie
Dyrektorze!

Bede mógł otrzymać
studek nowy w niedziele

jutro wieczor wstąpię do
teatru i moglibyśmy
umówić godzinę dla ry-
tania. - Dziś jaś podaje
wiadomości stosownie do
amory. -

z uprzejmym pozdrowieniem

Stanisław Wyspiański

Dnia 15 ego lutego 1901.
urodzin

Valencia
28 October
1901.

Successory Dyvelstone.

[illegible]

Содержание реферата посвящено
вопросу: почему возникло и как развивалось
интервьюирование. — 1941

Wm. Hunter Wallace

List S. I. Witkiewicza.

„W E S E L E”.

16 marca 1901 r.

Gdziekolwiek szłam z domu w miasto, zawsze kroki moje kierowałam przez cudne zaułki między kościołem Marjackim a Ś-tą Barbarą, zwłaszcza, że tam na prawo było boczne wejście, prowadzące wprost przed ołtarz Ukrzyżowanego.

Ludzie widzieli zawsze mój śmiech, łązy tylko ten Ołtarz.

Wychodzę kiedyś z kościoła i w oknie drugiego piętra widzę Wyspiańskiego. Pytam, na migi, czy mogę zejść. Pozwolił. Dość dawno był niedomagający. Mąż mój odwiedzał go parę razy. Nawet, przez leżenie, twarz mu się wypełniła trochę. Ale był trupio blady. Zaprosiłam go na obiad — przyszedł.

Pamiętam, był to miesiąc wrzesień, świadek najcięższych kiedyś moich bólów, których wspomnienia towarzyszą mi przez całe życie. Robiłam wtedy jakieś meble na scenę. Brakowało jednej poduszki do wykończenia.

— Czemu jej niema? — pyta Wyspiański.

— Wie pan, obok tysiąca drobnych zajęć, mam czasem kłopot z własnym bólem, wtedy energja we mnie słabnie.

— Cóż to znaczy? Ból jest, a mimo to fotel skończyć trzeba, bo trzeba.

To było proste, ale tak mi w duszę zapadło nieubłagana logika, że od tego czasu nieraz cierpiałam, bo któż nie cierpi, komu dano być człowiekiem? — ale robię zawsze wszystko, co trzeba, aby zrobione było.

Ból — bólem, a życie — życiem.

Nie czeka. Idzie. Kto z ruchem jego nie równa się — ginie.

28.XII.1899, czytam w moich notatkach: „Wyspiański z Godziemba-Wysockim, młodym literatem, ale nadewszystko wielbicielem każdej twórczości, byli u nas na obiedzie. Wyspiański wygląda jak spuchnięty. Umysł żywy, jasny, w rozmowie nawet uśmiechnął się parę razy, co u niego bardzo rzadkie, ale nie krew, limfa jakaś płynie w jego żyłach. Biedny. I pomyśleć, że to bez ratunku, że skazany, że przedwcześnie ginąć musi. Dr. Nowak nadludzkie robi wysiłki, aby zapobiedz rozwojowi choroby. Nie pomaga nic. Bo do najradykałniejszych środków organizm ma idjosynkrazję“.

*

Wyspiański bywał u nas dość często. Z pietyzmem mąż wznowił jego „Warszawiankę“. List Wojciecha Kossaka na innem miejscu stwierdza, jak wielkiem zawsze poszanowaniem Józef Kotarbiński otaczał dzieła natchnione poezji.

Rozmowa z Wyspiańskim była zawsze wysoce in-

interesująca, o ile był sam, lub z kimś, kto nie przeszkadzał. Takich było niewielu. Najlepiej jednak czuł się, jeśli nie było nikogo.

Pamiętam, jak kiedyś Erazma Piltza, który zatrzymał się w przejeździe z zagranicy w Krakowie, zaprosiliśmy do łoża, a później na kolację do nas w dość liczne gronie męskim.

Piltza znaliśmy dawno. A cokolwiek mu kto zarzucał w jego politycznych posunięciach, nigdy nie trafiało u nas na grunt podatny do bezkrytycznego sądu. Tak myślał, tak czuł, tak rozumiał swoją rolę w piśmiennictwie. Można było się z nim nie godzić. Nie można było go nie szanować. Karjery nie zrobił. Bogactw nie zgarniał. Więc, oczywiście, był czysty.

„Kraj” był pismem prowadzonym przez Piltza doskonale. Bywały w nim poruszane sprawy, nie napotykanie na szpaltach żadnych innych pism polskich. Mimo to, wymawiano mu tu i owdzie „stosunki petersburskie”.

„Na „Kraj” — pisał do nas Wincenty Kosiakiewicz, długoletni jego współpracownik — wszyscy wymyślają, ale wszyscy go czytają”. I tak było w rzeczywistości.

Toteż urządzone przez nas zebranie dla niego doskonale się udało. Nikt z zaproszonych nie zawiódł. A byli panowie: Adam Asnyk, Stanisław Wyspiański, Józef Rostafiński, Jerzy Mycielski, Piotr Stachiewicz, Antoni Beaupré, Adolf Starzewski, Marjan Zdziechowski, prof. Szajnocha, Tadeusz Browicz, Włodzimierz Tetmajer, Beaudoin de Courtenay. Oczywiście, że rozmowa była ożywiona. Do stołu

usiedliśmy o 11-ej; Wyspiański cały wieczór milczał. Dopiero około czwartej rano, w zacisznym kącie, siedząc przy biurku mego męża, doszedł do porozumienia z Piltzem. Rozmawiali do 7-ej rano. O czym, nikt nie wiedział. Nikt też rozmowy im nie przerywał.

To milczenie w licznych gronie było u niego zwykłe.

W każdym niemal pokoju bywa taka ścianka, która do niczego się nie przydaje, i takie krzeselko, z którem nie wiadomo co robić. Stawia się je wtedy przy tej właśnie ścianie. Na takim niepotrzebnie postawionem krzeselku siadał zawsze Wyspiański, może właśnie dlatego, że było odosobnione.

Siadał, milczał, ale patrzył. Od czasu do czasu na twarzy jego zjawiał się uśmiech i natychmiast ginął, jak błyskawica. Napewno wtedy kogoś czy coś wewnątrz siebie notował. Coś fotografował — jak mówiłam.

Im liczniejsze koło, im żywsza rozmowa, tem uśmiechy są częstsze i szybciej gasnące.

— Podaj mi, proszę cię — mówi mi mąż — książkę z mego biurka!

— Za nic w świecie — odpowiadam.

— Dlaczego?

— Wyspiański fotografuje — boję się ruszyć.

Uśmiechnął się kiedyś, kiedyś się z nim podzieliła moją obserwacją — ale nie powiedział ani słówka. Może mnie właśnie wtedy sfotografował — jeśli łaska.

Kiedyśmy się poznali, był niezmiernie skromny. Błądą twarz ożywiały oczy, które w rozmowie prawie że się rozszerzały, nabierały szafirowo-fioletowych barw. Jadł nie wiele. Lubił owoce. Toteż w fazie, w której przychodził przez parę tygodni codzień, zastawał je na stoliczku pod oknem, przyjmując ten objaw gościnności dość mile. Były wakacje w teatrze. Ja miałam dużo czasu. Mąż był w Karlsbadzie, mieliśmy się spotkać później w Berlinie, aby jechać dalej. Przyszło mi na myśl zrobić meble, któreby można różnie ubierać i rozbierać na scenie, według potrzeby.

— Może ja pani pomogę.

— Nie śmiałam o to pana prosić, ale, oczywiście, z całą skwapliwością ofertę przyjmuję.

Meble o prostych konturach były tak skomponowane, że można było je używać, w sześciu, dziesięciu odmianach, co dla sceny niezasobnej nieraz przydałoby się uwzględnić.

*

Dnia 15 lutego 1901 r. Kraków, Józef odbiera list:
„Wielmożny Panie Dyrektorze!”

Będę mógł odczytać sztukę nową w niedzielę, jutro wieczór wstąpię do teatru i moglibyśmy umówić godzinę dla czytania. Dzisiaj podaję wiadomość stosownie do umowy.

Z wysokiem poważaniem
Stanisław Wyspiański”.

Sztuka ta — było to właśnie „Wesele”.

Dzień był szary. Niedziela. Wieża Marjacka, widna z naszych okien, otulona mgłami, mającyła zaledwie w przestrzeni smukłą sylwetą.

Przed południem przyszedł Stanisław Przybyszewski i przyniósł Józefowi dwie sztuki: „Złote Runo” i „Gości”. Ostatnich czytał głośno. Sceny makabryczne snuły się chorobliwie — a „Gość” blady, czarno ubrany, suchy, snujący się po domu, zwiększył napięcie grozy i męki ludzkiej.

Ochryplym, stłumionym głosem, z jakimś tragicznym przeświadczeniem, potwierdzonem bolesnym wyrazem twarzy, z czołem zmarszczonem, przekonywał mnie autor o tem, że:

— Każdy, każdy ma swego „gościa”, który mu włązi na karki — dusi go. Dusi bez litości, bez pamięci. Czasem aż.... na śmierć.

— Nie mam takiego gościa — odpowiedziałam.

— He! he! Będiesz go miała, kumciu, będziesz. Musisz mieć.

Słowa te nie były prorocze. „Gościa”, który był symbolem w sztuce jakichś zagnieżdżonych w duszy win i ciężkich wyrzutów sumienia, na szczęście, nie poznałam. Obiad zjedliśmy razem, i w przedpokoju, o 4-ej, skrzyżował się Przybyszewski z Wyspiańskim.

Wszedł cichy, skromny, nikły, blady zawsze, jak opłatek, prawie bezcielesny, duch prawie — Stanisław Wyspiański, trzymając trochę żółtych kartek w rękę, zapisanych dość gęsto — krótkim wierszem.

Byliśmy oboje bardzo znużeni.

Pierwsza wizyta swem tchnieniem śmierci przytłoczyła życie. Osiadła na nas niby zmora.

Wyspiański kartki rozłożył na stole i zaczął czytać.

Głos miał cichy, męczył się. Wilżył gardło lemonjadą. Czytał monotennie.

Zrazu bardzo blady, dostawał coraz silniejszych wypieków, uszy się paliły. Oczy, już nie tylko z szarych zrobiły się ciemno szafirowe, ale były pełne niewidzianych dotąd u niego iskier.

Znużenie nas odbiegło. Siła jakaś wstępowała.

Czuliśmy oboje, że się tu coś dzieje, że odbieramy jakieś wrażenia pierwszorzędne, jedyne, niezrozumiałe może jeszcze, ale *niebываłe*.

Z wyężeniem śledziliśmy każde słowo.

Coś nas chłonoło. Coś szarpało całą istotą, bolało i łkało.

To był pierwszy akt „Wesela”.

Nazajutrz od 12-ej w południe do 9 wieczór znów był u nas Wyspiański. Czytał ciąg dalszy. Józef zapalił się, odrazu zdecydował się wystawić sztukę. Rękopisu już nie dał zabrać Wyspiańskiemu. Dał do przepisania role, i tak ożyło dzieło.

Dzieło, które, najniezawodniej, było źródłem najgłębszych poruszeń duszy polskiej w tym okresie. Dzieło, z którym nie godzono się, które krytykowano, którego nie rozumiano, ale którego przychodzono słuchać. A po wysłuchaniu raz, wracano znowu, bo to „genjalne warjactwo”, jak się wyraził Jan Stanisławski, artysta-malarz i profesor Akademii Sztuk pięknych w Krakowie, fascynowało ze sceny czemś,

co było i rzeczywistością, i zjawą, i odbiciem życia narodu, i jego zgrzytem. Coś, co jak błyskawica oświeślało naraz i wzloty, i pełzanie. Policzkowało i przerażało. Ukazywało blade zorze i groziło zapomnieniem, jak sztylet, ostrem, wymówką beznadziejną: „miałeś, chamie, złoty róg, ostał si się ino sznur”.

Pisał „Wesele” polak, który do zapamiętania kochał Polskę, i do zapamiętania niecierpiał nas, polaków.

Dlaczego?

Bo w nas nie wierzył, bo widział nasze wady, naszą lekkomyślność, naszą błagę i płytkość, widział nas tylko jako „szopkę”, tańczącą w rytm smętnej melodji ślepego chochoła, kryjącego „róży krzak”, który nie zakwita ani świeżością, ani purpurą barw, choć kryje cudny kwiat. Truła go myśl, żeśmy tylko, jak w hipnozie tańca bezmyślnego i... cierpiał. Trzeba było patrzeć na niego, żeby odczuć, jak on musiał cierpieć, kiedy przed wyobraźnią stawiała wizja:

„że Kraków ogniami płonie —
 że MATKA BOSKA, w koronie
 na Wawelskim zamkowym tronie
 siedząca, manifest pisze:
 skrypt, co przez cały kraj poleci
 i tysiące obudzi i wzniesi”.

Ale także jakim balsamem dla tej zbolelej duszy musiały być te chwile, które już zapowiadały nową życia miarę. Jak kojąco musiało działać przeświadczenie, że: „ów skrypt, przez Matkę Bożą pisany”, le-

ci, budzi i wznieca do czynu tysiące. Przecież nie co innego, jak wiara w naród, które na szczęście danem mu było doczekać, podyktowała mu powiedziane przez niego do Michała Tarasiewicza słowa:

— Niechcę, żeby grali w Warszawie „Wesele”. Dałem im w pysk, myśląc, że śpią, a oni czuwają.

*

I przyszedł dzień 16 marca 1901 r. w Krakowie. Afisze ogłaszały „Wesele”, dramat w 3 aktach Stanisława Wyspiańskiego.

„Wyteżać, — wyteżać słuch” — wołano ze sceny. I ludzie słuch wyteżali i w skupieniu, z zapartym oddechem, wpatrywali się w te proste ściany izby chłopskiej, w której mówiono:

„huragan się czarnych wron
zerwał z pola, gdzieś z tych stron
i z krakaniem wielkiem goni —

— — — — —
ze zorzy się zrobiła krew,
taki sznur krwi wydłużony
ponad Kraków, — krwawy pas —

— — — — —
wyteżać, wyteżać słuch,
aż się pocznie słyszeć ruch
od Krakowa na gościńcu.

— — — — —
potem sięść na koń
I gonić”.

Słowa te zaklinały, wprowadzając w odrętwienie. Taniec rytmiczny w milczeniu wszystkich stanów

zwartym krążył kołem... Jasiak z rozpaczą woła:
„Jakieś ich chwyciło spanie”. A Chochał bezlitośnie
wygrywa na swej skrzypce głuchy wtór do ciężkich,
jak kamienie, słów:

„Miałeś, chamie, złoty róg,
Miałeś chamie czapkę z piór:
Czapkę wicher niesie,
Róg huk po lesie,
Ostał ci się ino sznur,
Ostał ci się ino sznur.”

Przedstawienie się skończyło. Wszyscy jak ska-
mieniali. Cisza. I dobrych kilka sekund dzieliło to
milczenie od głośnego zbiorowego oklasku.

Wołano autora. Nie wyszedł.

Już światła na widowni zaczęto gasić. Długie zwo-
je płócien z paradyżu, by chimeryczne zjawy, spa-
dały na łoża węzowemi ruchami. Teatr już układał
się do snu. A tu i owdzie ktoś jeszcze siedział, jak
przykutym w fotelach, jeszcze na ciemnym tle łoży ry-
sowały się białe ramiona kobiety, która przyszła na
„Wesele” i słyszała poza sobą głośne łkanie nawet
mężczyzn.

Wyspiański stał w garderobie jednego z artystów,
milczący, blady.

Przed nim leżał pęk fiołków i stało pudełko cu-
kierków, przysłanych mu przez panią Pareńską.

— Pomadki! ha, ha... pomadki!

To były jedyne słowa, jakie powiedział po przed-
stawieniu sztuki. Wyszedł.

Oddawna byliśmy zaproszeni tego wieczoru, po teatrze, na prywatny wielki raut do p. baronowej R., gdzie Józef miał deklamować.

Czekałam na męża, który zdejmował sukmanę Czepca, żeby włożyć frak. Pojechaliśmy. Byłam splekana.

— A to ładne wesele, jeśli pani wraca z zapłakaną twarzą—mówi mi jedna z bardzo dystyngowanych dam, w perłach i brylantach cała.

— Nie mogę tu wytrzymać—mówię cicho do męża—pojadę i odeślę ci konie, bo czuję, że huczy we mnie wulkan i boję się wybuchu.

To towarzystwo, to właśnie była „szopka“.

*

Nazajutrz znów była niedziela, tym razem pogodna.

Rano, przed południem, podniecony, niemal rozgoryczkowany, wbiega do nas Włodzimierz Tetmajer. Pełna aluzyj sztuka, która zaniepokoiła wszystkie umysły, bo każdy się w niej odnalazł, oblała się już szerokiem echem o cały Kraków. Wrzało w nim. Oczywiście, to, co „mówiono“, nie sięgało do głębin treści.

Nie wiedziano, „co w sercu zaryte głęboko“.

„Świecidełka“, anegdotyczne strony sztuki, przemówiły najsadniej do tych, którzy po handelkach rozciągali i szargali w bólach zrodzone dzieło. A grubemi łapami dotykali tej pajęczej nici, w którą autor omotał tyle cierpień, tyle rozpaczy swego ducha.

Tworzyły się zastępy niechętnych.

Zestawiano postaci sztuki z Kazimierzem i Włodzimierzem Tetmajerami, z Rydlem, Starzewskim, z tą czy inną radczynią mieszczałą, z tą niedowarzoną czy inną panienką.

Oburzano się, wymyślano, obrażano, grożono!

Włodzimierz Tetmajer mieszkał w Bronowicach pod Krakowem. Na sztuce nie był. Ale już wiedział, wiedział wszystko, co go dotknąć mogło, o ile on był duchowem natchnieniem i treścią postaci „Gospodarza”. O tem tylko mu mówiono, więcej o niczem.

Pod „czwartą głębłą skibę” nie sięgały wróble oczy.

Trudno się też było dziwić, że z żalem przed nami powtarzał, ten człowiek o najszlachetniejszej, pełnej poezji duszy:

— Mnie zarzucać brak czujności, mnie senność!

Dzwonek.

Wyspiański.

Józef został z Tetmajerem w swoim pokoju i kołł jego urazy, ja poprosiłam Wyspiańskiego do siebie.

Nie wiedzieli ci dwaj goście, że są pod jednym dachem. Uważałam, że, narazie, tak było najbezpieczniej.

Wyspiański, natomiast, już wiedział, co mówią „na mieście”. Obaj byli rozżaleni, każdy inaczej. Lepiej, żeby się, narazie, nie spotkali.

— Lucek biega po Plantach i grozi, że mi „pyski spierze” — mówi Wyspiański. Przecież ja nic ubliżającego nie włożyłem w usta panny Haneczki na

scenie. Ja pannę Haneczkę bardzo szanuję. Co mi wogóle zarzucają, czego się gniewają? Czy—żem zobaczył, czego nie widzieli? Czy—że mówię, o czym milczą? Czy nie chcą prawdy? Czy wiecznie mamy naród *pomadkami* karmić?

Wyspiański płakał.

Dziś właśnie jest 16 marca. Dziś upływa lat 27 od tych przeżytych chwil. A jakże są mi one żywe! Jak pamiętam, jak słyszę, jak widzę wszystko — jakby wczoraj. Aktorzy grali świetnie. Każdy tworzył typ. W pierwszym czytaniu był kompletny bunt. „Nie mogę grać, czego nie rozumiem”; „niechcę grać takich idjo-tyzmów”, „to nie sztuka, to szopka”, „to nonsens, to warjactwo, ja nie chcę, ja nie mogę”. A potem wszystkich „wzięło”. Wszyscy dali się porwać urokowi poezji, bo byli artystami.

Taką fascynującą moc miało to dzieło, że długie — można powiedzieć — lata wszyscy w Krakowie mówili wyrazami „Wesela”. Że my, że artyści, że literaci, to nic dziwnego. Ale służba teatralna, gardero-
biane, woźnice „fiakrach”, wszystko to znalazło zastosowanie, żeby powiadać:

„Niech se potańcują inni”.

„Żeby się tak w kupę wzięli,
Toby się przecie nie dali”.

„Toście zawdy mocni pyskiem”.

„Każdy ogień swój zapala,
Każdy swoje święto — święci”.

„Pon jest taki, a jo taki”.

„Ino na wsi jesce dusa,
Co się z fantazyją rusa”.

„W oczach naszych chłop urasta
Do potęgi króla Piasta”.

„My jesteśmy, jak przekłēci,
Że nas mara, dziwo nēci”.

„Mus mnie woła, mus mnie woła”.

„Raz w raz wstaje wielka postać,
Że ino jej skrzydeł dostać,
I raz wraz przepada, gaśnie,
Jakby czas jej przepaść właśnie...”

„Przytem historja wesoła,
A ogromnie przez to smutna”.

„Bardzo wiele, wiele z Piasta —
Chłop potęgą jest i basta”.

„Komplet serca. Komplet serca”.

Świętości nie szargać,
Bo trza, żeby święte były”.

„Dużoby już mogli mieć,
Ino oni nie chcom chcieć”!

I tak dalej bez końca.

Tymczasem zaprosiliśmy Włodzimierza Tetmajera na przedstawienie „Wesela”. Przyszedł. I oto co się dzieje. Z przedstawienia jedzie zaraz do domu. Ale przyjeżdża nazajutrz do nas z Bronowic i mówi:

— Przyniosłem pani list do Wyspiańskiego. Wiem, że pani zrobi przyjemność oddanie go osobiście.

Upoważniona, list przepisałam. Brzmi on tak:

„Drogi, serdeczny panie Stanisławie!

Pierwszy raz w życiu dzieło sztuki zrobiło na mnie takie wrażenie, że płakałem, jak małe dziecko.

Dziś jeszcze poprostu rady sobie dać nie mogę. Latam po mieście i śmieję się i w oczach co chwila stają mi łzy. Zajrzał mi pan w głębie mojej duszy. Zrobił pan *wielkie, wielkie* dzieło, wielkie dzieło sztuki i wielkie dzieło miłości Ojczyzny.

Zwalił pan Chrobrego mieczem starą, głupią, pozytywną myśl w Polsce, zwalił pan sztandar organicznych prac, pozytywnych idei i zasiał pan złote ziarno miłości ideału i wszystkiego, dlaczego się warto. Jak Archanioł, zatknął pan chorągiew, z napisaniem na niej hasłem miłości Ojczyzny i wielkiej nieśmiertelnej sztuki.

Ciężarne matki powinny chodzić na pańską rzecz, żeby ich dzieci rodziły się, owiane iskrą genjuszu, obdarzone wielkiem sercem.

Złoto dla moskali, dla zdrajców i dla podłego tłumu społeczników, dla nas, dla Polski, dla artystów, jest teraz gwiazdą ta chorągiew pańska. Żywię dla pana najwyższą cześć, a w sercu goreje mi dla pana najgorętsza miłość.

Gdy piszę, do oczu tłoczą mi się łzy, aż mi wstyd ludzi, co na mnie patrzą.

czyt. 1. 10. 1901 Król Duch zamieszkał w panu.

Niech Bóg i Matka Boska i Król-Duch Polski strzegą pana od wszystkiego złego i pomogą panu więcej jeszcze i długo jeszcze tworzyć.

Ściskam pana najserdeczniej, najgoręcej, jak mnie tylko stać.

Włodzimierz Tetmajer.

Poniedziałek 18.II.1901 r."

List oddałam osobiście.

*

Wyspiański chciał koniecznie sprawdzić, jakie też wrażenie robi „Wesele” na włościance, która ze światem naszym artystycznym i literackim nie ma bliższego zetknięcia.

Uradziliśmy, że, stosując się do Jego życzenia, zaprosimy włościanina z Toni, pod Krakowem, Ptaka — z żoną.

Ptak był to mądry chłop. Posł. Redaktor pisma.

Do dekoracji podczas uroczystości—jedynej. Żyda wprowadzić z karczmy na wsi usunął, ale sam karcznię objął, a żona dobrze handlowała przy szynkwasiu. Poza tem była jeszcze bardzo surowa.

Jedziemy tedy do nich, w niedzielę po południu, z siostrą naszą, bawiącą u nas, Teofilą Kotarbińską i Włodzimierzem Tetmajerem.

Gospodarz przyjął nas, jak Piast. W białej sukmanie z bochnem chleba, stawiając dzban miodu, któ-

ry tak nam smakował, że zapomnieliśmy o godzinie. A tu przedstawienie i musimy zdążyć na ten pociąg, którego właśnie słyszymy gwizdanie. Wypadamy, jak z procy, lecimy wszyscy, jak na skrzydłach, kłusem, przez zagony, przez pola, z takim machaniem rękoma, chustkami i krzykiem, że pociąg wśród szczerego pola staje i zabiera nas ze sobą do Krakowa.

Otóż właśnie wtedy zaprosiliśmy pp. Ptaków do łoży, w której pani Ptakowa była głównym przedmiotem naszej obserwacji. Zachowywała się dość obojętnie względem całości. Na jedno tylko zareagowała, mianowicie, kiedy, na długą epistolę poety, Czepiec mówi:

„Weź pan sobie zonę z prosta:
Duzo szczęścia, małe kosta”.

— Ze tam, jak kto bierze „zonę zprosta”, koszty są mniejsze, to je prawda, ale żeby ta szczęścia było wiele — to nie wierzę, — zdecydowała pani Ptakowa.

Nieobecny w tym czasie Kazimierz Tetmajer nadsyła list:

„Szanowna i droga Pani!

Nie znam adresu Wyspiańskiego — proszę mu powinszować bardzo ode mnie. Czytałem recenzję „Głosu” i sędzę, że jest to rzeczywiście jedna z najwspanialszych rzeczy po polsku. Zresztą nie od dziś wiemy, kim jest Wyspiański.

Winszuję też p. Józefowi takiego sezonu, którego i ja *pars parva fui*”.

Ale i Kazimierz Skrzyński pisze także ze Lwowa:
 „Nasz dyrektor Teatru Lwowskiego powiedział:
 „Nie palę się do „Wesela“, bo „Czas“ potrzebował
 aż 7-miu feljetonów do wytłomaczenia tej sztuki i nie
 wytłomaczył”...

A kiedy wreszcie zagrano „Wesele“ we Lwowie,
 a na przedstawieniu była Modrzejowska i jeszcze
 ktoś z polaków z zagranicy, pisze nam: „Europa czy-
 ni wielkie zastrzeżenia. Chłodniejsza od Krakowa
 i lepiej się zna”.

Na zdrowie!

*

Stosunki towarzyskie z Wyspiańskim zawsze by-
 ły z naszej strony pełne najwyższego uwielbienia dla
 talentu, z jego strony poprawne. Bywał u nas—przy-
 chodził na każde zaproszenie i czasem na obiady.
 Odpisuje mi na zaproszenie:

„Wielce Szanowna i Łaskawa Pani!

Nie mogę przyjść do Szan. Państwa w niedzielę,
 gdyż wcale w tych dniach nigdzie nie wychodzę i le-
 żę w łóżku. Gardło mnie boli, co potrwa jeszcze z ja-
 ki tydzień. Dziękuję za serdeczną pamięć i załączam
 pozdrowienia dla obojga państwa.

St. Wyspiański”.

Innym razem pisze:

„Wielce Szanowna i droga Pani!

Przepraszam, że dziś przyjść nie mogę. Jednak, ko-
 rzystając z miłego zaproszenia — przyjdę jutro,
 w niedzielę, około 2-ej.

Serdeczne zasylałam pozdrowienia dla obojga Państwa.
St. W."

„Wesele“, „Wyzwolenie“, „Bolesław Śmiały“, aż do ostatniego sezonu nie schodziły ze stałego repertuaru zwłaszcza z początkiem każdego sezonu, i stosunki dobre zawsze trwały. Aż dopiero sprawa wystawienia „Akropolis“, a raczej odmowna odpowiedź mego męża, który ideowo tego dzieła nie uznał i wystawić go nie chciał, zepsuła starannie przez nas pielęgnowaną harmonję.

Na ostatniej karcie, skreślonej w swej książce, p. t. „W służbie sztuki i poezji“, Józef Kotarbiński pisze o sztuce „Akropolis“.

„Walcząc z tyranją dawności, posunął się poeta tak daleko, że zakończył swój „sen o Wawelu“ chórałem, w którym Bóg, żywe Słowo, „wszedł ponad groby“, runęła w gruzy wielka świątynia, zawierająca najdroższe narodowe pamiątki, a „na zdruzgotany głaz kasztelu Bóg wpisał swoje prawa“... po zniknięciu nowych kształtów ma wstąpić nowe życie... Według mnie, taka idea nie wynika widomie z poematu, a na scenie, widząc gruzy i ruiny, słuchacz nie może wysnuć wróżb mistycznych nowego bytu. Chociaż komentatorzy zachwycają się symbolem Chrystusa—Apolla, który wjeżdża na rumowisko w klasycznym rydwanie boga-słońca, — ja jednak sądzę, że nie jest wcale szczęśliwym pomysłem to zlanie pogańskiego bożka z postacią „głosiciela dobrej nowiny“, który uosabia najwyższe boskie podniesienie ducha ludzkiego“.

Te oto przyczyny wywołały wymianę ostrej zobo-

pólnie korespondencji, wynikiem której było zabronienie przez Wyspiańskiego grania „Wesela” do końca sezonu za dyrekcji Kotarbińskiego.

Stało się to z wielką krzywdą dla tych zwłaszcza, którzy w przejeździe przez Kraków właśnie widzieć nadewszystko chcieli to dzieło nad dziełami, jakim było „Wesele”.

Dzieło, kryjące wiele bolesnych, a zawsze, niestety, żywych prawd, ale, na szczęście, należące już dziś w głównej swej treści — do dokumentów przeszłości.

*

7 lipca 1908 r. w wierszu poety między innemi są takie słowa:

Już dawno się przestałem smucić
O rzeczy miłe mnie stracone,
Miałyżby smutki jeszcze wrócić
Kraść, co już dawno ukradzione.

Przecież już dawno się wyzbyłem
Marzeń o utraconym raju.
Żyję, by zwało się, że żyłem...

I cóż dziwnego, że człowiek, w którego duszy była już rozpacz żegnania świata tak przedwcześnie, w codziennem zetknięciu, szczególnie przy pracy za kulisami, gdzie zwykle jest pewne ogólne nerwowe podniecenie, bywał przykry.

Nie lubił zwłaszcza żadnych pytań, dotyczących jego dzieła — irytowały go, niecierpliwiły. Często zamiast odpowiedzi, podnosił kołnierz, zapinał palto

i... literalnie, zdawało się, że zapadał pod ziemię, tak szybko znikał... Oczywiście, osobę jego otaczało się najwyższą uwagą i delikatnością. Mimo to, raz wraz ktoś mu w czymś nie dogodził. Bo, zresztą, on nie był, jak inni, on był ponad wszystkimi. Nie bratał się z nikim, a jeśli ktoś myślał inaczej — to się mylił.

Między nim a nami był taki przedział, jaki jest między niebem a ziemią. Jakaś wielkość, jakaś nieskończoność, jakiś bezmiar nas odgradzał. I to było słuszne. A że nas nie kochał, więc przebaczać nie umiał, dostosowywać się nie chciał. Znów słusznie. Miał swoje światy, widział w nich to, co dla nas było niewidzialne. Czytał przyszłość, której my odczytać nie umieliśmy. A potem, nieszczęsny człowiek musiał oddawna przeczuwać rychłe odejście w zaświaty, skoro już 2 lipca 1903 r. pisał:

„Niech nikt nad grobem mi nie płacze,
Krom jednej mojej żony,
Za nic mi wasze łzy sobacze
I żal ten wasz zmyślony.

Niech dzwon nad trumną mi nie kracze,
Ni śpiewy wrzeszczą czyje;
Niech deszcz na pogrzeb mój zapłacze
I wicher niech zawyje”.

A przecież, a przecież...

„Wielkości! Komu nazwę twą przydano,
Ten tęgich sił odżywia w sobie moce
I duszą trwa, wielokroć powołaną,
Świecącą w długie narodowe noce;

Więc, choć jej świeży grób oplakiwano,
Przemoże śmierć i trumien gład zdruzgocze,
Powstanie z martwych na narodu czele
W nieśmiertelności królować kościele".

*

W dniu 7.III.1911 r., a więc w lat 10 po premjerze „Wesela“, Ludwik Sol ski, dyrektor Teatru Krakowskiego, pisze: „Sz. P. Kolego! Nosilem się z myślą, aby, kończąc moje sześćciolecie dyrektury w Krakowie, dobić do setnego przedstawienia „Wesela“ i na to przedstawienie jubileuszowe Sz. p. Kolegę zaprosić do odtworzenia tak znakomicie przez niego kreowanego Czepca. Ponieważ według naszych obliczeń, mimo usilnych starań, do tej cyfry dobić nie będziemy w stanie, (dotąd grano wesele 93 razy, z tych za dyrekcji Kotarbińskiego 49 razy, przeto postanowiłem wykorzystać datę 16 b. m., w którym to dniu przypada dziesięciolecie pierwszego przedstawienia „Wesela“. Na to przedstawienie mam zaszczyt zaprosić Sz. p. Kolegę, aby łaskaw zagrać w tym dniu Czepca, ofiarując za ten wieczór rubli 100.

Poczytywać sobie będę za wielki honor, jeśli prośba moja znajdzie u Niego przychylną odpowiedź, której z niecierpliwością oczekuję“. I. t. d.

Oczywiście, Józef zaproszenie chętnie przyjął. Sprawozdawca „Czasu“ pisze:

„Józef Kotarbiński poprzedził wczoraj przedstawienie „Wesela“ Wyspiańskiego pięknem słowem wstępem. Prelegent, powitany oklaskiem, wplótł

w swoje z artyzmem wygłoszone słowa także osobiste wspomnienia z czasu swego pierwszego zetknięcia się z Wyspiańskim i z premjery tego dzieła, premjery, która otworzyła tryumfalne dla „Wesela” dziesięciolecie na scenie krakowskiej. Pan Kotarbiński zagrał Czepca, którego odtworzył niegdyś na premjerze, z gestem szerokim, szlachetnym i zamaszystym. Po pierwszym akcie złożono artyście wieńiec laurowy, wśród oklasków. Świadczyły one, że publiczność z przyjemnością wspomina sobie artystę — aktora Kotarbińskiego, jego grę, pełną przejęcia i wysokiego tonu, opracowaną zawsze w najdrobniejszych szczegółach. Od artysty nie potrafi publiczność krakowska oddzielić dyrektora, który cztery dzieła Wyspiańskiego wprowadził na krakowską scenę: „Wesele”, „Wyzwolenie”, „Protesilasa i Laodamję” i „Bolesława Śmiałego”.

*

A znów w lat 15 od onej daty, 3-go grudnia 1927 r., Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie zorganizowało uroczystą Akademię ku czci ś. p. Stanisława Wyspiańskiego.

Tylko Kraków, tylko artyści mogą skromne dekoracyjnie szaty owionąć takim tchnieniem, jakim owiane były podniosłe chwile, które przeżyli zebrani tego wieczoru w siedzibie Sztuki na Szczepańskim placu.

Wspomnienie z lat szkolnych poety dał prof. St. Estreicher. Prof. J. Nowak, z najwyższą miłością,

skreślił nam historję stworzenia witraży, które zdobią Tow. Medyków, kościół Franciszkanów, zbiory Muzeum Narodowego, i rozproszone po prywatnych domach istne skarby, jakie miałam sposobność oglądać, w zbiorach np. Szanownych pp. Łozińskich w Krakowie.

Poeta Lechoń mówił swój wiersz, napisany na cześć Wyspiańskiego. Z ubocznej sali dochodzi znana nam wszystkim melodia, przy której chochoł niezapomniane powtarza słowa z „Wesela”: „Miałeś, chamie, złoty róg”! Jednocześnie staje na estradzie Józef Kotarbiński. Publiczność, ta droga, dobra, inteligenta i czuła na piękno poezji krakowska publiczność, wita go długim oklaskiem. Niezapomniała chwil razem przeżytych... Wszystko wywołuje takie wzruszenie artysty, że całą siłą woli tłumi drżenie głosu i zaczyna opowieść, jak i co było — przed dwudziestu siedmiu laty.

Fragmety z poematu „Kazimierz Wielki”, dramatu „Bolesław Śmiały”, pięknie mówią artyści sceny krakowskiej, pp. K. Burnatowicz, E. Burzyński, W. Surzyński, W. Krasnowiecki i H. Rozmarynowski.

„Pogrzeb Kazimierza Wielkiego” prowadzi sam autor, Wallek-Walewski. A chór „Echa” i Chór Akademicki powtarza, przy dźwięku poważnych i pięknych tonów:

Idą posępni,
a grają im dzwony,
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne,

i kończą uroczystość, w której myśl szła ku wieszczemu duchowi, goniąc go w nieokreślonej, nieobjętej ludzkim umysłem przestrzeni, „gdzieś poza gwiazdy, w bezkresy”. Gdzie jednak musi być szczęśliwy, bo ziściło się jego ostatnie wołanie na ziemi:

Hej, hej bracia, chycie koni!
Chycie broni, chycie broni!
Czeka Was WAWELSKI DWÓR!!

JEDEN DZIEŃ W DOMU DYREKTORA TEATRU.

W notatniku, bez daty, czytam: „Dzień był bardzo urozmaïcony”.

Właśnie wypîłam sól karlsbadzką, gdy mi wręczono sonet od młodego poety, p. Jana B., bardzo miły.

Toteż kiedy, w kilka lat potem, byłam na literackim wieczorze w Warszawie u pp. Lorentowiczów i chciano mi przedstawić pana B., powiedziałam:

— Moi drodzy, ja już jestem po sonetach od tego młodego człowieka. Toteż zawsze wdzięczność chowam dlań w sercu za miłe słowa i za „zaszczytny hołd”, który mi wtedy złożył.

*

Ledwo sonet przeczytałam, Józef daje mi otrzymaną kartę: „Cały dzień siedzimy w tygodniu nad biurkiem lub warsztatem, pragniemy w teatrze rozrywki, a widzimy, że nas pan dyrektor ignoruje. Dawanie Kordjana, Wesela, Dziadów i t. p. sztuk smutnych tylko rozdrażnia. Prosimy o sztuki wesołe na niedzielę, będzie pełno, i długi w kasie miejskiej (o których najniepotrzebniej wiedzieli wszyscy) za-

raz się zmniejszą. Podpisano: Życzliwi". Kazimierz Skrzyński byłby dumny, zacierałby ręce, ale tego nie powiem mu nigdy.

*

List, od kogoś z Warszawy, z prośbą o wystaranie się o wejście do Auli podczas zakończenia roku. Prof. Rostafiński miał wspaniały odczyt „O protoplaźmie”, w którym rozwijał ewolucję wszelkiego stworzenia na ziemi. Zakończone słowami: „Plazma stworzyła życie, ale kto stworzył plazmę? Bóg”.

*

Kazimierz Tetmajer przysłał Józefowi, dla niego do deklamacji napisany wiersz, na cześć Fredry, ze ślicznymi końcowymi strofami:

I dziwny, cichy, święty jakiś związek
Jest między jego sercem a narodem —
Zda się, że jakiś spełnił obowiązek,
A on nas tylko do swego ogrodu
Zawiódł i kwiatów dał pełne powrosło,
Dlatego tylko, że ich w bród tam rośło.
Są li tu wieńce? Są liście palmowe?
Jeśli są, chylcie je ku niemu społem,
Piers mu owieńczcie i owieńczcie głowę,
Gdyż jest legendy dawnej Apostołem
I tak o życiu powiada minionem,
Jakby w nim serce było złotym dzwonem.

*

A zaraz po tym dreszczu zachwytu inny dreszcz zimny, jak lodowy zastrzyk:

„Łaskawa Pani! Upraszam najuprzejmiej przybyć do biura prezydjalnego magistratu w poniedziałek o 12-ej w południe. Będę tam obecny od 12 — 1 godziny.

Łączę wyrazy wysokiego poważania. Juljusz Leo”.

Niewypłacone raty za światło, za czynsz dzierżawny, wślad za tem groźby czyścowych katuszy. Bo pocóżby mógł prezydent wzywać mnie, biedną kobietę, do własnego biura.

*

Z rozbrajającą naiwnością pisze ktoś: „Mam gości z prowincji, chciałam im zrobić przyjemność, więc proszę panią o bilet do łoży”. A Wyspiański napomina w jednym z listów: „Nie dawajcie biletów zadarmo byle komu, bo i tak będzie pełno”.

Może miał w tem dużo racji. Bo dawaliśmy na spektakle nie wyprzedane bilety pewnym ugrupowaniom, to już nie „byle komu”. Obserwowałam je. Nigdy nie składali rąk do oklasku. Tymczasem góra, za swoje „szóstki”, bawiła się i manifestowała gorąco swe zadowolenie.

Na imieniny od męża dostałam raz cały teatr do rozdania, co było mojem marzeniem.

Bratnie pomoce, różne związki i stowarzyszenia, nauczycielstwo, uczennice i uczniowie, w łożach po 10 osób. Znajomi znajomych, a tych znajomych znów znajomi i nieznajomi, całe gromady rodzin i nie

rodzin wszystkich ludzi teatralnych. W teatrze tłok. Ja, szczęśliwa, bo tyle gości, zaproszonych naraz, miałam pierwszy raz w życiu. Miałam, że będą szaleli z radości. Tymczasem ta publiczność była zupełnie martwa. Gorący, czerwony węgielek mego serca wpadł w zimną wodę, zasyczał, zbłądł i — zgąśł.

Ale bilety dawało się jednak zawsze tym, do których „goście przyjeżdżali z prowincji”, i należało zrobić im przyjemność, bo jakże takim prośbom odmówić.

P. dr. Dłuska z Zakopanego pisze: „Droga pani, posyłam książeczkę, z której zechce droga pani wziąć, ile trzeba. Dziś dokładnie jeszcze nie wiem, kiedy kapitały będą potrzebne, a więc kredyt daję na miesiąc tylko. Serdeczne uściśnienia”.

Jedno z „pogotowi ratunkowych” spełnia swą rolę.

*

Bilet od p. C. Badeniowej: „Łaskawa Pani! Chciałabym dziś być w teatrze z moją córką, ale, że tej sztuki zupełnie nie znam, udaję się do pani z prośbą o doniesienie mi, czy można na nią panny prowadzić. Przepraszając, że i t. d.”...

Grano „Złote runo” Przybyszewskiego — panny nie poszły.

*

— Kto przyszedł?

Szczupły, mizerny, ale sympatyczny młody człowiek.

— Odbiliśmy się od trupy, panie dyrektorze. Moja żona gra salonowe, kokietki, śpiewa i tańczy, ma suchoty. Wtedy miała gorączkę, musieliśmy zostać i odbiliśmy się. A ja, — panie dyrektorze, gram kochanków. Gdybym tak wyglądał, jak pan dyrektor, broń Boże, to już na nic, zginąłbym, już nie miałbym co robić na tym świecie, bo kochanek musi być chudy, panie dyrektorze.

— A co teraz państwo robicie?

— Teraz, to moja żona siedzi w hotelu i, co prawda, ciężko nam, ja tam papierosikiem jakoś to załatwiam i podniebienie okłamię, ale moja żona potrzebuje bodaj serdelka albo kiełbaski. A ta choroba nas wyniszczyła, nie mamy garderoby i nie mamy koszy. Możnaby jakiś monolożek, potem dialog, zarobiłoby się. Ale bez koszy i garderoby nie można na prowincji. Zaraz się rozchodzi: „Nie mają nic, nie warto iść. A moja żona śliczna, pani dyrektorowo! żeby miała jeszcze trochę rzeczy: kiedy afisze rozlepią, przychodzą ludzie na stację, — jak zobaczą, że nic — to też nic. Nie przyjdą, bo „bez garderoby nie ma na co patrzeć“.

Oczywiście, nie obfitując nigdy w ilość szmatek, wybrałam jednak, co mogłam, narazie, zapraszając oboje kolegów do teatru i obiecując na jutro zrobić, co można, w ich sprawie.

Więc do tego słówko, do owego liścik. Koleżanki i koledzy zainteresowali się także.

Sterta, literalnie sterata rzeczy, na podłodze pod oknem jadalnego pokoju narosła wmiąg.

W teatrze wieczorem byli. Rzeczywiście, śliczne

biedactwo, z błyszczącymi od gorączki szafirowymi oczyma i rumieńcami na chudych policzkach. Miała na sobie wszystko, co jej dałam. Każdy kawałek osobno mógł być niezły. Razem: gruba, sportowa spódnica z czarnym aksamitnym stanikiem, u którego był różowy przód i rękawy, koronkowe białe boa... Myślałam, że się spalę ze wstydu, że ja tak mogłam ubrać jakąś kobietę. Stało się!

Kiedy, wezwany nazajutrz kolega przyszedł i zobaczył nagromadzone rzeczy, garnitury męskie, suknie damskie, tuziny kołnierzyków i krawatów, nawet zupełnie świeżych parę lakierków — oniemiał.

— Szkoda tylko, że te lakierki wydają mi się za małe, nie wiem, czy pan w nie wejdzie.

— Ehe! Muszę, pani dyrektoro, muszę! Ja będę w nich grał księcia! — A powiedział to z takim przekonaniem, że zdawało się, raczej palce gotów przyciąć w potrzebie, aniżeli nie wejść w te lakierki.

Duży koszt nieśli nasi ludzie z teatru do żydowskiego hoteliku. Koledzy szczęśliwi pojechali za chlebem. W parę tygodni dostajemy list i paczkę. W liście dziękczynienia dla nas obojga, w paczce płaski kamyk. Na nim wymalowany widoczek własnoręcznie „na pamiątkę”. A w liście wiadomość, że „w Samborze wcale nieźle nam się powiodło. Żona ślicznie wyglądała „w tej niebieskiej sukni”...

Pamiątki z pietyzmem chowam. Kamyk, na którym był Orzeł Biały, wpadł na granicy, w powrotnej drodze do Warszawy, w ręce żandarma i przepadł.

Na obiedzie — Ludwik Śliwiński, dyrektor operetki Rozmaitości.

Notuje repertuar, który mu Józef podsuwa.

— Notuj, kumie, a bacznie! Dziecko trzymałam im do chrztu, kiedy ubożuchni mieszkali w dwu pokojkach na parterze, w podwórzu. Notuj, bo to będzie dla pana — złoto.

Złoto miał, bo jakoś poszczęściło mu się w życiu, pracował i miał rozumną żonę, która mu w pracy bardzo pomagała, ale repertuar dawał inny, nie ten, który mu dyktował Kotarbiński.

*

Ledwo się skończyła króciutka drzemka, panna Andziuleczka, nieoszaczowana nasza zacna domownica, z dygiem oddaje list.

Od Żeromskiego kilka serdecznych słów do Józefa, z poleceniem przyjęcia młodego literata polskiego, który jedzie z Zakopanego. Wysoki, z oliwkową cerą, włosami skręconymi, czarnymi, jak sadze, z nosem wybitnym, uszami odstającymi, „polski literat“, przedstawia się.

— Jestem Asz.

Herbatka. Rozmowa.

— Co pan pisze? — pyta Józef.

— Ja chcę dramaty pisać. Mam już jeden napisany. Ja rodziłem się w Kazimierzu nad Wisłą. Mam dwie rzeki w sercu, bo, jak chodzę nad Wisłą, to myślę o Jordanie. A potem to mi się tak te rzeki mieszają, że mam i Jordan, i Wisłę w duszy. Ale chcę być polskim literatem.

Oczywiście, był przez nas gościnnie przyjęty i ze względu na swoje zamiłowania, i na swego dostojnego protektora.

Z Płocka napisał list: „Droga Pani i Drogi Paniel! Za niezasłużoną życzliwość, którą mi drodzy państwo okazywali, podczas mego pobytu w Krakowie, czuję się obowiązany serdecznie podziękować. Jestem szczęśliwy, że miałem sposobność zbliżyć się do tak sympatycznych ludzi, jakimi państwo jesteście. Serdeczne pozdrowienia z poważaniem. Asz“.

Dla Sz. P. Frenkla (którego u nas poznał) moje najserdeczniejsze ukłony i życzenia powodzenia.

*

W parę lat spotykamy go w kawiarni na Friedrichsstrasse w Berlinie.

— Ja dałem Reinhardtowi mój dramat „Der Gott der Rache“, „Bóg zemsty“, czego w Krakowie grać nie było można ze względu na teren, w jakim się akcja rozgrywała. Każdą ranę należy opatrzyć i leczyć, ale nie każdą demonstrować publicznie. Ta właśnie była taka, której Józef nie chciał pokazywać publiczności. W Berlinie ją pokazano.

— Pierwsze, co mnie Reinhardt spytał, — czy ja po niemiecku pisałem tę sztukę, to ja mu powiedziałem, że w żargonie. I oni, na komisji, czytali w żargonie.

— Ja chodzę teraz nad Spreą, a Wisłę i Jordan ciągle mam na myśli. Ale ja teraz będę niemieckim pisarzem.

I znów w lat parę trafiamy na Asza.

— Pan już teraz nad Sekwaną, pewno pan będzie pisał po francusku?

— A tak, ja teraz już będę pisarzem francuskim.

Potem jeszcze nam przysłał swoje nowele w r. 1906 w Warszawie z dedykacją, napisaną po hebrajsku. Przeczytałam je i doszłam do przekonania, że ani trochę nie znamy psychiki ludzi, których miliony mamy w swym kraju. Nie pamiętam już dziś szczegółów, ale pamiętam, że zrobiły na mnie wrażenie czegoś równie egzotycznego, jak przeczytane kiedyś nowele japońskie, Ko-ko-ro, w świetnym tłumaczeniu Lawkadjo Hearn. Człowiek niby ten sam na całym świecie, a jakże inny.

Potem Asz zginął nam z oczu.

*

A dziś właśnie dnia 20 czerwca 1929 r., kiedy piszę tę notatkę o Aszu młodym, chwiejnym jeszcze chłopcu, biorę „Kur. Warszawski” i widzę w cennym artykule zawsze czujnego obywatela, p. B. K., imię Szaloma Asza, dojrzałego człowieka, zdecydowanego w przekonaniach, który zabiera głos, protestujący przeciw antypolskim wystąpieniom żydów na terenie Francji i mówi, potępiając politykę „szkodliwą dla interesów polskich”, co następuje:

„Żaden rząd nie może stworzyć pokoju. Rząd może chronić przed napaściami, może się trzymać przepisów prawa, ale nie może włożyć nowych serc swoim obywatelom. Serce zaś może być stworzone i mo-

że rozwijać się tylko przez sympatję. Żadna doktryna nie może stworzyć pokoju, potrzebnego polakom i żydom”.

Jednak wody tej Wisły, o której zawsze Asz mówił, muszą mieć jakiś tak czarowny eliksir, że, kto z nich raz bodaj kropki zakosztował, związany z nimi zostaje na zawsze.

Szałom Asz, mający w sercu Jordan, bywał pisarzem niemieckim nad Spreą, francuskim nad Sekwaną, ale o tym kraju z nad Wisły, którego zna historję, Szalom Asz wie, że przemocą i nienawiścią nikt w nim nic nie wskóra.

„DZIADY“.

31 października 1901 r.

Nawet „Sprawiedliwość“ („Die Gerichtigkeit“), organ izraelitów w Galicji, uzasadnił swą nazwę daniem wzmianki: „Teatr krakowski jest pierwszą sceną w Polsce, która nie szczędzi trudów i kosztów, celem zainscenizowania słynnego dzieła, „Dziady“ Mickiewicza“. Wszystkie następne pisma przychylnie przyjęły tę zapowiedź.

Nagłowił się też, nagłowił biedny mój mąż, kiedy ustaliło się w nim postanowienie wprowadzenia „Dziadów“ na scenę.

Nie wieczorów, bo tych nie było nigdy wolnych, nie dni — bo te były po brzegi wypełnione pracą, ale ileż nocy, powróciwszy z teatru, po przedstawieniu, spędził Józef z egzemplarzem „Dziadów“, przedstawiając całe okresy, kreśląc, wiążąc sceny, po to, by nazajutrz powiedzieć mi:

— Djabło trudne, wszystkiego, co się chce, wyrzucić żal. A dać całości nie sposób. Najlepiej było, by dać przedstawienie na dwa wieczory, ale teatr tego nie wytrzyma.

Nie chwałę się, bo to wcale nie płynęło z żadnych

szlachetnych pobudek, ale, widząc, że istotnie męczy się człowiek, bo jednego nie chce, drugiego nie śmie, trzeciego żałuje wykreślić, radzę mu:

— Wiesz, Józeczku, przychodzi mi myśl taka: proś Wyspiańskiego o skróty, on wtedy dostanie lanie (przepraszam za wyrażenie, ale muszę mówić, jak było), a przy tobie zostanie chwala, żeś „Dziady” wprowadził.

„Tak się też stało”, konstatuje mój mąż w książce swej „W służbie sztuki i poezji”.

Najpierw, przez szereg popołudniowych posiedzeń, obaj naradzali się i pracowali sumiennie nad ogólną inscenizacją. Potem już Wyspiański tekst miał ustalić samodzielnie; dnia więc 24 września 1901 roku otrzymuje Józef od niego list, który brzmi jak następuje:

„Szanowny Panie Dyrektorze! Tekst już ustaliłem był dawno; ze względu na to, iżby spektakl nie trwał zbyt długo, skróciłem go jeszcze do tyła, że blisko trzy kwadranse ubyło. Pragnę jednak, żeby rzecz była wyłącznie mnie pozostawiona, ponieważ sądzę, że, informując Szan. Dyrekcję dokładnie o całej mojej przygotowawczej pracy, miałem sposobność wykazać, że nie popełniam żadnych takich niedokładności lub lekkomyślności, któreby jeszcze wymagały korekty. Nie mam i nie będę miał dla Szan. Dyrekcji żadnych tajemnic, odnośnie do zamierzonego wystawienia „Dziadów”, pragnę jednak i proszę raz jeszcze, abym w tem *bardzo trudnem studjum dramatycznem* miał *wolną rękę*, swobodę działania zupełną i niezależność tak odnośnie do tekstu poe-

matu, jak interpretacji ról, jak wreszcie kostjumów i inscenizacji. Będzie to bardzo duża praca, którą podjąć mogę tylko wtedy, jeżeli będę widział gotowość i życzliwość Dyrekcji dla tej odpowiedzialności, jaką zamierzam przyjąć. Chcę, żeby się rzecz grała pod moim kierunkiem, proszę zatem o łaskawe wydanie okólnika, któryby poinformował pp. reżysera i artystów, oraz dekoratora i kostjumera, żeby prace ze mną bezzwłocznie rozpoczęli.

Oczekuję łaskawej odpowiedzi, którą skoro otrzymam, natychmiast egzemplarz opracowany, skrócony, przygotowany prześlę Szan. Dyrekcji. Czy na te podane przeze mnie warunki Szan. Dyrekcja się zgadza?

Gdyż pod innemi nie mógłbym tej pracy dalej prowadzić.

Z wysokiem poważaniem szczerze życzliwy, Stanisław Wyspiański".

Dnia 25 września 1901 r. Józef Kotarbiński odpowiedział:

„Szanowny Panie!

List pański, który mi oddał służący p. Rydla, przeczytałem ze zdziwieniem, albowiem odbiega on od tego, cośmy w tej sprawie mówili i układali ze sobą. Ja prosiłem Szan. Pana o pomoc i chętnie uwzględniłem pańskie każde zdanie dla dobra samej rzeczy, ale nie mogę nawet na 24 godzin być biernym świadkiem roboty w teatrze. Kwestję „Dziadów” znam ze strony literackiej, fachowo i specjalnie, co do układu tekstu mogą być rozmaite pojmowania, a każdy do-

bry pomysł należy zużytkować dla dobroci i powodzenia sprawy.

Pomysł wystawienia „Dziadów” jest moim pomysłem i nie mogę rezygnować w moim teatrze z wpływu na jego wykonanie. Co do tekstu, chciałbym parę koniecznych, według mnie, szczegółów przywrócić, zresztą możemy to zrobić za wspólnem porozumieniem, tak, jakśmy już zaczęli tę robotę. Rzecz bardzo prosta, że będę Szan. pana prosił o uwagi co do kostjumów i inscenizacji, co do okólnika mowy być o tem nie może, albowiem musiałbym zmienić organizację teatru, narazić na szwank znaczenie moje i reżysera.

Jeśli pan będzie łaskaw podjąć się tej pracy, to może pan te uwagi udzielić częścią mnie, częścią reżyserji, częścią artystom, jak to się zwykle robi.

Najlepiej zresztą porozumiemy się w tej kwestji ustnie, bo listy nie prowadzą do niczego, a nawet mogą mieć ton, który chcę w to wierzyć, w pańskim liście był wypadkiem mimowolnym. Wyrazy szacunku łączę. Józef Kotarbiński”.

Wyspiański był niezdrów, Józef poszedł do niego, a ponieważ miał najlepszą wolę, a nadewszystko już widział w robocie niektóre świetne pomysły i, oczywiście, chodziło mu o ich zużytkowanie, więc zmógł niechętnie postronne wpływy, którym chwilowo uległ poeta, i w najlepszej zgodzie zaczęły się próby. Łody były przełamane.

Wyspiański z pasją dorwał się do sceny. Informacje niektóre bywały świetne, choć dużo było kłopotu z utrzymaniem harmonji między nim i aktora-

mi, bo pojechał do Lwowa na próby „Wesela” i tam powiedział: „Na szóstej próbie lepiej tu grają, niż tam na szóstym przedstawieniu”. To doszło lotem ptaka, bo plotka jest szybkobieżna, i, oczywiście, wywołało animozje, bardzo przy robocie niepożądane, tem więcej, że i obsada „Wesela” w Krakowie, i wykonanie było istotnie świetne. Ale Józef umiał te rzeczy opanować. Zachodziły jeszcze różne nieporozumienia drobne, drobniutkie i czasem śmieszne. Jedna z artystek oburzona, że Siemaszkowa ma grać rolę, którą ona, według niej, grać powinna, robi awanturę. Siemaszkowa rolę oddaje. Józef grozi dymisją tej, która jest przyczyną zatargu, jeśli Siemaszkowa nie będzie na próbie. Przychodzi, ale na scenie odbiera anonim z propozycją... w obecnej dobie spopularyzowaną, ale wonczas jeszcze horendalną.

Zaśmiewamy się wszyscy. Anonim, jako dokument chwili, bierze Wyspiański „na pamiątkę”.

Dnia 23 października 1901 r. rozesłane były listy po całej Polsce, od dyrektora, bez uznania kordónów.

„Szanowny Panie!

W dniu 31 b. m. i r., wystawiony będzie poraz pierwszy na scenie krakowskiej poemat dramatyczny Adama Mickiewicza, „Dziady”, ułożony na scenę w 7 odsłonach. Na przedstawienie to mam zaszczyt uprzejmie Sz. Pana zaprosić. Jeśli Sz. Pan ma zamiar przybyć do Krakowa, proszę o odpowiedź odwrotną pocztą, abym mógł zarezerwować miejsce w teatrze. Łączę i t. d. J. K.

Oczywiście, pierwszy list przychodzi, jak zawsze

w takich razach, od tego prawdziwego miłośnika teatru, jakim był Władysław Bogusławski, z zawiadomieniem, że będzie i że o miejsce prosi.

Henryk Sienkiewicz pisze:

„Kochany Józefie!

Niestety, nie mogę przyjechać na Dziady. Będę wpradzwie w Krakowie, ale dopiero 10 listopada lub nawet później. Dziękuję Ci jednak bardzo za pamięć i przesyłam uścisk dłoni.

Henryk Sienkiewicz.

Pani Twojej, najpiękniejsze ukłony.

29.X.1901.

Warszawa, Wspólna 24".

Dwa pierwsze przedstawienia, a więc 31 października i pierwszego listopada, wykupione doszczętnie. To się nie zdarzało jeszcze w Krakowie. Dwa wieczory z rzędu siedzi w pierwszych fotelach Władysław Bogusławski i słucha jak on tylko słuchać potrafił.

Kazimierz Ehrenberg w „Naszym Głosie” pisze: „Zuchwały poryw powiódł się świetniej i piękniej, niż można było przypuszczać. „Dziady” Mickiewicza pozostaną już na zawsze na polskiej scenie... przyszłe pokolenia będą się rok w rok schodziły na narodowe „Dziady”, żeby żywym słowem wieszczą naszych przeznaczeń krzepić dusze w miłości i wierze, aby zwracać myśli i uczucia ku pierwotnemu źródłu naszej społecznej siły”.

„Wprowadzenie „Dziadów” na scenę będzie niezapomnianą zasługą p. Kotarbińskiego; dopiero dziś, w całej pełni, możemy ocenić, ile zyskaliśmy na zmia-

nie kierownictwa teatru. Miejsce dekadenceckiego dy-
letantyzmu zajęła cześć dla wielkiej poezji. Zamiast
tryumfów Madame-sans-gêne i hodowli modernistycz-
nych literackich bakcyłów, widzimy na krakowskiej
scenie: „Złotą czaszkę“, „Kordjana“, „Sen srebrny
Salomei“, „Fausta“ i „Dziady“.

Z jakim pietyzmem przystępował pan Kotarbiński
do inscenizowania „Dziadów“, dowodzi fakt, że nie
śmiał się tknąć sam olbrzymiego dzieła, aby go wło-
czyć w ramy sceny, ale że uprosił do tego poetę, któ-
ry genjuszem swoim wznosi się niekiedy ku tym wy-
żynom, na jakich stała poezja polska wieszczej epo-
ki. Stanisław Wyspiański podjął się, ciężkiego, ale
chlubnego trudu i wywiązał się z niego po mistrzow-
sku“. Dalej pisze Ehrenberg: „Pyszna reżyserja przy-
nosi zaszczyt kierownictwu sceny. Artyści dokony-
wali cudów. Szlachetną ich pracę i piękne wyniki
talentów ocenimy w następnej recenzji. Dziś już je-
dnak trzeba zaznaczyć że: Mielewski (Gustaw), (Zły
duch), Bednarczyk, Sosnowski (ks. Piotr), Kotarbiń-
ski (Senator), Senowska (Rolissonowa), tworzą piękn-
e, niezwykle, wstrząsające kreacje“.

Natomiast Jerzy Żuławski, w myśl zasady: „Ve-
ritas Magis Amica“, wygarnia tyle błędów w insce-
nizacji, ile ich napewno nie było. Olbrzymi artykuł
w Głosie Narodu“ zawiera tak namiętne powiedze-
nie jak to, że: „wolno poprawiać największego nawet
poetę, ale tam, gdzie jest istotnie słaby, — poprawia-
nie, zwłaszcza przez obcięcie, najwspanialszego ar-
cydzieła jest zbrodnią. Jeśli improwizacji nie moż-

na było inaczej wtłoczyć w scenę, należało wogóle raczej „Dziadów” nie grać!”.

Łatwo to pisać, ale kazać, zwłaszcza grającemu aktorowi rolę, mówić całą improwizację — to męka nad siły.

Józef Kotarbiński, w dzień uroczystości Mickiewiczowskiej w Krakowie, mówił całą improwizację — bez suflera w teatrze. Wprawdzie zawsze łaskawy i uprzejmy Marszałek Badeni przyszedł za kulisy osobiście mu za to podziękować, co było bardzo miłe i zaszczytne, ale nie uchroniło od zmęczenia fizycznego, odczuwanego przez parę dni następnych.

Władysław Boгуsławski w „Kurj. Warszawskim” pisze: „Szkoda tej improwizacji, szkoda usuniętych z niej fragmentów, zwłaszcza, że jeśli chodziło o konieczne skrócenia, domagają się raczej sceny w plebanji, przepełnione liryzmem pięknym w czytaniu, lecz dłużacym się na deskach teatralnych; szkoda zresztą wszystkiego, co wypadło poświęcić, chcąc ująć celniejsze piękności poematu w ramy jednego wieczora. ale z tem, co jest, ten wieczór zostawia widzowi niezapomniane wrażenie. I dostarczenie tych wrażeń jest wielką zasługą teatru krakowskiego, na którego scenie „Dziady”, jako zamknięta w sobie całość, pierwszy raz stały przed publicznością w blaskach arcydzieła. Sprawiedliwy podział zasługi jest tu koniecznym, trzeba więc przedewszystkiem oddać Józefowi Kotarbińskiemu, co mu się słuszenie należy. On to, kierując repertuarem, poetom w nim naczelnie zostawił miejsce; on daje artystyczny wyraz kultowi swemu dla Mickiewicza, Krasińskiego, Słowac-

kiego, i kult ten szerzy wśród publiczności, on jest tym rozumnym aktorem, który wie, że teatr — to nie aktorstwo, tylko literatura, i nie waha się ze skromnymi środkami podejmować najtrudniejszych zadań. Że zaś jest przy swoim aktorstwie literatem, więc je podejmuje zwycięsko — świadczą o tem zwłaszcza „Dziady”, do których zwycięstwa własną wciągnął abnegację, zrzekłszy się na rzecz Wyspiańskiego artystycznej dyrektywy, przyjąwszy rolę wykonawcy cudzych pomysłów”.

Korespondent do „Słowa Polskiego” we Lwowie daje dnia 3.XI.1901. w „Feljeonie Krakowskim” sprawozdanie z przedstawienia „Dziadów”!

„Data 31 października 1901 zostanie zapisana w annałach teatru polskiego: Światły, literacko wykształcony dyrektor teatru, i genialny poeta, wskrzeszający legion cudów romantyki narodowej, podali sobie ręce i tego dnia Kraków ujrzał na swej scenie fragmenty dzieła, które miało być najpotężniejszą kreacją Adama — według słów jego własnych — a i w stanie fragmentarycznym pozostało jednym z największych objawień duszy i poezji polskiej”.

A dalej mówi:

„Trudności pokonane, przeszkody usunięte, wielkie dzieło okazało się wielkiem i z naszej sceny, i raz na zawsze weszło w skarbiec repertuaru scenicznego polskiego, jako najdoskonalsza perła jego poezji dramatycznej.

Wczorajsze przedstawienie „Dziadów” — to data historyczna, prawdziwem uwieńczona powodzeniem. A trudności były ogromne. Stąd obawy, nie-

bezpieczeństw. stąd sceptyzm nawet tych, którzy dawno zerwali ze zdawkowymi formułami estetyki szkolarskiej. Co najwyżej, ośmielano się dać fragmenty części trzeciej. Pan Kotarbiński był śmielszym i natrafił na pióro Wyspiańskiego. Opracowanie, dokonane przez autora „Wesela”, odznacza się jedną cechą: głębokim, bezbrzeżnym pietyzmem.

Jeżeli Wyspiański-poeta dużo uczynił dla „Dziadów”, uczynił również wiele, może i więcej, Wyspiański-malarz i reżyser.

Podniosła się kurtyna: jesteśmy na cmentarzu na Litwie. Na prawdziwym cmentarzu — nie tekturowym, ani płótnianym. Strona zewnętrzna wspaniała.

Kurtyna — scena druga. Olszewska nas dekoracja. Zamiast cerkwi — kaplica gotycka, architektura wspaniała. Tłum żyje. Para aniołków wkwita nad kaplicą — dyskretnie poetycznie, z Irlandii światła, malowniczo. Nerw się napina, dochodzi głos przeszywający, wpada gromada upiórów, otaczających dziedzica. Padł czar — zapłonęła groza Mickiewicz przemówił Kotarbiński-dziedzic wywołał grozę. Odtąd jesteśmy już pod czarem sugestji. Każda scena ją podnosi. Podnosi ją gra, podnosi eksterieur. Wszędzie dłoń prawdziwego artysty. Jaki ten Wyspiański kolorysta! Bajeczny. W celi klasztornej pod postacią Chrystusa—archanioła. Przykuwa wzrok, jako pomysł artystyczny. Jasno-złota postać, o skrzydłach tęczyowych, jak brat jego na wystawionym w Salonie obrazie Malczewskiego. Obok niego zjawia się duch — czarny, duch w niczem nie podobny do tradycyjnego diabła w kusym fraczku. A co za wspa-

niałe efekty kolorystyczne, wydobyte w scenie następnej — w sypialni senatora! Całość — widzenie, sen na jawie, nadnaturalne, a przecież prawdziwe! Diabły po obu stronach łóżka — lokaje jego; dwoistość ich wspaniale wyrażona grą mimiczną, dwoistość sceny — oświetleniem. Mieni się ono, przechodzi całą gamę odcieni, jak je przechodzi pod względem psychicznym podła dusza Nowosilcowa. Twarz jego promienieje w blasku nadzwyczajnym, kapie się w falach białych, ciemnych, silnych... Mundury, dekoracje — wszystko z pod ręki historyka, malarza, poety, pełnego szczerego pietyzmu.

Niemiała oczywiście zasługa także dyrekcji".

*

„Dyrekcja miała ogromne trudy wystawiania „Dziadów”. Tembardziej należy podnieść zasługę dyrekcji, która nie uległa się olbrzymiego zadania i podnieść należy, że zostało ono uwieńczone prawdziwym, nadspodzianem powodzeniem.

O ile p. Mielewski miał właściwie tylko deklamować — grać i tylko grać miał p. Kotarbiński — senator. Wywiązał się z tej roli w sposób, godny wielkiego artysty. Ogólna jest opinja, że od lat p. Kotarbiński tak wspaniale niegrał. Wybitna charakterystyka, głos zmienny, wszystkie środki mimiczne oparte po mistrzowsku. Od pierwszych słów w łóżku — do ostatnich do ks. Piotra fascynuje. Jak wybornie oddana cała ta gra uczuć podłego służalca we śnie o łasce i niełasce carskiej, jak wyborną jest dykcja,

wpadająca dyskretnie w akcent rosyjski i francuski, jak wspaniale wydobyty charakter owego kata młodzi, mieszkający z moskiewską dzikością rosyjską dobroduszość! Kotarbiński — artysta odniósł wczoraj prawdziwy tryumf.

O innych potem.

Wystawienie „Dziadów” jest dziełem tak doniosłym, że nieraz jeszcze do niego trzeba wracać. Na razie niech wolno będzie z tego miejsca o jedno tylko dyrekcję poprosić: większe względy dla Improwizacji. Ten szczyt poezji polskiej powinien pozostać nietknięty”.

Oprócz Ehrenberga wszyscy recenzenci gromili skróty w mniej lub więcej ostrej formie, a ja, czytając to, za rejentem z „Zemsty” powtarzałam: „Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba”, i dodawałam: „Boże! Jakiś ty miłośnierny, że raczyłeś te gromy odwrócić od męża mego”.

Wyspiański nic nie zmałał, Józef nie był struty, publiczność zachwycona. Wszystko w porządku. Listy dziękczynne rozpoczyna grupa, przybyłych z Białej, przysyłając kartę:

„Artysto i Pani! Przyjechaliśmy umyślnie na przedstawienie „Dziadów”. W zachwyceniu przesyłamy za kreację Senatora wyrazy hołdu. Żyj i dyrektoruj jak najdłużej. Artysto prawdziwy!”

Pierwszy list z Warszawy otrzymujemy od naszej przyjaciółki:

„Przesyłam powinszowania z powodu przedstawienia „Dziadów”. Bogusławski wrócił zentuzjazmowany. Wszyscy są wam wdzięczni za artystyczną

i obywatelską działalność. Życzymy z całego serca, aby usiłowania Wasze i zacna praca znajdowała nadal uznanie i obycie mogli stale, na tej pierwszej obecnie scenie polskiej, wysoko trzymać sztandar prawdziwej wielkiej sztuki. Jadwiga Krausharowa".

Potem od Gadomskiego, Kozłowskiego, Maliszewskiego, Gawalewicza, listów i depesz przychodziło bez liku. Ale i Kazimierz Skrzyński znów pisze...

Dlaczego tak często przytaczam zdanie Kazimierza Skrzyńskiego?

Dlatego, że on tonie, nietylko w „śmietance", ale i w „podśmietaniu" towarzyskiem, więc jego głos rzuca światło na poglądy pewnych sfer niby nawet inteligentnych, ale jednocześnie często płytkich i indyferentnych na wszystko co się dzieje, prócz małych spraw codzienności. A zresztą, jest krytykiem piszącym we Lwowie do „Słowa Polskiego". Człowiek z dużą kulturą literacką i towarzyską, wie, że głębsza myśl istnieje, sam nie ma jej w zanadrzu. Życiem się bawi, nim bawi się życie. Sceną się zajmuje, scena mało zajmuje się nim. Artyści go śmieją, on śmieje artystów. Poważni ludzie podkpiwają z niego, on podkpiwa z nich. Bawi go wszelki komeraż, zwłaszcza zakulisowy, zaciera wtedy ręce radośnie, nieszkodliwą plotkę puści w świat dla zabawy. Ludziom powierzchownie życzliwy, bo to nic nie kosztuje. Jedzie na cykl Wagnera do Wiednia, bo nie ma co robić, siedzi w pierwszym rzędzie Burgtheatru we fraku z monoklem i pisze mi: „Mam go dosyć, nuż mnie, wracam". A potem: powodzenia „Dziadów", choć słyszałem takie nawet zdanie, że to, co

robicie, jest *świętokradztwem* wobec Mickiewicza. Ja nie lubię rzeczy, nie dla sceny pisanych, dlatego cieszę się na „Tartuffa”. Kiedy mniej więcej odbędzie się? i t. d.”.

A potem list następny, kiedy „Dziady” idą z kolei kilka razy, a on chce przyjechać i musi być w teatrze, bo bez tego nie rozumie wieczoru, zresztą „wszędzie nudy”, teatr to jeszcze jedyna od nich ucieczka, więc pisze rozgoryczony: „Znęćacie się wprost nad ludźmi. Cztery dni nic, tylko „Dziady”, a potem „Faust”, „Ksiądz Marek”, „Krzyżacy”. To za wiele! niema na coś iść! Wszyscy (??) uznali przedstawienie „Dziadów” za chybione, „Krzyżaków” za szopkę, a „Marka” za rzecz, napisaną w gorączkowym podnieceniu. Już dosyć tych książkowych dramatów. Chciałem nawet o tem pisać w „Słowie”, ale mi się żal zrobiło, bo mam zawsze słabość do krakowskiej sceny”.

I dogodźże tu, biedny dyrektorze, ludziom!

Ale za to: prawdziwie kulturalny i rozumny Marszałek Badeni, który nie bawi się życiem, ani ononim, mimo że mieszka stale we Lwowie, po przedstawieniu „Dziadów”, zaabonował łożę w Krakowskim Teatrze. To był piękny odruch, z głębszą myślą.

„Koło literackie” daje ucztę dla Józefa. a prof. Marjan Zdziechowski mówi między innemi: „Nie byłem zwolennikiem pomysłu dawania tego na scenie, co uważałem, że tylko w skupieniu czytać należy. Poszedłem na przedstawienie, a widząc, z jakim piętyzmem dzieło dane, — zmieniłem przekonanie i wy-



rażam moją część dla tego, który powziął ten śmiały zamiar" i t. d....

Stanisław Koźmian, twórca kulturalnego ruchu na scenie krakowskiej, z Wiednia przysłał list: „Szczególny Dyrektorze! Chociaż zupełny uczyniłem rozbrat z teatrem, to przecież „krakowski” zawsze żywo mnie obchodzi, a twoje kierownictwo tem więcej, że należy do artystycznych, a nie do rzemieślniczych. Nie zapomnę przytem nigdy, jak bardzo Hoffmanowa cenila cię, której pamięć drogą mi pozostała”.

Z Wydziału Krajowego otrzymuje Józef zaszczytne pismo, które brzmi jak następuje:

Wydział Krajowy. We Lwowie dn. 16 lipca 1902.
L. 50. 273.

Na posiedzeniu dnia 11 lipca b. r. przy załatwieniu budżetu krajowego na r. 1902, powziął Wysoki Sejm następującą uchwałę:

Dyrektorowi Teatru miejskiego w Krakowie, p. Józefowi Kotarbińskiemu, w uznaniu jego usiłowań celem rozwoju i utrzymania tej sceny na wysokości jej bezpośredniej przeszłości i istotnych jej cywilizacyjnych i narodowych zadań, jako zasiłek nadzwyczajny na rok 1902, 4.000 (cztery tysiące) koron.

Podając ten wyraz zasłużonego uznania z przyjemnością do wiadomości Wielmożnego Pana. Wydział Krajowy przesyła w załączeniu sumę 4.000 (cztery tysiące) koron.

Z Rady Wydziału Krajowego
Marszałek Krajowy
Potocki

Członek Wydziału Krajowego
Nieczytelny.

Do Wielmożnego Pana Józefa Kotarbińskiego, Dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie.

*

Pamiętam jedno przedstawienie, na którem byliśmy w teatrzyku Grand-Guignol w Paryżu.

Sztuka nazywała się „La Cellule Blanche”, autorzy: Leo Margès i Gaston Richard.

Dla wydobycia zeznań, moskale torturowali socjaliste-rewolucjonistę w ten sposób, że przywiązanej ofierze do fotela, w małej celce, rzucali dzień i noc snop tak silnego światła prosto w oczy, że pod jego wpływem człowiek szalał. A kiedy narzeczonej udało się uzyskać wejście do kaźni: „Wydrzeż oczy! Oczy wydrzeż!” — krzyczał rozpacznie.

Wydarła uderzeniem casse-tête'u — i wtedy dopiero nieszczęśliwiec odetchnął spokojnie.

Gdybym była artystą, grającym Gustawa-Konrada na warszawskiej scenie Teatru Narodowego, przy dzisiejszym systemie wystawienia „Dziadów”, wrzeszczałabym w niebogłósy między innemi: „Gaś reflektory! reflektory gaś! Bo oszaleć można!”

Siedząc w krzesłach, patrząc na to, co się w inscenizacji „Dziadów” dzieje, nie mogłam czasem opanować jęku. Poskromiłam się dopiero wówczas, kiedy mnie sąsiad zapytał: „Pani cierpi?”

Cierpiałam z powodu rzuconych na śliczną twarz

Węgrzyna snopów najniepotrzebniejszych ruchomych światel, na które czemu Artysta pozwala — nie wiem.

Otóż cały artyzm, całe tchnienie poezji Wyspiańskiego wyraziło się w tej wielkiej powadze i prostocie, jaką otoczył wystawienie „Dziadów”. Nic tam nie wrywało się z tła, przepojonego ciszą i spokojem. Kiedy cela więzienna, to mroczna, kiedy salon — to jasny, kiedy sen — to, w błękitnem półświecie, majaczące figury sprzęgają się i rozprzęgają leniwie, jak senne widziadła. Rytmu nie słysząc w stapaniach więźniów, w nocnej wyprawie do kazamat, ani skandowania pieśni, płynących z ich młodzińskich a tak smutnych dusz. Wszystko to idzie tak, jak iść musiało, w zgnębieniu i udręce ducha, bez żadnych skrajnych efektów, bez fałszywych blasków ni domieszek. Prosto. Jak anioł, to ze skrzydłami, bo taki od dzieciństwa płacze się po naszej wyobraźni, tem więcej, że Mickiewicz wkłada mu w usta wszystko, co przeczytać i wiedzieć o nim musi ten, kto go uplastycznia.

„Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,
Z pod wstążek gwiaździstych włos nasz rozwiążmy,
Kochanka naszego otulmy skronie”...

Tymczasem, „skrzydeł” nasz anioł „podłożyć” nie mógł, bo ich nie miał. „Włosa rozwiązać” nie próbował, bo był krótko obcięty à la garçonne. „Otulić” nie miał go czem, bo wąskie spodenki go okrywały i jakiś kitelek — niewytlomaczony.

Ktoś tekst przeoczył. A tekst autora, to właśnie

ewangelja, której zmiany narzucać nie wolno nikomu.

Otóż tak! Wielkich dzieł trzeba dotykać, jak poświęconych relikwii, bo „trza, żeby święte były”.

One zawsze wiele stracą ze swych nieuchwytnych dziewiczych piękności i mistycznych aromatów, przy zetknięciu z pyłem sceny i naszą grubą dłonią, więc za to trzeba je chociaż otoczyć poszanowaniem i wiarą.

Trzeba wiary, poszanowania wymagać dla nich od innych, trzeba to wszystkim dokoła narzucić. Trzeba samemu gorąco chcieć, aby tak było, a tę swoją wolę — nakazać innym.

Czy to możliwe!

Przy robocie koło wystawienia „Dziadów” Józef Kotarbiński zdał egzamin, że to potrafi i zbierał też zasłużone uznanie, za to zupełne poświęcenie swojej osoby, a natomiast otoczenie widowiska należną mu czcią.

Oczywiście, tchnienie genialnego poety, jakie unosilo się nad sceną w te niezapomniane wieczory pracy z Wyspiańskim, stworzyło właśnie tę godną wielkiego dzieła atmosferę.

Nie zapomnę nigdy tego pierwszego przedstawienia, tak bardzo przez nas upragnionego, i osiągniętych z niego wrażeń.

Pierwszy akt „Dziadów” w układzie Wyspiańskiego rozgrywa się na wiejskim cmentarzyku.

Kilkanaście mogił, z ziemi usypanych. Wielki dąb wyciąga nad nimi ramiona konarów z napóły uwiadłym jesiennym listowiem. Na mogiłkach krzyże, dro-

bone, niskie. Jeden prosty, drugi szarpnięty wicherem — pochylony. Jeden z pęczkiem zeschniętych borówek, krajką przepasanych, inny ze zbladłą równianką żółtego nieśmiertelnika na ramieniu. Ręka bolejącego serca go złożyła. Tu krzak, co już wszystkie liście pogubił, ówdzie drży kilka białych jagódek, jak zmarzłych łez, na wątych gałązkach śnieg uliczki, ścieżki zarzucone złotem i purpurą zwiędłych liści, które szeleszczą pod nogami jakimś cichym, zda się, pacierzem.

Maszyniści ustawili dekoracje.

Dopóki scena była otwarta, nawołujemy się głośno, krzyżują się krótkie rozkazy. Wyrazy: „światło“, „druga rampa“, „góra“, „czwarta na dół“, „prawa gotowa“, „rukwand“, „do frontu“, „świder“, wyrazy, nam samym tylko zrozumiałe, biegają jak race, praca idzie gorączkowa, intensywna, w skupieniu, rozmów niema, wyrzuca się tylko decydujące słowa. Minuty mijają szybko. Termin się zbliża, mur prawy, lewy, tył i cmentarz zamknięty.

Stałam, cichy powiew śmierci mnie okolił, czekałam „Dziadów“. Wejdą lada chwila z modlitwą.

Ścichłam.

Czy tylko ja?

Cicho było dokoła.

Cicho, bo kto przestąpił zzewnątrz próg tego wiejskiego cmentarza — milkł.

I tu był ten moment wielkiego triumfu sztuki i wielkiej jej mocy nad wszelkim człowiekiem.

Bo któż tam wchodził? Nawet nie artyści. Oni kończyli charakteryzację.

Wszedł maszynista, ten sam, który to stawiał. Wszedł dekorator, który to malował, wszedł statysta, który tylko co lepił brodę dziadową, a łachmanem okręcał mu nogi. Ci ludzie jakby odgadli, raczej przeczuli, że tu się ma coś spełnić, że się ma odbywać jakieś wielkie misterjum ducha. Nikt ciszy nie przerwał, nikt milczenia nie zmaćił na tym miejscu umarłych. I taka cisza, nie umówiona, z nakazu ducha, unoszącego się nad nią, trwała aż do odsłonięcia kurtyny.

Tysiąc oczu z widowni pada na drobne krzyżami znaczone mogiłki, a ze sceny przepotężny duch poety bierze w swoją moc „rząd dusz”.

To były te krzepiące momenty, w których wszelkie trudy, kłopoty, szarzyzna codziennych konfliktów, nieodłącznych od życia teatralnego — jak zresztą każdego życia — maleje, zaciera się, niknie, a lśnią jasne światła, jakimi promieniować mogą tylko zaczarowane koła sztuki i poezji.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciałą bryłą.
O! jakże różne przed prawdy mistrzynią
Orły — choć wszystkie jeden hałas czynią.
Król Duch XLVII.

Cały świat uczuć, cała działań sfera
I starć namiętnych ukryte pobudki,
Zdrada, łamiąca pochód bohatera,
Dwojga kochanków sen o szczęściu krótki,
Kłamstwo i zbrodnia w zwycięskiej potędze,
Drżące przed prawdy wschodzącej światelkiem,
Wady, śmieszności i powszednie nędze,
Życie, codziennym wypełnione zgielkiem,
Wszystko to w barwnej przewinie się tęczy,
Wybuchnie bólem lub śmiechem zadźwięczy.

To fragment z prologu, napisanego na uroczyste otwarcie Nowego Teatru w Krakowie przez Adama Asnyka.

Właśnie w dniu, w którym te słowa padły z otwartej po raz pierwszy sceny Teatru Krakowskiego w r. 1893, stały się „ukrytą pobudką” namiętnych często sądów Lucjana Rydla o Józefie Kotarbińskim, naówczas kierowniku literackim i reżyserze Teatru Krakowskiego, a potem i jego dyrektorze — aktorze i człowieku. Jak wypadło.

A było to tak: Lucjan Rydel napisał prolog na uroczystość otwarcia Teatru. Złożył Dyrektorowi Pawli-



Lucjan Rydel z rodziną w Toniach.

kowskiemu, który go odrazu skazał na śmierć. Ale mimo tego wyroku dał go do przeczytania kierownikowi literackiemu.

Prolog był słaby.

— Na otwarcie nowej sceny polskiej musi zadźwięczyć jakiś ton spiżowego dzwonu, możeby uprosić Asnyka — mówił Kotarbiński.

Dyrektor zwrócił prolog Rydlowi z niewinną wzmianką, że „Kotarbiński nie zatwierdził do grania”.

A ze sceny przez usta Józefa wołał Asnyk:

„Baw się narodziel
A gdy zobaczysz króla Lira...
Może ci na myśl przyjdzie naród pewien,
Co nie na wiano dla swoich królewien
Rozdał królestwo, lecz wprost, gdy oszalał,
Władzę i ziemię brać sobie pozwalał”.

Rydel nie umiał spokojnie przeboleć przykrej dla siebie chwili. Czemu nie można się dziwić. A przypisując, wedle informacji dyrektora, całą winę sądowi Kotarbińskiego, zionął od tego czasu nietylko niechęcią, ale wprost jakimś opętaniem nienawiści. Był, jak wszystkim wiadomo — mowny. Więc, czego nie zdążył lub nie miał sposobności napisać, „gadał” na lewo i na prawo, gadał bez końca i miary.

Na wołowej skórze nie spisaćby małostkowych wycieczek, krytykujących w nieubłagane złośliwy, aż do śmieszności, sposób i kierownika, i aktora, nawet mówcę, o ile się sposobność zdarzyła.

Kiedy na pogrzebie Sewera Maciejowskiego, którego Józef był przyjacielem i nad którego grobem

mówił sercem, bo cenił i kochał Sewera, Lucek (tak go wszyscyśmy nazywali w potocznej mowie) znów „gadał”. „Czemu ten „kabotyn” mówił o powieści, kiedy jemu należało mówić tylko o Teatrze?”

Tymczasem odczuta mowa Józefa była piękna, bo prosta i serdeczna, a Rydla zirytowanego, że mu „kabotyn” zabrał „temat”, i mówiącego „w imieniu całej literatury”, wypadła sztucznie i banalnie. Tak złośnikom bywa.

Bez litości np. miażdżył aktorów, grających w komedji Hermana Sudermanna „Sobótkach” (Joannisfeuer, które poszły świetnie. Morska i Mielewski, Sosnowski, Senowska i Czechowska grali doskonale, zestrojeni wybornie, właśnie dzięki bardzo starannej pracy reżyserskiej. Całość szła bez zarzutu, o czym świadczyły wszystkie recenzje nadzwyczaj przychylne. Ale, ponieważ reżyserował Kotarbiński, więc Rydel w „Czasie” rozpaczał nad „nieszczęściem sceny narodowej”, nad jej „upadkiem”. Wołał o „pomstę do nieba”, że było „aż trzy błędy w tłumaczeniu”!

Po przedstawieniu którejś komedji Fredry szaty rwał wołając: „Czyż nikogo niema w tym teatrze,, ktoby rozumiał, kim jest Fredro?”...

Przyjemne to nie było, ale, nie lubiąc zmartwień a nie mogąc w tym wypadku nic zaradzić, zaczęliśmy to brać humorystycznie.

A oto mały tego dokumencik:

Wyszła, ładnie wydana, ilustrowana książeczka, nakładem księgarni D. E. Friedlejna w Krakowie, „Zaczarowane Koło” Lucjana Rydla.

24 Grudnia 1903 r. dostaję ją od męża z taką dedykacją:

Przyjm na gwiazdkę, żono droga,
To dzieło naszego wroga,
Co nam trochę życia skwasił,
Lecz gwiazdy naszej nie zgasił.

A w post-sriptum jest mój dopisek: „Książkę tę oparałam we wstążkę od wieńca, który Józef dostał właśnie za rolę wojewody, w sztuce jednego z najbardziej narazie niechętnych nam ludzi”.

Ale Włodzimierz Tetmajer, nasz dobry przyjaciel, był tak zagniewany tonem, jaki coraz zuchwalej przybierał Rydel względem poważnej pracy Józefa, że przychodzi kiedyś do nas i odczytuje nam list, wysłany do Rydla, w którym, między innemi, pisze „Nie mów mi, że podkopujesz byt ludzi uczciwych w imię sztuki. Nie wierzę w to. A podkopywanie takie wogóle uważam za *nieszlachetne*. Że robi to X. X., to mi obojętne. Zerwałem z nim. Zerwanie z tobą, wobec tego żeś ożeniony z Jadwigą (siostrą żony), którą kocham od dziecka, boli mnie, ale, że jestem szczery, więc ci to piszę”... A dalej: „Wiedz, że żadna sztuka, choćby z Homerem, Dantem i Michałem Aniołem na czele, nie warta jednego bytu ludzkiego, nie warta jednej łyzy ludzkiej”.

Ten dowód przyjaźni wzruszył nas, bo istotnie po objęciu przez Józefa Teatru, a przez Rydla recenzji w „Czasie”, były orgje napaści, o których mówił poważny człowiek, p. St. Tomkowicz: „Jest w tem duża anomalja, aby w piśmie, w którego stronnictwie

macie najżyczliwszych ludzi, recenzje były właśnie najgorsze".

Ale to ujadanie małostkowe, w formie kłótniwej, niesmacznej, nierzeczowej a jadowitej, — trwało.

Karawana mimo to maszerowała.

Wkrótce potem Starzewski przychodzi i mówi prawie ze łzami, usprawiedliwiając swoje wobec nas stanowisko, bo był redaktorem „Czasu”, w którym nas Rydel „urządzał”:

— Ja nie mogę żyć z waszą niechęcią. Ja naprawdę lubię i cenię pana Józefa, z panią byłem w przyjaźni, jesteście dla mnie zimni, obojętni. Pani mnie nie prosi. Mnie to życie mierzi. Ja mam do tego niesmak, ja się czuję nieszczęśliwy” i t. d.

Przyznałam mu, że ma rację co do naszego zobojętnienia. Ale powiedziałam: — Róbcie, co się wam podoba, ja się nie będę przed wami ani płaszczyła, ani o wasze względy zabiegała. Praca nasza jest jedyną naszą bronią, i ta praca, mam przekonanie, zwycięży. Ten się obraża, ta niezadowolona, ten lubi, ten nie lubi. Ten chwali, co tamten gani... Bóg z wami! Okulary wziąć, jak koń na boki, żeby się nie płoszyć, i iść do celu wytkniętego prosto, bo życie leci, a trzeba w niem coś jeszcze zrobić. Mąż mój składa dowody, że coś umie, a jeżeli nie chcecie tego widzieć i rzetelnie ocenić, to co ja mam z wami do mówienia!...

Rozstaliśmy się jednak dobrze. Wyjątkowo kulturalny, miły w obejściu, delikatny, niezrównany w rozmowie i jak najlepsza siostra miłosierdzia w czuwaniu nad chorym, czego doświadczyłam na

sobie, — sybaryta duchowy, w gruncie cynik — był jednak przez nas bardzo lubiany.

I oto ni stąd ni zowąd — może przyczynił się do tego list Włodz. Tetmajera — jakby wśród najlepszej harmonji, odbiera mój mąż list od Rydla.

„Szanowny Panie Dyrektorze! Dowiedziawszy się, że w najbliższych czasach będzie grany „Faust”, przygotowuję do „Czasu” feljetony, które bezpośrednio powinny poprzedzić pierwsze przedstawienie. Chciałbym w nich w sposób możliwie najprzystępniejszy podać rozbiór poematu Göthego, aby publiczności przez to zrozumienie dzieła ułatwić, a tem samem zachęcić ją do jaknajtłumniejszego bywania na przedstawieniach.

W tym celu proszę najuprzejmiej szanownego pana dyrektora o łaskawe udzielenie wiadomości dokładnej,

1-o co do terminu premjery,

2-o co do scen wypuszczonych”.

Dalej omawia dokładnie, co chce wiedzieć, a kończy tak:

„Ponieważ feljetony przygotowawcze w wysokim stopniu mogą się przyczynić do zapewnienia Faustowi należytego triumfu na scenie krakowskiej, przeto nie wątpię, że Szanowny Pan Dyrektor, w swoim własnym interesie, zechce zadość uczynić uprzejmej mojej prośbie.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego uszanowania i najpiękniejsze ukłony

Powolny sługa
Lucjan Rydel”.

Jeszcze dziś, przepisując ten list, — śmieję się. Bo, doprawdy, nie był to ani zły człowiek, ani niewyrobiony życiowo, a tak się dał ponieść jakiejś ślepej niechęci, że zaczęła być przysłowiowa i śmieszyc wszystkich dokoła. Starzewski Rudolf nazwał to zapamiętanie „tańcem Derwisza”. Ale zmienił się nareszcie recenzent w „Czasie”, i Rydel został na boku, bo jednak na wakujące w tym okresie miejsce recenzenta w „Przeglądzie Polskim” Jerzy Mycielski nie powołał Rydla.

Spotykaliśmy się nieraz w Bronowicach. A kiedy zaczął coś mówić jeszcze o teatrze — powiedziałam mu:

— O Kotarbińskiego, gryząc go, można sobie ząbki złamać, ale połknąć go, a nadewszystko strawić — nie łatwo. Niech pan sobie to zapamięta, panie Lucjanie!

*

Sześćciolecie Dyrekcji Teatru pod kierunkiem Józefa Kotarbińskiego skończyło się.

Wróciliśmy do Warszawy. Józef objął w Teatrze Rozmaitości kierownictwo literackie i... między innymi dostrzegł, że tantjemy, wysyłane dla Rydla za jego sztukę „Zaczarowane koło”, są mniejsze, aniżeli dla innych autorów, a z ostatnich przedstawień nawet nie wysyłano mu ich wcale.

— Jak zrobić z Luckiem, mówi mi, pisać do niego nie chcę, a jednak widzę, że go krzywdzą niemiłosiernie, więc trzeba go o tem jakoś zawiadomić, przecież to polski literat, — cóż oni sobie myślą?

I oto właśnie jeden z takich momentów, w których dusza moja bywała na kolanach przed wyższością tego człowieka.

— Doskonale się składa. Tadeusz Konczyński jedzie do Krakowa, może jemu powierzysz sprawę do omówienia.

Tak się też stało. I od „wroga” Józef odbiera taki list z dnia 7.III.1910 r. Tonie, Poczta Zielonki.

„Wielmożny Panie Dyrektorze!

Pan Konczyński, przybywszy z Warszawy, zwrócił mi uwagę, że należałoby zwrócić się do prezesa Małyszewa z prośbą o przyznanie mi tantiemy za obecne przedstawienia „Zaczarowanego Koła”. Dodał przytem, że WPan zlecił mu dać mi tę radę. Poczuję się zatem do obowiązku wyrazić WPanu najszczerszą wdzięczność moją, a zarazem pragnę zaznaczyć, że umiem ocenić rycerską szlachetność takiego postępowania. Byłbym szczęśliwy, gdybym miał kiedy sposobność odwdzięczenia się WPanu, a tymczasem, raz jeszcze dziękując, przesyłam wyrazy głębokiego poważania.

Lucjan Rydel”.

A w parę miesięcy potem, z dnia 8.XII.1910. Tonie, poczta Zielonki, otrzymuje Józef, co następuje:

„Wielmożny Panie Dyrektorze!

Naprzód, dziękuję bardzo za tak łaskawe zajęcie się sprawą dodatkowego honorarjum za „Zaczarowane Koło”, za które otrzymałem już pieniądze. Przekład mój Mussetowskiego „Świecznika”—(bo Józef już go u Rydla zamówił)—znajduje się w biblio-

tece teatralnej krakowskiej. W poniedziałek będę w Krakowie i mogę albo kazać odpisać albo może uzyskam od Solskiego, że rękopisu pożyczy WPanu do Warszawy. Liczę, że przez święta będę mógł zrobić i t. d....

Proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku. Lucjan Rydel".

Mija lat parę, Lucjan Rydel pisze swoją piękną Trylogję. Józef ją czyta i przyjmuje z entuzjazmem. A jest kierownikiem literackim repertuaru w Warszawie.

Odbiera od Rydla drugi list.

Tonie, dnia 6.VI 1912 p. Zielonki.

„Wielmożny Pania Dyrektorze!

Bylbym rad bardzo dowiedzieć się, jakie jest zdanie pańskie o mojej trylogji i, jako wytrawny znawca teatru i publiczności Warszawskiej, może WPan zgóry wyrokować o widokach, jakie sztuka mieć będzie na scenie warszawskiej. A III część — mojem zdaniem, w napięciu dramatycznym najwyższa, czy już istotnie nie przecisnęłaby się przez ucho igielne cenzury, z powodu Unji?

Ważną byłoby także dla mnie wiadomością, na kiedy mniej więcej mógłbym się spodziewać premiery warszawskiej. W październiku i z początkiem listopada ma być Trylogja wystawiona w Krakowie, obecnie układam się z dyrektorem Hellerem o termin przedstawień pierwszych we Lwowie.

Muszę być na próbach wszędzie, w Krakowie, Warszawie i Lwowie, zawczasu tedy muszę rozłożyć premjery tak, żeby mi się nie zbiegły razem.

Spitziar pod mojem okiem wykonywa teraz projekty dekoracyj, uzyskałem osobne pozwolenie robienia zdjęć fotograficznych w całym Zamku Wawelskim, nadto, w muzeach i bibliotekach krakowskich, wyszukałem cały materiał architektoniczny, a po części meblarski. Dzięki temu jego szkice dekoracyjne będą miały doniosłe znaczenie także dla wystawy w Warszawie i Lwowie.

Zawczasu także pamiętać trzeba o zamówieniu we Lwowie wielkiej fotografii Unji Matejki, zakolorowanej olejno, o ileby cz. III miała być grana, a to w celu sporządzenia kostjumów odpowiednich.

Zostaje do omówienia strona muzyczna, jest jej niewiele; kilka *piosnek* Bekwarka, kilka fanfar, w akcie I. cz. I, ale i o tem pomyśleć trzeba. Z Solskim mówiliśmy o powierzeniu strony muzycznej Raczyńskiemu. Ale czy nie właściwiej-by było, gdyby dyrekcja teatru Warszawskiego zechciała porozumieć się z Solskim i Hellerem i wspólnie z nimi zwrócić się *zawczasu* do tak znakomitego znawcy dawnej muzyki, jak Polišski. Mógłby on poprostu wyszukać i podłożyć stare autentyczne melodie, a możeby podjął się tego Henryk Opieński, który także ma wielkie wykształcenie historyczno-muzyczne. Cała rzecz w tem, aby zamówienie takie było zrobione imieniem scen warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej, po ustaleniu wspólnem ceny, i żeby muzyka była gotowa z końcem września, ze względu na Kraków.

Może Pan Dyrektor ma już i pierwszy zarys obsady ról? Jeśli tak, to proszę mi go udzielić. W każ-

dym razie pomny na kreację Wojewody w „Zaczarowanym Kole” proszę, by WPan zechciał sam objąć pokazałą jaką rolę, według swojego własnego uznania.

Zostaje jeszcze ważna kwestja jedna: egzemplarz, który złożyłem scenie warszawskiej, jest, o ile możliwości, wypoprawiany, przepisany był jednak bardzo niedbale i nie mogę ręczyć, czy nie pozostały w nim błędy. Wprawdzie I i II będą wydrukowane, gdzieś około 1 września, przesłałbym je więc do Warszawy w celu skorygowania tekstu, nie wiem jednak, czy to nie będzie zapóźno. Gdyby WPan Dyrektor był zdania, że to istotnie byłoby zapóźno, w takim razie nie pozostawałoby nic innego, jak przesłać mi z powrotem egzemplarz do skontrolowania w ciągu wakacji, t. j. na lipiec.

W końcu dla mnie rzecz pierwszorzędna: w ciągu lata bieżącego buduję dom własny w Bronowicach. Kosztorys—jak zwykle bywa—przekroczył pierwotne ramy: skutkiem tego, do wszystkich trzech teatrów apelować muszę o znaczne zaliczki, by w ten sposób do końca doprowadzić rozpoczętą budowę: przypuszczam, że, choćby nawet cz. III żadną miarą nie dała się przeprowadzić przez cenzurę teatralną, to same już dwie tamte części, I i II, przedstawiają dla sceny warszawskiej bardzo poważną wartość kasową i mam nadzieję, że teatr Warszawski bez najmniejszego ryzyka może mi udzielić zaliczki 2.000 rb.

Oczywiście, zależałoby to w pierwszym rzędzie od poparcia W Pana Dyrektora. Zwróciłem się z tem, oczywiście, w osobnym liście do Prezesa, który oka-

zał się wobec mnie nad wyraz uprzejmym, ale przede wszystkim chcę zapewnić sobie poparcie p. Dyrektora i całą tę sprawę pokierować według jego rad i wskazówek. Miałem dowód, że Pan Dyrektor umie stawiać interes literatury i literatów polskich na pierwszym planie, więc i tym razem nie wątpię, że nie odmówi swej pomocy.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego uszanowania, z którym zawsze pozostaję. L. R."

Nazajutrz pod datą 7.VI.1912 — nowy list.

„Wielmożny Panie Dyrektorze!

Już po napisaniu poprzedniego listu otrzymałem wczoraj pański, na który pośpieszam odpowiedzieć. Naprzód, wyrazić muszę wdzięczność moją, że Zygmunt August tak dobrze znalazł w oczach pańskich przyjęcie. Pan Dyrektor ma chyba prawo i z literackiego, i z teatralnego stanowiska wypowiadać zdanie decydujące, bo na wytrawnem znawstwie oparte. Ale, poza tą radością, jest i szczerą wdzięczność moja za tak wyraźne w każdym słowie zajęcie się moją Trylogją, za ten zapał, z jakim pan o niej pisze.

Coraz mniej dziś ludzi, którzy tak, jak pan Dyrektor, umieliby wobec sztuki tak bez cienia jakiegokolwiek niechęci patrzeć na pracę autora, z którym bywało się na wojennej stopie. Tylko wielka gorąca miłość sztuki i poezji, tylko bardzo niezwykle charakter zdolny jest odsunąć na bok wszystkie prywatne żale i tak nieuprzedzonym wzrokiem rzecz ocenić, a nawet w niej się rozmyślać. Jestem listem pańskim wprost wzruszony. Nie chcę, nie mogę być gorszym od pana, nie mogę pozostać w tyle i dać się

zawstydzić pańskiemu postępowaniu tak rycerskiemu; dlatego, młodszy, ośmielałam się wyciągnąć pierwszy rękę do Pana z przeproszeniem i gorącą prośbą, by WPan zechciał puścić w niepamięć wszystko, co było między nami. Wiem, że i bez tego sztuka moja byłaby traktowana wzorowo z całą sumiennością i dobrą wolą, wiem, że w niczem nie odmówiłby mi pan swego poparcia — mimo dawnych zatargów naszych. Nie o to chodzi mi teraz: pragnę jedynie, by człowiek, który mnie zmusza do najgłębszego szacunku całem swoim postępowaniem, musiał i mnie szanować w swoim sercu, nie tylko jako poetę, lecz nadewszystko jako drugiego porządnego człowieka.

W tej chwili zrzucam z duszy wszystko, co kiedykolwiek miałem przeciw panu, i zaręczam, że jeżeli z Nim walczyłem przed laty, to nie z niskich osobistych pobudek, lecz dlatego jedynie, bo takie było moje przekonanie. Przyznaję, że w ferworze walki posunąłem się nieraz za daleko, i za to najmocniej przepraszam. Znając Pana, jestem pewien, że nie skorzysta pan ze sposobności, aby mnie upokorzyć, odtrącając rękę, wyciągniętą do zgody. Umiał pan urazeć, dla spraw publicznych, w imię sztuki, zawieść na kołku, ja proszę najusilniej, by, z kołka zdjęta, zatonęła w niepamięci. W tej myśli kończę zapewnieniem, że będę uważał sobie za zaszczyt, jeśli WPan Dyrektor zechce przyjąć nie tylko wyrazy głębokiej czci, lecz także gorące i serdeczne uściśnienie dłoni. Lucjan Rydel".

Z Warszawy 10.VI.1912 r. wysłał mój Mąż list, którego kopję mi zostawił. Brzmi on, jak następuje:

Warszawa 10.VI.1912.

„Szanowny Panie!

O pańskiej Trylogji wygłosiłem spokojnie i przedmiotowo to, co mi dyktowało moje przekonanie. Sumienie literackie kazało mi tak powitać dzieło, które jest rdzennie polskie, mające niepospolitą wartość, a jednocześnie jasne, wolne od chorobliwych momentów szczytnej, ale pesymistycznej poezji Wyspiańskiego, który tchem swoim wionął na całe pokolenie.

O sprawach krakowskich wspominam, jak o śnie przykrym, a z mojego sześćioletniego borykania się z niechęcią, często niczem nieusprawiedliwioną, wyniosłem to dumne przekonanie, że więcej teatrowi polskiemu dałem, niż odeń wziąłem. Zresztą czas był moim sprzymierzeńcem — a głosy najpoważniejsze dały mi satysfakcję. Jest to wogóle klęska naszych robót kulturalnych, że poczynania na szerszą skalę wywołują często bezprzyczynowe animozje...

Co do Szanownego Pana, według mnie, spełniłem tylko akt zwykłej literackiej *sumiennosci* — a tak wielka fala życia przeszła między nami, że dawne niechęci szumiały w niej słabem tylko echem.

Chętnie ofiarowaną dłoń przyjmuję, dawne rachunki przekreślam, w imię tego, co nam wszystkim drogie być powinno — w imię dobra duchowego naszej kultury.

A teraz jedna rada praktyczna i t. d."...

Kraków, Dunajewskiego, 3.17.X.1912.

„Łaskawy i Czcigodny Panie Dyrektorze!

Od dwu tygodni jestem w ukropie, bo zbiegła mi się część I Trylogji z przewodządką do Bronowic. Nie mogłem ani odpisać, ani podziękować za artykuł w „Kurjerze Warszawskim”. Bóg niech Panu zapłaci. Tylko czy nie zawiele pochwał: aż do wyżyn Wallensteina!!

Dla Pana Dyrektora materiał przedewszystkiem: *Jagiellonki polskie* Przeździeckiego. Zwłaszcza tom I, a dalej Pawińskiego książka o Zygmuncie I, (*Zygmunt I i jego dwór*). To główny materiał psychologiczno-anegdotyczny i ludzki do postaci Króla. O źródłach pomniejszych, w których wybierałem dotyczące Zygmunta I, o materiałach rękopiśmiennych, nie piszę, bo to grzebanina drobiazgowa i niewdzięczna. Jeśli sobie co jeszcze przypomnę, to napiszę. Notaty moje do Trylogji, z powodu przewodzącki, są w pakach, gdybym te papiery miał pod ręką, mógłbym zacytować z różnych książek ustępy i strofice do charakteru Zygmunta I. Kończę, bo muszę jechać do domu, odpowiedź jednak proszę do Krakowa adresować, bo teraz codzień tu przyjeżdżam. (Można Dunajewskiego, 3, lub Teatr Miejski).

Najpiękniejsze pozdrowienia i uściśnienia dłoni. Lucjan Rydel”.

Potem już listy bez tytułów: „WPanie”, „Czcigodny”, lub „Dyrektorze” — ale wprost „Drogi Panie”. Przyjazd do Warszawy na próby. Obiady u nas po próbie codzień i codzień bez końca omawianie szczegółów, dotyczących „Królewskiego Jedynaka”. Słowem:



Zygmunt Krasiński

„A kto sam siebie przeżył – temu gorzel”

d. 20. kwietnia 1917

*Król Zygmunt I w dramacie Lucjana Rydla
„Królewski Jedynak”*

„Chryste błogosław! Unja dokonana!”

Bóg poszczęścił, bo z premjery, na której rezultat gorączkowo oczekiwałam w domu, dostaję telefon od p. Jana Lorentowicza, że sukces niebywały, że Józefa rola nadzwyczajna.

W chwilę potem od Władysława Rabskiego, który mówi: „Wskrzesił nam Majestat Króla na scenie. Poszliśmy do garderoby z Lorentowiczem, żeby Józefowi podziękować, przyjął nas, jak krytyków należało. Zmieniał koszulę i był obrócony tyłem właśnie w chwili, kiedy otworzyliśmy drzwi do garderoby”....

Rydel miał pisać dla Józefa „Sobieskiego w Wilanowie”. Nawet już mówił, jak to obmyślił — potem kiedyś pisał, że ma plan cały naszkicowany.

Nie zdążył — szkoda.

Pokój jego dobrej duszy.

NASZE KŁOPOTY MATERJALNE. STEFAN HR. ZBOROWSKI.

Nie było niemal roku, żeby nie było w nim zamachów ze strony Magistratu na naszą subwencję, ba! nawet na naszą kaucję.

Ile ona wynosiła, nie pamiętam. Zresztą, to mało zajmujące, o wiele więcej zajmujące jest to, że w 1903 roku, a więc już po złożeniu świadectw ze swej działalności, wypłacalności, w dniu 9 marca pisał mój mąż do J. W. P. Prezydenta: „Upraszam o łaskawe wydanie polecenia wypłacenia mi zakwestjonowanej raty 8.000 koron, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym prowadzić Teatru Krakowskiego i byłbym zmuszony oddać go natychmiast w zarząd Gminy Miasta”.

A dnia 30 kwietnia 1904 r., a więc jeszcze później, Prezydent pisał do Dyrektora Kotarbińskiego:

„Od dnia 9 kwietnia b. r. do dnia dzisiejszego przestałeś pan płacić Gminie umówionej należności 120 koron dziennie, co wynosi dotąd sumę 1920 koron.

Wzywam pana do wyrównania tej kwoty zaległej w przeciągu dni 7.

Po bezskutecznym upływie tego terminu, cała kaucja zostanie przelana do funduszu miejskiego, na

częściowe zaspokojenie dotychczasowych wierzytelności, poczem Dyrekcja Teatru wezwana zostanie do złożenia nowej kaucji, pod rygorem, w obowiązującym kontrakcie uwidocznionym. Podpisane: Friedlein".

Strachy na lachy! Moc bieganiny. „Chłopiec do posług” puszczony w ruch. Od Prezydenta, najzaczniejszego, najszanowniejszego Ojca Miasta, który wiele miał dla nas życzliwości, ale pod naciskiem robić takie rzeczy musiał, biegnie się do jednego wiceprezydenta, potem do drugiego. Potem do referenta, potem od pana Radcy do pana Radcy, i sprawa się łąta. Bo wszystko dobrzy ludzie, nikt nie chce dokuczyć, każdy pełni, co musi.

Ale, ile to czasu się traci, ile energji zużywa się zbędnie.

Były miesiące, w których formalnie urzędowałam w Magistracie, proponowałam też Prezydentowi, czyby mi nie wyznaczył jakiegoś honorarjum, tem więcej, że do poczekalni wносиłam, po swojemu, humor, jakiego Magistrat nigdy nie widział. Ilu petentów, tyle nowych znajomości. Raut od rana.

Że tam w tej poczekalni było wiele przyjemniej, aniżeli potem za panowania prezydenta Leo w jego kancelarji — to fakt.

Może on tam, niech z Bogiem spoczywa, dla miasta zrobił niejedno, ale dla nas był katem. Zimny, nieubłagany, sztywny.

Już nie pamiętam, z jakiego powodu, ale mówi mi kiedyś np. z wymówką:

— Czemu pani nie bywa u nikogo w mieście?

— Bo ja pracuję dla miasta, panie prezydencie, na „kawuńcie” w mieście nie mam czasu.

W rozmowie, ja ciągle odwołuję się do jego serca, on do mojej kieszeni.

Walka nieustanna, słuszna, ale bezwzględna.

Jedni to ciągle bojowanie chwalili, inni ciągle ganiili. Ale ktoby tam dał radę tym zapasom humoru i radości życia, jakie mieliśmy oboje. Na chwilę troska, a po chwili — słońce i pogoda.

Przyczyna zaś nieubłaganych werdyktów pana Lea w tem miała źródło, że na gwałt chciał zająć miejsce na stolcu prezydenta, na którym jeszcze siedział Friedlein i, aby wykazać raz jeszcze swą sprężystość w działaniu dla dobra miasta, wybrał sobie najefektowniejszy obiekt do popisów: *Teatr*.

Były to właśnie lata świetnego repertuaru. Grane były „Lilla Weneda” Słowackiego. „W noc lipcową” Górczyńskiego, „Uczta Herodjady” Kasprowicza, „Djabieł łańcucki” Nowaczyńskiego, „W małym domku” Rittnera, „Kupiec Wenecki” Szekspira, a jeśli tłumaczenia — to Konopnickiej i Kasprowicza, poza nami już były „Wesele”, „Kordjan”, „Dziady” i „Nieboska”, słowem wysoki artystyczny poziom sceny.

A mimo to, najbezwzględniej sypały się, jak z rogu obfitości, przeróżne: pozwy, bilety egzekucyjne, pogróżki, straszaki — i to wszystko jedynie z Magistratu. I nawet nie to bolało, że się dopominano. Bo pewno tego wymagał jakiś porządek rzeczy. Ale to, że w r. 1904, a więc już po latach doświadczeń, że jednak zawsze wszystka należność była wypłaco-

na, bo inaczej pogrożka byłaby dawno utrzymała swą moc, używano zawsze sposobów, które tylekrotnie świadczyły o szkodzie tego systemu dla Teatru.

A przecież to byli ojcowie miasta, a więc i nasi.

Z ich jednak woli powstało zatwierdzenie uchwał: „wymówienia“, amorty kaucji“, „subwencji“, „zrywania“. Rada o nich wiedziała.

A o tej Radzie szanowny p. Rothwein, radny, mówił mi, kiedyś była w jego domu, ciesząc się życzliwością żony jego, którą zachowałam także do dziś:

— Niech pani będzie spokojna. Rada jest osobą moralną, tylko moralne względy kierować nią muszą. Krzywdą się nigdy państwu nie stanie.

A tymczasem, Boże miły! Za jakąż to sumę nabył Magistrat całe *nasze mienie*, nasze kostjумы, meble, rekwizyty, cały jedyny nasz dobytek! Jak bezwzględnie wliczył to wszystko w należności za światło, dzierżawę, czy ja już wiem — za co, wypuszczając nas, za tę sumienną pracę dla „sztuki i poezji“ — *bez grosza i z długami*.

Były przecież całe szeregi dostawców dla Teatru, mieli z nami rachunki, nikt nie pozywał. Czekali i wierzyli. Nie zawiedliśmy ich. Grosz nikomu nie przepadł.

Piszczeliliśmy więc pod naciskiem Magistratu, jak myszy w pułapce. Energji jednak i werwy nic nie mogło nam odebrać. Drodzy nasi przyjaciele: artyści, uczeni, literaci, mówili mi: „Jaka pani dzielna!“, widząc, że to wszystko załatwia się, że mimo to robie życie, „bo trza, żeby zrobione było“.

A ja im na to:—Zlitujcie się, proście Waszych żon, niech do mnie przyjdą, muszę się przed nimi po babSKU wybeczeć, bo mi już zaczyna ta „dzielność“ ciężać.

W takich chwilach właśnie szłam tą prawą furteczką — do cudnego Chrystusa w Ołtarzu Marjackiego... dróżka była pewna. Modlitwa zawsze wysłuchana...

*

Nic tak do ziemi brzydko nie przytłacza człowieka, jak kłopoty materialne. Dyrektora w sprawach tych—oszczędzało się. Dość czasu, jak to, co „uchwalono“, przeczyta w ogłaszanych komunikatach z „Rady miejskiej“. A może nie przeczyta, — tem lepiej!

On robił swoje. Dawał repertuar, który zapełniał teatr i kasę, a więc był istotnym dostarczycielem tej mamony, która pozwalała na regularne płacenie pensji artystom i wszelkiemu personelowi, oraz na nieregularne, mimo to wpłacanie należności—znów wszelakich, z potrzebami teatru związanych. Dyrektor do tego miał uczciwą Administrację, aby manipulowała groszem rozsądnie. Nie byłby pomógł nic, a miałby w ten „brzydki“ sposób zmaconą myśl do pracy, na której stał Teatr.

Przecież ten Dyrektor jedynie był tym zakładowym kapitałem, od którego odsetki nie zawodziły. On kierował, on inicjował, on prowadził. Należało bardzo go oszczędzać, żeby właśnie tych zasobów nie roztrwaniać i nie rozrywać jego myśli marnemi a dotkliwemi sprawami pieniężnemi.

Stał mocno i pięknie.

Administracja niech się martwi i radzi. A dobrzy ludzie niech pomagają.

Pamiętam raz zabawny epizod, doskonale charakteryzujący mego męża w stosunku do Kasy i całego balastu finansowego.

Przychodzi nakaz płatniczy, oczywiście, z Magistratu, jakiejś sumy, tym razem „w ciągu doby!” Inaczej, wszystko to samo, co zawsze! Groźby mąk piekielnych.

Ale odbiera się ten nakaz w sobotę, a tak już są wyczerpane wszelkie środki zapobiegawcze, że na radzie administracyjnej zapada wyrok. Trudno, Dyrektor sam musi jechać do Tęczynka, gdzie na letniem mieszkaniu jest p. Pareńska. Ona jedna może skuteczną interwencją wyjednać prolongatę terminu w sferach, do których my w tej chwili żadnego dostępu już nie mamy.

Dyrektor, przejęty ważnością misji i opatrzony różnemi informacjami — jedzie.

Jest piękny dzień. Podróż niedaleka, odbywana wielokrotnie bez interesu, dla przyjemności, bo p. Pareńska miała także „furję towarzyskości”, o którą mnie posadził, słusznie zresztą, mój drogi mąż, i przyjmowała gości bez liku, nawet będąc na wypoczynku. Czekamy, jak w gorączce, jego powrotu. Niecierpliwość, moją zwłaszcza, wzmacnia incydent, o którym niżej.

Wraca. Jest.

Pogodny, uśmiechnięty, wchodzi do kancelarii

z miną, która daje pewność pomyślnie załatwionej sprawy.

— Nie zastałem, — mówi z humorkiem. — Ale wiecie, widziałem coś, czego nigdy w życiu już nie zobaczę! Czekając na pociąg, łąziłem sobie po polach i widziałem — jak się zające kochały.

Gołębia dusza, oderwana od spraw tego świata.

Stało się jednak jeszcze coś gorszego a nieoczekiwanego.

Między innymi, niósł nam zawsze pomoc w kłopotliwych chwilach bezpieniężnych Bank Hipoteczny.

Na podkład subwencji mogliśmy dostać pożyczkę w jej wysokości, zwłaszcza, że dyrektor i prokurent Banku byli naszymi znajomymi. A decyzja Wydziału Krajowego opiewała, że „subwencja jest jedynie przeznaczona na cele artystyczne”, i że nie można nią pokrywać żadnych innych należności, a więc pożyczka—zabezpieczona. Spokój z jednej i z drugiej strony na ten temat był zupełny i pozwalał na częste powtarzanie kombinacji, bardzo dla nas wygodnej i taniej, bo bez lichwiarskiego procentu.

Wtem, przychodzi czarna godzina.

Subwencja z Wydziału Krajowego jest. Ale mimo najszczerzej chęci prezydenta Friedleina i dyrektora Kasy Oszczędności, bardzo nam życzliwego człowieka, V.-prezydenta p. Staniszewskiego, na kateryczne życzenie p. Leo, drugiego V.-prezydenta, który „spełnia wolę Rady”, subwencja ta zostaje na-

tychmiast przelana do Kasy Miejskiej „za długi Te-
atru”.

Klamka zapadła.

Co raz tam weszło — żegna się z nadzieją.

Odwrotu na świat niema.

Pamiętam, że to była sobota, więc dzień premjery, i że jednocześnie z tą wiadomością odbieram inną z Banku Hipotecznego, — dlatego ja, że z roli „chłopca do posług”, byłam przez administrację upoważniona do przeprowadzenia tych interesów, na które, zresztą, ona czasu nie miała, bo każdy, urzędujący u nas w administracji miał zajęcie biurowe rano, poświęcając nam popołudniowe godziny. A tylko znów w przedpołudniowych godzinach można było załatwić sprawy bankowe. Otóż Bank mi donosi: że we Lwowie nastąpiła zmiana dyrektora w centrali, że na rewizję kasy ma przybyć nowy dygnitarz w poniedziałek, i że zobowiązanie 8.000 koron musi być do południa wpłacone nieodwołalnie, jako fundusz, gwarantowany przez dyrektora i prokurenta osobiście, i że, gdyby wniesiony nie był w terminie, obadwaj dostaną dymisję natychmiastową.

Jeden ma żonę i troje dzieci.

Drugi żonę i syna.

Mrowie mnie przeszło od stóp do głów.

Co będzie?

Wszyscy nasi przyjaciele byli to ludzie nie ubodzy, ale i nie bogaci. Zresztą, któż to może dać zaraz, dziś, naprędce dość znaczną gotówkę, i któż to może ją brać, bez nadziei pokrycia, bo subwencja zajęta?..

Szabas. Żydy się modlą. A ci, do których, mimo ich święta, docieram — nie obiecują nic, bo kredyt mamy zachwiany.

— W Radzie ciągle się mówi, że interes źle idzie, że Teatr nie płaci, to nikt nie chce dać.

Ta niesłychana szczerłość i otwartość Magistratu w ujawnianiu kłopotów kasowych Teatru działały ze wszechmiar fatalnie i zawsze na zło.

Nie pamiętam, jaką wówczas Teatr dawał premjerę.

Pamiętam tylko, że mąż mój niby coś czytał w kancelarji, ale, jak mi mówił, nie wiedział, co czyta, bo tym razem ukryć przed nim nie można było tych wieści, — że ja jakichś mebli na scenie ustawienie niby poprawiałam, nie wiedząc właściwie, co robię, — że artyści, którzy już wiedzieli o naszej ciężkiej trosce, bo w Krakowie wszyscy o wszystkim zaraz się dowiadują, z całą delikatnością się zachowywali, nie mówiąc do mnie nic. Pomnę, że potem przyszła długa bezsenna noc, — że nazajutrz prosiłam właściciela domu licytacyjnego, aby przyszedł, chcąc całe nasze mieszkanie dać pod zastaw, — że, mimo niedzieli, pan Angelus na mą prośbę przyszedł, — że, znalazłszy kilka dywanów, obrazków, dużo książek, kilkanaście wieńców z szarfami i moc kwiatów, nie ofiarowywał za to nic.

Potem, pamiętam, jak dobra nasza życzliwa kobieta, p. Celina Dargunowa, przyniosła mi perły, proponując ich zastawienie. P. Stanisław Karpiński przyniósł, ze swego kawalerskiego gospodarstwa, srebrną cukiernicę, — w tym samym celu p. Wanda

Czapelska pudełko z jakimś klejnotem. Nawet mój drogi mąż wyjął z krawata szpilkę z brylantem. Ale cóż! To był prezent ode mnie, ileż mógł być wart materialnie?.. Poczciwi ludzie przyszli, poszli. Zostaliśmy sami z zupełnie poważnym zamiarem odebrania sobie życia.

Nie mogliśmy myśleć o przeżyciu chwili, w której dwu ludzi z rodzinami pozbawimy chleba.

Józef siedzi przy biurku w swoim pokoju. Ja siedzę w kącie mego pokoju. Dygoce, jak ptak w potrzasku.

Jest godzina 5-ta po południu.

Wtem, cichy dzwonek.

— Pan hr. Zborowski, — mówi pocziwa p. Andziulka, dygając przed wymówionym tytułem z nabożeństwem, bo jest na to wrażliwa.

— Niech panna Anna prosi!

— Co pani jest? Pani chora, pani ma gorączkę...

— Nie jestem chora, — nie mam gorączki. Jest mi to, że, jeśli jutro do 12-ej w południe nie wniesiemy 8.000 koron do Banku Hipotecznego — to dwu ludzi pozbawiamy chleba.

— Proszę pani, mam przy sobie dwa tysiące, którym wam oto służę. Jeśli mój podpis na wekslu będzie was ratował, to czekam na panią jutro od 9-ej rano.

Pieniądze bierzemy, Józef chce pisać rewers.

— Zbyteczny. Uczciwi ludzie oddają bez rewersu, o ile mogą. O ile nie mogą, rewers nic nie znaczy.

Znów noc przesiedziana. O 9-ej oboje jedziemy do Magistratu. Sami nie wiemy, poco, po co, razem.

Ale jedziemy, bo się boimy rozłączać, choćby na chwilę.

— Mamy dwa tysiące, — melduję prezydentowi.

— Mało, mówi dyr. Staniszewski. Ale, coś u Boga, może państwo macie jaki podpis na weksel?

— Mamy.

— Czyj?

— Hrabiego Zborowskiego.

— Doskonale! Czemuż pani odrazu nie mówi? Ma go pani?

— Nie mam, ale mogę mieć zaraz.

Nie biorę dorożki, za wolno jedzie. Kupuję weksel, dopadam p. Zborowskiego. Czeką na mnie, choć zazwyczaj o tej porze śpi, bo to niema jeszcze 10-ej. Weksel podpisuje. Biorę go. Wracam do Magistratu. Weksel idzie do kasy ogniotrwałej prezydenta, od którego dostaję upoważnienie na odbiór całej sumy. Jak wilk na niewinne jagnię, rzucam się na pieniądze, które jednak *wychodzą z powrotem z Kasy miejskiej* na świat, fakt, podobno nie notowany w najstarszych kronikach jej istnienia. O 11-ej jestem na A—B — i w Banku Hipotecznym składam pieniądze. Odetchnęłam.

*

W domu czeka mój mąż. Jesteśmy oboje, jak kijami zbici.

*

W dwa tygodnie potem weksel został wycofany i odwieziony przez nas oboje panu Stefanowi hr.

Zborowskiemu. Ale też wtedy zapadło już w nas postanowienie: wytrwać do końca sezonu i nie sta-
rać się więcej o dzierżawę Teatru na drugie sześć-
ciolecie.

*

P. Stefan hr. Zborowski był to jeden z przeżytków starych naszych rodów.

— Nie umiem nic, prócz — gry w karty. Gram zawsze nieszczęśliwie, ale za to do rana. Śpię potem do 2-ej po południu. Idę do klubu i znów gram. Kiedyś, jak przegram ostatniego guldena, palnę sobie w łeb.

A przytem wykształcony po pańsku: encyklopedycznie i dyletancko. W rozmowie miły. Lubił muzykę, miał obrazy Matejki, rysunki Orłowskiego, sztychy angielskie. Stare meble. Parę ładnych matkat. Trochę bronzów i kryształów czyniło ślicznem to kawalerskie mieszkanko z oknami, wychodzącemi na zieleń plantów. Zaprosił nas kiedyś, razem z Se-
werami Maciejowskimi, na herbatę. Wieczór był przemiły.

Miał pogardę dla różnych spraw ziemskich, które inni wielbili, trochę niewinnego sceptyzmu i nadzwyczajny szacunek dla naszej pracy, którą potrafił podziwiać, bez najmniejszej chęci naśladownictwa.

Bywał u nas raz na dwa lata. W Teatrze bywał w łoży klubowej, czasem w naszej.

— Niech pani weźmie ode mnie trochę pieniędzy, bo jak wszystko przegram, to jedynie pewny grosz będzie ten, który mi pani ochroni!

Pieniędzy nie brałam, ciesząc się wzbudzoną ufnością i bolejąc zawsze nad tem istnieniem, które nie mieściło się w kręgu moich pojęć o życiu.

Wyjechaliśmy z Krakowa. Nie zapomniałam jednak nigdy o nikim, od kogo doznawaliśmy dowodów życzliwości, dając tem wyraz w listach, pisanych z życzeniami noworocznymi. Litanja była długa, był w niej i hr. Stefan. Przyszła wojna, korespondencja się przerwała. Dochodzi mnie jednak uszna wieść:

— Stefan hr. Zborowski palnął sobie w łeb — w Wiedniu.

— Wieczne odpocznienie racz mu dać, Panie!

Aż tu, w którymś następnym roku, idę ulicą Marszałkowską i — żegnam się nieznacznie, mówiąc ci-chutko: Wszelki duch Pana Boga chwali!..

Stefan hr. Zborowski staje przede mną.

Z rany wylizał się, ale ogłuchł silnie.

Więc mówi głośno, prawie krzyczy:

— Ładna mi wolność, ładna Ojczyzna! Tułam się, nie mam gdzie mieszkać. Siedzę kątem u przyjaciela hr. P. w Alejach Ujazdowskich. Paki moje w bramie... Fagas mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem co dnia. Usługuje, jak z łaski. Śliczne życie zrobiliście tutaj — w tej wolnej Polsce, niema co! Winszować, winszować!

W parę tygodni, wśród których nas odwiedził, spotykam go w tramwaju.

— Jak się pani ma — mówi tak głośno, że się wszyscy w tę stronę z miejsca oglądają.

— Dobrze, dziękuję.

— Mąż zdrów?

— Zdrów.

— Szkoda — wali, jak z pistoletu.

— Dlaczego? — pytam ze zdumieniem.

— Bo gdyby pani była wolna i wyszła za mnie, to pani jedna jeszczeby mnie uratowała!

Cały tramwaj miał doskonałą zabawę, śmieliśmy się wszyscy razem.

Nazajutrz — nie żył.

Wagon, w którym położyłam parę kwiatów, odwiózł trumnę w stronę Krakowa do grobów rodzinnych.

Tak się skończyło to biedne życie bogatego człowieka, którego nikt nie nauczył czerpać z niego tyle, żeby spłacić dług człowieczeństwa na ziemi.

A taki był dobry.

„NIEBOSKA KOMEDJA”.

29 Listopada 1909 r.

Józef Kotarbiński zawsze był zdania, że omawianie zbiorowe z ludźmi wysokiej kultury lub dużych doświadczeń w danej sprawie przynosi jej niezawodny pożytek. Marząc o „Irydjonie” w przyszłości a pracując już nad scenariuszem „Nieboskiej Komedji” Zygmunta Krasińskiego, przed jej wystawieniem zaprosiliśmy takie właśnie grono osób, o którym byliśmy przekonani, że doceniają ważność wymiany zdań na ten temat. To było na rok blisko przed datą przedstawienia.

Henryk Sienkiewicz, pp. Róża hr. Raczyńska, Edward hr. Raczyński, prof. Józef Rostafiński, Piotr Stachiewicz, Jan Stanisławski, Antoni Beaupré, Adolf Walewski przyszli. St. hr. Tarnowski przysyła list:

„Łaskawa Pani! O „Irydjonie”, skoro ma być wystawionym (co wydaje się przedsięwzięciem zasadniczo błędnem), nie tylko jestem gotów, ale nawet pragnąłbym się rozmówić z Państwem. Ale jutrzejszy wieczór mam tak zajęty, że nie wiem, czy zdążyłbym przyjść. Zatem, jak Pani woli, czy odłożyć, czy pozwolić mi się spóźnić.

Z wysokiem poważaniem, Pani sługa" i t. d.

Jerzy hr. Mycielski pisze:

„Kochana Pani, strasznie mi trudno, bo mam inne zajęcia, ale, o ile Pani pozwoli, to z opóźnieniem przyjdę jednak”.

P. K. M. Górski dziękuje za „chlubne zaproszenie”, ale „jeśli się nie stawię, niech mnie tłómaczy stan zdrowia mego”.

P. St. Tomkowicz ma u siebie naradę, której odwołać nie może.

P. prof. Kaz. Morawski pisze:

„Droga i Łaskawa Pani! Dziękuję najserdeczniej za pamięć i tak uprzejme zaproszenie, z którego nie omieszkam skorzystać, o ile stan zdrowia mojej siostry pozwoli”. Włodzimierz Tetmajer wyjechał przed paru dniami do Wiednia. P. Starzewski — chory. Z tej narady właśnie i z zapału prof. J. Stanisławskiego do dzieła wielkiego poety wyłoniła się prośba, aby objął artystyczny kierunek przedstawienia, na co przystał. A ledwo rozeszła się wieść o stanowczej decyzji Dyrektora wystawienia „Nieboskiej”, już z Warszawy przychodzi list od Władysława Bogusławskiego, w którym pisze: „Specjalnie ucieszył mnie projekt Pański wystawienia „Irydjona” i „Nieboskiej”. Zawsze o tem marzyłem, żeby to zobaczyć na scenie, stosownie do niej dopasowane. To też skoro się tylko dowiem, że macie to grać, umyślnie wybiorę się do Krakowa. Tymczasem, szczęście Wam Boże, niech przynajmniej jeden Polski Teatr zbliży się do typu europejskiego”.

*

Termin się zbliża, a z nim zbieranie brakujących informacji. Znowu mnóstwo ludzi służy swą pomocą. Prof. J. Kallenbach, bawiący wówczas w Warszawie pisze:

„Wielce Sz. P. Dyrektorze! Przepraszam, że dziś dopiero odpowiadam, ale od tygodnia nie mam chwili spokoju. Załączam wiadomość o kostjumie St. Simonistów, rysunku nie widzę o tem nigdzie. Ja, niestety, nie będę mógł przybyć, bo mnie tu wpakowano do tylu Komitetów, że ledwo dyszę. Wystawa teatralna mnie i Gawalewiczowi nie pozwoli wyjechać. Życzę całemu sercem powodzenia“.

Dalej — informacja:

„Enfantin, „Ojciec“ duchowy i organizator St.-Simonistów wymyślił dla nich osobny kostjum:

- 1) jasno niebieski surdut,
- 2) biała kamizelka, na której czerwonymi literami wypisane było nazwisko właściciela ubrania,
- 3) białe spodnie.

Kamizelka zapinana była z tyłu i nie można jej było zapiąć bez obcej pomocy.

Miało to St.-Simonistom przypominać codzień ich braterstwo“.

*

Próby się rozpoczynają.

Jednocześnie rozsyłają się zaproszenia:

„Szanowny Panie!

W dniu 29 listopada b. r. (1902), Teatr Miejski w Krakowie wystawia poraz pierwszy poemat dra-

matyczny Zygmunta Krasińskiego, „Nieboska Komedja“.

Będzie to dla sceny polskiej chwila ważna i uroczysta. Dlatego proszę najuprzejmiej, aby Sz. Pan zechciał zaszczyścić to przedstawienie swoją obecnością. u

Odpowiedzi oczekuję w najkrótszym szasie, gdyż stosownie do liczby przybyłych gości zachowam dla nich miejsce w Teatrze.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Józef Kotarbiński“.

Listów takich rozestanych zostało setki po całej Polsce. C

„Kurjer Warszawski“ z dnia 15 listopada 1902 r. zamieścił następującą notatkę w dziale „Z teatru i muzyki“. Teatr krakowski, pod świetnym kierunkiem Józefa Kotarbińskiego, ciągle daje dowody wewnętrznego życia; przygotowuje się obecnie do wystawienia wspaniałego dzieła Z. Krasińskiego, p. t. „Nieboska Komedja“. Dyrektor, przed pierwszą próbą, miał konferencję o tym utworze dla artystów wykonawców. Kierunek nad wystawą „Nieboskiej“ objął prof. Akademii Sztuk Pięknych, Jan Stanisławski. Wzory kostjumów, ubiorów dla wojska Simonistów, Wandejczyków, rysuje specjalnie dla Teatru Wojciech Kossak. Zapowiedź reprezentacji „Nieboskiej“ w teatrze krakowskim wzbudziła powszechną sensację i wielkie zainteresowanie. Młodzież uniwersytecka ofiarowała się z gotowością statystowania. To uwielbienie arcydzieł poezji daje publiczności krakowskiej świadectwo jej wysokiej kultury arty-

stycznej i literackiej, która nadto znajduje swój przybytek na scenie tamtejszej"...

Józef inscenizował „Nieboską”. Reżyserję prowadzili połączonemi siłami, bo nikt sam nie byłby sobie dał rady z olbrzymią ilością statystów, sceny zbiorowe przysparzały niemało trudu.

Odpowiedzi na zaproszenie posypały się licznie. Ale, oczywiście, list *Władysława Bogusławskiego* z Warszawy wyprzedza nawet zaproszenie, które, naturalnie, jemu pierwszemu było posłane. Już na skutek wyczytanej wiadomości w *Kurjerze* pisze:

„Ponieważ uśmiecha mi się myśl przyjechania na premierę, muszę dokładnie wiedzieć, czy i kiedy napewno się odbędzie. Najuprzejmiej więc proszę kochanego pana o odpowiedź odwrotną pocztą. Potrzebowałbym bowiem zakrzętnąć się koło zdobycia przepustki. A gdybym tak na dzień albo dwa przed premierą przyjechał, czy mógłbym co ciekawego zobaczyć, np. „Wesele”, którego na scenie nie znam”.

Stanisław Witkiewicz z Zakopanego: „Serdecznie dziękuję za łaskawą pamięć. Niestety, nie mogąc skorzystać z Waszej uprzejmości i przybyć na przedstawienie „Nieboskiej Komedji”, przesyłam życzenia, żeby przedstawienie „Nieboskiej Komedji” wypadło jaknajlepiej i żeby było godne *Krasińskiego*. Ach! Żeby było bez skrótów, bez przeróbek!”.

Stanisław hr. Tarnowski prosi o łóżę parterową na pierwsze przedstawienie „Nieboskiej Komedji”.

Wacławowa Sieroszevska pisze: „Sz. Panie, mąż mój przed miesiącem wyjechał w ważnym interesie do Petersburga, nie będzie więc mógł przybyć na uro-

czystość tak miłą dla nas wszystkich, pozbawionych w Warszawie prawie zupełnie podobnych uczt artystycznych. Pozwolę sobie w imieniu męża mego podziękować serdecznie Sz. Panu za Jego uprzejmą pamięć i od siebie załączyć wyrazy prawdziwego uznania i szacunku, Wacławowa Sieroszevska. 23.XI.902. Warszawa".

Jerzy Żóławski prosi o zarezerwowanie dwu biletów dla siebie i żony na premierę „Nieboskiej”.

Marjan Gawalewicz robi nadzieję przyjazdu.

Dyjonizy Henkiel: „Kochany Panie! Dziękuję uprzejmie za pamięć, ale zdrowie nie pozwala mi na podróże zimą. Redakcja „Biblioteki Warszawskiej” będzie reprezentowana poważnie na Waszem pięknym przedstawieniu, bo zapewne i naczelny redaktor Krasieński i drugi redaktor, Bogusławski, zechcą być świadkami tak sympatycznej a niezwyklej uroczystości. Ściskam serdecznie dłoń Kochanego Pana i proszę złożyć Pani moje pozdrowienia i hołdy”.

Juljan Adolf Święcicki z Warszawy życzy powodzenia w podniosłym przedsięwzięciu.

Artur Górski z Zakopanego, nadsyła list: „Wielce Sz. P. Dyrektorze! Dziękuję Panu serdecznie za nadesłane mi zaproszenie, przykro mi, że korzystać z niego nie mogę. Zobaczę „Nieboską” później, bo chyba nie zejdzie tak prędko z repertuaru. Ciekaw jestem układu i gry. Raz jeszcze dziękuję za pamięć, łączę wyrazy wysokiego szacunku dla Obojga Wielm. Państwa”.

Antoni Małeckie ze Lwowa nadsyła pismo: „Szanowny Panie Dyrektorze! Najserdeczniej dziękuje

za łaskawą pamięć o mnie i zaproszenie na „Nieboską Komedję”. Z miłą chęcią chciałbym korzystać z tej uprzejmości Łask. Pana, ale panujące mrozy odstraszają mnie od tego eksperymentu, jakim dla starego człowieka jest przejażdżka nierównomiernie ogrzewanym wagonem ze Lwowa do Krakowa. Bardzo miłym był mi ten ponowny dowód życzliwości pana dla mnie, na który się z wzajemnym afektem piszę Twoim, Kochany Dyrektorze, stałym przyjacielem i sługą”.

P. Wanda Żeleńska pisze: „Na Nieboską” cieszę się ogromnie. Nie mam jasnego wyobrażenia, jak to będzie, póki nie usłyszę. W każdym razie to będzie wyłom, jaki robi Mąż Pani w nieznanym sferach literatury dramatycznej. O bilety dla nas i kuzynów naszych, hr. Skarbków, którzy specjalnie dla „Nieboskiej” są w Krakowie, prosimy”.

Kazimierz Kaszewski nadsyła list: „Sz. Panie! Serdecznie wdzięczny za zaproszenie na przedstawienie „Nieboskiej”, ale mi czas mój w tej porze, ani co prawda zdrowie, nie pozwolą zeń korzystać! Niemniej życzę powodzenia nie tylko sztuce tej w szczególności, ale całemu kierunkowi szlachetnemu, jaki Pan naszej Dramaturgji nadałeś, a co, przypomnij Pan sobie, było naszym wspólnym jeszcze w Warszawie postulatem. Oby Wasz Teatr zawsze się utrzymał na tych wyżynach, na jakie Pan go z takim poświęceniem wprowadzasz. Prosił”.

Władysław Bełza pisze: „Kochany Józefie! najserdeczniej dziękuję Ci za pamięć i zaproszenie na uroczystość wprowadzenia na scenę „Nieboskiej Ko-

medji" Krasieńskiego. Niestety, zdrowie moje, bardzo w tych czasach kruche, nie pozwala mi wydobyć się ze Lwowa, zwłaszcza w porze tak zimnej, jak obecna. Miej więc za wytłumaczonego i przyjm uścisk serdeczny od oddanego Ci przyjaciela i służy".

Ks. A. Lubomirski z Przeworska nadsyła list: „J. Wielm. Panie Dyrektorze, dziękując uprzejmie za łaskawe zaproszenie na przedstawienie, które będzie niezwykłą uroczystością i biesiadą artystyczną, donoszę z żalem, że, choć wbrew wielkiej ochocie, przybyć na przedstawienie nie mogę, będąc już związany innym ważnym terminem. Łączę wyrazy mego wysokiego poważania".

Towarzystwo Wioślarskie z Warszawy pisze: „W. P. Józef Kotarbiński, Dyrektor Teatru Miejsk. w Krakowie. Powołując się na odezwę W. Pana, Komitet Warsz. Tow. Wioślarskiego ma zaszczyt zawiadomić W. Pana, iż z grona członków Towarzystwa wybierają się do Krakowa na przedstawienie „Nieboskiej Komedji": PP. Maksymiljan Białowiejski, Karol Gerwath i Józef Kowalski, dla których najuprzejmiej mamy zaszczyt prosić W. Pana o łaskawe zarezerwowanie miejsc w teatrze".

Wiktor Gomulicki pisze: „Szanowny i Kochany Panie Józefie! Nareszcie po tylu latach... po kamieniem (co prawda, obustronnem) milczeniu... drukowana „inwitacja", Wasz podpis, tak miły oczom moim i sercu! Wdzięczny jestem i za to, choć zarazem z żalem prawdziwym odpowiadam, że na 29 b. m. do Krakowa nie będę mógł przybyć".

A. Grabowski, red. Echa Płockiego i Łomżyńskiego

go, pisze: „Szanowny Panie! Dziękuję najuprzejmiej za zaszczytne zaproszenie mnie na przedstawienie „Nieboskiej Komedji” wielkiego Krasńskiego. Rozumiem, iż będzie to szczytna chwila dla teatru krakowskiego, który pierwszy wprowadza na scenę ten genialny utwór, i chciałbym całym sercem być jej świadkiem. Ale, niestety, w naszych warunkach redaktorów pism prowincjonalnych jest to niemożliwe pod żadnym względem: przykuci jesteśmy do miejsca, bo pismo — to nasza osoba, której nikt narazie zastąpić nie może, osoba, która nie tylko spełnia czynność, właściwą redaktorowi, ale jest jednocześnie całą jego funkcją administracyjną i rządzącą. Nawet i skromny nasz budżet nie pozwala na najprzyjemniejsze wycieczki, z których odniosłoby się nieraz podniosłe wrażenia duchowe i estetyczne. Takie jest położenie i z tem się zgodzić trzeba, choć nieraz żal duszę ściska, iż traci się tak rzadką dla nas chwilę odświeżenia się w bujnej atmosferze duchowej. Przyjmij, Szanowny Panie, z którym parę razy spotkałem się w czasach uniwersyteckich, wyrazy wszelkiej życzliwości i powodzenia w Jego zamiarach artystycznych. Z poważaniem”.

Ludwik Maślowski, red. „Przeglądu” ze Lwowa donosi: „Szanowny Panie Dyrektorze! Pośpieszam Mu wyrazić moje podziękowanie za łaskawe zaproszenie. Skorzystam z niego chętnie i proszę zarezerwować dla mnie dwa fotele w pierwszych rzędach, żebym był jaknajbliżej sceny. Notatkę o tem Świecie literackiem dałem już w „Przeglądzie”. Proszę przy-

jąc dla Obojga Państwa wyrazy mego najgłębszego poważania".

Państwo Edwardostwo Wagnerowie z Łodzi przysyłają list: „Szanowny Panie Dyrektorze! Za dowód łaskawej pamięci o nas serdeczne składamy dzięki, żałując nad wyraz, że z uprzejmego zaproszenia, mimo najszczerzej chęci, skorzystać nie jesteśmy w stanie. Życzymy Szanownej Dyrekcji Teatru Krakowskiego w dalszym ciągu rzetelnego powodzenia i winszujemy przodownictwa w wystawianiu arcydzieł polskich”.

Marja Ruszczyńska z Radłowa, Redakcja „Prawdy i Tygodnika Ilustrowanego” ze Lwowa, *Dr. W. Łubieński*, red. „Dziennika Poznańskiego”, Redakcja „Słowa Polskiego” we Lwowie, *p. Z. Dunin z Warszawy*, *Maurycy Poznański z Łodzi*, *Dr. Adam Bieńkowski ze Lwowa*, życzą powodzenia, proszą o bilety, lub tłumaczą niemożność przybycia.

Zdzisław ks. Czartoryski przesyła depeszę: „Żałuję niewymownie. Nagła choroba nie pozwala słowa dotrzymać. Syna mego tylko wysyłam, niech będzie świadkiem triumfu znakomitej Dyrekcji i nieśmiertelnego dzieła”.

Karol Rose z Berlina przesyła depeszę: „Nie mogę wyjechać, bo w sobotę w Parlamencie interpelacja polska. Serdecznie dziękuję i życzę powodzenia”.

Aleksander Vogel ze Lwowa: „Imieniem „Gazety Narodowej”, zasyłamy wyrazy zasłużonego uznania za przyswojenie scenie „Nieboskiej Komedji” i życzę jaknajwiększego powodzenia”. Redaktorowie „Prawdy”, „Tygodnika Ilustrowanego”, „Słowa

Polskiego' ze Lwowa wysyłają korespondentów, proszą o zachowanie biletów.

Prof. Raciborski z *Dublan* — telegraficznie prosi o bilet.

Ludwik Szczepański z *Wiednia* nadsyła depeszę: „Heutige Vorstellung bleib unvergesslich in Literatur und Theatergeschichte. Chwała Dyrektorowi. Powodzenia wielkim zamiarom“.

Jerzy Mycielski z *Wiednia* depeszuje, przesyłając życzenia zasłużonego triumfu, na wypadek, gdyby się nie mógł stawić na tę ważną dla teatru chwilę.

Wincentowie Bałabanowie ze Lwowa: „Domowi Słowackiego Eviva l'arte“.

Prof. Kallenbach z Warszawy, w dzień przedstawienia: „Wieczna chwała Zygmuntowi, gorąca wdzięczność Dyrekcji“.

Jan Lorentowicz z Paryża: „Vive l'art dramatique polonais, félicitations cordiales“.

*

W kilka dni po przedstawieniu od Kazimierza Tetmajera odbieram list, którym się można chlubić:

„Droga i Łaskawa Pani. Ponieważ nie lubię się wykręcać, więc powiem Pani wprost, że, nie mając tu z tem nic do czynienia, — prześlepiłem dzień premjery i zapomniałem wysłać depeszy. Okropne mi było przykro, nie to, że się nie odezwałem od siebie, bo w Krakowie nic nie znaczę, ale — że się nie odezwałem do Państwa. Pochlebiałem też sobie, żeście się spodziewali, bardzo przepraszam, bardzo żałuję.

Byłem jednak tak zawałony pisanem, tłumaczenia-
mi, listami, korektami, że poprostu zapomniałem, mi-
mo żem zaproszenie dostał. Dziękuję Pani bardzo,
że Pani do mnie *tak* napisała, zrobiła mi Pani praw-
dziwą przyjemność. Nikogo nie widziałem, coby na
przedstawieniu był, do Krasieńskich się wybieram,
ale....

Wyobrażam sobie wrażenie, bo, choćby to było
niesceniczne, to jest zawsze tak wielkie i tak opro-
mienione, że musi je robić! Krytyki — to już trudno.

Są ludzie, którym się zdaje, że dowodem inteli-
gencji jest sądzić źle, tymczasem dowodem inteli-
gencji jest tylko sądzić. Całuję ręce Pani, Pana Jó-
zefa pozdrawiam—dziękuje Mu za „Afrodytę”, o któ-
rej wiem z „Kurjera Warszawskiego”, że miał mó-
wić. Oddany K. Tetmajer”.

Józef mówił na koncercie piękny wiersz Tetmaje-
ra „Afrodyte”, z akompanjamentem kilku dyskretnych
akordów wiolonczeli.

Bardzo to wyszło artystycznie.

*

Miły list przychodzi z Kalisza:

„Szanowny Panie!

Piszę do Niego te słów kilka, aby Mu powinszo-
wać opracowania „Nieboskiej”, które, jak czytam,
wypadło nader pomyślnie, i wogóle pomysłu wpro-
wadzenia jej na scenę. Dziwiłam się zawsze, że nie
pomyślano o przyswojeniu teatrom tych potężnie sce-
nicznych, a tak aktualne kwestje poruszających psy-

chologicznych dramatów Krasinińskiego. Nie zdziwiłam się bynajmniej, że pierwszy uczynił to Szanowny Pan, który jedynie ze wszystkich dyrektorów polskich umie ze swej sceny zrobić scenę rzeczywiście narodową, taką, co odbija wszystkie prądy chwili obecnej, kładąc głównie nacisk na to, co przeszłość i teraźniejszość myślała i myśli wielkiego.

Z całego też serca przesyłam Panu te wyrazy uznania i mam nadzieję, że tak, jak ja, myśli ogół. Wyrazy szacunku i poważania łączę, Ludwika Dobrzyńska-Rybicka".

Data urodzenia „Nieboskiej“, t. j. odczytanie już zupełnie przygotowanej dla sceny inscenizacji, dokonanej przez Józefa Kotarbińskiego, nastąpiła w naszym domu dnia 20 października 1902 roku.

Na powitanie noworodka zaproszeni byli i stawili się: pp. J. Kallenbach, M. Gawalewicz, W. Rabski, A. Beaupré, J. Rostafiński, P. Stachiewicz, J. Stanisławski, S. Tomkowicz, W. Żeleński, T. Żeleński, J. Mycielski, F. Jasiński, A. Godziemba-Wysocki, M. Tarasiewicz, A. Nowaczyński, T. Siedlecki, K. Rakowski, R. Starzewski i reżyser Walewski.

Rozmowa kipiała. Wszyscy byli zajęci, przejęci. Rady i wskazania sypały się, niby z rogu obfitości. Reżyser notował. 27 listopada przyjechał z Warszawy i był u nas p. Adam hr. Krasiniński. Na przedstawieniu będzie. Próby odbywają się z niezmierną starannością. Ponieważ ma być blisko setka, czy nawet setka studentów, statystów i dużo statystek,

z których niektóre ładne i młode, więc na mnie składają utrzymanie ładu za kulisami.

Jakoś poszło wszystko bez szwanku na honorze. Choć naprawdę były chwilę piekielnego zamieszania. Po pierwszej próbie odbieram list od p. Stanisławskiego:

„Szanowna Pani! Znów nadwyreżyłem sobie nogę i muszę dziś przesiedzieć w domu. Jutro za to, przez cały dzień jestem na rozkazy. Gdyby zachodziły jakieś kwestje wystawy plastycznej, to może zechcą ci panowie zgłosić się do mego mieszkania. Przyszło mi na myśl, że nutę Carmagnol'i, której nie mamy, musi pamiętać „Cipa“. Jest on bardzo muzykalny, więc, prawdopodobnie, potrafiłby zanucić tak czysto, że Dyrektor Hock mógłby zapisać melodję (Mieszka u p. Kasparka róg A—B i Dzwonkowskiej). Jutro od rana do wieczora mogę być w teatrze. Proszę przyjąć i t. d.“.

„Cipa“ był to młody Godebski z Paryża, chcący być Polakiem, ale właściwie już Francuzik. Chwilo-wo bawił w Krakowie, mimo to niby dawny wszystkich znajomy, tak serdeczny i miły chłopiec. Ożenił się z p. Kasparkówną, córką Radcy miejskiego. Carmagnol'ę zaśpiewał panu Hockowi, dyrektorowi orkiestry, bardzo muzykalnemu, i pomyśl Jana Stanisławskiego się nie zmarnował. Na ostatnich próbach, Stanisławski, który był olbrzymiego wzrostu i niebywalej tuszy, a przytem pasjonat, myślałam, — że rozszarpie krawca: tak kłął i nieludzko wrzeszczał, bo czapki nie były ściśle według rysunku uszyte. Musiał p. Rozwadowicz wszystkie popra-

wiać, ale burza huczała z ogłuszającym impetem przez dobrych kilka minut. Wszystko na scenie zmilkło. Cyklon szalał. Czekaliśmy wszyscy, aż minie.

28-go, a więc w wilgę przedstawienia, ja nawet, której siły były osławione, już ledwo łąziłam. Z aktorami trzeba, jak z bańkami z mydła. Nie dmuchnij, bo pęknie. Akademicy pysznie się sprawują w statystowaniu. Napięcie nerwowe bezgraniczne.

Pierwsze przedstawienie 29 listopada 1902 r. Wre wszystko, co żyje wewnątrz teatru. Trema szalona. Dzwonek. Kurtyna idzie w górę. Na widowni cisza. W głębi sceny mur, poza murem widać wieżę kościoła, z którego dochodzi dźwięk organów hymnu „Veni Creator”. W środkowej arkadzie ukazuje się Anioł-Stróż i mówi: „Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń, kto ma serce—on jeszcze zbawion być może”.

A na widowni wśród antraktów szum. Ten szum, to najmiłsza muzyka dla naszych uszu, bo to wyraz poruszenia dusz. A o to tylko chodzi, i temu oddaje się cały wysiłek.

Przedstawienie kończy się o trzy na dwunastą. Coś zatruwa dobre wrażenie. Rozchodzi się wieść z łoży komisji teatralnej, że p. Adam hr. Krasiński—w najwyższym stopniu niezadowolony wogóle, że się wystawiło „Nieboską”. Józefowi o tem nie mówię, ale coś kole.

Zmordowani, w ciszy domowej, kończyliśmy wieczór. Kąpiel pospajała napowrót, zdawało się, rozbite kości. A nazajutrz, o 3-ej popołudniu, dzwonek i karta:

Adam hr. Krasiński.

Oczom wierzyć nie chciałam.

— Przyszedłem Wam, drodzy Państwo, podziękować. Jestem szczęśliwy. Wszystko wypadło świetnie, doskonale, nad wszelkie oczekiwanie. Ma pan niemałą zasługę w popularyzowaniu rzeczy wielkich. Jest to śmiałe, ryzykowne. Kiedym wchodził do loży, — bałem się. Wyszedłem bardzo szczęśliwy i zadowolony. Słyszając o pańskich zamiarach „Nieboskiej”, wyznaję że mówiłem: kiedy „Nieboska”, to czemu nie „Ojciec nasz” Cieszkowskiego. A jednak myliłem się. Pozwoliłem też sobie przynieść korespondencję mego Dziada i prosić o jej przyjęcie, „dla pamięci”. Piękna dwutomowa książka „Correspondance de Sigismond Krasiński et de Henry Rueve”, z przedmową J. Kallenbacha, wydana w Paryżu, na tytułowej karcie napis:

„Panu Józefowi Kotarbińskiemu, w dniu wystawienia po raz pierwszy „Nieboskiej Komedji” z wyrazami podziękowania i wysokiego poważania Adam Krasiński—Kraków dnia 29 listopada 1902 r.”.

Całe wyjątki czytał nam z listów Rueve’a, odnoszących się do genezy „Nieboskiej”. Przytem sam wykwintny, o ślicznej twarzy, zapalał się, zostawił niezapomniane wrażenie, które potem jeszcze i w Warszawie powtarzało się przy każdej wizycie. Przyniósł memu mężowi mocny swój wiersz „Hussarja”, wielokrotnie później deklamowany przez Józefa na koncertach, i śliczną lirykę: „Twoje mi usta”... w rękopisach, które są starannie przechowane.

Wychodząc mówi:

Chciałbym z wykonawcami pomówić o rolach, z p. Wysocką, pp. Tarasiewiczem, Sosnowskim. Czy mogłoby to być i kiedy?

— O dwunastej w nocy, po przedstawieniu, jutro, jeśli pan hr. zechce.

— Doskonale — stawię się.

Przyszedł i mówił, jak potomek swego Dziada-Ślicznie.

— Świetnie pan gra — mówi, zwracając się do Tarasiewicza, — ale ośmieliłbym się z panem przedyskutować pewne momenty... Któż jest ten Henryk. Wielki pan, ambitny, pyszny, samolubny, ale wrażliwy. Nie trzeba zapominać, że to epoka romantyzmu. On nie rezonował, on się rwał, palił do życia... kiedy cierpiał nad łóżem obłąkanej, to klękał, ręce łamał, kiedy opuszczał dom, dziecko, to nie szedł — to rwał się do uciech, które mu obiecywała dziewczyna. On musiał lecieć za nią, nie iść, koniecznie lecieć. A ona, — zwracając się do Wysockiej — cicha, skromna, dobra. Tak. Ale w obłąkaniu musi mieć jego tony, jego wyrazy ma na ustach, jego pojęcia. Nie może być tylko potulną, słodką, musi porwać, czasem wybuchnąć. I to on wtedy przez nią mówi. Tak mi się to wydaje.

— Orcio był doskonały.

Istotnie — rola, którą odtworzyła Mrozowska, była arcydziełem sztuki. To wykwintne, biedne, nieszczęśliwe paniczko, cierpiące za nie swoje winy, zanim poznało radość, wzruszało do głębi.

— Leonard dobry, zupełnie dobry w pojęciu. Pan-kracy pana Sosnowskiego bardzo dobry, i t. d.

Józef był ożywiony, rozmowa była śliczna, ale cóż? Mimo całej mojej sympatji dla artystów, nie scho-dziło mi z myśli, co mówił papa Schekespeare:

„Każdy aktor na swym ośle jedzie dumnie i wy-niośle”...

Czemu? nie mogłam tego zrozumieć.

Hr. Adam zapalał się, płonął, nie perorował, nie narzucał, chciał dyskutować.

Chłód i obojętność wychodziła mu naprzeciw. Ar-tyści nie umieli dostroić się do poufnej gawędy. Wszyscy byli jacyś wyniośli.

Szedł do artystów z całą życzliwą prostotą. Do-piero po długim namyśle rozkrochmalili się. Co praw-da, byli wszyscy po drugim przedstawieniu, a więc najbardziej wyczerpani. Była późna noc. Ale czyż to pierwsza i ostatnia, która upływała na rozmowie o sztuce. Koło czwartej nad ranem rozchodziliśmy się jednak pod najmiłszymi wrażeniami i wdzięczni byliśmy panu Adamowi hr. Krasińskiemu za miłe słowa, jakich nam wszystkim nie szczędził.

*

Bolesław Lutomski w „Kurjerze Warszawskim” dnia 10.XII.1902 r. w dużym feljetonie daje spra-wozдание z przedstawienia „Nieboskiej” i pisze mię-dzy innemi: „Teatr Krakowski urządził uroczystość dla publiczności polskiej, odbyło się tam pierwsze przedstawienie „Nieboskiej Komedji” Zygmunta Kra-sińskiego według scenarjusza Kotarbińskiego.

Unikam przesady, lecz wyznać trzeba, że w życiu polskiego teatru i polskiej literatury dramatycznej stał się tego wieczoru wypadek wielkiego znaczenia. Dziś już wątpić nie można, że, gdyby „Nieboska Komedja” należała do którejkolwiek z literatur zachodnich, przełożonoby ją na wszystkie języki europejskie i grano na wszystkich scenach, ogłoszono za arcydzieło dramatycznej doniosłości”. Dalej, pisząc, że „Nieboska” stać będzie, jak równa z równą, wśród tragedjy Eschylosa, Sofoklesa i Szekspira, dziwi się, że, będąc dziś równie żywszą może, niż była w chwili swego powstania r. 1833, dopiero teraz wchodzi na scenę w całym majestacie i powadze.

„Pierwsze słowo uznania należy się Józefowi Kotarbińskiemu, który poemat Krasińskiego, z inicjatywy własnej, inscenizował i do teatru wprowadził. Przynosi mu to zaszczyt i stanowić będzie trwałą zasługę w jego działalności dyrektorskiej.

Od czasu do czasu słyszymy lub czytamy rozmaite przeciwko dyrekcji Kotarbińskiego zarzuty: czyż można dobitniej na nie odpowiedzieć, niż dając publiczności „Nieboską Komedję”? To czyn chlubny.

Inszenizacji zaś dokonał, jako prawdziwy znawca rzeczy, wykształcony i utalentowany estetyk. Poemat zstąpił z literatury na scenę, z koniecznemi tylko skróceniami. I tak być powinno. Publiczność krakowska, przyzwyczajona już przedtem do słuchania dzieł natchnienia wielkich naszych poetów, słuchała sztuki w ciągu pięciu godzin, przejęta do głębi i wzruszona”.

Krytyki, naogół, były dodatnie, o czym pisze dokładniej mój mąż w książce swej „W służbie sztuki i poezji”, nakład księgarni Hoesicka w Warszawie, 1929 r. Ale w „Czasie” pojawiła się jednak taka notatka w rubryce: „Z Teatru”.

„Szanowny Panie Redaktorze:

Wobec wiadomości, podanej we wczorajszym numerze „Czasu”, że mam w tem piśmie zabrać głos o wystawieniu „Nieboskiej Komedji” na naszej scenie, zmuszony jestem oświadczyć, co następuje: W istocie, dopóki nie byłem na przedstawieniu „Nieboskiej”, miałem zamiar napisać do „Czasu” o scenariuszu tego przedstawienia. Ale z przedstawienia wyniosłem przekonanie, że, pomimo najlepszych chęci i największych wysiłków Dyrekcji teatru i artystów, młodzieńczy ten utwór wielkiego pisarza, pełen genialnych błysków, ale także i wad, właściwych młodzieńczej twórczości, wreszcie pisany bez wszelkiej myśli o scenie, niezmiernie wiele traci na deskach teatralnych, gdzie owe błyski giną, a wady rażąco występują, i że najlepszy scenarjusz nic na to nie poradzi. Wobec tego łatwo zrozumieć, że do pisania o scenariuszu nie mam teraz najmniejszej ochoty, krytykę jego uważam za rzecz zbyteczną”. Podpisano: „J. Tretiak” — ja dodaję — kwaśny.

*

A tak się złożyło, że Rada miejska, bezpośrednio po tem przedstawieniu, uchwaliła „zerwać kontrakt” z dzierżawcą, o należną za światło sumę 16.000 kor. VI

*

„Koń Atylli” przeszedł po nas, ale nas nie zdeptał.

AUTORZY.

Niech mówią sami za siebie.

Henryk Sienkiewicz.

Mąż mój miał zawsze tak wielkie poszanowanie dla twórczości i twórców, że, nawet do kolegi ze Szkoły Głównej pisząc, użył słusznie należącego mu się tytułu — Mistrza. W odpowiedzi dostaje list:

„Mój drogi!

Nie oddyrektywam Ci na Twoje mistrzowanie, albowiem myślę, że między starymi kolegami powinno tak być, jak bywało. Przepraszam Cię natomiast za zwłokę w odpowiedzi.

Miałem małe lumbago, którego jeśli kiedykolwiek dostaniesz (czego Ci nie życzę), będziesz mnie miał za wytłomaczonego.

Co do sztuki, dawno mam na to ochotę, mam nawet i pewne pomysły — muszę jednak pierwszej skończyć Krzyżaków, a potem odpocząć. — Krzyżaków kończę w październiku, potem wyjadę, prawdopodobnie gdzieś do Włoch, albowiem „*ille terrarum mihi praeter omnes angulus redat*“ — i tam będę kryształizował w bajkę moje pomysły.

Jak coś będę miał, natychmiast ci prześlę i wówczas pomówimy o warunkach — nie materialnych

wprawdzie, gdyż pod tym względem zgóry na wszystko się zgadzam, ale innego rodzaju.

Przeróbkę Krzyżaków graj, kiedy chcesz. Dobrzeby jednak może było, żebyś mi ją przesłał, raz dlatego, że powieść wyjdzie w osobnej odbitce z pewnymi zmianami, a powtóre, że, jako człowiek obznajmiony z epoką i ludźmi, mógłbym porobić pożyteczne uwagi.

Za jaki tydzień zobaczymy się w Krakowie, albowiem jadę z dziećmi do Wenecji na kąpiele morskie i zatrzymam się na Wolskiej, 16, w domu Janczewskich, który po ich wyjeździe jest pusty. Tymczasem ściskam Twoją prawicę i załączam Ci słowa poważania i przyjaźni wraz z uprzejmymi ukłonami dla Pani.

27.VII.99.

Henryk Sienkiewicz".

Dowiadujemy się, że jest w przejeździe Sienkiewicz, posyłamy mu łożę na „Wesele”.

„Kochany Józiu!

Dziękuję Ci bardzo serdecznie. Od wczoraj mam łożę i ułożyłem się z Janczewskimi, że razem pójdziemy, będę więc w licznym towarzystwie familijnem. Idę z wielką ciekawością.

Ściskam Twoją dłoń,

Pani Twojej najuprzejmniejsze ukłony.

12.V.1901.

H. Sienkiewicz".

Przeróbka „Krzyżaków” przez zdolnego pełnego inwencji i niezmiernie starannego pracownika artysty i reżysera sceny Krakowskiej, p. Wallek-Walewskiego, poszła szybko. Na propozycję przedstawienia jej autorowi, przychodzi odpowiedź:

„Kochany Józiu!

Czekam Was jutro o czwartej, nie później, albowiem koło 6-ej wyjeżdżam.

Ściskam Cię, Pani najpiękniejsze ukłony

H. Sienkiewicz”.

Na przedstawieniu „Krzyżaków” nie był. Przysłała depesza z Warszawy: „Nie mogę absolutnie. Dzieci moje będą. Proszę dla mnie o łóż do Janczewskich.

H. Sienkiewicz”.

A potem jeszcze z Granicy.

„Kochany Józiu! Przepraszam, że nie mogłem skorzystać z nadesłanego mi biletu. Znalazłem go koło północy, wróciwszy do domu. Chciałem się z Tobą widzieć, ale nie było możliwości. Napiszę do Ciebie z Warszawy. Tymczasem posyłam Ci z Granicy pozdrowienie i uścisk dłoni, a Pani najpiękniejsze ukłony.

H. Sienkiewicz”.

List przychodzi z Warszawy:

„Kochany Józiu! Nie odpisałem Ci zaraz, gdyż sam miałem zamiar być w Krakowie, ale, ponieważ musiałem obecnie odłożyć wyjazd z Warszawy do listopada, więc pośpieszam z odpowiedzią. Napisałem jednoaktówkę bardzo wesołą, p. t. „Swaty Zagłoby”, obecnie przepisuję ją na maszynie, poczem to i owo poprawię i prześlę Ci ją za jakiś tydzień. Chciałbym, aby mogła być grana w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu dnia 24 grudnia, t. j. na mój jubileusz.

Rzecz jest krótka, wystawa mała. Jeden staroświecki pokój. Obsadę zdaję na Ciebie w zupełności.

Ściskam Cię serdecznie, Pani Twojej najpiękniejszego ukłony.

H. Sienkiewicz".

A potem w odpowiedzi na zaproszenie:

„Kochany Józiu!

Dziękuję Ci za łożę i przepraszam za zwłokę w odpowiedzi, ale nie doręczono mi odrazu listu. Będę u Was dziś po teatrze z wielką przyjemnością.

Ściskam Cię, Pani Twojej uprzejme ukłony.

H. Sienkiewicz".

14.8.1901.

Młodzież Akademicka zorganizowała uroczysty wieczór ku czci wielkiego pisarza, Henryka Sienkiewicza, na którym żywe obrazy były w układzie artystów malarzy: Leona Wyczółkowskiego oraz Jana Bukowskiego i Eugenjusza Dąbrowskiego.

*

W takim oto miłym nastroju wystawiało się: „Czyja wina?“, „W czartowym jarze“, „Zagłoba Swatem“ i „Krzyżaków“ Henryka Sienkiewicza, który nie odmawiał nam nigdy swej obecności na naszych artystycznych naradach, czarując zawsze obejściem, błyskami dowcipu w rozmowie i tą wielką wykwinłą prostotą — którą daje tylko duża i dziedziczna kultura.

*

Adolf Nowaczyński.

„Dużo zawdzięczam przede wszystkim ś. p. Ko-

tarbińskiemu, który mnie odkrył i pierwociny odważył się wystawić", pisze Adolf Nowaczyński w „Scenie Polskiej” z dnia 1.III.1929 r. zeszyt 5.

Pamiętam pierwszą jego u nas bytność. Było to po ukazaniu się wydania „Małpiego Zwierciadła”, w którym różne przezrocze aluzje, zaprawione sarkazmem do osób mi znanych, strasznie mnie oburzały.

— Po co pan jest na świecie, po co pan żyje? — mówiłam mu z moim nieznośnie często impulsywnym temperamentem. — Czy po to, żeby taki olbrzymi talent marnować na złośliwość? Na to pana szkoda. Jak pan to może robić?

Śmiał się, widocznie nie bardzo biorąc do serca mój gniew. I słusznie. Bo gniew minął, a poszanowanie dla wielkiego talentu i sympatja dla autora zawiązały się między nami i zostały — na zawsze.

Z mężem moim czasem, na chwilę, nic się plątała, ale nie rwała nigdy. Bywały w listach różne zwroty miłe, zapewniające i szacunek i przyjaźń, ale bywały i inne. A zaraz po nich wyznanie:

„W moim jesiennym liście, istotnie, są ustępy nie w dobrym stylu i nie na miejscu, więc zwracam się obecnie do Szanownego Pana Dyrektora z prośbą, abyśmy o tej całej sprawie zapomnieli i ażeby Szanowny Pan Dyrektor, przepomniawszy zupełnie o newrozie mojej, trapiącej mnie czasem, podał mi rękę do zgody. List jesienny proszę uprzejmie podrzeć i w strzępach mi odesłać”.

Oczywiście, listów Nowaczyńskiego mam sporą paczkę, ale dla charakterystyki naszych stosunków

przyczę dwa najkrótsze, pisane już w Warszawie, a niezawodnie najwymowniejsze.

„Szanowni i Kochani Państwo! Przechodząc, wstąpiłem z nowiną. Dziś albo jutro mają zaproponować panu Józefowi kierownictwo repertuaru. Nie zastałem. Wiadomość zostawiam. Powodzenia, ale i mocy wytrwałej.

Wasz Ad. Nowaczyński”.

„Szanowna Pani i kochana nasza Dyrektorowo!

Dziś, dnia 1 maja, o godzinie 7-ej minut 5, przyszła nam na świat rzeczy widomych, ważąca 9 funtów, zdrowa, tęgą, córa. Dożyje ciekawych czasów. Więc miałem rację, pomagając jej do wydobycia się na powierzchnię Europy. Całuję rączki.

Nowaczyński”.

Te dwie małe kartki, które starannie przechowałam, mówią dużo. Nie kieruje ich się do ludzi obojętnych i nie jest się względem nich obojętnym, o tem wymownie świadczą.

We wszystkich zresztą trudnych chwilach naszego życia Nowaczyński zawsze odnosił się do nas z całą niekłamaną życzliwością.

Kiedy zbiera się ciężka chmura nad głową Józefa, nabrzmiała niechęcią niczem nieusprawiedliwioną kilku autorów, Nowaczyński pisze: „Proszę Szanownej Pani, jeżeli coś jest, w czem ja mogę być pomocnym, to proszę napisać mi dokładnie. Od żony mojej najserdeczniejsze specjalne życzenia sił, wytrwania i energii”.



A w dniu 19 października 1902 r. Józef Kotarbiński wprowadza poraz pierwszy na scenę Adolfa Nowaczyńskiego w „Miłosierdziu ludzkim“, napisanem na tle noweli Marji Konopnickiej.

W parę zaś tygodni potem, kiedy mąż mój, zaproszony przez dyrektorów: Al. Rajchmana i Marjana Gawalewicza do Filharmonji na koncert, bawi kilka dni w Warszawie, przysyła mi listownie swe repertuarowe rozporządzenia, pisze: „Borkmana należałoby grać tylko dla kasy. Dla renomy teatru polskiego stanowczo lepszy Nowaczyński. Trzeba go nie zrażać, to znakomity talent, a ładnie będzie, jeśli go Teatr Krakowski pusować będzie pierwszy“. Dało się Nowaczyńskiego.

Toteż, kiedy później złożył Adolf Nowaczyński swe potężne dzieło: „Djabła Łańcuckiego“, poruszyło się z całą skwapliwością znów *miasto*, aby wewnętrznej treści dodać zewnętrznego splendoru.

Komnata na „Drewnianym gródku Łańcuckim“ olśniewała nagromadzeniem przepięknych akcesoriów. Były tam, poza dekoracją, ściśle według informacji autora, i „okna framburgowe“ i „gradusy o trzech schodach“ i „wrzeciona“ i „wygodne karło“ z herbem Szreniawa, który sama perłami szyłam, i „szafa gdańska“, i „kobierczyki“ rzadkiej piękności. A poza tem moc przedmiotów, snąc złupionych w różnych przygodach: srebrnych mis, dzbanów, złotych roztruhanów, miedzianych naczyń, proporców i chorągwi.

W chwili zaś, kiedy służba zaczęła przenosić przez scenę z rozkazu Starosty Zygwulskiego skarby do

zatonienia w sadzawce na wypadek wrogiego napa-
du, istotnie, był prawdziwy pokaz skrzyń, okutych
bogato żelazem, dębowych szkatuł z misternymi
zamkami, sepetów, w których chowano dukaty i ta-
lary lub manele, kornaki i noszenia, sadzone drogie-
mi kamieniami Starościny Stadnickiej. Wszystko to
pochodziło z domów prywatnych, z uprzejmości tych
widywów, którzy się cieszyli, że zdobią scenę orygi-
nalnymi dziełami sztuki.

Kolejno, wydawane dzieła swoje przysyła nam
zawsze Nowaczyński. Mężowi memu pisze na wstęp-
nej karcie: „Szanownemu i kochanemu panu Józe-
fowi Kotarbińskiemu z wyrazami zawsze tej samej
wdzięczności i sympatji”. A mnie, madrygał na „Sko-
topaskach Sowizdrzańskich” dedykowanych: „Wyż-
szym dziesięciu tysiącom”, z dodatkiem: „a więc
i Pani Józefowej Kotarbińskiej, dla której z szczerą
sympatją i szacunkiem zostaje ten, z trudem poskra-
miany przez innych, Adolf Nowaczyński. Data: Kra-
ków, 1904 rok”, — aż do „Wiosny Narodów”, na któ-
rej znów czytam z radością dowód Jego pamięci,
zapewniający o „serdecznej sympatji i wdzięczno-
ści”, Warszawa, w roku 1929. Świadectwo, że jeśli
komuś życzliwy — to na zawsze.

*

Marja Konopnicka.

Z Marją Konopnicką wiązały męża mego dawne
życzliwe stosunki, które zacieśniały pisane przez nie-
go entuzjastyczne sprawozdania z Jej dzieł.

Mieszkała za granicą Kraju, więc nie zamieniało się to w towarzyską zażyłość, ale, przy każdej sposobności, zaznaczało się echem dobrze wypróbowanej sympatji.

Byliśmy któregoś roku oboje w Karlsbadzie. Wracamy ze spaceru, zastajemy bilety Konopnickiej i Dulębianki, które z Francensbadu przyjechały nas odwiedzić. Marja Dulębianka była moją koleżanką przez lat 5 — byliśmy uczennicami Mistrza Wojciecha Gersona. Miałyśmy dużo miłych wspomnień. Nazajutrz już z rewizytą byliśmy we Francensbadzie. Poczem obiad i duży spacer przez zagony, przez pola.

— Tak sobie tu chodzimy po obcych ścieżkach,— mówi Konopnicka,—mój majster (Dulębianka) i ja, chłopiec w terminie.

— A do wsi daleko to, panie majster? A kościół tam je? A wyjdą procesje, a dymy z kadzidła ogarną ciało Pańskie w Monstrancyi?

A potem o zmierzchu...

— Panie majster — nasi tam już też z pola zeszli. A na Anioł Pański zadzwonią?

— A kiedy jarmark będzie, panie majster? Cuda, cudności tam będą. Luda się zjedzie, hej! gromada, Stryjna pewno przyjadą, to mi tam co kupią. Chodźwa, panie majster, a prędzej. A gdzie to dziś będzie warsztat? a gdzie będziemy spali?

Tak nam opowiadała, w tych sztucznych rozmowach, wynikłych z prostej tęsknoty za swym zagonem, za kątem i dachem własnym, wielka poetka.

Należąc do Komitetu Jubileuszowego obchodu Marji Konopnickiej, Dyrektor Krakowskiego Teatru wysłał do Jubilatki zaproszenie na uroczyste przedstawienie ku Jej uczczeniu. Dostaje odpowiedź:

„Kochany Panie!

Nie wiem, jak to będzie, bo 18-go Raut w „Kole” i 18-go Teatr. Ale, choćbym się rozerwać miała, w teatrze będę.

Dziękuję panu najserdeczniej za tę piękną uroczystość, jaką pan przygotował dla mnie i cieszę się na ten wieczór ogromnie.

Tę zaś „mamone”, o której pan pisze, zesypuję do skarbonki Szanownej Żony pana, na rzecz Kasy emerytalnej (artystów), której jest dobrym duchem. Szczere pozdrowienia wraz z wyrazami poważania dla obojga Szanownych Państwa, obie z Dulębianką załączamy.

Wiedeń, 15.X.1902 r.

Konopnicka”.

W przedsionku Teatru witali Jubilatkę: Kazimierz Bartoszewicz i Józef Kotarbiński. Teatr był przepełniony. Przedstawienie piękne, o którym szczegóły daje mój mąż w książce swojej: „W służbie sztuki i poezji” (nakładem Hoesicka. Warszawa, 1929 r.).

Na uroczystość, owianą nietylko powagą, ale i serdecznem tchnieniem miłości dla Wielkiej Poetki, zjechali z Warszawy: pp. Władysław Rabski, Marjan Gawalewicz, Stanisław Libicki, W. Gebethner, Józef Kallenbach ze Lwowa, i byli świadkami wymarzonej przez nią chwili, w której otrzymywała od swych czcicieli skrawek ziemi *na własność*, o którym, chodząc po obcych polach — marzyła.

— Błogo będzie myśleć w tułaczce, że tam jest swój kąt, swój dach nad głową, swój stolik i swoje krzesło. Tego uczucia tak dawno nie doznałam, tak mi go było brak, mówiła, rozmawiając z nami, w małym kółku zaraz nazajutrz po licznej i głośniejszej uroczystości.

Toteż, już z Żarnowca, własnej siedziby, dokąd adresował Józef listy — otrzymuje odpowiedź:

„Szanowny Panie!

Dobrze. Proszę o egzemplarz dramatu, a postaram się przetłumaczyć go, o ile można spiesźnie. Na honorarjum, sto guldenów za ten przekład, zgadzam się, ale proszę, niech pan będzie łaskaw zobowiązać, kogo należy, aby nie odpisywano ról dla innego teatru.

Myślę, że lepiej nie dawać obecnie tłumaczenia „Córki Jorja” w jakimkolwiek krakowskim piśmie, właśnie dla uchronienia się od literackiego korsarstwa...

Wątpię bowiem, żeby zastrzeżenie — choć wydrukowane, ustrzedz od niego mogło.

Chyba, — że może.

Oczekując tedy książki, łączę dla obojga Szanownych Państwa wyrazy prawdziwego poważania i szczerze pozdrowienia.

Marja Konopnicka”.

A w miesiąc, list drugi:

„Szanowny Panie!

Wysyłam jednocześnie zamówiony przekład „Córki Jorja”, pod opaską rekomendowaną. Rzuciłam wszystkie inne roboty, aby tą ukończyć przed wy-

Micea. 12/1 1940.

Skarany Panie

Wznowaj' obywatelskich
prekarskich postaw,
sto ruki ad dyrektora
Teatru w Warszawie.
Jestem zadowolony
z panu sędziów
ka podjęcie kandydatury
w tej sprawie i serdecznie
pożyczenia. Także
na obywatelskich.
z prawnym i prawnym
Marek Konopnicki

List Marji Konopnickiej.

jazdem, który nastąpi 20 października. Zechce więc Szanowny Pan wysłać honorarjum tak, abym je jakiegogoś 18, lub najdalej 19, odebrać mogła.

Książkę, jeśli można, zatrzymam trochę, aby ją mieć pod ręką. Zamierzam bowiem napisać małą przedmowę do wydania książkowego, tłumaczenia mego.

Oczekując rychłej odpowiedzi, załączam dla Obojga Szanownych Państwa szczere pozdrowienia i wyrazy poważania.

Żarnowiec, dnia 14.X.1904 r.

poczta Jedlicze.

Marja Konopnicka".

*

Tadeusz Rittner.

„Wielmożny Panie Dyrektorze!

Nie wiem, czy Szanownego Pana doszła moja kartka, którą posłałem przed 2 tygodniami pod adresem: Teatr Miejski, bo dotychczas nie otrzymałem odpowiedzi. Donoszę więc raz jeszcze Szan. Panu Dyrektorowi, że, chwała Bogu, skończyłem wreszcie mój dramat i ochrzciłem go „W małym domu”.

Ponieważ oprócz oryginału nie posiadam żadnego egzemplarza sztuki — więc proszę Sz. Pana najuprzejmiej zwrócić mi manuskrypt zaraz po przeczytaniu ról etc. Czy to możliwe? Nie wiem również, czy mam panu posłać tę rzecz do Teatru, czy do domu? Boję się, żeby rękopis nie zginął, bo jak wspominałem — nie mam innego.

Licząc na łaskawą odpowiedź, łączę wyrazy szacunku i poważania.

Wiedeń.

Tadeusz Rittner“.

Oczywiście, z całą gotowością, sztuka Rittnera była przyjęta, przepisana, role rozpisane rozdane, manuskrypt odesłany.

Na przedstawienie przyjechali oboje państwo Rittnerowie do Krakowa.

Znajomość zawarła się łatwo. Ona, bardzo wyrobiona towarzysko, ładna i miła, on — trochę roztargniony, ale niebywale sympatyczny, artysta. Przedstawienie poszło wyjątkowo świetnie.

Mając wybornych partnerów w Sosnowskim — mężu i ślicznym Jerzym Leszczyńskim — kochanku, prym jednak w sztuce trzymała młodziutka jeszcze aktorka, Władysława Ordonówna.

Po premierze sztuki zaprosiliśmy Rittnera z żoną do Grand-Hotelu na kolację. Józef siedł z p. Rittnerową. Rittner siedł ze mną.

Poczuwałam się do obowiązku bawienia go, więc mówię o wrażeniach ze sztuki, Rittner milczy. Powtarzam zasłyszane zdania cudze, milczy. Omawiam kolejno role, ich wykonanie, znów milczy. Prorokuję wielkie powodzenie, co u Boga! jeszcze milczy? Aż pod samym hotelem staje i, rozkładając bezradnie ręce, mówi: „Po co ona umarła w drugim akcie?”

Istotnie, rozumiałam smutek autora. Zgładził ze świata własną ręką aktorkę, która mu po mistrzowsku zagrała rolę!

Kochany Jolciu.

Tręknęs ci bardzo serdecznie. Od
wczoraj mam łog i utrojęm się
z Janczwickami, z rzadym poj'dniem,
będę więc w licznem towarzystwie
familijnem. — Idę z wielką cięka-
wością.

Sciałam być Nowi,
pauz kwasij najępręjnie
ukłony.

H. Sienkiewicz

17. V. 1881

Tomé p. Fielinski 01.7.1906

Helmsley Park, York.

[illegible]

а затем прелле дамаюк, зе мунд оеюі
мелкѣ оуаі Туюі нѣкоу полемодана. Вѣнѣ
оуеаіуі, пѣнѣ нѣоі мѣаі брѣаіуаі урѣ
пѣнѣ да мѣаі, а тѣнѣ нѣаі
нѣаі, мѣаі нѣаі пѣнѣ нѣаі

James W. Smith

W parę dni po premierze odbiera Józef list od Ritnera:

„Wielmożny Panie Dyrektorze.

Jestem już cały dzień w Wiedniu — a jednak myślą zawsze jeszcze w Krakowie, gdzie spędziłem w domu gościnnym Szan. Państwa i w teatrze tyle chwil pogodnych i miłych. Za tych kilka dni, pełnych pięknych wrażeń, a bez żadnego dysonansu, niech mi będzie wolno złożyć Szan. Państwu najserdeczniejsze podziękowanie.

W Krakowie miałem po raz pierwszy prawdziwe powodzenie, które zawdzięczam przede wszystkim staranności, z jaką wystawiona była moja sztuka przez Dyрекję i reżyserję — jakoteż wybornej grze krakowskich artystów.

Dziękując raz jeszcze gorąco Szan. Panu, proszę ucałować rączki Pani i przyjąć najserdeczniejsze pozdrowienia dla siebie.

Moja żona zasyła piękne ukłony dla Szanownych Państwa.

22.XI.1904.

Tadeusz Rittner“.

Zawsze zostało nam miłe wspomnienia pa tej sympatycznej parze, od której płynęła słodycz, pogoda i artyzm.

*

Tadeusz Konczyński.

Z Tadeuszem Konczyńskim, młodym wówczas autorem, który jako student Wszechnicy Jagiellońskiej zaczął odwiedzać nasz dom, zawsze były miłe

stosunki. Sztukę napisał. Złożył. Wierzył, że Dyrektor zrobi wszystko, co do niego należy, aby ją jak najlepiej pokazać publiczności, i bez żadnych kaprysów, choć z pilną współpracą autora, przeszły: „Otchłań”, „Pozłacane Głowy”, „Kajetan Orsug” i inne, po to, aby i w Warszawie tą samą metodą powierzać sztuki, za kierownictwa literackiego mego męża, zawsze wprowadzające na scenę jakiś nowy problem myślowy w swej treści.

*

Stefan Krzywoszewski.

Między wieloma autorami, których sztuki Józef Kotarbiński wprowadzał po raz pierwszy na scenę, był także i Stefan Krzywoszewski.

5 kwietnia 1901 r. pierwszy raz odegrano w Krakowie jego: „Ogrodnickę”, snąc zaczęta praca dla sceny — szczęśliwą ręką, bo powodzenie towarzyszy autorowi do dziś. Uprzejmy, miły zawsze, we wszelkich stosunkach człowiek ślicznie wychowany. Sztukę składał. Aktorzy zagrali dobrze, bo z miejsca miał duże poczucie sceny i dawał doskonałe role. Publiczność się bawiła. Dyrektor był kontent. Jasny, pogodny. Przychodząc, mówił: „Proszę”. Odchodząc: „Dziękuję”. I po kłopotcie.

*

Jan Kasprowicz.

Jana Kasprowicza poznaliśmy we Lwowie. Mąż

mój był na występach gościnnych, będąc jeszcze w teatrze warszawskim. Wtedy, pamiętam, Kasprowicz złożył nam wizytę w hotelu George'a i spytał, czy może przedstawić swoją narzeczoną, z którą przyszedł nazajutrz.

Młodziutka, wątła blondyneczka z rzadkimi włosami, nieco zażenowana. On, krzepki, jak młody dębczak, z bujną kędzierzawą czupryną, uśmiechnięty, gotów do życia bodaj najtwardszego, „byle we dwoje”.

I, dziwna rzecz, dotąd nie umiem sobie zdać sprawy z przyczyn mego wrażenia, ale po ich wyjściu powiedziałam do męża:

— Wiesz, ci ludzie nie będą ze sobą szczęśliwi.— Potem widywaliśmy się tylko przygodnie, bywając od czasu do czasu we Lwowie. Aż wymiana korespondencyj ustaliła, że Józef da w Krakowie „Ucztę Herodjady”, a jako interludja między aktami, sceny ze „Wzgórza Śmierci”, które stawiał na szczytach myślowych naszej poezji. Kasprowicz godził się na to chętnie, pisząc:

„Myśl z interludjami jest pyszna. Mam przekonanie, że podniosłoby to wrażenie, — bez Lucyfera i Duszy rzecz wyglądałoby na robotę czysto sceniczną. Co do personelu, nie znam p. Wysockiej, mało p. Mrozowską. Rola Antypatra, będę bardzo rad, jeśli będzie w ręku drogiego pana.

Oddaję więc drogiemu panu Herodjadę, jeżeli pan uznaje, że nie zrobi gruntownej kłapy, bo to byłoby mi przykro, tembardziej, że do Teatru się nie palę. Niech szanowny Dyrektor dobrze się namyśli”.

Inscenizację zostawił zupełnie w rękach mego męża. A kiedy przyjechał i zobaczył ją na próbie, nie zmienił nic.

Oczywiście, tło dekoracyjne sztuki odgrywało tu ważną rolę.

Będąc w Paryżu, trafiłam na ciekawą wystawę—Gustawa Moreau, który swój znakomity talent poświęcił w znacznej mierze studjom Wschodu.

Wiedziałam, że pragnieniem Józefa było wprowadzenie Kasprowicza na scenę w „Herodjady”, więc przywiozłam dużo materiału ilustracyjnego i dużo notatek, które przystosować do sztuki musiała ręka artysty malarza.

W odpowiedzi na wysłaną prośbę, odbieram od p. Jana Stanisławskiego bilet: „Szanowna Pani! Postaram się wyszukać w zbiorach (Feliksa) Jasińskiego jakiś materiał do „Herodjady”. Jeżeli pani zechce zaszczyścić nasz klub swoją bytnością, to jutro o 1-ej będę oczekiwać w lokalu Jasińskiego” i t. d...

A w godzinę potem już drugi bilet: „Materiały do Herodjady mam obecnie w domu i mógłbym je pokazać pani w jej mieszkaniu. Proszę o słówko odpowiedzi, czy i kiedy mogę to zrobić?”.

Tak się zawsze, na każdym kroku, odnosili ludzie do teatru, gdy trzeba było ich pomocy. Toteż stworzyła się z tych materiałów całość, o której Kasprowicz pisze: „Słyszałem dookoła: „grana i wystawiona sztuka wspaniale”.

Kasprowicz bywał u nas przez cały tydzień prób. codziennie na obiedzie, i do nas polecił swemu adwokatowi wysyłać listy, na które niecierpliwie czekał.

Wracamy z ostatniej próby. Jest depesza. Czyta i podaje mi ją. „Sprawa rozwodowa ukończona”.

Więc nie omyliło mnie pierwsze wrażenie, jakie zrobili na mnie młodzi narzeczeni, w hotelu George'a, we Lwowie.

*

Na tle Böcklinowskiego pejzażu z kilku smętnie pochylonemi cyprysami, rysującemi się na szerokim horyzoncie, rozgrywa się we fragmencie, wykrojonym ze „Wzgórza śmierci”, tragedia uciemiężonej, opętanej grzechem duszy.

Nieprzemogoną masz władzę nade mną —
 Nad swoją duszą,
 Nad swoją biedną i wygnaną duszą.
 Ona bez twego skinienia,
 Bez światła ocz twych, bez dźwięku twych szeptów
 Staje się niema, ślepą, nieruchomą...
 A jeśli mówi, to na to, by jęczeć.
 A jeśli widzi, to na to, by błądzić,
 Jeśli się ruszy, to na to, by padać...

Nie mową, ale zda się, bez ust poruszenia, jakimś cichym jękiem, głębokiem westchnieniem, wyczarowywała słowa poety — Jadwiga Mrozowska.

Wiotka, prawie przezrocza, bez ruchu, bez gestu, w powiewnej szacie, jakby w odrętwieniu, w hipnozie, w bezwoli... stoi i czeka, pod ciemnym cyprysem.

A zoddali, zimne i ostre, jak cięcie stali, dochodzi władcze słowo Lucyfera:

— Idę.

*

Jerzy Żuławski.

Miły stosunek łączył Józefa ze zdolnym autorem, Jerzym Żuławskim. Bywał u nas z młodą żoną, inteligentną, przejętą jego twórczością, i nie wtedy nie zapowiadało bolesnych dla niej dni rozstania. Życie różne sprawia niespodzianki.

„Szanowny i Drogi Dyrektorze, piszę przede wszystkim najserdeczniejsze podziękowanie za wczorajszego Hamleta.

A teraz do interesów. Wyjeżdżam dzisiaj na wieś, będę tu jednak we czwartek przed południem, w przejeździe do Warszawy. Otóż proszę bardzo, niech pan poleci, aby do czwartku zestawiono rachunki za dwa pierwsze przedstawienia „Wianka mirtowego”. Od brutta, rzecz naturalna, nie będziecie mi potrącać „kosztów wystawy”, gdyż tu ich prawie nie było.

Z gry Mrozowskiej i Sosnowskiego jestem *bardzo* zadowolony. Natomiast pojąć nie mogłem, jak w takim Władku mazgaju mogła zakochać się moja Janka. Ale to są skutki, gdy się nie chce na próbach słuchać uwag autora.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Obojga Państwa
Jerzy Żuławski”.

Wszystkie jego sztuki, i „Dyktator”, i „Eros i Psyche”, były doskonale grane. Tworzyły się w miłej atmosferze, jakiej autor nigdy niczem nie zmał.

*

Włodzimierz Perzyński.

Z Włodzimierzem Perzyńskim, którego talent wy-

soko cenił mój mąż, a „Lekkomyślną siostrę” zawsze zaliczał do najświetniejszych oryginalnych dzieł scenicznych, były nie krwawe, ale atramentowe boje o „Szczęście Frania”.

Jeszcze na jednym z ostatnich przedstawień w Warszawie, kiedy byliśmy oboje, wyrażając najwyższy zachwyt Jaraczowi w jego garderobie za mistrzowską grę, mówił: „Ale ostatnią scenę, toś pan napisał, bo jej niema. A na mnie autor się gniewał, kiedym się o nią dopominał. Ona jednak być powinna. Bo któż ją tak, jak pan, zrobi”...

Listy są gorące, obustronnie pełne temperamentu, ale kończą się zgodnie i nigdy nie słabnie w moim mężu uznanie dla wielkiego talentu Włodzimierza Perzyńskiego, którego „Lekkomyślna siostra” z wielkim powodzeniem i uznaniem krytyki grana była w Krakowie, w ostatnim sezonie Dyrekcji Kotarbińskiego.

*

Aleksander Mańkowski.

Na czwartym piątku w Warszawie, odwiedził nas p. A. Mańkowski, młody wówczas autor, który, z odległych kresów podolskiej ziemi, pojawiał się w Warszawie, aby z bracią literacką, a nadewszystko z Dyjonizym Henkielewem, Bogusławskim i Kotarbińskim, dzielić myśli i wymieniać zdania w zakresie swych pisarskich umiłowañ.

Toteż, radośnie powitał mój mąż w Krakowie list z Mańkowa, w którym pisze: „Bardzo jestem rad, że

już swoją „Jadzię” mogę wypędzić z domu, ale to pytanie, czy mi jej pan nie wpędzi napowrót”.

A potem: „To wszystko (a były wykazywane wątplenia i błędy, popełnione w sztuce) jest niepotrzebne przy sprzedawaniu towaru; powinienbym głowę trzymać do góry i towar zachwalać. Ale nie umiem w panu widzieć Dyrektora Teatru, a widzę tylko życzliwego krytyka, któryby chciał, żeby moja rzecz wyszła dobrze”.

„Jadzia” była grana, ale, niestety, nie mieliśmy w Krakowie tego wysoce kulturalnego i przemiłego towarzystwa autora, bez cienia zarozumiałości, a miłośnika literatury i jej znawcy. Jek pisał — „dostanie pasportu przedstawiało narazie trudności nie do przezwyciężenia”.

*

Stanisław Rossowski.

„Wielce łaskawy panie Dyrektorze! List WPana serdecznie mnie ucieszył. Nie byłem na takie pochwały przygotowany. Wdzięczny jestem za nie bardzo — dodają mi otuchy, a tej potrzebuję więcej może, niż inni. Wdzięczność moja tem szczerza, że, jak już raz miałem sposobność wspomnieć, uwagi, poczynione mi przez WPana, podczas naszego widzenia się w lecie, rozjaśniły mi wiele zagadek techniki scenicznej, padły w szczęśliwą jakąś chwilę.

„Circe” jest już w Namiestnictwie, ale narazie prywatnie czyniono mi nadzieję, że puszczą. Dostanę informacje wkrótce, w jaki sposób najłatwiej prze-

strój: Szan. Sędziów
młodzieńców
podziękowania

W Krakowie mia-
łem po raz pierwszy
przebieżkę przedziwną
Właśnie przedziwną
przedziwną i kłopotliwą
zawieszoną. Z jakiegoż
kwestionariusza było
szkła przez dyktando
i napisy - jak to
wyobrażasz sobie

Kłopotliwa szkodliwa

Strój: Szan. Sędziów
młodzieńców
podziękowania

Właśnie przedziwną
przedziwną i kłopotliwą
zawieszoną. Z jakiegoż
kwestionariusza było
szkła przez dyktando
i napisy - jak to

Właśnie przedziwną
przedziwną i kłopotliwą
zawieszoną. Z jakiegoż
kwestionariusza było
szkła przez dyktando
i napisy - jak to

Tadeusz Rittner

Właśnie przedziwną
przedziwną i kłopotliwą
zawieszoną. Z jakiegoż
kwestionariusza było
szkła przez dyktando
i napisy - jak to



ŻYCIE

TYGODNIK ILLUSTROWANY
LITERACKO-ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNO-NAUKOWY
KRAKÓW KARMELICKA 22

Jasna i słodka Pani,
Będę Pani niezmiernie
wdzięczny, jeżeli Pani
będzie tak. niezmiernie
tęskawą i porysłą
mi panu oddawno tego
listu 10 reńskich, bo
to już ostatni dług i
mnie go natychmiast
telegraficznie wyślij.
Ścieżkę się u stóp drogi
Pani Przybyszewskiej

List Stanisława Przybyszewskiego.

prowadzić sprawę. Bądź co bądź, z początkiem stycznia rzecz będzie rozstrzygnięta, a (powtarzam) szanse są pomyślne. Jeszcze raz dziękuję serdecznie WPanu za życzliwość. Kreślę się Jego zobowiązany i oddany.

14.XII.1900.

Stanisław Rossowski".

Niestety, stosunki prywatne zawiodły. W notatniku czytam: Dziś piorunujące wrażenie zrobiła na nas wiadomość, że „Circe” Rossowskiego nie puściła cenzura w Namiestnictwie. Dla nas strata paru tysięcy. Dla autora jeszcze większa krzywda moralna, niż materialna.

*

Stanisław Kozłowski.

„Panie Józefie Szanowny, — pisze Stanisław Kozłowski. — Choć to może już zapóźno, dobrze jednak, że pan daje „Alberta” jeszcze w tym sezonie, gdy walka z hakatystami wre w całej pełni, przez co dramat, napisany przed laty, podczas rugów pruskich, staje się dziś tak aktualnym, jak nigdy dotąd....

Postaram się przybyć na premierę dopiero. Wobec tego polecam kochanemu Panu gorąco reżyserkę sztuki, zwłaszcza sceny zbiorowe i ostatni obraz szturm Krakowa.

Rola Alberta jakby dla Pana stworzona. Głos, postawa, twarz — doskonale nadają się do tej kreacji. Należy tylko pamiętać, że wójt Albert — to wielki pan, to patrycjusz krakowski, tak dumny i wyniosły, a przytem tak bogaty i wpływowy, że przy nim sam

książe Łokietek zgaśby, gdyby nie wielka energja i wielkie serce tego budownika nowej Polski....."

Dalej omawianie ról i wystawy. A potem: „Składam Dyrekcji Warszawskiej „Luminarza“, a myślę o „Księżu Józefie.....“

A wszystko to pisze: były uczeń szkół rosyjskich. Wszystko się planuje pod okiem Apuchtina i srogich rosyjskich cenzorów.

Ileż to na tych kartach miłości dla sztuki! Ile dobrej woli przy pracy! Ile niefrasobliwości wobec warunków, w jakich się ona odbywa. Ile ufności w cel i pożytek usiłowań! Ile nadziei, marzeń, i ile to talentu!

A wzamian?

Wzamian:

„W sobotę, 22 b. m. zatrzymuję się w przejeździe w Krakowie. Proszę, żebym mógł dostać obiecaną zaliczkę 100 koron. Ta drobna kwota uwolni mnie od bardzo przykrych kłopotów“.

*

„Proszę o tantiemę za ostatnie „Wesele“, a w parę dni:

„Proszę o przysłanie na dalszy rachunek 20 zł. reńskich, zaraz po otrzymaniu tego listu“.

*

„Wczoraj nie otrzymałam, przyrzeczonych od Dyr. Teatrów Warszawskich pieniędzy za „Hanusię”.
8.XII.1910. Nicea”.

Po paru tygodniach oczekiwania:

„Otrzymałam przekazem sto rubli od Dyr. T. W.
Dziękuję Sz. Panu serdecznie za podjęte trudy w tej
sprawie”.

Nicea 12.X.1910.

„Zaliczki, nieproszonej, ale zaproponowanej i przy-
rzeczonej, oczekuję z upragnieniem. Proszę o wysta-
nie jej bezwłocznie”.

*

„Proszę o przysłanie zaraz 10-ciu złr. Muszę je
mieć natychmiast”.

*

Coś źle urządzonego w ogólnej ekonomji Kraju.

— „Nie umięją się liczyć, żyją bez myśli o ju-
trze”.

— Może.

Ale przekazują nam dorobki całego życia. Imio-
na niezapomniane. Rzucają klejnoty swych talentów
do skarbca niezniszczalnych dobytów naszej kultu-
ry także bez obrachunku ich wartości, nie mając
wzajem spokoju bez przesłanych: *zaraz, niezwłocz-
nie, natychmiast, na gwałt!* — „dziesięciu złotych
reńskich”.

„W Y Z W O L E N I E”.

28 lutego 1903 r.

„PROTEZILAS I LAODAMJA”

28 kwietnia 1903 r.

„BOLESŁAW ŚMIAŁY”

7 maja 1903 r.

— Czy nie pisze pan teraz nic dla sceny? — pyta mój mąż Wyspiańskiego, już podczas pracy nad „Nieboską”.

— Piszę. Może skończę, jak zobaczę „Nieboską”, — odpowiedział.

I w miesiąc po wystawieniu „Nieboskiej” już wchodziło na scenę to dzieło, pełne ironji, sarkazmu i bólu, bez cienia wiary i nadziei, a jednak mające swe źródło w bezmiernej miłości. Imię dał mu autor „Wyzwolenie”, choć wszystko w niem, spętane kajdanami ułomności, przewinień, pustki moralnej, wyzwolenia nam nie wróżyło.

Na scenę wchodził Konrad.

„Czarny płaszcz go okrywa,
ręce wiążą ogniwa,
na rękach ma kajdany.

To powolny, to rzutny,
to zapalny, to smutny,
w mowę własną dziwnie zasłuchany”.

I zaczyna się jedno z najwspanialszych przedstawień teatralnych, jakie polskie oczy oglądać mogły i jakie znów tylko polskie serce odczuć potrafiło.

*

Miałam nieostrożność zapytania podczas prób Wyspiańskiego bardzo nieśmiało, ale jednak zapytałam:

— Jak mam, panie, ubrać „Samotnika“?

Stalowe oczy, niby sztylety, zwrócił na mnie i po chwili milczenia powiedział:

— T-a-a-a-k,—robiąc przy tem gest szeroki, powłóczył. I zgiął odrazu, jak kamfora.

Kiedy jednak na próbie generalnej zobaczył wspańiale ucharakteryzowanego Jednowskiego, w królewskim, długim, powłóczystym płaszczu bez koloru, bo czas stał purpurę, przyćmił złoto, zbrukał gronostaje, zczernił srebrzyste kłamry, kiedy spoj-rzał na stare pieczęcie u pergaminowych zwitów, wi-szące od pasa, a na ramieniu ujrzał orła, którego jedno skrzydło złamane, a drugie rozłożone, jakby do lotu nad głową „Samotnika“, powiedział:

— Tak. To ma ślady królewskości — dobrze. Tak. To dobrze.

Pochwalił także stroje Erynji, do których pomyśl, a nawet w znacznej części i wykonanie, dała p. Ada Kosmowska, artystka bardzo inteligentna. Szare, łą-

czące się z tłem pustej ciemnej sceny koszule, przewiązane w pasie, spływające w długich fałdach do ziemi, i głowy, owite splotami węzów, które przy chyżych ruchach Eryni, otaczających kołem Konrada, niby żywe gady, rozwijały się i kurczyły.

A kiedy, słuchając Hestji, ośmieliłam się powiedzieć:

— Niech jej pan podda ton, ona to mówi źle... — odpowiedział:

— Nie. Owszem. Dobrze. I narysował ręką w powietrzu jej sylwetkę, która istotnie w drapowanych fantastycznie fałdach na wysokiej, smukłej postaci, była bardzo piękna.

Nie mam jednak na myśli, w tej chwili, ani dekoracji, koło których było wiele pracy, nie mam na myśli kostjumów, otoczonych najwyższą dokładnością i staraniem, ani podnoszenia niczych wysiłków dla spełnienia wskazań i woli autora. Dla nas wszystkich, zaszczytem było i szczęściem krzątać się koło podania do publicznej wiadomości tej nawałnicy myśli, jaka kłębiła się w wypowiedzianych przez usta Konrada słowach. Myśli, z których każda dotykała naszej niedoli, naszej niewoli, i mówiła w modlitwie kornej do Pana:

„Bym ja był z twoich wiernych,
a niewolnikiem nie był”.

Myśli, która budziła — śpiące, zapalała — zimne, chroniła dumę narodową i ostrzegała przed „korzeniem się” i „pokorą”. Odrzucała „żebraninę”, krzyczała w niebogłosy: „Ognia”, „Żaru”, „Czynu”!

Wszystkie niemal poważne pióra krytyczne kornie chyliły czoła przed dziełem poety. Mąż mój czuł się szczęśliwy, że znów miał pracę przy wystawianiu niepospolitego dzieła. Były to cudne momenty życia, unoszące zawsze duszę „nad poziomy”.

*

Modrzejewska była wiecznie młoda do ostatnich dni. Na próby przychodziła pierwsza, z rolą nie rozłączała się ani na chwilę, choć niemal każdą z tych, które były na afiszach gościnnych, grała niezawodnie setki razy.

Ale grając rolę dawną, nietylko nie leniła się uczyć nowych, ale każde pojawienie się nowej sztuki interesowało ją; młody autor zajmował ją. Czytała, informowała się, uczyła.

Więc: Wyspiański!

— Chcę grać Leodamję, dyrektorze! Nauczę się prędko, — mówiła.

Trzeba było ją widzieć w chwili, kiedy się dowiedziała, że Wyspiański nie godzi się na pewne redukcje wystawy, i że dlatego, istotnie, nie ma możliwości ponieść tak dużych kosztów, jakich ona wymaga na jeden raz.

— Zrzekam się honorarium z tego przedstawienia, jeśli to zaważyć może na szali rachunku, — mówiła. — Jedźcie jeszcze raz państwo do autora, przełóżcie, prosicie.

Jedziemy oboje, zostawiając zdesperowaną, zgąszzoną, przygarbioną staruszkę. Wyspiański był cho-

ry, leżał, ale nas przyjął. Więc rada w radę. Ustępuje z dekoracji na proscenium, co zmniejsza koszty o kilkaset złotych reńskich. Omawia Józef z nim szczegóły z tekstem w rękę i ołówkiem. Mnie daje zlecenia co do kostjumów. Wracamy. Protesilas i Laodamja" będzie grana. Już nie było staruszki. Młodzieńczym ruchem sfrunęła z krzesła, rzuciła się Józefowi na szyję, ożyła. Werwa i humor wróciły.

— A teraz do roboty. To musi być ładnie i dobrze.

Było i dobrze i ładnie, ale jednak na repertuarze nie utrzymała się sztuka, mimo czarów, jakie roztaczała Modrzejewska. Grała przecież „Antygonę” Sofoklesa, i nikt nie liczył jej lat, choć była młodą dziewczyną, na scenie. A w Laodamji, niestety, choć posagową sylwetą rysowała się i mówiła cudnie, już nie wzbudzała współczucia skargą: „Łożnica moja pusta”. Występy jej na scenie krakowskiej, za dyrekcji Józefa Kotarbińskiego, były ostatnimi występami w kraju.

Planowaliśmy jeszcze przyjazd jej kiedyś do Warszawy. Zgon przeciął ludzkie obliczenia. Szczegóły z jej u nas gościny i miłą korespondencję mam zamiar podać wtedy, kiedy będę pisała moje wrażenia i refleksje z zakulis życia teatralnego.

*

„Bolesław Śmiały” Stanisława Wyspiańskiego zamykał sezon 1903 r.

Dany 7 maja, poruszył znów do zgośnego chóru pochwał swą siłą dramatyczną i przepiękną wizją

malarską, wprowadzoną i wykonaną bardzo szczęśliwie przez wszystkie nań składające się czynniki.

Autor był ciągle sam za kulisami. Nie ginął, nie zapadał pod ziemię, bo już, nauczony doświadczeniem, nie pytaliśmy go o nic. Józef jeden miał odwagę porozumiewania się z Wyspiańskim i był zaszczytany jego zaufaniem. Jemu zawsze mówił, co rad zmienić, zostawić lub usunąć.

Ale też była praca!

Wszystkie wzory do haftów i wyszyć na płaszczach, rysunki do ornamentów na zbrojach i kłamrach, patrony do malowania tyftyków na kobiece spódnice były wykonane ręką Wyspiańskiego. Wszystko uszanowane w najdrobniejszych szczegółach przez nasze pracownice.

Pani Richter Janowska, uproszona przez męża mego do pomocy, oddała nam łaskawie czas, talent i umiejętność z tą żarliwością, na jaką się tylko zdobyć może artystka, czyniąc służbę koło dzieł sztuki.

Jeśli do tych niezliczonych drobiazgów, które należało uszanować, dodamy te krótkie terminy, w jakich praca musiała być wykonana, to, istotnie, gdy patrzeć na nią zoddali, podziw, a jednocześnie poszanowanie budziła dla olbrzymiego zbiorowego wysiłku. Żeby choć w przybliżeniu zorjentować się mogli niewtajemniczeni w te arkany, ile to wymagało staranności, to przytoczę tu parę pozycji z długiej rubryki, sporządzonej dla pracowni krawieckich, kostiumów, osób grających w sztuce.

A więc:

Biskup: kapa, brokat ze złotemi galonami, alba biała, stuła, pastorał, krzyż.

8 *rycerzy:* kaftany czerwone, treпки, koszule szare haftowane, onucki szare płócienne.

Sieciech: kierezja szafirowa, bogato haftowana złotem i czerwienią, kaftan biały sukienny, spodnie białe sukienne, treпки, pas szeroki, nabijany gwoździkami, koszula szara, haftowana.

Brat królewski: kierezja sukienna amarantowa, bogato haftowana, koszula szara haftowana, spodnie grube białe sukienne, kaftan niebieski, sukienny, pas szeroki, skórzany nabijany, trepy, skóra na onuce.

Król: kaftan czerwony sukienny, bogato haftowany złotem i koralami, spodnie grube i białe, trepy, skóra na onuce, szeroki bogato nabijany pas, kierezja biała sukienna, gruba, podbita ponsowem sukнем, haftowana dokoła złotem i koralami.

A potem inny płaszcz, wysadzany kamieniami. Zbroje, ryngrafy, hełmy z orleми skrzydłami.

A orszaki rycerzy, a dwudziestu chłopów biskupa, a ubiory statystek, wszystko specjalnie malowane i wyszywane według wzorów.

Pamiętać należy, że występujących osób w dramacie było 39, bez statystów, i że każdy niemal musiał być ubrany inaczej, nawet statysta, o ile był pacholkiem biskupim czy królewskim.

Wystawa „Bolesława Śmiałego” według kosztorysu, który mam przed oczami, kosztowała 6.000 koron, co w stosunku do otrzymywanej subwencji świadczy o bezinteresownem zachowaniu się dyrektora do sztuki.

Kosztyienne z takimi pozycjami, jak: muzyka 40 koron, statysci 90 koron, ch6r 37 kor., feu artys-
t6w 160 kor., swiatlo 65 kor. itd., nie liczac tantjemu
autorskiej, wynosily 467 kor. od przedstawienia.

My, we dwie, z p. Rychter-Janowsk4, robi4c tylko
dodatkowe i szczeg6lnie pi6kne rzeczy dniem i noc4,
leżałyśmy na podłodze, maluj4c coraz liczniej przy-
bywaj4ce do wykonania wzory. Tak juź bywałam
chwilami wyczerpana, że, jak zdaleka, na próbie,
w kulisie z przeciwnej strony, zobaczyłam Wyspiań-
skiego, to lży mi same leciały, bo czułam, że będzie
zn6w jakieś zamówienie, które zrobione „być musi”.

I które zawsze zrobione było.

Przedstawienie było pi6kne i, doprawdy, w niczem
nie obrażało tw6rcy znamienitego dzieła.

STANISŁAW I DAGNY PRZYBYSZEWSKY.

Przybyszewscy w Krakowie.

Z miejsca otoczeni legendą, tajemnicą, nieudomowieniem, egzotyzmem.

Kto, jak on, tyle i tak pisał, kto tyle wiedział, kto olśniewającym talentem zdobył sławę wśród obcych, a życie tworzył na niczyją modłę, tylko na własną, kto zewnętrznie ujawniał, że jakiś bezmiar przeżyć i bólów dźwigał w swej duszy, musiał wzbudzać te przeróżne uczucia, jakich bywał natchnieniem.

Toteż w naszej cyganerii artystyczno-literackiej zawrzało, zakipiało.

Wszyscy byli zajęci i przejęci Przybyszewskim.

Oczywiście, nie mogę mówić o Przybyszewskiego talencie, twórczości, ani ważności pojawienia się jego na horyzoncie naszej literatury. O tem mówił nieraz mój mąż, pisząc w swej książce „Ze świata ułud” między innemi, że „Przybyszewski naga duszę człowieka pojmował, jako rodzaj absolutu, tkwiącego pod złudną postacią materji”, że „w dramatach swoich z jakimś bezwolnem poddaniem schylał głowę przed potęgą mocy erotycznych”, że „miłość u Przybyszewskiego urastała do znaczenia potęgi zło-wrogiej, niszczącej, wobec której bezwładnemi

okazywały się hamulce rozumowe i etyczne". I dochodził do konkluzji, w której pisze: „Pomimo, że jest artystą dużej miary, talentem silnym i oryginalnym, Przybyszewski musiał się przeżyć. Dlaczego? ponieważ duszę i naturę ludzką ukazywał w sposób niezupełny, pod kątem widzenia oryginalnym, ale wyjątkowym i pokłóconym z głębszą harmonią życia duchowego”.

W moich wspomnieniach jednak nie mogę pominąć ludzi, którzy byli tak niepospolici, a którzy darzyli nas swoją sympatią i z którymi żyliśmy dość blisko.

Tem więcej, że nigdy w tym człowieku nie widziałam Belzebuba, a w jego otoczeniu samych tylko „dzieci szatana”.

Przybyszewski, według mojej obserwacji, był człowiekiem słaby, bez charakteru, z dobrym sercem chorem. Tchórz życiowy. Wolał się zawsze poddać, aniżeli walczyć. Nie miał pojęcia o odpowiedzialności, jaką na człowieka nakłada samo jego istnienie, zwłaszcza wtedy, jeśli jest w gromadzie.

Żona, dzieci, to już wielkie zobowiązanie. A cóż się dla nich robiło? Kochało się je, ale jak? Czem się to kochanie uzewnętrzniało?

Czy jedna namiętność pohamowana, czy jeden namiętów stłumiony, czy jedna fantazja ujęta w karby?

Takim trybem żyć, jak on żył, można czasem, czyja wola.

Nie można go uważać za normę, bo przeciętnie żyje się wśród ludzi normalnych, którzy na ciągle, na stałe, nie dotrzymują mu kroku. Zwolnią lub przyspieszą, ale w końcu zawsze pójdą swoją drogą, omi-

na i samotnego zostawia. Nie może być inaczej. Tak się musiało stać i z Przybyszewskim.

I dlatego to rwanie, ta szarpanina ciągła, bezustanna, grożąca zawsze katastrofą, do której nieubłagannie prowadzi ten sam człowiek, który jej unika i nie chce, jest dla niego i dla otoczenia mordega.

Przybyszewski był dobrotliwy, ufny, ale nade wszystko był człowiek *chory*. To tłumaczy, to usprawiedliwia, to budzi współczucie i sympatię, ale jednak przestaje być zajmujące. Dlatego moja zdrowa natura, odczuwając w nim potęgę jego umysłu, nie widziała w nim zajmującego mężczyzny. Zawsze czułam się wobec niego raczej — pielęgniarką. A jednak był oblegany przez kobiety. I zawsze widzę go, jako biedną ofiarę histeryczek, którym nie umiał się opierać i którym ulegając, tyle węzłów motał na nici życia, że ona musiała się rwać. Jaka szkoda! bo doprawdy ta gra nie była warta świeca!

*

Na jednej ze swych książek, „De profundis“, pisze nam: „Et tout est effrayant, lorsqu'on y songe“, powtarzając za Maeterlingiem tę beznadziejnie smutną maksymę, usprawiedliwioną w tekście książki aż nadto słusznie. A sam wierzy w ludzi i umie być wdzięcznym. Pisze kiedyś do Józefa: „Niech mi drogi pan zechce przesłać telegraficzną odpowiedź, tak lub nie — (chodziło o jakąś jego sztukę) — bym wiedział, co Solskiemu i Hellerowi napisać. Ludwik Sol-ski był wówczas dyrektorem teatru w Krakowie,

Heller we Lwowie. Jednemu i drugiemu jestem obo-
wiązany, bo mnie ubiegłego lata w ciężkiej chwili ra-
towali, więc w żaden sposób nie mogę ich zbywać
milczeniem". Ślicznie. Ale nie idzie za tem, żeby
w innym wypadku nie zapomniał, że go ktoś w rów-
nie pewno ciężkiej potrzebie ratował, a on mu się
wywdzieczył, nie rozmyślnym, broń Boże, ale złym
uczynkiem. Zmysłu życiowego nie miał wcale. To
był jego urok. Wzgarda zaś do wszystkiego, co znie-
walało do kompromisu, co wiązało z pospolitością,
szarzyzną codzienności, tkwiła w nim głęboko, bo
genjalny jego umysł krążył w tej sferze, do której
wszystko, co małe, drobne, niskie, nie miało przy-
stępu.

Ileż to chwil, nie do przeżycia ciężkich, gotował
mu ten genjusz, który tak nim zawładnął, tak opę-
tał, a tak trzymał, nie dopuszczając żadnego umó-
wionego sposobu do przetrwania tego życia, że, istot-
nie, można było uwierzyć w panowanie złej mocy nad
tą biedną dobrotliwą naturą—a tak bezsilną, bezopor-
ną, bierną wobec czegoś, czemu się dawał doszczętnie
podporządkowywać.

Józef, ze zwykłym sobie poszanowaniem każdej
twórczości, a zwłaszcza tak potężnej, wystawiał
z pietyzmem wszystko, co Przybyszewski staraniom
jego powierzał.

Premjera sztuki Stanisława Przybyszewskiego by-
ła zawsze połączona z atmosferą uroczystości tea-
tralnej. Przybyszewski we współpracy był niezmiernie
miły, delikatny. Ani cienia kaprysu, ani żadnej
nadmiernej wrażliwości na niedobory, które rozu-

niał, że raczej wspólnymi siłami wszystkich czynników, składających się na wystawienie sztuki, należało łagodzić i tonować, aniżeli kaprysić.

Uwagi robił wszystkim. Grał razem z aktorami. Ale jakże uwagi umiał podawać dyskretnie. Nigdy się nie gniewał. Czasem cierpiał, jeśli się czego nie dociągnęło. Zresztą, to cierpienie, wynikające ze zetknięcia się nieuchwytnych tchnień poezyj z realizmem ich odtwarzania, było niemal nieodłącznem od uczuć każdego twórcy dzieł, większych ponad przeciętność. Wyczuwałam je i u Kasprowicza, i u Kisielewskiego, i u Rittnera... Może najmniej u Wyspiańskiego i Nowaczyńskiego. U każdego wyrażało się to czem innem. Czasem tylko drgnieniem twarzy, czasem spuszczeniem głowy na chwilę, czasem westchnieniem, u Wyspiańskiego — zapadaniem się pod ziemię. Nikt nie widział wtedy, ani kiedy, ani którędy wyszedł. Wiedzano tylko, że był z czegoś nierad.

I tak przy pracy zaczął się i utrwalił nasz stosunek z Przybyszewskim, który niebawem wywołał list następującej treści:

„Najdrożsi moi Państwo!

Gdybym był w stanie wypowiedzieć całe to gorące, serdeczne uczucie, jakie żywię wobec Was, za tyle serca, tyle piękna i miłości w Waszych sercach! To rzeczy, których się nie zapomina, nie w tym sensie, żebym łaskę Boga na Was zwoływał, ale taki objaw przyjaźni, takie piękne serce, i żona i ja, odczuwamy, jako najwyższe piękno. I za to, za tę pięk-

ność, którą tak silnie w tej chwili odczuwam, za to Wam dziękuję i tej nie zapomnę.

Moi najdrożsi, nie bierzcie mi nic za złe. W czwartek umawiałem się z *handlarzem* o Życie, zawlókł mnie do notariusza, handlował jak ostatni żyd.

(Przybyszewski był przez pewien czas redaktorem „Życia”, chodziło pewno o jakąś sprzedarz czy kupno).

Boże, Boże, jakie to wstrętne, brzydkie! Chodzą od dwu dni, jak struty, bo czuję, że dusza mi się kała.

Wasi całem serdecznem głębokiem sercem

Wasi Ducha Stach”.

List dla nas miły — nie pamiętam okoliczności, które go wywołały. Nie jedyny, bo pisywał często, — ale bardzo charakterystyczny.

Uczucie, serce; piękno i zachwył.

Handlarz, notariusz, interes, pieniądz: — wstręt, brzydota, pokalanie.

A jednak bez tego pieniądza jakże żyć? Jak jemu było żyć?

I oto, weksle — nigdy nie spłacone, pożyczki nie realizowane. Sprzedaż roboty na pniu. A potem: „Jeśli mi sztuki nie wystawicie zaraz, — pisze do męża do Warszawy, kiedy, po opuszczeniu Krakowa, objął kierownictwo w Teatrze Rozmaitości i szły pertraktacje o „Gody Życia”, — to dla mnie będzie niesłychana krzywda i zupełna ruina. Nagroda, jaką otrzymałem za „Odwieczną Baśń”, starczy za ledwo na zapłacenie długów — i z czego ja żyć będę?”.

Kiedy indziej: „Równocześnie z tym listem do pana, wysyłam, według Jego rady, list do prezesa o zaliczkę 200 rb. Jeżeli się na moją prośbę zgodzi, będzie to dla mnie jedynem i rzeczywistem wyjściem z przykrego położenia, zwłaszcza w czasie, w którym potrzebuję dużo spokoju do świeżo rozpoczętej pracy”.

A do mnie w Krakowie: „Jasna i słodka Pani! Będę pani niezmiernie wdzięczny, jeżeli pani będzie tak łaskawa i przyśle mi przez oddawcę tego listu 10 reńskich (!!), bo to już ostatni dług i muszę go natychmiast telegraficznie wysłać. Ścielę się u stóp drogiej pani. S. Przybyszewski”.

A takich potrzeb ciągle setki.

Trzeba przyznać, że wszyscy dzieliliśmy się, czem kto mógł, z Przybyszewskimi, byle im życie ułatwić. Oczywiście, bez rachunków i zakresu potrzeb. Czego było brak, na to zawsze znajdowały się środki.

Kiedys pisał: „Szanowna i droga Pani! Nie umiem pani powiedzieć, jak niezmiernie będę pani wdzięczny, jeżeli mi pani zechce pożyczyć firanek na trzy okna... (!!!).

Będę miał krewnych u siebie, a strasznie byłoby mi przykro pokazać im taki obraz zniszczenia, jaki przedstawia dziś dom mój”, bo już wtedy, niektóre rzeczy, umieszczone przez przyjaciół, którzy mu dom ten cały urządzili — sprzedał. Jednak przychodzi mi refleksja, że te „firanki”, z całym swoim mieszczaństwem, są jakoś tak w nas wszczepione, że nawet Przybyszewski turbuje się, gdy ich niema, i chce, żeby były. A wszyscy od Adama i Ewy ośmie-

szamy „paniusie“, które się przepraszają, że jeszcze „nie założone“, albo „już zdjęte“.

Oczywiście „firanki“ dostał ten biedny Belzebub, ale dostarczyła mu je nie córka szatana.

Dlatego wydaje mi się trochę bezwzględny ten jego satanizm, na który kładzie taki wielki nacisk jeden z najbliższych jego przyjaciół — Boy.

Przecież atmosfera naszego domu nie miała ani cienia żadnego satanizmu, a już najmniej „desperacyj“, a jakże dobrze czuł się w niej Przybyszewski.

Ileż razy przychodził, bez zaproszenia, przed naszym wyjściem do teatru i mówił:

— Kumciu, poslij po Duchę — może da się z teatru wrócić wcześniej — toby się trochę pogadało.

Wtedy, w teatrze, załatwialiśmy, oboje z Józefem, co było najkonieczniejszego, i wracało się do oczekujących nas obojga Przybyszewskich.

Bawiła u nas moja siostra, Helena Egerowa, ze śliczną córką, Fortunką, stypendystką wiedeńskiego konserwatorium. Tetmajer Kazimierz, który bywał ich gościem w Zakopanem, gdzie latem mieszkali, pisze do mnie: „Niech tam Fo na moją intencję gra Chopina, to maleńkie preludjum“.

Tymczasem była Fortunka, był Przybyszewski, była Dagny, wszyscy grający, a fortepianu nie było.

Ale był zato nasz przyjaciel, pan Jacek Hegenberger, pełen umiłowania muzyki i teatru. A jak dalece wsłuchany w kamerton domu, to przytoczę fakcik taki:

Słyszę rano jakiś niesamowity ruch na schodach.

Dzwonek, liścik i treść: „Odsyłam szanownej pani szpileczki, powierzone wczoraj mej opiece, a przy sposobności pozwalam sobie dołączyć pianino. Niech służy, dopóki będzie wola pani je zatrzymać”.

Tylko tyle.

Zaczęła się więc muzyka. I „małe preludjum” dla nieobecnego Tetmajera rzewnie grała Fortunka. I Dagny cudnie nam odtwarzała Griega, wyglądając przy muzyce, jak Ś-ta Cecylja Donatella, którą znamy wszyscy z reprodukcji, bo oryginał skrył zazdrośnik jakiś lord angielski w swych zbiorach.

I szalał Przybyszewski, włączając w zbolełe, pełne łez tony Chopina, własne warjanty, przepelnione całą zawieruchą swej schorzałej duszy.

A potem, przy herbacie, pamiętam rozmowę jego z naszą kuzynką, młodą kobietą, o ustalonych kanonach życiowych i wiarą w ich niezachwianą wagę.

— Świątynia — mówi Przybyszewski. — Białe kolumny, cisza. Dwu bardów na złotych strunach lir, grających boskie melodie, u wejścia. Ołtarz i ofiara miłości. To piękno.

— Jaki tam ołtarz, jaka ofiara, jakie piękno? Świństwo — ot i koniec!

Diskusja przecięta.

*

„Jestem panu głęboko wdzięczny za Jego życzliwość. Wiem, aż nadto dobrze, że wystawienie „Godów Życia” na repertuar jedynie panu zawdzięczam”, pisze Przybyszewski z Monachjum r. 1909 do War-

szawy. „Co zaś do „Odwiecznej Baśni“, to wierzę, że mi jej nikt lepiej nie wystawi, jak właśnie pan, który ją nazwał „opus primum et optimum“. I ja tę rzecz bardzo kocham i pisałem ją z wielką miłością, dlatego mnie cieszy, że właśnie pan, którego sąd wysoko cenię, w ten sposób o moim dramacie się wyraził. Wiem, że go pan wystawi z miłością i tym pięknym entuzjazmem pańskim dla dzieł, które pan szanuje.

Muszę jednak zrobić pewne zastrzeżenia co do obsady Sonki. Wprawdzie ta rola nie jest męczącą, ale wymaga nadzwyczaj rutynowanej i wytrawnej aktorki. W teatrze warszawskim jest dla moich dramatów tylko jedna aktorka: pani Przybyłko-Potocka.

Nie śmiem panu stawiać żadnych propozycji, ale byłbym rad, gdyby się pan podjął trudnej roli Wityna.

A teraz może pan wybaczy, że nadużywam Jego dobroci i zwracam się z prośbą do pana, by zechciał mi zredagować żadaną przez dyrekcję notatkę do jakiegoś pisma warszawskiego. Ja tych rzeczy pisać nie umiem, a jeżeli piszę, to w najwyższym stopniu niedołąźnie, albo też wywołuję najgorsze nieporozumienia.

Notatka musi być zredagowana łagodnie, bo odebrałem od p. Zelwerowicza list, z którego wnioskuje, że to jakiś strasznie nerwowy i biedny człowiek. Nie chciałbym, ani nie mógłbym, bo to już jest wbrew mojej naturze, mu szkodzić. Pan, z swoim ogromnym taktem, będzie umiał sprawą tą tak pokierować, że koza będzie cała i wilk syty“.

Z Zelwerowiczem, który prowadził teatr w Łodzi, były pewne dość ostre nieporozumienia, gorzkie nawet do niego żale, w sprawie dotyczącej pierwszeństwa przedstawienia „Godów Życia”, załagodzone, zresztą, przez Józefa zupełnie. A obawa, aby go żadnem słowem nie urazić, a broń Boże, „nie zaszkodzić” mu, to tylko znów dowód tej dobrotliwości, która ciągle, na wyścigi ze słabością woli, ujawnia się w jego naturze na każdym kroku.

A przecież ta wola musiała kiedyś istnieć przy studiach, przy nabywaniu wiedzy, przy pracy, z której żył.

Jakie zawieruchy życia ją kruszyły, kiedy słabnąć zaczęła, na to ja nie mam odpowiedzi. My znaliśmy już tylko człowieka chwiejnego.

Innym razem pisze:

„Szanowny panie! Wybacz pan, że się spóźniłem z odpowiedzią, ale miałem tyle trudów i zachodów z przeprowadzką. Jestem panu niewymownie wdzięczny za wszystko, coś pan w mojej sprawie zrobił i jestem mocno zakłopotany, czem ja się panu będę mógł za tyle trudów i tyle życzliwości odwdziaczyć.

„Gości” chcę wystawić B. Górczyński, na wolnej scenie przy teatrze Małym, jak mi pisał, już się podobno porozumiał z panem... Teatrowi Rządowemu, przed sześciu laty, ta jednoaktówka była złożona, a przez cenzurę zabroniona została”.

Pisaniny, irytacyj, nieporozumień było aż pół roku, zanim autor doczekał się nareszcie szczęśliwego ujrzenia swej sztuki. Słusznie wyrażał wiele wdzięczności Józefowi Kotarbińskiemu w tej sprawie, bo

ówczesny prezes Teatrów Warszawskich, Małyszew, mało miał względów dla autora, o którego znaczeniu w literaturze, talencie, a i o konieczności grania jego sztuk na scenie Rozmaitości, musiał go długo a umiejętnie przekonywać. Potem jeszcze, w lat parę, w r. 1913, Przybyszewski pisze z powodu jubileuszu mego męża:

„Racz pan przyjąć jak najgorętsze moje życzenia, by jeszcze przez długie lata praca pańska była tak bogatą i owocną, jak dotychczas.

Zresztą, nie potrzeba się o to lękać. Pan należy do tych ludzi, którzy pozostaną wiecznie młodzi.

W Was, tej niby to starszej generacji, — tkwi właśnie ta niespożyta siła, która ani wiekiem, ani też czemkolwiekbądź, się nie zużywa.

Z całego serca ściskam dłoń pańską. Stanisław Przybyszewski.

Rothenburg, 15 maja 1913.

Dla towarzyszek pańskiej, żony jego, ukłony i pozdrowienia“.

A moja notatka na marginesie listu brzmi: Dziad do obrazu — obraz ni razu.

Dlaczego? Dlaczego po tym liście „Najdrożsi“ i „Wasi całem serdecznem, głębokiem sercem“, były już listy tylko: Wielmożny albo Szanowny panie. Dlaczego? Dlaczego coś przeszkadzało w powtórzeniu słów, które same dawniej spływały z pióra?

Oto dlatego, że przy samym końcu sześćciolecia dyrektury Józefa Kotarbińskiego w Teatrze Krakowskim, tego dyrektora, który potrafił dać sztukę oryginalną nawet słabą, świadomie raz jeden, byle ją

pokazać młodemu autorowi na scenie, „bo gdzież ja zobaczy i wyczuje błędy w niej popełnione, jeśli mu jej nie dam ja, a ma niezawodnie talent”, — tego dyrektora, dla którego twórczość oryginalna i piecza nad nią były linją wytyczną całej działalności życia, tego właśnie dyrektora jakiś poranny numer pisma codziennego powitał protestem przeciwko dalszemu objęciu przez niego teatru krakowskiego, o który się, notabene, ani podawał, ani starał. Ten i ów namawiał, ten i ów pragnął nawet, żeby Józef Kotarbiński nadał postawił swą kandydaturę, ale on się do tego nie kwapił.

Na tym proteście, który znów „trochę życia skwaśił, lecz gwiazdy naszej nie zgasił”, było i imię Stanisława Przybyszewskiego.

Ale nie było ani Rittnera, ani Nowaczyńskiego, ani Tetmajera, ani Krzywoszewskiego, Kisielewskiego, Górczyńskiego, ani Kasprowicza, Galasiewicza, Kozłowskiego, Mańkowskiego, Rossowskiego, Germana, ani Konczyńskiego, ani Przybylskiego.

Dość o tem. Bo to jednak było bolesne.

Można nad wieloma rzeczami przejść do porządku dziennego, bo w życiu są ważniejsze sprawy nad ciągłe dochodzenie sprawiedliwości i ważenie drobnych uraz, nieodłącznych od życia, o ile chodzi o siebie.

Józef potrafił zawsze przejść ponad tem. Ale ja nie byłam na jego miarę, zwłaszcza, jeśli wchodziła w grę jego krzywda. Pierwszy też raz, kiedy spotkałam się z Przybyszewskim powiedziałam:

— Nie podaję panu ręki, bo na to jedynie pozwo-

lić sobie mogę, żeby nie ścisnąć rąk, które podpisywały akt, krzywdzący mego męża.

Ze mną stosunek był odtąd zerwany.

Józef, jak zwykle, co wykazuje cała wyżej przytoczona korespondencja, przestawał istnieć osobiście wtedy, kiedy kierownik literacki wskazywał mu dobro teatru.

Wszystkie zwroty do mnie, w każdym liście, zostawały bez echa z mojej strony. Wszystkie zetknięcia bez powitań, mimo parokrotnej interwencji Miścińskiego w tej sprawie. W dwadzieścia trzy lata dopiero podałam mu rękę, kiedy, zaproszony na posiedzenie „Straży piśmiennictwa polskiego” przez Zarząd „Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich”, do którego mam zaszczyt należeć, wszedł na nasze zebranie. Przyjął to z wybuchem serdeczności, co mi było bardzo miłe, opowiadając, że moja chrzestna córka jest już matką, że ma niebawem przyjechać, i że wtedy oboje będą u nas. Przyjechała, ale już tylko na ostatnie pożegnanie zamkniętej trumny, którą składała na ziemi Wielkopolskiej.

*

W korespondencji jego nie brakło nieszczęsnych dokumentów piekła, jakie mu los na koniec dni zgótował — po ożenieniu się po raz trzeci.

Z Monachjum pisze, że otrzymuje list, w którym Józef potwierdza wysłanie, na jego imię, przesyłki pieniężnej, a potem taki ustęp:

„Wysoce przykro uderzył mnie na samym począt-

ku zwrot w liście pana, że w domu mógł mi ktoś listu nie doręczyć. Do kogo insynuacje te zwrócone? Przecież pan wie, że ja tylko z żoną mieszkam. Czyżby zatem do mej żony, z którą pospół pracuję, wszystko z nią omawiam, która tylko mego dobra pragnie, przed którą żadnych tajemnic nie mam?

Nie chcę przypuszczać, by Sz. Pan chciał tak niegodną obelgą żonę moją skrzywdzić, proszę więc o wyjaśnienie tego zwrotu, co on miał znaczyć?" Data 11.XI.1909.

— Odebrałem list od Przybyszewskiego — czytaj. Albo był pijany, kiedy go pisał, albo zwarjował.

A zaraz nazajutrz przychodzi list drugi: data 12.XI.1909.

„Szanowny Panie! Wiem, że zaufania, jakim pana darzę, pan nie zawiedzie. Zdradzam więc panu moją krwawą tajemnicę, ale wyświetli panu dużo rzeczy, które na kark mój spadają, a w których ja najmniejszego udziału nie biorę.

Otóż: Żona moja jest psychicznie ciężko chora, jest to psychoza, granicząca z obłędem; ponieważ nie jestem w stanie oddać jej do jakiegoś zakładu leczniczego, więc muszę robić wszystko, by stanu jej nie zaostrzać, nawet rzeczy takie, które mnie w fałszywym świetle wobec świata stawiają i niezmiernie mi szkodzą.

Zapewne niemile musiał pana uderzyć rozdrażniony ton moich listów, to nie moje listy, drogi panie, to listy lekarza, który chce swą pacjentkę, coüte que coüte, uspokoić. Pańskie, dla mnie jak najjaśniejsze wyrażenie, że chyba mi w domu listu nie doręczono,

wywołało u mej żony atak manji prześladowczej — jest absolutnie przekonana, że pan ją posądza, iż moje listy przejmuje i tem samem obelgę jej w twarz rzuca. Aby ją uspokoić, napisałem wczoraj list do pana. Miałem już z tego powodu strasznie przykre zajście, bo nie każdy wie, że stan mej żony graniczy z obłędem, a nie do każdego mogę pisać tego rodzaju list, jaki do pana teraz piszę. Mój drogi panie Józeffie, gdyby nie ciężka litość nad tą obłędną histerją, gdyby nie przeświadczenie, że tą ciężką pokutą mąż grzech mój, dawnoby mnie nie było.

Listy, pisane do mnie, wszystkie żona czyta, bo jest przekonana, że zewsząd ludzie spiski na nią knują. Zechciej pan zatem pisać do mnie jak najogólniej, a nawet na podstawie wczorajszego listu mego niech *mnie* pan traktuje w ten sposób, jakoby był pan mojem zdrowiem zaniepokojony. Tą metodą uzyskałem znaczne polepszenie w stanie choroby nieszczęśliwej kobiety.

Do jakich powikłań doprowadzić może nieszczęsna choroba mej żony, najlepszym dowodem, że bez mej wiedzy znalazło się moje nazwisko pod onym protestem, a list żony pana, pisany w tej sprawie do mnie, znalazłem przypadkowo w starych papierach *przeszłego* roku, nadszedł, gdy byłem ciężko chory i nieprzytomny.

Zrzuciłem sobie ciężki krwawy ciężar z serca, a dowodem mego głębokiego szacunku i zaufania do pana jest właśnie ten mój list.

Przybędziemy razem do Warszawy, bo jej ani na chwilę zostawić nie mogę, dziś przypadkowo się zło-

żyło, że znalazłem się parę godzin sam na sam. Prawdopodobnie, zetknie się pan z moją żoną.

Niech się pan odnosi do niej jak najżyczliwiej, wyrazi mi pan wielką przysługę, nie już jako człowiekowi, ale jako artyście, który potrzebuje spokoju do pracy.

To jest kobieta nawskroś dobra, ale ta nieszczęsna choroba czyni ją złą.

Jeśli pan jeszcze odpowie na mój wczorajszy list nie wysłał, to będę panu bardzo wdzięczny, jeśli pan do mnie napisze parę słów mniej więcej w tym sensie: „Jestem zaniepokojony o pana: jak mógł pan przypuszczać chociaż na jedną sekundę, że ja chciałbym jakąś insynucję na żonę pańską rzucić, mogłem co najwyżej przypuszczać, że służąca list zagubiła i t. d....”

Drogi Panie Józe! Mnie wstyd pana o tę przysługę prosić, ale to jedyny sposób ratowania chorej od zupełnego obłędu, a mnie od zguby. A ja jestem teraz w pełni mego artystycznego rozwoju. Tak przynajmniej mi się zdaje.

I, niech Bóg broni, by się chora kiedy dowiedziała, że ten list do pana pisałem. Wtedy wszystko przepadło. Nietylko to, ale choroba jużby się beznadziejnie zaostrzyła. I pamiętaj pan, że każdy list, który do domu przychodzi, żona czyta. Pomóżcie mi, drogi panie Józefie, a będę Wam wdzięczny do końca życia.

Wszystko inne, o ileby to pana obchodzić mogło, a raczej, o ile ja jeszcze pana obchodzę, powiem mu ustnie.



Siostry Dagny Przybyszewskiej.

Dla żony pańskiej ucałowania rąk, dla pana uścisk dłoni i wyrazy jaknajgłębszego szacunku. Stanisław Przybyszewski”.

Najnieszczęśliwszy, najbiedniejszy z ludzi, który *taki* swój los niósł, aż do śmierci.

*

A Dagny? Dagny Przybyszewska?

Smukła, wiotka, spokojna w ruchach, poważna w zachowaniu, z głową kształtną, gładko uczesaną, twarzą ładną o regularnych rysach, z oczyma napoły przysłoniętymi cienką powieką i długą rzęsą.

Ubrana, przepraszam, zaledwie odziana, skromnie, prawie ubożuchno. Czasem jakaś lepsza szmatka, kawałek aksamitu czy materji. To dary siostry, która, od czasu do czasu, nadsyłała błogosławioną paczkę z podarkami.

— Więc miała siostrę? — pyta ktoś zdumiony.

— Miała. Miała nietylko jedną, miała trzy siostry. Miała nawet rodziców, legalnie pobranych, rozumnych, starannie chowających panny, mających własny dom i grono przyjaciół. A w domu tym i fortepian, i krosna, i nuty, i artystyczne drobiazgi na półkach, i fotografie drogich osób w ramkach — nad kanapą, na której dwoje ślicznych wnucząt śmieje się rozkosznie, nawet jeszcze nie do życia, do siebie samych i do matki, która pewno, uszczęśliwiona ich widokiem, pokazuje laleczki czy łakocie zdaleka, aby wywołać te błogie uśmiechy, utrwalone w tej właśnie chwili.

Dagny, przy pożegnaniu, dała mi podobizny swego gniazda — patrzę na nie.

Na jednej duży dom z ocienionym gankiem, duże okna z firankami. Lato. Wszystko tonie w bujnej zieleni. Przed domem liczne towarzystwo obsiadło stół, starannie nakryty. Jedna z domowych panien nalewa kawę, domownica, w białym fartuszu, będzie ją za chwilę roznosiła.

Matka, pawno ciotki—bez nich niema domu rodzinnego—pewno przyjaciółki; jedna z córek, już z dzieciątkiem paroletniem na ręku, obok męż jej, i ojciec rodziny z cygarem w ręku. Czy mi się zdaje, czy idzie myślą za jego dymem dalej i dalej.

Któż wie, o czem myśli, czy nie myśli o tej, której tu niema wśród nich, a którą pewnie musiał kochać najwięcej. Musiał. Nie mogło być inaczej.

Dagny tam niema.

Frunęła w świat. Coś ją z domu gnało i pognało.

Dom był muzykalny, panny utalentowane.

Co robią w domu?

Jedna przy pianinie. Piękna, z ręką, która umie pieścić klawisze, przed nią zamknięty zeszyt nut, na których czytam: „Die Walküre”—R. Wagner:

Druga przy tkackim warsztacie, robi dywan na krosnach.

Jeszcze jedna o cienkich rysach, z wyrazem spokoju, szczęścia,—książka w ręku, w wygodnym fotelu na werandzie.

Wszystko tam tchnie spokojem i ładem. W domu tym wszystko świadczy, że w nim „porządek mieszka i dostatek”, że życie pójdzie normalnie, koleją, o któ-

ra tu dbają, żeby była prosta, równa, jak Bóg przykazał.

Wtem, na drodze, przy studjach nad muzyką, w Berlinie, Dagny poznaje Przybyszewskiego.

Odtąd los ją bierze w swe szpony.

Kocha bez pamięci. Jest kochana. Ma dwoje ślicznych dzieci. Zenona i Iwi, której prowadzenie do chrztu, po przyjeździe do Krakowa, mnie powierza.

Czteroletnia dziewczynka, podobna do ojca, idzie do ołtarza przez kościół, jak mała księżniczka. Dumna widać z obrzędu, którego jest bohaterką, i nowej sukienki, w której jej ślicznie. Z główką podniesioną. Pełna dystynkcji, dostaje na chrzcie imię Jadwigi.

Pani Dagny najchętniej mówi po niemiecku. Ja mówię słabo, ale jakoś się rozumiemy. A kiedy podziwiam jej równowagę życiową i spokój, powiada mi z łagodnym uśmiechem i głosem stłumionym:

— „Doch habe ich auch manchmal Wuhtanfälle“.

Boże! Jak to do niej niepodobne. Czy to nie ja przypadkiem powiedziałam.

A jednak nie ja — tylko ona.

Dziwiłoby się można, gdyby napady „wściekłości“ miewała nietylko czasami.

Boć to wszystko, co było istotą ich życia, o nią bezpośrednio się odbijało.

A więc, w pierwszej linji — jego nieszczęsny nałóg. Wśląd za tem idący brak. Gonitwa za zdobyciem grosza. Wysiadywanie nocą w knajpie. Dom w bezładzie. Dzieci ze służącą.

Poco z nim ciągle tam była?

Bo godziny nie mógł się bez niej obyć.

Czy z nim razem piła, jak opowiadano?

Przenigdy! Piła kieliszek koniaku, przy czarnej kawie, może dwa, trzy, cztery. Ale to przecież kobieta z północy. Nie piła więcej, niż jak to robi sto kobiet w kompanji, w której krążą kieliszki—i nikt nie mówi o nich, że „piją”.

Kiedy mąż, istotnie, duszę topił w alkoholu z „dziećmi szatana”, bo w tych wypadkach słusznie ta nazwa należała się jego wielbicielom, którzy w ten sposób razem z nim zatracali rozum, może sumienie, w wódce, Dagny grała w bilard, oczekując końca biesiady i zabierając nad ranem nieprzytomnego męża do domu.

I czy kiedykolwiek wyszło z jej ust słowo skargi? Czasem z półuśmiechem jakby niechący wymknęło się:

— Ach, tak, ciężko jest.

Ale zaraz różne fakty, które mają to ciężkie zmienić w lżejsze.

„Stachu” ma mieć odczyt. Powieść ma zamówioną. Dzieciom siostra wszystkiego przysłała, co im na razie potrzebne i tak dalej...

A czemu poddawała się niewolniczo trybowi tego życia? Czemu nie protestowała? Czemu nie odcięła się od tego, co wiedziała, co wiedzieć musiała, że prowadzi do jakiegoś zatracenia, jakiejs nieuniknionej zaguby i jego, i jej, i dzieci?

Czemu?

Bo „pon jest taki, a jo taki“, powiada Czepiec Wyspiańskiego z chłopską logiką.

Taka była. Nic innego. Wszystkie snąc atawizmy stuleci złożyły się na bezoporność tej kobiety.

Inna możeby się otrząsnęła z tego fatalnego od-mętu. Możeby nawet wyratowała zeń męża. Może znalazłaby leki na jego chorą duszę. Inna. Ale nie ona.

Dagny była bierna. Fala życia niosła ją — bez oporu.

Umiała wszystko znieść, wszystko przeżywać bez szemrania, bez słowa wyrzutu.

Nigdy żalu, nigdy poczucia własnej krzywdy. Zawsze pełne godności zachowanie, jakby na potwierdzenie słów Tomasza a Kempis: „Kto ma miłość prawdziwą i doskonałą, ten w niczem nie szuka siebie“.

Ileż pięknych wieczorów spędziliśmy razem. Za Przybyszewskimi ciągnął zawsze sznur satelitów. Zjawiał się przed wszystkimi „Stasinek“, Stanisław Sierosławski, pracownik z redakcji „Czasu“, nieodstępny, rozkochany w Mistrzu do zatrąty własnej często przytomności, ale prawdziwie gotów zawsze do usług, czasem do poświęceń. Janikowski, urzędnik wysoce inteligentny, Konrad Rakowski, krytyk teatralny, człowiek o dużej literackiej kulturze, i Emeryk, słuchacz Wszechnicy Jagiellońskiej, który tak straszną miał spełnić niebawem zbrodnię. Chłopak młody, entuzjasta. Beniowskiego całego umiał na pamięć. W Szwajcarii, na pamięć. Tadeusza — na pamięć.

Nigdy nie zapomnę mąk Tantala, do jakich mi raz dał powód. Po kolacji, na której krążyły nie kielichy, a skromne szklaneczki do piwa, przeszliśmy na czarną kawę do pokoju Józefa. Okna były otwarte. Na niebie, jasnym od księżyca, rysowała się wieża Marjacka. Emeryk, w jednej chwili, znalazł się na parapecie, spuszczaając nogi poza okno. Struchlałam, bo mieszkaliśmy na trzecim piętrze.

Nie było mowy o napomnieniach, bo już mówił:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą;
I wszystkie źródła po murawach dyszą.
Jakby ta gwiazda chciała coś nakazać,
I o czemś cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i kwiatem.

On miał lat dwadzieścia.

A my, wszyscy, jeszcze pamiętaliśmy dobrze, żeśmy także mieli swoje lat dwadzieścia. Więc kto mógł mu przerwać, kiedy dalej, jak słowik zasłuchany we własne tony, mówił:

O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą!

Kochał się już w Dagny, więc w dzień chodził na Uniwersytet, na którym pewnie byłaby go jedynie obchodziła literatura skandynawska, a wieczór, gdzie i kiedy mógł, deklamował Słowackiego. Był sympatyczny, wszyscy lubiliśmy go bardzo. Tymczasem, zaczęło się już dzieć to, co się dzieć musiało. Jeszcze jeden wieczór u Przybyszewskich, na których ro-

binny składkę i przynosimy nietylko pieczywo, wędlinę, piwo, ale przynosimy talerze, noże, widelce i łyżeczki, nie wyłączając cukru i herbaty.

Jeszcze wieczór u p. Pareńskiej, nieopisanie hojnej, w razach składek i pomocy. Jeszcze u nas obiad, jeszcze herbata. Ale już list: „Niech pani będzie tak dobra odesłać mi wszystkie zeszyty „Pana“, bo je sprzedałem, a nabywca się o nie dopomina“. Już idą obrazy ze ścian, dary przyjaciół-malarzy, już meble „za grosze“ kupujemy, choć dajemy trzykrotną cenę szacunku, za co mamy list dziękczynny.

Dom się likwiduje, bo co?

Bo ludzie dopomagali, póki mogli. Przestali, bo jeden wyjechał, drugi nie mógł, trzeci już nie chciał. Anormalna sytuacja zmęczyła normalnych ludzi. I scichła muzyka, i nie było wierszy, i biedna Dagny z dziećmi jechała do Zakopanego. Dlaczego? Poco?

Jechała do pensjonatu, do nowego środowiska, gdzie znów jakiś czas będzie sztuczna egzystencja po to, żeby się tak likwidowała, jak ta, która minęła.

A przecież to była ta czwarta córka z tego domu, w którym panny miały kuli dla pracy, bo bez niej nie przyswoiłyby sobie Wagnera, nie zbratały z książką, nie ruszały krosen, na których tkwały rodzimych wzorów desenie.

Droga, biedna Dagny, o której myśleć bez najgłębszego wzruszenia nie mogę...

Biedna Dagny, która tyle z zacnego domu wyniosła, a tu nie wierzono, nietylko, że była z jakiegoś domu, ale nie wierzono nawet, żeby miała wogóle rodziców.

Ot! Zleciała z powietrza, niewiadomo skąd. Może strzyga.

Odjeżdżała, jak zawsze, spokojna, ale smutna.

Dała mi fotografie domu i sióstr swoich. Dała mi dwa szwedzkie stare lichtarze, wytłaczane w mosiężnej blasze. „Są z mego domu, niech je pani zachowa”.

Widzę ją w tej chwili, siedzącą na tym fotelu, który stoi przedemną, a na którym tak ładnie się rysowała jej szczupła sylwetka w skromnej czarnej sukience. Patrzę na te lichtarze, które kochała, bo były jej domu przypomnieniem, i myślę, że może mojej chrzestnej córce będzie to miłe, jeśli się dowie, że ktoś jest, co pamięta mękę żywota jej Matki, że ktoś jej imię wspomina z serca drżeniem, że nie złorzeczy jej ojcu, jak ona nie złorzeczyła, ale że boleje nad nieszczęściem, które zawisło nad życiem tych dwojga niepospolitych, bogato od natury obdarzonych, a tak biednych ludzi.

✱

Potem jeszcze dużo przeszliśmy chwil tragicznych. Tyle krwawych ran dały ludzkim sercom, że opisywać je byłoby okrucieństwem. Nie można. Biedny Przybyszewski padał ofiarą swej bezwoli. Ktoś się szamotał, ktoś cierpiał, ktoś zacisnął się w niemej rozpacz, ktoś bez jęku niósł swój los. A ktoś się strzelał.

*

O 4-ej po południu, jakiejs cichej niedzieli, bo, jak na brać roboczą przystało, zawsze była chwila wolnego czasu w tym dniu, wszedł, chwiejąc się i idąc pod ścianą — Przybyszewski. Objęłam swoją rolę pielęgniarki — trzeźwiłam go kawą czarną i syfonem. Wracał, z chwilowego i przypadkowego pobytu we Lwowie.

Wyszeptał mi wtedy, przerywaną długimi pauzami, urywanymi słowy — spowiedź, świadczącą o istnieniu faktu, który musi spowodować jakąś przełomową fazę w życiu, co najmniej — czworga ludzi. Szczegółów tych zwierzeń nie ujawniam. Są zbyt bolesne.

O 9-ej wieczór dzwonek. Wchodzi pan Rudolf Starzewski.

— Szukałam pani w teatrze. Łoża pusta, więc przyszedłem. Czy nie przeszkadzam?

— Na mnie czas, — mówi zupełnie już wytrzęwiony Przybyszewski i wychodzi.

— Co tu pod bramą może robić, w karetkce, pani K.? — pyta Starzewski.

On nie wiedział. Ale ja w tej chwili dopiero uprzytomniłam sobie, że od 4-ej po południu do 9-ej wieczór, na dole, czekała ta nieszczęsna, oszalała kobieta, która rzuciła dom, męża, dzieci, o której Przybyszewski zapomniał, że tam liczy minuty, długie jak wieki, a o której opowiadając, powtarzał, na pół przytomnie: „święta, święta”.

Pobytu w Zakopanem nie było czem opłacić, więc jego termin musiał się skrócić.

Dagny jechała do Warszawy z synem. Po Iwi przyjechała jej bezdzietna zamężna siostra i zabrała dziewczynkę do Szwecji.

*

A w Warszawie?

W Warszawie powtarzała się ta sama historia, co wszędzie, gdzie osiedli Przybyszewscy.

Ten przez prawdziwą ocenę i uwielbienie dla wielkiego talentu, ów przez ciekawość, ktoś jeszcze przez snobizm, otaczał Przybyszewskich.

Trzymało się to jakiś czas, potem rwało się i urwało.

Nie można było żyć bez stałej pracy i zarobków w dużem mieście. Zresztą, któż to mógł coś unormować tam, gdzie się wszelką normalnością gardziło. Emeryka ojciec był bogaty. Miał tereny naftowe na Kaukazie. Syn miał osobny, własny domek, i ten ofiarował na lato do rozporządzenia Przybyszewskich.

Nie było wyboru. Przybyszewski pojedzie do Łwowa, zapewne dla ładzenia narzuconych mu najniepotrzebniej zobowiązań, bo, według mnie, zawsze kochał jedynie Dagny. Ona więc, z synkiem Zenonem i z Emerykiem wyjadą zaraz, Przybyszewski nadjedzie tam niebawem.

*



Dom Dstwa Juel w Christjanji, rodziców Dągny Przybyszewskiej.

Słońce zaglądało do sypialnego pokoju. Nie dało spać. Czytałam.

Dzwonek.

— Co to? Dopiero 6-ta rano.

— Proszę pani — pan Przybyszewski.

Zrywam się. Lecę.

W kacie przedpokoju, jak wrośnięty w ścianę, stoi Przybyszewski. Błady, usta spieczone. Podaje mi bez słowa — depeszę:

„Dagny zabita w Tyflisie. Przyjeżdżać natychmiast”.

Jechał ze Lwowa. Dałam wszystko, co miałam w domu, bo, oczywiście, musiał być bez grosza.

Nie powiedziałam nic, ale pomyślałam: Zbierasz, biedaku, coś posiał!

To dobre, pełne uroku stworzenie, ta egzotyczna istota, ta droga Dagny, zawleczona znów, nową jakąś zawieruchą na nowe, zawodne koleje — ginęła z ręki szaleńca, Emeryka, który z nią życia dzielić nie mógł, a bez niej żyć nie chciał. Zabił ją i siebie.

„Wychodzi, jako kwiat, i skruszony bywa. A ucieka, jako dzień, i nigdy nie trwa w tymże stanie”.
Job. XIII.2.

NA DUŃSKIEJ WYSPIE FANÖE.

„pijem gorycze
wszyscy — jeno, że z nas nie wolno nikomu
ust odchyłać — niech zawiść ta w nas się przetrawi,
a ci, co po nas przyjdą, niech zapomną;
niech im pamięć nasza ócz nie łzawi;
niech powiedzą, że byliśmy śmieli i prawi”.
„Lelewel”

Stanisław Wyspiański.

Tego znużenia i wyczerpania moralnego, jakiego doznaliśmy oboje w ostatnich miesiącach pobytu naszego w Krakowie, łatwoby znaleźć przyczyny. Opisać trudniej, bo, w znacznej mierze, niewytłomaczalne były powody, które je zwiększyły.

Bogiem a prawdą, może nie warto dociekać. Były jakieś machinacje poza nami. Były, minęły. Komuś wyszły pewno na dobre. Komuś na złe. Któż wie-dzieć może? Fala przeszła. Życie trwało. Ale na-reszcie fizyczne wyczerpanie mego męża było tak silne, że doktor kilkakrotnie ostrzegał mnie, w końcu mówi:

— Dziś będę w kulisie cały wieczór, bo rola ciężka, boję się o pana dyrektora. Musi wyjeżdżać natychmiast.

A tu bardzo nam życzliwy, ale bojący się jakiegoś skandalu, słusznie zresztą, przy zakończeniu rachunków i rozpłaceniu należności, nasz dyrektor administracyjny, który był jednocześnie urzędnikiem banku, więc mu chodziło i o własną opinię, pisze do mnie kartkę:

„Wyjazd dyrektora jest niemożliwy, niema na to pieniędzy. Zresztą cóżby ludzie powiedzieli, że na wyjazd jest, a na spłatę należności brak”.

„Coby powiedzieli?” — to był zwrot, którego nigdy w życiu nie użyłam, a tem więcej mój mąż. Słuchaliśmy własnego sumienia.

Mieliśmy swoją, szanowaną przez nas wewnętrzną prawdę, której staraliśmy się nie kłamać i nie kłamaliśmy jej nigdy, bez jakiegś bardzo ważnej przyczyny. Więc i tym razem zostałam głuchą na wszystkie „coby powiedzieli”, bo moja „wewnętrzna prawda” woła: Ratuj przede wszystkim męża! A wyjazd był środkiem tego ratunku. Poleciałam więc administracji wypłacenie pieniędzy na rachunek zaległej nam od pół roku pensji, i po paru dniach, po pożegnalnem przedstawieniu, które się odbyło w sobotę dnia 17 czerwca 1905 r., Józef wyjechał do Karlsbadu. Życie jego było mi ważniejsze nad wszystkie względy, więc z żelazną stanowczością wolę swą przeprowadziłam, będąc w sumieniu pewna, że, mimo to, nikomu krzywdy nie zrobię.

Odebrał, jeszcze na wyjeździe, miłą depeszę z Monachjum od Piotra Stachiewicza, nie żałującego

nigdy dobrego słowa, komu się należało, w której pisze:

„Z powodu pożegnalnego występu, szczerzy żal, że takowy ma miejsce, a gorące wyrazy uznania i wdzięczności za dwunastoletnią wybitną i niepospolitą działalność w Krakowie”.

Jeszcze byliśmy oboje zaproszeni na wieczerzę do Koła Literackiego w gronie elity umysłowej. Tam prof. dr. Kazimierz Morawski, człowiek żyjący doba bieżącą, a jednak z epoki złotego renesansu polskiego, humanista, jeden z najświatlejszych i najszerszych umysłów, jak mówił mój mąż, żegnał go w przepięknych słowach, których nie zanotowałam, bo już na to nie starczyło spokoju.

A nie mogę też przemilczeć, że prof. dr. ks. Pawlicki, ten zmartwychwstały grek, wyznawca Platona i epikurejczyk, powiedział mi niezapomniane słowa uznania za wspólną z mężem pracę, co poczytywałam sobie za wielki zaszczyt i dorobek moralny.

Wierny sobie i swej wewnętrznej prawdzie, Józef Kotarbiński scenę krakowską żegnał „Horsztyńskim” Słowackiego i „Helwią” W. Okońskiego (Aleksandra Świętochowskiego). Grał Horsztyńskiego. Nie, on go nie grał. On był w każdym calu Horsztyńskim. Wielki pan, bez pychy, ale z tą dumą rodową, wielkimi pięłęgowaną i strzeżoną, jak oko w głowie, która, wobec bolesnego zawodu, niezna żadnego zewnętrznego drgnienia. Wyraża go jedynie ciszą i kamiennym spokojem.

Józef wyjechał. Zostawałam w Krakowie „dla ukończenia interesów”.

Mój Boże! Przecież nie umiałam ich zaczynać, a musiałam kończyć.

Jedyny interes, który naprawdę umiałam prowadzić — to życie. Rentował mi się też rzetelnie. Dał mi w zyskach: szczęście.

Orientowałam się jednak dobrze, że cała kaucja i bardzo nisko oszacowany nasz inwentarz pójdą na pokrycie należności w magistracie, i nam z tego nie dostanie się nic. A zrealizowana polisa i subwencja osobista — na dopłacenie gaży i paru należności osobom prywatnym. Zwołałam tedy wszystkich kupców, którzy mieli niewypłacone rachunki za dostawy do teatru, bo długów osobistych nie mieliśmy nigdy ani grosza, i, przepraszając, że na razie należności ich zaspokoić nie mogę, zrobiłam im taką propozycję:

— Albo panowie weźmiecie cały nasz dom, jak jest ze wszystkim, wystawicie na licytację, a, niewiele stąd osiągnąwszy, podzielicie się tem, biorąc od nas zapewnienie na pokrycie reszty należności i spłacenia jej w ratach, w miarę naszych zarobków w Warszawie, — albo, zawierzycie nam, że będziemy spłacali rzetelnie to, co wam się należy, z umówionemi procentami, aż do wyrównania rachunków.

Zawierzili.

Wtedy zaczęłam pakować naszą chudobę, co należało robić prędko, bo mieszkanie nasze wynajął i obejmował nasz następca: dyrektor Ludwik Soleki.

Wśród pak jeszcze snuły się kwiaty. Na pakach jeszcze bywała herbatka, bo moje drogie domownice, Marysia, doskonała kucharka i bardzo dobra kobieta,

i panna Andziuleczka kochana, nie odstępowały mnie i szczerem mojem wzruszeniem a ich łzami pieczętowałyśmy nasze rozstanie. Przyjaciół i kilka dobrych kobiet także miałam koło siebie. Ale miałam i chwile ciężkie.

Natychmiast po objęciu teatru pojechaliśmy szukać Gabrijeli Zapolskiej w Krynicy, bo tam była na kuracji. Józef omawiał z nią sprawy teatralne. A kiedy po ich ukończeniu zbieraliśmy się w hotelu do odjazdu, wszedł ktoś, nawet bez pukania, i — rzucił się Józefowi do nóg.

— Ratuj mnie dyrektorze, mam dzieci! We Lwowie mnie nie zaangażowano, jestem bez chleba, mam długi.... i t. d.

Józef znał go, wiedział, że jest człowiek pracowity, zdolny i uczciwy, więc wyszedł od nas szczęśliwy, uspokojony, z zapewnionem miejscem w teatrze krakowskim. Był w nim sześć lat. Dzieci wychował, długi spłacił. Pracował rzetelnie. Był zawsze u nas przyjmowany wśród naszych przyjaciół. W ostatnich miesiącach nie wypłaciła mu kasa 800 koron, należnych za przeróbki sztuki i dodatkowe prace, nie negując należności, którą stawiano na pierwszym miejscu przy likwidacji rachunków.

Doktór, zalecając natychmiastowy wyjazd memu mężowi, polecił mi, aby żadna wiadomość niepomyślna go nie dochodziła. „Bezwzględny spokój potrzebny dla serca”. — Polecenie w pełni dokonywane.

Tymczasem, pewnego ranka odbieram dużą przesyłkę z Karlsbadu, a w niej jakieś papiery i list me-

go męża: „Lucuchno! Co to znaczy, że mi X. X. przysyła jakiś pozew. Nic tego nie rozumiem, może to załatwisz”.

Tak jęknęłam boleśnie, że Andziuleczka przerażona przyleciała już z gotowym płaszczem.

— Gdyby mnie! Gdyby kto inny! Ale Józefowi. I to *ten* człowiek właśnie!

Gorzka była pigułka.

Oczywiście, wiara, że się „to załatwi”, dawała, na szczęście, memu mężowi spokój i pogodę myśli.

Pisał mi też, że „w Karlsbadzie jest przemiła a zajmująca i śliczna p. Bronisława Natansonowa, nasza przyjaciółka po dziś, i że razem z Aleksandrem Świętochowskim we trójkę spędzają niezapomniane chwile”. Ale także pisał: „Moc wiewiórek tu na drzewach i rybek w basenie, mam używanie”.

Do tego, który mi tak srogi zrobił zawód, nie przemówiłam nigdy więcej słowa. A spojrzenia, jakim uprzedziłam jego powitanie, spotkawszy go w teatrze, gdzie jeszcze w kancelarji codzień bywać musiałam, nie zapomniał pewno nigdy.

Józef, będąc w Warszawie kierownikiem literackim, mimo to, brał jego przeróbki i tłumaczenia, dając mu zarobić, a prośba o przebaczenie, które przysłał do nas obojga, była naturalnie wysłuchana.

Drogi mi dom prof. Rostafińskiego i czuła troskliwość o mnie dobrej jego żony nie odstępowały mnie. Mimo to nie mogłam skorzystać z ich zaproszeń na resztę dni pobytu, bo musiałam do ostatka być pod adresem, pod który zgłaszali się do mnie interesanci, dla podpisywania różnych dokumentów i zobowią-

zań. Więc mój dobry gospodarz, p. Maschler, którego żona wyjechała na kurację, a pod którego dachem mieszkaliśmy lat dwanaście, ofiarował mi pokój. Z małym jaśkiem pod głowę na sofce, a prześcieradłem kąpielowem zamiast kołdry, bo wszystko było już spakowane, spędzałam noce w doskonałym twarym śnie, mając widocznie „czyste sumienie i zdrowy żołądek”. Kłopoty się nie liczyły, bo sił było jeszcze dużo do ich załatwiania.

Po obrachunkach Magistratu i wypłatach należności, złożeniu rzeczy na składzie — zostałam bez grosza.

Ale z przyjaźnią pocziwiej żydówki Fragnerki.

— Czy pani dyrektorowa ma na wyjazd pieniądze?

— Nie mam.

— Ja pani dyrektorowej pożyczę, ile potrzeba.

— A któż poręczy?

— Na co poręczenie, ja pani dyrektorowej wierzę.

Nie było innej rady, zaciągnęłam dług osobisty. Na mój jedynie podpis dała mi 600 koron.

Z krzyżykiem, skreślonym na mem czole ręką czeigodnej pani Güntherowej, ze świętym Krzysztofem w torebce podróżnej, patronem strzegącym od przygód wodnych, którego mi dała kochana pani Marja Rostafińska na pożegnanie, a o którym kiedyś indziej opowiem, jak się sprawiał, i z 600 koronami w kieszeni od podczciwej starej Fragnerki, wyjeżdżałam z Krakowa, nie mówiąc ani kiedy, ani gdzie jadę, nikomu.

Jechałam do Berlina na spotkanie z Józefem, już po odbytej kuracji.

Zawiadomiony depeszą, czekał na mnie na dworcu z różami w rękę i zaproszeniem „na kolację do Kempnińskiego”. Zaproszenie przyjął.

Czy miałam mącić mu olimpijski jego spokój opowiadaniem ostatnich przeżyć, i spędzać z ust uśmiech, jakim mnie ze szczerą radością witał? Przenigdy. Pewna byłam, że, co się komu należy, dostanie. Jako też, w półtora roku, mówiąc nawiasem, długi były, spłacone. Więc śmiałam się z nim i radowałam się, żeśmy znów razem. Bo, poza ewangeliczną miłością, lubiliśmy się pasjami i nigdy nie nudziliśmy ze sobą. Przecież z tego źródła płynęło epitafjum, jakie proponowali mężowi złożyć kiedyś na mym grobie nasi przyjaciele. Miało być napisane: „Nudy z nią nie zaznałem nigdy, ale i spokoju także nie”. Z początku chciałam się o to obrażać, ale jednak, jeśli przyznawano, że mąż z żoną nigdy nudy nie zaznał, akceptowałam je.

Jechaliśmy trzecią klasą „D-zugiem” na małą duńską wysepkę Fanøe, nie dając, w dalszym ciągu, znaku życia nikomu i nie chcąc widzieć nikogo.

Niebo, skrawek ziemi i bezmiar morza.

Szum jego tłumi i kryje wszelkie ludzkie westchnienia i bóle, a wiekuista praca fal i ruch niestrudzony mówi o Wielkim, Niezmierzonym, Niepojętym, a widomym w Jego dziełach, Stwórcy i Panu.

Wygodny pokój z dużym tarasem na morze w „Strandhotelu”, podwójny kosz na piasku i w małym wydaniu „Księgi pielgrzymstwa polskiego” w ręku, dar na pożegnanie od Piotra Stachewicza.

Czytamy:

„Jesteście między cudzoziemcami, jak rozbitki na brzegu cudzym”. A mimo to, jakże szczęśliwi z tem małym słówkiem: *razem*, w ciszy i spokoju!

*

Tak minęły niby dzień — trzy tygodnie. Między niebem, wodą i ziemią. Wtem, pada, jak grom wśród naszego nieba: Depesza.

— Skąd? Od kogo?

Z Warszawy, od Aleksandra Rajchmana, Dyrektora Filharmonji i jej twórcy, a naszego szczerego przyjaciela. Depesza terminowa, z zapłaconą odpowiedzią pospieszną. Nadawca szukał nas po Europie, jak nam później opowiadał. Wskazówki dał mu Berlin. Znalazł i zaproponował takie warunki, których odrzucić nie było można, zwłaszcza wobec ciążących zobowiązań.

200 rubli od wieczoru i gwarantowana ich ilość skruszyły mur naszej abstynencji od świata. Łzy w oczach, ale uśmiech w odpowiedzi, stwierdzającej zgodę. Nazajutrz rozstanie; ja miałam zostać jeszcze 10 dni, aby nie marnować biletu okrężnego.

W kilka dni depesze od pp. Aleksandra Rajchmana i Gabryjela Kempnera z Warszawy, po koncercie:



Pokój na 4 piętrze
w Warszawie.



Pokój na 3 piętrze
w Krakowie.



„Wielkie powodzenie, Józefa entuzjastyczne przyjęcie, niezliczone wywoływania, wieniec, kwiaty”.

*

Obrachunek z życia w Krakowie wypadł taki:

Józef Kotarbiński, w służbie dla sztuki i poezji, zapisał, niezawodnie, złotemi głoskami swe imię na kartach historii Teatru Polskiego.

A ja, szczęśliwa byłam, że w trudach jego mogłam brać udział i być mu pomocą.

Trochę się człowiek naszymotał. Czasem kogoś żywcem w sercu pochował. Czasem uwiądnął któryś kwiat, na łańcuchach duchowych pielęgnowany. To znów się szło za pogrzebem jakiegoś marzenia.

Ale, ileż rozkoszy dała praca twórcza, ile podniosłych wrażeń! Ilu genialnych, niepospolitych, rozumnych i dobrych ludzi na drodze się spotykało! Jakie skarby przyjaźni, towarzyszące przez całe późniejsze życie, wywiozło się z Krakowa! Ile najlepszych uczuć mego męża sobie wysłużyłam! A com się nabawiła i gości naprzyjmowała, a ile spacerów, wybieczek i podróży zrobiłam! Czuję się też zawsze wiekuiście dłużniczką życia i tego, co mi w niem dał Pan Bóg, Mąż i dobroć ludzka. A jeśli nawet złość, to i za to wdzięczność. Bo cóż warta harfa, na której nie zostały ujęte w tony dźwięki wszystkich jej strun.

Niebo, woda, ziemia i cisza zrobiły swoje. Ukoiliły. Nie czułam się bankrutką.

Pobyt skróciłam. Wracałam do kraju, do męża, do

tego życia, w którym, byle umieć szukać i chcieć znaleźć, to wszędzie jest tyle Bożego tchnienia, że nie należy się delektować kojeniem cierpień własnej duszy, dopóki się odczuwa potęgę twórczej siły naszego istnienia.

Rok 1905. Rewolucja w Rosji — to dla nas nowe nadzieje. Któż wie? Może autonomja, z nią bujniejsze życie dla Narodu...

Nie spodziewaliśmy się wówczas całej pełni wyzwolin...

„Księga pielgrzymstwa” mówi:

„Nie jest tułaczem człowiek, który ma cel, ani ten, którego gwiazdą jest wiara, a iglicą magnesową jest miłość Ojczyzny”.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Nasz dom w Warszawie	9
II. Nasz dom w Krakowie	27
III. Z wyboru serca	46
IV. Spełnienie marzeń	86
V. Dlaczego „my“?	96
VI. Kordjan	105
VII. Dokoła Teatru	117
VIII. Sen Srebrny Salomei	127
IX. Atmosfera wśród pracy	134
X. Dwie miłe chwile	153
XI. Teatr Krakowski w Cieszynie	165
XII. Zawisza Czarny	172
XIII. Co przynosiła poczta?	177
XIV. Wesele	187
XV. Jeden dzień w domu Dyrektora	212
XVI. Dziady	222
XVII. Pojedynek szlachetnych	242
XVIII. Nasze kłopoty materialne i Stefan hr. Zborowski	258
XIX. Nieboska Komedja	272
XX. Autorz	292
XXI. Wyzwolenie, Protesilaos i Laodamja i Bolestaw Śmiały	316
XXII. Stanisław i Dagny Przybyszewscy	324
XXIII. Na duńskiej wyspie Fanöe	352

WYKAZ NAZWISK.

- Abczyński — 12.
Angelus — 266.
Asnyk Adam — 26, 28, 31, 47, 56, 57, 76, 78, 132, 185, 189, 242, 245.
Asz Szalom — 218, 219, 220, 221.
Badeni hr. St. Marszałek — 114, 115, 179, 229, 235.
Badeniowa hr. C. — 215.
Bałaban Wincenty — 75, 77, 282.
Bałabanowa Maryla — 75, 77.
Bałabanówna Ala — 75, 77.
Bałucki Michał — 147.
Barabasz — 35.
Barszczewska Wanda — 16.
Bartoszewicz H. — 301.
Bayer — 119.
Bąkowski — 104.
Beaudoin de Courtenay prof. — 79, 81, 189.
Beaupré Antoni — 81, 82, 123, 169, 179, 189, 272, 284.
Bednarzewska Konstancja — 155.
Bednarczyk Antoni — 149, 155.
B. K. (Koskowski Bolesław) — 220.
Bełcikowski Adam — 147.
Bełcikowski Jan — 79, 81, 212.
Bełza Władysław — 278.
Berwald J. — 97.
Błaż Jan — 162.
Białowiejski Maks. — 279.

II

- Bieńkowski Konstanty ks. — 17.
Bieńkowski Adam — 281.
Boczkowska Marja — 17.
Boczkowskie Marja i Jadwiga — 17.
Bogusławski Władysław — 14, 150, 227, 229, 233, 273, 276, 277, 311.
Boguska Helena (Hajota) — 15.
Boguska Klementyna — 14.
Boguski Józef Jerzy — 16.
Boy-Żeleński Tadeusz — 331.
Brandt Roman — 80, 82, 84.
Browicz Tadeusz — 51, 189.
Browiczowa Marja — 51, 52.
Buchner Władysław — 16.
Bukowski Jan — 295.
Burnatowicz K. — 210.
Burzyński F. — 210.
Choynowska Jolanta — 49.
Choynowska z Rostafińskich Halina — 49.
Chylińska Anna — 87.
Chrzanowski I. — 116.
Czaki Jadwiga — 16.
Czapelska Wanda — 75, 266.
Czapelski Kazimierz — 75, 118, 161, 173.
Czapelski Stach — 75, 76.
Czartoryski ks. Zdzisław — 281.
Czechowska Jadwiga — 244.
Ćwierciakiewiczowa Lucyna — 15.
Dangłowa br. Janina — 58.
Dargunowa Celina — 74, 76, 266.
Daszyński Ignacy — 149, 159.
Dąbrowski Eugenjusz — 295.
Dąbski — 109.
Deryng Marja — 25.
Dłuska Bronisława dr. — 41, 94, 102, 215.
Dłuska Helena — 76, 77.
Dłuski Kazimierz — 76, 77.
Dobosz A. — 156.

- Dobrzyńska-Rybicka Ludwika — 284.
Dulęba Marja — 300.
Dunin Z. — 281.
Dygasiński Adolf — 15.
Egerowa Helena — 17, 11, 122, 227, 331.
Egerówna Fortuna — 17, 331, 332.
Ehrenberg Kazimierz — 126, 172, 227, 233.
Epsteinowa — 125.
Estreicher Karol — 139, 148, 209.
Feldman Wilhelm — 181.
Fiałkowska Celina — 58.
Fiałkowska Helena — 58.
Fiałkowska Magda-Dzidzia — 58.
Fiałkowski Mieczysław — 58.
Fragnerowa Rozalja — 358.
Franciszek — 160.
Fregowa — 136.
Frenkiel M. — 219.
Friedlein Józef — 150, 244, 259, 264.
Gadomski Jan — 15, 234.
Galasiewicz — 336.
Gawalewiczowa Gabryela — 17.
Gawalewicz Marjan — 13, 17, 234, 277, 284, 298, 301.
Gebethner Jan — 301.
German — 336.
Gerson Wojciech — 14, 34, 300.
Gerwarth Karol — 279.
Gill Tad. — 163.
Godebski — 285.
Goetel Ferdynand — 7.
Gomulicki Wiktor — 279.
Gorączko Anna — 218, 267.
Gorczyński Bolesław — 334, 336.
Górski K. M. — 148, 273.
Grabarz Józef — 156.
Grabowski A. — 279.

IV

- Gregorczyk Jan — 124.
Grubiński Wacław — 7.
Güntherowa Marja — 33, 54.
Güntherówny Jadwiga i Wanda — 53, 55.
Haller Ludwik — 326.
Hawelka — 138.
Heggenberger Jacek — 331.
Henkiel Dyonizy — 15, 277, 311.
Heryng dr. — 16.
Hock — 163, 285.
Jankowski Edmund — 16.
Jankowski Józef — 8, 16.
Jakubowska F. — 87.
Jasiński Feliks — 79, 80, 284, 308.
Jara M. — 124.
Jaracz — 311.
Jednowski Marjan — 79, 81, 155, 160, 317.
Jeremi Bronisława — 154.
Jejde L. — 154.
Jenike Ludwik — 179.
Jutkiewicz Syl. — 149.
Kallenbach J. — 274, 282, 284, 287, 361.
Kałużyńska — 136.
Kamiński Kazimierz — 118, 134, 136, 173, 179.
Karandjew — 42.
Karpiński St. — 118, 266.
Kasperek — 285.
Kasprowicz Jan — 31, 306, 307, 308, 328, 336.
Kaszewski Kazimierz — 278.
Kaszewscy Kazimierzostwo — 14.
Käthe Nay — 34.
Kisielewski Zygmunt — 328, 336.
Kleczeńska Józefa — 9, 17.
Kleczeńska Julja — 17.
Kleczeńska Stasia — 17.
Kleczeńska Zofja — 122.
Kleczeński Stefan — 17.



- Kempner Gabryjel — 12, 16, 78.
 Kohnowa Leonja — 74, 87.
 Kohn Maksymiljan — 74, 75.
 Kohnówna Maryna (Koperowa) — 74, 75.
 Konar Alfred — 15.
 Konczyński Tadeusz — 249, 305, 336.
 Konopnicka Marja — 31, 299, 301, 302, 303.
 Koparzyński Franciszek — 124.
 Kopera Feliks — 74, 75.
 Koszutycz — 122.
 Kosiakiewicz Wincenty — 15, 174, 189.
 Kosmowska Ada — 317.
 Kossak Wojciech — 140, 143, 188, 275.
 Kościałkowska Wilhelmina — 14.
 Kotarbińska Ewa — 17.
 Kotarbińska Idalja — 13, 17, 25.
 Kotarbińska Teofila — 17, 23, 202.
 Kotarbińska z Hermanowskich Teofila (Matka) — 20.
 Kotarbiński Józef — 5, 7, 9, 12, 13, 14, 15, 16, 18, 22, 23, 24,
 25, 26, 27, 29, 30, 33, 42, 49, 53, 55, 57, 63, 65, 77, 87,
 92, 93, 94, 96, 97, 99, 106, 110, 112, 113, 123, 124, 127,
 129, 134, 140, 143, 144, 145, 150, 152, 153, 154, 161, 162,
 166, 167, 168, 170, 173, 174, 175, 176, 178, 179, 180, 183,
 184, 185, 188, 190, 191, 192, 197, 198, 202, 203, 205, 208,
 209, 210, 212, 225, 226, 227, 228, 229, 231, 232, 233, 234,
 235, 239, 243, 244, 245, 248, 257, 258, 262, 267, 272, 275,
 286, 287, 289, 290, 295, 297, 298, 299, 301, 305, 306, 307,
 310, 311, 319, 320, 321, 334, 335, 336.
 Kotarbiński Józef (Ojciec) — 21.
 Kotarbiński Miłosz — 7, 17, 22.
 Kotarbiński Eustachy — 25, 79, 81, 155, 159, 160.
 Kotowicz — 152.
 Kowalik Jan — 153, 155, 160, 161.
 Kowalik Józef — 155, 161.
 Kowalski Ant. — 150.
 Kowalski Józef — 279.
 Kozłowski Stanisław — 15, 234, 313, 336.
 Krasieński hr. Adam — 277, 284, 286, 287, 289.



VI

- Krasnowiecki W. — 210.
 Kraushar Aleksander — 15.
 Krausharowa Jadwiga — 15, 234.
 Krumłowski — 147.
 Kryński Leon dr. — 77, 78, 81, 83.
 Krzyccy Julianostwo — 12.
 Krzywoszewski Stefan — 306, 336.
 Krzyżyk Ant. — 156.
 Kwiatkowska — 154.
 Laskowski Kazimierz — 141.
 Lebelt Ludwik — 17.
 Lebeltowa Bronisława — 17.
 Lebeltowie Henryk, Bronisław, Czesław — 17.
 Leo Julian — 244.
 Leśkiewiczowa Stefanja — 17.
 Leszczyńska Honorata — 16.
 Leszczyński Bolesław — 16.
 Leszczyński Stanisław — 16.
 Leszczyński Jerzy — 304.
 Lewandowski Edward — 17.
 Lewenthal Franciszek — 15.
 Lewenthalowa Hortensja — 15.
 Libicki Stanisław — 101.
 Lorentowicz Jan — 8, 212, 257, 282.
 Lubomirski ks. Zdzisław — 52.
 Lubomirska ks. A. z Przeworska — 279.
 Lutomski Bolesław — 16, 23, 289.
 Lutosławska Sophita — 79.
 Lutosławski W. — 78.
 Ładnowski Bolesław — 76.
 Łoziński W. — 210.
 Łubieński dr. W. — 281.
 Machlejd Julian — 16, 76, 78.
 Maciejowska Marja — 55, 61, 62.
 Maciejowski Sewer — 26, 28, 55, 147, 243, 269.
 Malczewski Jacek — 12, 56.
 Maliszewski — 179, 234.
 Małachowski prezyd. — 114.

- Małeckie Ant. — 135, 277.
 Małyszew — 335.
 Mańkowski Aleksander — 15, 311, 336.
 Marczello-Palińska — 16.
 Masłowski Ludwik — 280.
 Maszyńscy Juljanostwo — 14.
 Maszyńscy Piotrostwo — 14.
 Maszyńska Stanisława — 17.
 Matuszewski Ignacy — 15.
 Mazur Z. — 183.
 Miarczyński — 164, 169, 170.
 Michałowski Ludwik — 37.
 Michejda, pastor — 32, 165, 166, 167, 169.
 Miciński T. — 125, 127, 131.
 Mielewski Andrzej — 79, 81, 125, 129, 154, 157, 169, 232, 244.
 Mieszkowski Antoni — 15.
 Mikucka Leokadja — 74, 75.
 Mikucki Jan — 74, 76, 87.
 Miłaszewski Stanisław — 7.
 Mellerowa Zofja — 15.
 Méyet Leopold — 82, 84.
 Modrzejowska Helena — 25, 145, 147, 319, 320.
 Morawski Kazimierz — 49, 138, 273.
 Morska-Popławska Gabryjela — 169, 244.
 Morzkowska Antonina — 15.
 Morzkowska-Marrené Walerja — 14.
 Mrozowska Jadwiga — 39, 79, 81, 288, 307, 309, 310.
 Mucharski Arkadiusz — 16.
 Mycielski Jerzy hr. — 82, 84, 109, 114, 115, 118, 123, 124, 125, 126, 173, 189, 248, 273, 282, 284.
 Natanson Kazimierz — 15.
 Natansonowa Bronisława — 15, 17.
 Neufeldówna Bronisława — 15.
 Neufeldówna Melanja — 15.
 Nidecka Helena — 54, 56.
 Niemojewski Andrzej — 140, 176.
 Niemirowicz-Danczenko — 185.
 Nieżycz — 122.

VIII

- Noiret Zofja — 16.
Nowaczyński Adolf — 284, 295, 296, 297, 298, 299, 328, 336.
Nowak J. dr. — 209.
Nusbaum Henryk dr. — 16.
Opieński Henryk — 251.
Ordon — 149, 169.
Ordonówna Władysława — 79, 81, 169, 304.
Orzeszkowa Eliza — 14, 16.
Owidzki Jan — 16, 20.
Pace Tomasz — 75, 77.
Paderewska Helena — 121.
Paderewski J. I. — 122, 147.
Pajewski — 16.
Palicyn — 24.
Pareńska Eliza — 74, 263.
Pareński Stanisław — 74, 76.
Pawlikowska Helena — 26.
Pawlikowski Mieczysław — 28.
Pawlikowski Tadeusz — 13, 23, 25, 29, 242.
Perzyński Włodzimierz — 310, 311.
Piątkowski Henryk — 16.
Piltz Erazm — 189, 190.
Pion — 104.
Plewińscy Sewerostwo — 57.
Pochwański — 12.
Podkowiński Stanisław — 16.
Polewka — 156, 157.
Poliński A. — 251.
Poller — 137.
Popławski Morstin — 169.
Popławski — 126, 155, 160.
Potkański Karol — 138, 139.
Potocka hr. Adamowa — 38, 123.
Potocka hr. Krystyna Andrzejowa — 36, 40, 123, 180.
Potocka hr. Antoniowa z Olszy — 135.
Potocki hr. Andrzej, Nam. — 180, 236.
Poznański Maurycy — 281.
Prus (Aleksander Głowacki) — 13.

- Prylińska Halina — 73, 102.
 Pryliński Tadeusz — 73.
 Przybyłko Marja — 143, 333.
 Przybyłowicz M. — 110, 144.
 Przybyszewska Dagny — 324, 331, 332.
 Przybyszewski Stanisław — 192, 215, 324, 325, 326, 327, 328,
 330, 332, 335, 336.
 Ptak, poseł — 202, 203.
 Rabski Władysław — 257, 284, 301.
 Raciborski, prof. — 282.
 Raczyńska hr. Róża — 39, 272.
 Raczyński hr. Edward — 272.
 Rajal — 136.
 Rajchman Aleksander — 298.
 Rakowski Kazimierz — 79, 81, 83.
 Rakowski Konrad — 284.
 Rapacki Wincenty — 16.
 Raszka Jan — 70.
 Rauchinger Henryk — 125.
 Rembieliński — 12.
 Rittner Tadeusz — 303, 304, 305, 328, 336.
 Rodkiewicz Stanisław — 15.
 Rodkiewiczowa Marja — 15.
 Rogoziński Stefan — 16.
 Roman — 110.
 Rongier — 79.
 Rostafińska Marja — 46.
 Rostafińska Halina — 48, 49.
 Rostafińska Justyna — 48, 49.
 Rostafiński Jan — 48, 49, 51.
 Rostafiński Józef, prof. — 46, 47, 49, 73, 123, 125, 132, 189,
 213, 272, 284.
 Rothwein, radny — 261.
 Rothweinowa —
 Rossowski Stanisław — 312, 313, 336.
 Roze Karol — 281.
 Rozmarynowski H. — 210.
 Rozwadowicz L. — 286.

- Ruszczyńska Marja — 281.
 Rychter-Janowska — 321.
 Rydel Lucjan — 148, 171, 173, 175, 180, 198, 242, 243, 244,
 245, 246, 247, 248, 254.
 Ryszkiewiczowa — 17.
 Ryszkiewiczowie Józefowie — 14.
 Sajdeman — 12.
 Sambatow ks. (Jużyn) — 122.
 Sawicka Józefa (Ostoja) — 15.
 Segeny — 155.
 Senowska — 254.
 Senowski — 154.
 Seroczyńska Wanda — 88, 94, 100, 102, 132.
 Sewer Maciejowski — 132.
 Siedlecki — 284.
 Siemaszkowa Wanda — 79, 81, 143, 179.
 Sienkiewicz Henryk — 124, 227, 272, 292, 293, 294, 295.
 Siennicka — 126.
 Sieroszewska Wacławowa — 276.
 Skarżyński — 35.
 Skrzyński K. — 204, 213.
 Służewska Zdzisława Justyna z Rostafińskich — 49, 50.
 Smolarski — 79, 81.
 Smoleński Władysław — 15.
 Sobiesław — 124, 169.
 Sokolicz — 155.
 Solski Ludwik — 28, 107, 143, 155, 160, 208, 250, 251, 284, 326.
 Sosnowski Józef — 264, 288, 304, 310.
 Spitziar — 104, 251.
 Stachiewicz Piotr — 37, 45, 125, 138, 140, 173, 179, 189, 272.
 Stachiewiczowa Bronisława — 45.
 Stanisławski S. — 79, 81, 138, 193, 272, 273, 275, 284, 285, 308.
 Staniszewski W. — 264, 268.
 Starzewski Rudolf — 79, 81, 189, 198, 246, 248, 284.
 Starzyńska H. — 135.
 Steiff — 136.
 Strażyńska — 88.
 Sturca Andrzej — 158.

- Sulima Helena — 79, 81, 149.
 Sulimierska Maryla — 11, 17.
 Sulimierski Filip — 11, 17.
 Surzyński W. — 210.
 Sygietyński Antoni — 15.
 Sygietyńscy Leonostwo — 9.
 Szadkowska Wiktorja — 17.
 Szadkowscy Józefostwo — 12.
 Szajnocha, prof. — 79, 81, 123, 189.
 Szczepanik — 117, 118, 125.
 Szczepański Ludwik — 109, 118, 282.
 Szczutowski Jan — 184.
 Szuch Franciszek — 16.
 Szukiewicz M. — 14.
 Szufa Andrzej — 178.
 Szwojnicki Roman — 16.
 Szyfman Arnold — 159.
 Szymanowski — 16.
 Szyszło Józef — 15.
 Śladowski Jan — 151, 153.
 Śledź Wł. — 156.
 Śliwiński Ludwik — 218.
 Świeykowski Emanuel — 124, 139.
 Świeży Monsignor — 167.
 Święcicki Jul. Adolf — 277.
 Święciccy Julianostwo — 13.
 Świętochowski Aleksander — 9, 10.
 Tarasiewicz Michał — 28, 79, 81, 107, 109, 124, 125, 126, 155,
 160, 195, 284, 288.
 Tarnowska hr. Stanisławowa — 36.
 Tarnowski hr. Stanisław — 84, 85, 109, 110, 113, 126, 134, 135,
 138, 151, 272, 276.
 Tatarkiewicz Jan — 16.
 Tetmajer Kazimierz — 112, 148, 168, 169, 172, 174, 175, 179,
 198, 203, 213, 282, 331—336.
 Tetmajer Tadeusz — 69.
 Tetmajer Włodzimierz — 65, 67, 73, 74, 106, 115, 124, 138,
 148, 172, 189, 197, 198, 201, 202, 245, 247, 273.

XII

- Tetmajerowa Hanna — 66.
Tetmajerowie — 88.
Tetmajerówna Hanka — 70.
Tetmajer Jadwiga (Naimska) — 69, 73.
Tetmajerówna Klementyna — 69.
Thiebault Sisson Fr. — 122.
Tomaszewska Helena — 46.
Tomkowicz Stanisław — 16, 125, 245, 273, 284.
Trapszówna Tekla — 16.
Tretiak J. — 291.
Trojanowski Edward — 35.
Turlński — 137.
Wagnerowie Edwardstwo — 281.
Walewski Ad. — 144, 272, 284, 293.
Walewski — 81, 173.
Walewski W. — 79.
Walewski-Wallek — 210.
Wałek Józef — 157, 161.
Warchałowski Jerzy — 35.
Węgrzyn Maksymiljan — 79, 81.
Węgrzyn Józef — 238.
Witkiewicz Stanisław — 276.
Wolberg Ludwik dr. — 15.
Wolska — 169.
Wolska Bronisława — 145.
Wolska Ludwika — 56.
Wolska Marja — 54.
Wolski Adam — 54.
Wolski Stanisław — 16.
Wolskie Marja i Jadwiga — 54.
Wołowski Michał — 15.
Woydyga Jan — 16.
Wójcicka Zofja — 148.
Wójcicki Hip. — 98, 105, 117, 160, 169.
Wyczółkowski Leon — 16, 37, 81, 138, 295.
Wysocka Stanisława — 79, 81, 288, 307.
Wysocki-Godziemba Antoni — 123, 132, 147, 188, 284.

- Wyspiański Stanisław — 61, 62, 98, 100, 149, 150, 152, 174,
180, 187, 188, 189, 190, 191, 193, 195, 201, 203, 208, 209,
214, 223, 224, 225, 226, 228, 230, 231, 233, 238, 239, 255,
316, 317, 319, 320, 321, 328.
Wittke-Jeżewski Dominik — 138.
Vogel Aleksander — 76, 78, 281.
Zaleski K. — 121.
Zapolska Gabryjela — 39, 134.
Zawadzki — 145.
Zawiejski Jan — 160.
Zelwerowicz Aleksander — 79, 81, 333, 334.
Zborowski Stefan — 258, 268, 269, 279.
Zdziechowski Marjan — 73, 189, 235.
Zielińska J. — 159.
Zyg F. — 183.
Żeleńska Wanda — 63, 64, 278.
Żeleński Tadeusz (Boy) — 16, 63, 64, 172.
Żeleński Władysław — 16, 63, 65, 146, 284.
Żeromski St. — 218.
Żmijewska Eugenja — 15.
Żóławski Jerzy — 79, 81, 228, 277, 310.







